

BESTSELLER NEW YORK TIMES

LUCY FOLEY

Klucz do zagadki masz **tylko ty**

PARYSKI
APARTAMENT

Stylowy, trzymający w napięciu i mroczny thriller.

– Alex Michaelides, autor **PACJENTKI**

FILIA

LUCY FOLEY

PARYSKI
APARTAMENT

Przełożyła
Joanna Grabarek

FILIA

Dla Ala. Dziękuję Ci za wszystko.

PROLOG

Piątek

Ben

Jego palce wiszą nad klawiaturą. Musi to wszystko spisać. Ta historia przyniesie mu sławę. Zapala kolejnego papierosa. Palenie gitane'ów w tym mieście jest nieco banalne, ale on naprawdę lubi ich smak – a przy okazji również to, jak wygląda z papierosem w ręce.

Siedzi przy wysokich oknach mieszkania, wyglądających na dziedziniec. Wszystko pogrążone jest w ciemnościach, z wyjątkiem nikłego zielonkawego blasku pojedynczej lampy. To piękny budynek, ale w jego sercu tkwi coś plugawego. Teraz, kiedy to odkrył, wszędzie czuje smród.

Powinien wkrótce się stąd zbierać. I tak już za długo tutaj siedzi. Jess nie mogła chyba wybrać gorszego momentu na wizytę, w dodatku zapowiadając się niemal z dnia na dzień. W rozmowie telefonicznej nie poznał żadnych szczegółów, ale najwyraźniej coś się stało – coś dotyczącego kolejnej beznadziejnej roboty, jakiej się aktualnie chwyciła. Jego siostra przyrodnia ma talent do pojawiania się nieproszona. Jest niczym magnes przyciągający wszelkie kłopoty – ciągną się za nią wszędzie, dokąd się udaje. Nigdy nie była zbyt dobra w przestrzeganiu reguł gry. Nie rozumiała, że życie jest dużo łatwiejsze, kiedy ludzie dostają to, czego chcą, i słyszą to, czego oczekują. Ben powiedział jej wprawdzie, że może go odwiedzać, kiedy tylko chce, ale nie mówił tego serio. Oczywiście Jess uznała to za poważne zaproszenie.

Kiedy widział ją po raz ostatni? Wspominanie siostry zawsze wzbudza w nim poczucie winy. Może powinien się bardziej zainteresować jej życiem, zaopiekować się nią...? Jess jest wrażliwa – no, może nie tyle wrażliwa, co delikatna i podatna na zranienie, chociaż ludzie początkowo prawdopodobnie tego w niej nie dostrzegają. Jest jak pancernik: pod twardą skorupą fasady kryje się kruchość.

Tak czy owak, chyba powinien do niej zadzwonić z jakimiś zamiarami. Zostawia jej wiadomość na automatycznej sekretarce: „Hej, Jess, mój adres to rue des Amants numer dwanaście. Zapisz sobie. Trzecie piętro”.

Jego wzrok przyciąga nagły ruch na dziedzińcu. Ktoś przemierza podwórko szybkim krokiem, niemal biegnąc. Ben widzi zaledwie cień sylwetki. Nie jest w stanie rozpoznać, kto to taki, ale jest coś dziwnego w tym nerwowym truchcie. Ben czuje nieznaczny wyrzut adrenaliny.

Przypomina sobie, że nie skończył się jeszcze nagrywać na pocztę głosową, więc odwraca wzrok od okna. „Po prostu zadzwoń domofonem. Będę tu na ciebie czekał...” Przerywa. Waha się, nasłuchuje.

Hałas.

Stukot kroków na korytarzu... zbliżają się do drzwi mieszkania.

Zatrzymują się. Ktoś tam jest, tuż za drzwiami. Ben czeka na pukanie, ale nadaremno. Panuje cisza – ciężka, niczym wstrzymywany oddech.

Dziwne.

A potem słyszy kolejny dźwięk. Stoi nieruchomo, nastawiając uszu, w skupieniu. Nagle słyszy brzęk przedmiotu wkładanego do mechanizmu zamka i obserwuje, jak ten się przekręca. Ktoś otwiera drzwi od zewnątrz. Ktoś, kto ma klucz, ale nie powinien przychodzić tu bez zaproszenia.

Klamka zaczyna przesuwac się w dół i drzwi otwierają się z nader znajomym długim jęknięciem.

Ben odkłada telefon na blat kuchenny, zapominając o nagrywanej wiadomości. Czeka i obserwuje w osłupieniu, jak drzwi otwierają się na oścież i do pokoju wchodzi skryta w mroku postać.

– Co ty tu robisz? – pyta. Jest spokojny, rozważny. Nie ma nic do ukrycia. Nie boi się, a raczej jeszcze się nie boi. – I dlaczego...

Wtedy dostrzega przedmiot trzymany przez intruza.

Teraz pojawia się strach.

TRZY GODZINY PÓŹNIEJ

Jess

Do diabła, Ben, odbierz telefon. Jajniki mi tu odmarzną. Mój eurostar wyjechał z Londynu z dwugodzinnym opóźnieniem. Powinnam przyjechać o 22.30, a tymczasem właśnie minęła północ. W dodatku jest zimno, tutaj, w Paryżu, nawet zimniej niż w Londynie. Zbliża się dopiero koniec października, ale z moich ust przy każdym oddechu wydobywają się obłoczki pary, a palce u stóp zupełnie mi zdrętwiały z zimna w cienkich kozakach. I pomyśleć tylko, że zaledwie kilka tygodni temu mieliśmy falę upałów. Powinnam sobie sprawić porządny płaszcz, ale w moim życiu pełno jest rzeczy, których potrzebuję i których nigdy nie będę miała.

Dzwonię do Bena już chyba po raz dziesiąty. Wsiadłam z pociągu na Gare du Nord i idę pieszo już pół godziny. Ben nie odbiera. Nie odpisał też na żaden z moich esemesów. Dzięki za nic, braciszku.

Powiedział, że będzie czekał i wpuści mnie do mieszkania. „Po prostu zadzwoń domofonem”, powiedział w wiadomości.

No więc jestem tutaj; w słabo oświetlonym, wyłożonym kostką uliczną ślepym zaułku, w – jak się okazuje – dość wytwornej dzielnicy. Budynek mieszkalny, przed którym stoję, jest wolnostojący.

Spoglądam za siebie na opustoszałą ulicę. Za zaparkowanym jakieś sześć metrów stąd samochodem chyba coś się poruszyło. Przesuwam się w bok, usiłując lepiej się przyjrzeć. Mrużę oczy, próbując zidentyfikować ciemny kształt. Dałabym głowę, że ktoś tam się chowa, przykucnięty za autem.

Podskakuję na dźwięk syren kilka ulic dalej, przeraźliwie głośnych w tej ciszy. Słucham, jak wycie powoli cichnie w ciemności. Brzmia inaczej niż w domu – ni-no, ni-no, jak w dziecięcych zabawach – ale serce i tak trochę mi przyspiesza.

Spoglądam znowu w kierunku zacienionego miejsca za zaparkowanym samochodem. Teraz już nie widzę żadnego ruchu ani nawet zarysu postaci, którą, jak mi się zdawało, dostrzegałam jeszcze przed chwilą. Może jednak to była tylko gra światłocieni.

Spoglądam na gmach. Inne budowle na tej ulicy też są piękne, ale ten tutaj bije je na głowę. Stoi schowany za wielką bramą z wysokim murem po obu stronach, kryjącym przestrzeń, która musi być jakimś dziedzińcem lub ogrodem. Pięć albo sześć pięter, ogromne okna opatrzone balkonami z prętów z kutego żelaza. Wielka kępa bluszczu porastająca całą fasadę wygląda niczym wpełzająca na ścianę czarna plama. Odchylając głowę, jestem w stanie dostrzec na dachu ogród – kształty drzew i krzewów odcinające się gęstą czernią na tle nocnego nieba.

Sprawdzam jeszcze raz adres. Rue des Amants numer dwanaście. Nie pomyliłam się. Nadal nie mogę do końca uwierzyć, że Ben mieszka w takim szpanerskim domu. Powiedział, że zainstalował go tam kolega z czasów studenckich. Ben zawsze łąduje na cztery łapy. Pewnie nie powinnam się dziwić, że zbajerował gościa i wkręcił się w takie miejsce. Nic, tylko urok osobisty mu w tym pomógł – dziennikarze zapewne zarabiają więcej niż barmani, ale nie aż o tyle więcej.

Metalowa brama przede mną zaopatrzona jest w mosiężną kołatkę w kształcie głowy lwa trzymającego grubą metalowy pierścień w zębach. Cała górna część bramy uzbrojona jest w szpikulce, a szczytowa powierzchnia muru po obu stronach najeżona jest wtopionymi w cement kawałkami szkła, które poszarpałyby na strzępy każdego amatora wspinania się. Owe zabezpieczenia trochę nie pasują do tak eleganckiego obiektu.

Pierścień kołatki jest ciężki i zimny. Unoszę go i pozwalam mu opaść. Dźwięk uderzenia toczy się echem po kocich łbach, niespodziewanie głośny w nocnej głuszy. W całej okolicy jest tak cicho i ciemno, że trudno ją sobie skojarzyć z tym samym miastem, które przed chwilą przemierzyłam, wędrując z Dworca Północnego: pełnym świateł i ludzi włączających się po restauracjach i barach. Przypominam sobie okolice wielkiej, spektakularnie podświetlonej bazyliki Sacré-Coeur, królującej na wzgórzu, które minęłam

zaledwie dwadzieścia minut temu. Kręciły się tam wciąż tłumy turystów robiących sobie słodkie fotki oraz podejrzani goście w puchówkach, krążący między nimi jak rekiny, gotowi w każdej chwili zwinąć komuś portfel. Ulice, którymi szłam, były kolorowe od neonów, głośnie od muzyki, pełne otwartych całą noc restauracji oraz ludzi wylewających się tłumnie z barów i stojących w kolejce do klubów nocnych. To zupełnie inny świat. Spoglądałam na ulicę za plecami i nie widzę żywego ducha. Jedynym dźwiękiem, który słyszę, jest szelest uschniętego pnącza, które opadło na bruk. Z oddali dobiega mnie pomruk ruchu ulicznego i trąbienie, ale nawet te hałasy wydają się stłumione, jakby nie śmiały wtargnąć do eleganckiego, milczącego świata.

W drodze ze stacji nie zatrzymywałam się, żeby się zastanowić. Ciągnęłam za sobą bagaż, koncentrując się na tym, żeby nie dać się okraść i żeby uszkodzone koło walizki nie wybijało mnie z równowagi. Teraz jednak po raz pierwszy dociera do mnie, że jestem w Paryżu. W innym mieście, w innym kraju. Udało mi się. Zostawiłam za sobą moje dawne życie.

W jednym z okien na górze zapala się światło. Spoglądałam w tamtą stronę i widzę ciemną sylwetkę stojącą w oknie. Ben? Ale gdyby to był on, na pewno by mi pomachał. Przecież stoję w kręgu światła roztaczanego przez pobliską latarnię. Jednak postać w oknie stoi nieruchomo – głowa i ramiona, jak popiersie. Nie mogę dostrzec rysów twarzy ani nawet zgadnąć, czy to kobieta, czy mężczyzna. Jestem jednak pewna, że ten ktoś mnie obserwuje. Musi. Pewnie wyglądam bardzo nie na miejscu, z moją starą popsutą walizką, która próbuje się otworzyć, mimo że przewiązałam ją taśmą elastyczną. Dziwne to uczucie; świadomość, że ta osoba mnie widzi, a ja nie mogę jej się dobrze przyjrzeć. Spuszczam wzrok.

Aha! Po prawej stronie bramy dostrzegam mały panel z guzikami domofonu do różnych mieszkań oraz z okiem kamery. Ta wielka lwia kołatka musi tu być tylko na pokaz. Podchodzę bliżej i przyciskam guzik do mieszkania na trzecim piętrze, tam, gdzie mieszka Ben. Czekam, aż ożyje interkom.

Nikt nie odpowiada.

Sophie

Penthouse

Ktoś dobija się do furtki, wystarczająco głośno, żeby Benoit, mój srebrny chart, zerwał się na nogi i zaczął szczeleć.

– Arrête ça! – krzyczę. – Przestań.

Benoit skomli i się ucisza. Spogląda na mnie z niepewnością w ciemnych oczach. Ja również dostrzegam zmianę w moim głosie – jest zbyt głośny, zbyt piskliwy. W ciszy słychać tylko mój własny oddech, chrapliwy i płytki.

Nikt nigdy nie używa kołatki – a już na pewno nikt znający ten dom. Podchodzę do okna wyglądającego na dziedziniec. Nie widać stąd ulicy, ale ścieżka od furtki prowadzi właśnie tutaj, więc jeżeli ktoś wejdzie, będę mogła go zobaczyć. Nie widzę nikogo, a od pukania upłynęło już dobre kilka minut. Wygląda na to, że konsjerżka uznała, iż tej osoby nie należy wpuszczać do środka. W porządku. Dobrze. Niespecjalnie lubię tę kobietę, ale wiem, że przynajmniej w tym względzie mogę jej zaufać.

W Paryżu można mieszkać w najbardziej luksusowym apartamencie, a mimo to od czasu do czasu zdarza się tam przelotna wizyta największych mętów tego miasta: narkomanów, bezdomnych, prostytutek. Pigalle, francuska dzielnica czerwonych latarni, znajduje się niedaleko, na tyłach Montmartre. Tutaj, w tej wartej wiele milionów euro fortecy z pięknym widokiem na dachy miasta, ciągnącym się aż do wieży Eiffla, zawsze czułam się stosunkowo bezpieczna. Potrafię ignorować nieczystości kryjące się pod złotą fasadą. Jestem dobra w przymykaniu oka na różne rzeczy. Zazwyczaj. Ale dzisiaj jest... inaczej.

Sprawdzam swoje odbicie w lustrze wiszącym w korytarzu. Uważnie analizuję to, co widzę. Całkiem nieźle jak na pięćdziesiątkę – częściowo dzięki temu, że jeśli chodzi o utrzymywanie mojej formy, zaadaptowałam francuskie podejście, co oznacza po prostu, że człowiek zawsze chodzi głodny. Wiem, że nawet o tej porze wyglądam nienagannie. Moja szminka jest nałożona idealnie. Nigdy się bez niej nie ruszam z mieszkania. Chanel, La somptueuse, mój charakterystyczny odcień; sinawy, królewski kolor mówiący „zachowaj odległość” i „nie podchodź”. Moje włosy ułożone są

w lśniący bob, który przycina co sześć tygodni David Mallet w Notre Dame des Victoires. Idealny kształt, każdy siwy włos pieczołowicie ukryty pod farbą. Jacques, mój mąż, już dawno wyraził się bardzo jasno, że nie cierpi kobiet, które pozwalają sobie na siwiznę – chociaż nie zawsze jest tutaj, aby podziwiać u mnie jej brak.

Mam na sobie uniform, moją zbroję: jedwabną koszulę z Equipment i świetnie skrojone ciemne, przylegające spodnie. Na szyi zawiązałam jaskrawą jedwabną apaszkę od Hermès, doskonale skrywającą wszelkie ślady, jakie wiek pozostawił na delikatnej skórze szyi. To niedawny prezent od Jacques'a, który lubuje się w pięknych rzeczach – jak to mieszkanie. I jak ja, jeszcze zanim miałam czelność się zestarzeć.

Wyglądam idealnie, jak zawsze, zgodnie z oczekiwaniami – ale czuję się brudna, skalana tym, co musiałam zrobić tego wieczora. Moje oczy w lustrze lśnią. To jedyny znak – chociaż jeśli dobrze się przyjrzeć, moja twarz jest trochę wymizerowana. Schudłam ostatnio jeszcze bardziej, nawet nie zważając na to, co jem, ani nie odnotowując pieczołowicie każdego kieliszka wina lub kęsa croissanta. Nie byłabym w stanie powiedzieć, co jadłam dziś rano na śniadanie i czy w ogóle o nim pamiętałam. Każdego dnia ubrania robią się coraz luźniejsze w talii, a mostek coraz wyraźniej odznacza się pod skórą.

Rozwiązuję apaszkę. Potrafię je układać jak rodowita paryżanka. Pod tym względem nie odróżniam się od nich wszystkich – tych szykownych bogatych kobiet z małymi pieskami i doskonałymi manierami.

Odczytuję esemesa, który wysłałam Jacques'owi zeszłej nocy. „Bon nuit mon amour. Tout est bien ici”. Dobranoc, kochanie. U mnie wszystko w porządku.

U mnie wszystko w porządku. Ha!

Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, ale wiem, że zaczęło się od jego pojawienia tutaj. Wprowadził się do mieszkania na trzecim piętrze. Benjamin Daniels. Człowiek, który wszystko zniszczył.

Jess

Wyciągam telefon. Ostatnim razem, kiedy go sprawdzałam, Ben nie odpowiedział na żadną z moich wiadomości. Jedną wysłałam z pociągu: „W drodze!”. A potem: „Jestem na Gare du Nord! Masz konto na Uberze?!!!”. To tak na wszelki wypadek, gdyby poczuł nagle przypływ hojności i wysłał po mnie taksówkę. Uznałam, że warto spróbować, zwłaszcza z tą wielką cholerną walizką.

Widzę zawiadomienie o nowej wiadomości – tylko że nie od Bena.

„Ty głupia cipo. Myślisz, że upiecze ci się to, co zrobiłaś?”

Cholera. Przetykam nerwowo, czując nagłą suchość w ustach. Wyrzucam esemesa i blokuję numer nadawcy.

Jak już wspominałam, o przyjeździe tutaj zdecydowałam trochę w ostatniej chwili. Ben nie był chyba zachwycony, kiedy zadzwoniłam do niego wcześniej z informacją, że się do niego wybieram. Wprawdzie nie dałam mu zbyt wiele czasu na oswojenie się z tym pomysłem, ale i tak zawsze miałam wrażenie, że bliskość między nami jest ważniejsza dla mnie niż dla mojego przyrodniego brata. Kiedy zasugerowałam, żebyśmy spędzili razem ostatnie Boże Narodzenie, Ben powiedział, że jest zajęty. „Jadę na narty”. Nie miałam nawet pojęcia, że uprawia ten sport. Czasami mam wrażenie, że jest mną zażenowany. Reprezentuję jego przeszłość, od której wolałby się odciąć.

Musiałam mu powiedzieć, że jestem zdesperowana.

– Mam nadzieję, że spędzę u ciebie tylko miesiąc lub dwa i oczywiście zapłacę za własne utrzymanie – powiedziałam. – Muszę tylko stanąć na własnych nogach. Znajdę jakąś pracę.

Jasne. Pracę, w której nikt nie będzie zadawał mi zbyt wielu pytań. Właśnie w ten sposób człowiek ląduje w miejscach, w jakich do tej pory dorabiałam. Niewielu chlebodawców przyjmie cię, jeśli ma się takie koszmarnie referencje.

Aż do tego popołudnia byłam zatrudniona w barze Copacabana w Brighton. Trafiający się od czasu do czasu spory napiwek był wystarczającą rekompensatą za tę niewdzięczną robotę. Wielu naiwnych

bankierów, dajmy na to z Londynu, świętujących rychły ślub Dicka, Harry'ego czy Tobiasa, jest zwykle za bardzo pijanych, żeby dobrze przeliczyć banknoty – a może dla takich gości to i tak tylko „drobniaki”. Teraz jednak jestem oficjalnie bezrobotna. Znowu.

Naciskam dzwonek po raz drugi. Nikt nie odpowiada. Wszystkie okna w budynku znów są ciemne – nawet to, w którym jeszcze przed chwilą paliło się światło. Do diabła ciężkiego. Chyba nie mógł kompletnie zapomnieć o moim przyjeździe i położyć się spać... prawda?

Poniżej dzwonek do mieszkań jest jeszcze jeden, przy którym napisano kursywą: Konsjerż. Zupełnie jak w hotelu – kolejny dowód na to, że to miejsce jest wysoce ekskluzywne. Naciskam guzik i czekam. Nikt się nie odzywa, ale ja wyobrażam sobie, że ktoś właśnie przygląda mi się na małym ekraniku, zastanawiając się i ostatecznie decydując, że jednak mi nie otworzy.

Chwytam znów za kołatkę i walę nią kilka razy. Dźwięk roznosi się po całej ulicy: ktoś musiał to usłyszeć. Gdzieś wewnątrz budynku słyszę szczekanie psa.

Czekam pięć minut. Nikt się nie pojawia.

Cholera.

Nie stać mnie na hotel. Nie mam pieniędzy na bilet powrotny do Londynu – a nawet gdyby, to nie ma mowy o powrocie. Zastanawiam się nad moimi opcjami. Może pójść do baru... przeczekać?

Słyszę za plecami czyjeś kroki na bruku. Ben? Odwracam się, gotowa na jego przeprosiny, tłumaczenie, że wyskoczył po papierosy lub coś w tym stylu, ale zbliżająca się postać to nie mój brat. Jest zbyt wysoka, szeroka w barach. Na głowę ma zarzucony kaptur parki, obrębiony futrem. Porusza się szybko i w jej krokach jest coś niepokojącego. Zaciskam mocniej dłoń na uchwycie walizki. Zawiera dosłownie cały mój dobytek.

Człowiek jest już zaledwie kilka metrów ode mnie – wystarczająco blisko, abym dostrzegła błysk jego oczu w świetle ulicznej lampy. Sięga do kieszeni i wyciąga z niej rękę, a ja cofam się o krok. Teraz widzę to dokładniej. Coś ostrego, metalicznego lśni w jego dłoni.

Konsjerżka

Stróżówka

Obserwuję ją na ekranie interkomu. Obca kobieta stojącą przed bramą. Co ona tu robi? Znów naciska dzwonek. Pewnie się zgubiła – bo po samym jej wyglądzie wiem, że absolutnie nie ma czego tutaj szukać. Problem w tym, że wydaje się przekonana, iż jest we właściwym miejscu. Wygląda na bardzo zdeterminowaną. Zagląda w oko kamery. Nie wpuszczę jej do środka. Nie mogę.

Jestem stróżem tego budynku. Siedzę tu, w mojej loge: malutkiej chatynce w rogu dziedzińca, która zmieściłaby się dwadzieścia razy w każdym z tutejszych mieszkań. Ale przynajmniej jest moja. Moje własne prywatne miejsce. Mój dom. Większość ludzi uznałaby, że nie jest wart tej nazwy. Siedząc na rozkładanym łóżku, mogę niemal dotknąć ręką wszystkich narożników pokoju naraz. Od podłogi i od sufitu rozprzestrzenia się wilgoć, a okna nie powstrzymują chłodu. Mimo to mam swoje cztery ściany, miejsce na fotografię przypominające mi o życiu, które kiedyś prowadziłam, i na małe relikwie, które zebrałam i których trzymam się kurczowo w chwilach największej samotności. Mam tu też kwiaty zbierane co drugi dzień na dziedzińcu – coś żywego i świeżego. Dla mnie to miejsce, mimo wszystkich swoich niedoskonałości, reprezentuje bezpieczeństwo. Bez niego nie mam nic.

Spoglądam jeszcze raz na ekran interkomu. Blask latarni oświetla na chwilę twarz kobiety: ostry zarys nosa i szczęk wydaje się nieobcy. Bardziej jednak niż w wyglądzie jest coś znajomego w sposobie jej poruszania się – głodny lisi spryt, który kogoś mi przypomina. Tym bardziej nie zamierzam jej wpuszczać. Nie lubię obcych. Nie lubię zmian. Zawsze uważałam, że są niebezpieczne, a on tego dowiódł, pojawiając się tutaj z tymi swoimi pytaniami i urokiem osobistym. Mężczyzna, który zamieszkał na trzecim piętrze – Benjamin Daniels. Po jego przybyciu tutaj wszystko się zmieniło.

Jess

Mężczyzna w parce kieruje się prosto na mnie. Unosi ramię i metalowy przedmiot w jego dłoni znów rozbłyskuje. Cholera. Zamierzam się właśnie odwrócić i rzucić do ucieczki – może uda mi się zdobyć nad nim przewagę chociaż kilku metrów...

Ale zaraz, nie, nie... teraz widzę, że trzyma w ręku nie nóż, ale iPhone'a w metalicznej obudowie. Wypuszczam powietrze z płuc i opieram się ciężko na walizce, ogarnięta nagłym zmęczeniem. Przez cały dzień byłam podenerwowana. Nie dziwota, że boję się własnego cienia.

Obserwuję mężczyznę, który do kogoś dzwoni. Słyszę w słuchawce cichutki głosik, chyba kobiety. Mężczyzna zaczyna coś mówić, przerywając jej, głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie zaczyna krzyczeć. Nie mam pojęcia, co oznaczają jego słowa, ale nie muszę znać francuskiego, aby zrozumieć, że nie jest to uprzejma ani przyjacielska pogawędka.

Po długiej gniewnej przemowie rozłącza się i wsuwa telefon z powrotem do kieszeni.

– Putain – wypluwa z siebie.

To słowo akurat znam. Wprawdzie na egzaminach GCSE[1] dostałam z francuskiego tylko D, ale kiedyś sprawdzałam w słowniku przekleństwa i jestem niezła w zapamiętywaniu tego, co mnie interesuje. „Dziwka”, tak tłumaczy się to słowo.

Mężczyzna odwraca się i rusza znów w moim kierunku. Widzę bardzo wyraźnie, że chce wejść przez bramę do budynku. Odsuwam się, znów czując się jak ostatnia idiotka, że tak się nakręciłam bez powodu. W głębi duszy jednak wcale się sobie nie dziwię: całą podróż eurostarem spędziłam, oglądając się przez ramię – tak na wszelki wypadek.

– Bonsoir – mówię z najlepszym akcentem, na jaki mnie stać, rzucając mężczyźnie mój najbardziej uroczy uśmiech. Może wpuści mnie do środka, a wtedy wejdem na trzecie piętro i będę mogła zapukać do drzwi mieszkania Bena. Może po prostu jego dzwonek się zepsuł albo coś w tym stylu?

Facet nie odpowiada. Podchodzi do klawiatury wbudowanej obok bramy i wbija kod. Wreszcie rzuca mi szybkie spojrzenie przez ramię – i nie jest

ono zbyt przyjazne. Dobiega mnie kwaśny zapach zwięzłego alkoholu. Taki sam oddech ma większość klientów Copacabany.

Uśmiecham się jeszcze raz.

– Ee... excuses moi? Proszę, emm... potrzebuję pomocy. Szukam brata, Bena. Benjamin Daniela...

Żałuję, że nie mam talentu brata, jego uroku osobistego. „Benjamin złotousty”, mówiła o nim mama. Zawsze potrafił zagadać ludzi i dostać to, czego chciał. Może dlatego skończył jako dziennikarz w Paryżu, podczas gdy ja pracowałam dla koleśka o ksywce „Zboczeniec” w podrzędnym barze w Brighton, obsługując w weekendy uczestników wieczorów kawalerskich, a w ciągu tygodnia miejscowe szumowiny.

Facet spogląda na mnie, odwracając powoli głowę.

– Benjamin Daniels – mówi. Nie jest to pytanie. Po prostu po mnie powtarza. Na jego twarzy widzę emocje: gniew, a może strach? Wie, o kim mówię. – Benjamin Daniela tu nie ma.

– Jak to, nie ma? – pytam. – Podał mi ten adres. Mieszka na trzecim piętrze. Nie mogę się z nim skontaktować.

Mężczyzna odwraca się do mnie plecami. Obserwuję, jak otwiera bramę. Wreszcie znów na mnie spogląda i kiedy myślę, że może jednak zamierza mi pomóc, bardzo powoli i głośno, z ciężkim akcentem, mówi po angielsku:

– Spierdalaj, mała.

Zanim jestem w stanie zareagować, rozlega się brzęk metalu. Odskakuję w tył, bo facet zatrzaskuje mi bramę tuż przed nosem. Dzwonienie w moich uszach powoli cichnie i w końcu słyszę już tylko własny, głośny, przyspieszony oddech.

Mimo wszystko ten człowiek mi pomógł, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy. Odczekuję jeszcze chwilę i zerkam na ulicę, a potem podnoszę dłoń i wbijam ten sam kod, który on wybrał przed kilkoma sekundami: 7561. Udało się: mała dioda rozświetla się zielenią i słyszę szcęk otwieranego zamka mechanicznego. Wślizguję się za bramę, ciągnąc za sobą ciężką walizkę.

[1] GCSE to w Wielkiej Brytanii egzaminy na koniec szkoły średniej, przed maturą. D i E są najslabszymi ocenami zaliczającymi (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Mimi

Czwarte piętro

Merde.

Właśnie usłyszałam jego imię, na zewnątrz, w środku nocy. Podnoszę głowę, nasłuchując. Z jakiegoś powodu leżę na kołdrze, a nie pod nią. Moje włosy wydają się wilgotne, a poduszka chłodna i mokra. Drżę.

Czyżbym zaczęła mieć omamy słuchowe? Może sobie to wyobraziłam? Jego imię... podąża za mną wszędzie.

Nie: jestem pewna, że to się zdarzyło naprawdę. Usłyszałam kobiecy głos, przez otwarte okno mojej sypialni. W jakiś sposób nawet na czwartym piętrze zabrzmiał wystarczająco głośno i przebił się przez kakofonię białego szumu w mojej głowie.

Kim ona jest? Dlaczego o niego pyta?

Siadam, przyciągam kościste kolana do piersi i sięgam po moje doudou z dzieciństwa, Monsieur Gusa – zniszczonego przez czas pluszowego pingwina, którego nadal trzymam przy poduszce. Przyciskam go do twarzy, próbując uspokoić się dotykiem jego twardej małej główki i miękkiego tułowia pełnego chrzęszczących kulek, jego stęchłym zapachem – zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy miewałam złe sny. Nie jesteś już małą dziewczynką, Mimi. Tak właśnie powiedział. Ben.

Księżyc świeci tak jasno, że cały mój pokój wypełniony jest chłodną niebieskawą poświatą. To już prawie pełnia. W rogu pokoju widzę gramofon, a obok pudełko z płytami. Pomalowałam ściany na tak ciemny fiolet, że nie odbijają w ogóle światła, tylko poster wiszący dokładnie naprzeciwko mnie lśni na tle tej dziwnej czerni. Przedstawia Cindy Sherman. Byłam na jej wystawie w Pompidou w zeszłym roku. Mam absolutną obsesję na punkcie jej prac – są takie brutalne, dziwaczne, intensywne. Sama próbuję włożyć podobne emocje w moje obrazy. Na plakacie, jednym z serii Untitled Film Stills, ma na sobie krótką czarną perukę i spogląda niczym nawiedzona, zupełnie jakby za chwilę miała pochłonąć moją duszę.

– Putain! – Moja współlokatorka Camille wybuchła śmiechem, kiedy to zobaczyła. – A co będzie, jak sprowadzisz sobie tu jakiegoś faceta? Będzie musiał patrzeć się na tę wściekłą sukę, kiedy będzie cię pieprzył? To go wybije z rytmu.

Gdyby tylko to było możliwe, pomyślałam wtedy. Mam dwadzieścia lat i nadal jestem dziewicą. Gorzej – dziewicą wychowaną w szkole przyklasztornej.

Wpatruję się w Cindy, w ciemne, przypominające sińce cienie pod jej oczami, postrzępioną fryzurę podobną do mojej, od kiedy sama postanowiłam się obciąć. Czuję się, jakbym patrzyła w lustro.

Odwracam się do okna i spoglądam na dziedziniec. W oknach stróżówki pali się światło. Oczywiście: ta stara wścibska suka niczego nie przepuści. Czai się w ciemnych kątach, zawsze obserwuje, wciąż obecna, spogląda na człowieka, jakby znała wszystkie jego sekrety.

Z lotu ptaka budynek przypomina literę U otaczającą dziedziniec. Moja sypialnia znajduje się na jednym z końców tego U, więc jeśli spojrzę z ukosa, jestem w stanie zajrzeć do jego mieszkania. Niemal każdego wieczora przez ostatnie dwa miesiące siedział przy biurku, pracując do późna w nocy przy zapalonych światłach. Pozwalam sobie na zerknięcie. Okiennice są otwarte, ale światła się nie palą, a miejsce przy biurku wygląda na bardziej niż opustoszałe – zupełnie jakby pustka miała swoją własną głębię i ciężar. Odwracam wzrok.

Zsuwam się z łóżka i na palcach wychodzę do głównej części mieszkania, starając się nie potknąć o rzeczy, które Camille zawsze rozrzuca dookoła, jakby wszystkie pomieszczenia były przedłużeniem jej sypialni: żurnale, swetry, brudne filiżanki po kawie, lakier do paznokci, koronkowe staniki. Z wielkich okien dużego pokoju doskonale widać główne wejście. Obserwuję, jak brama się otwiera i przez powstałą szczelinę do środka wślizguje się ciemna sylwetka. Kiedy zbliża się do lampy na dziedzińcu, widzę, że to jakaś nieznajoma kobieta. Nie, mówię w myślach. Nie, nie, nie, nie, nie. Idź sobie. Wrzask w mojej głowie jest coraz głośniejszy.

– Słyszałaś to pukanie?

Odwracam się. Putain. Camille leży na kanapie, z papierosem w dłoni, trzyma nogi na oparciu – ma na nich buty ze sztucznej wężowej skóry na trzynastocentymetrowych obcasach. Kiedy ona tutaj weszła? Jak długo ukrywała się tu w ciemności?

– Myślałam, że jesteś na mieście – mówię. Zazwyczaj, kiedy chodzi do klubów, bawi się aż do świtania.

– Oui. – Wzrusza ramionami i zaciąga się papierosem. – Wróciłam jakieś dwadzieścia minut temu. – Nawet w półmroku widzę, jak ucieka wzrokiem w bok. Normalnie od razu zaczęłaby mi opowiadać historię o kolejnym niesamowitym szalonym nowym klubie, który odwiedziła, albo o facecie, z którego łóżka właśnie wyszła (nie pomijając przy tym pikantnych szczegółów, jak wygląd jego fiuta lub umiejętności posługiwania się nim). Często czułam się, jakbym żyła za pośrednictwem Camille. Byłam wdzięczna, że ktoś taki zdecydował się na przyjaźń ze mną. Kiedy poznałyśmy się na Sorbonie, powiedziała mi, że lubi kolekcjonować ludzi i że zainteresowałam ją ze względu na moją „intensywną energię”. W chwilach gorszego samopoczucia podejrzewałam jednak, że dużo bardziej na jej decyzję wpłynęło to mieszkanie.

– Gdzie byłaś? – pytam, starając się zachować normalny ton.

Wzrusza ramionami.

– Tu i tam.

Mam wrażenie, że coś się dzieje – że czegoś mi nie mówi. W tej chwili jednak nie jestem w stanie skoncentrować się na Camille. Wrzask w mojej głowie zdaje się zagłuszać wszystkie myśli.

Wiem tylko jedno: wszystko, co się tu wydarzyło, stało się przez niego – Benjamina Danielsa.

Jess

Stoję na małym, pogrążonym w mroku dziedzińcu, otoczonym z trzech stron przez ściany apartamentowca. Po tej stronie bluszcz zupełnie się rozszalał, docierając niemal do czwartego piętra, oplatając okna, pochłaniając rynny i kilka anten satelitarnych. Widzę przed sobą krótką ścieżkę wijącą się między rabatkami, na których pełno jest ciemnych krzewów i drzew. Czuję słodkawy zapach gnijących liści i świeżo skopanej ziemi. Po prawej widnieje coś w rodzaju małego domku, nieco tylko większego od szopy ogrodowej. Dwa okna wydają się zasłonięte okiennicami. Widzę jedynie wąski pasek światła w przerwie.

W przeciwległym narożniku gmachu dostrzegam drzwi, które zdają się prowadzić do środka. Ruszam w ich kierunku ścieżką. Nagle po mojej prawej stronie z ciemności wyłania się blada twarz. Zatrzymuję się gwałtownie, ale po chwili orientuję się, że to tylko rzeźba nagiej kobiety, naturalnych rozmiarów. Jej ciało oplata bluszcz, oczy wpatrują się niewidzącym spojrzeniem gdzieś w przestrzeń.

Drzwi w rogu dziedzińca znów opatrzone są kodem cyfrowym, ale otwierają się po wprowadzeniu tej samej kombinacji cyfr. Dzięki Bogu. Wchodzę do ciemnego przestronnego pomieszczenia. Klatka schodowa wije się w górę, niknąc w gęstej czerni. Dostrzegam delikatny pomarańczowy poblask przełącznika na ścianie i zapalam światło. Żarówki świecą słabiutko. Słyszę też tykanie: może to jakiś licznik pomagający oszczędzać energię. Widzę teraz pod nogami ciemnoczerwony dywan, a nad sobą wijącą się balustradę schodów. Wewnątrz klatki schodowej znajduje się wyciąg windy – starodawnej, malutkiej, rozklekotanej kapsuły, która być może jest równie wiekowa, co sam budynek. Wygląda tak staro, że zastanawiam się, czy jeszcze w ogóle działa. W powietrzu wisi nieświeży zapach dymu papierosowego. Mimo to miejsce nadal wydaje się bardzo eleganckie – dużo lepsze od tego, w którym mieszkałam w Brighton.

Po lewej dostrzegam drzwi z napisem Cave. Nigdy nie pozwalałam żadnemu pomieszczeniu pozostać zamkniętym zbyt długo. Pewnie można by powiedzieć, iż to mój główny problem w życiu. Popycham je i widzę

schody prowadzące w dół. Uderza we mnie fala chłodnego piwnicznego powietrza, wilgotnego i zatechłego.

Słyszę odgłos, gdzieś nad głową. Skrzypnięcie drewna. Coś porusza się wzdłuż ściany kilka pięter wyżej. Oczekuję, że za chwilę w przerwie między szczeblami balustrady pojawi się czyjaś sylwetka, ale cień zatrzymuje się, jakby na coś czekał. I nagle wszystko zalewa ciemność: pewnie regulator czasowy wyłączył światło. Sięgam w kierunku ściany i znów je zapalam.

Cień zniknął.

Podchodzę do windy, skrytej w metalowej klatce. Zdecydowanie wygląda antycznie, ale jestem zbyt zmęczona, żeby pomyśleć o wciągnięciu mojej walizki po tych schodach na samą górę. Ledwie się mieszczę w kabinie z bagażem. Zamykam małe drzwi, naciskam guzik z cyfrą trzy i opieram się o ścianę, która ugina się pod naporem mojej dłoni. Szybko ją cofam, przestraszona. Czuję lekkie dygotanie, kiedy winda rusza. Wstrzymuję oddech.

Ruszam w górę. Każde piętro ma swoje drzwi, oznaczone mosiężnym numerem. Czy to znaczy, że na każdym poziomie jest tylko jedno mieszkanie? Muszą być naprawdę duże. Wyobrażam sobie ludzi śpiących za tymi drzwiami. Zastanawiam się, kto mieszka w tych apartamentach. Jacy są sąsiedzi Bena? Ciekawe, w którym z nich urzęduje ten palant, którego spotkałam przy bramie.

Winda zatrzymuje się z dygotaniem i chrobotem na trzecim piętrze. Wychodzę na korytarz, ciągnąc za sobą walizkę. Jest: mieszkanie Bena, z mosiężną trójką przykręconą do drzwi.

Pukam głośno kilka razy.

Nic.

Przykucam i zaglądam przez dziurkę od klucza. To stary zamek, łatwy do sforsowania. Skoro jest taka potrzeba... Wyjmuję z uszu kolczyki w kształcie kół i wyginam je – tania biżuteria czasem ma swoje plusy – uzyskując dwa długie cienkie druciki. Moje wytrychy. Ben nauczył mnie tego jeszcze w dzieciństwie, więc w razie czego nie powinien narzekać. Jestem w tym tak dobra, że potrafię otworzyć prosty zamek bębenkowy w niecałą minutę.

Manewruję drucikami w dziurce zamka, aż wreszcie rozlega się kliknięcie. Naciskam na klamkę. Udało się! Drzwi zaczynają się otwierać, ale ja zastygam. Coś mi tu bardzo nie pasuje. Nauczyłam się już po tych

wszystkich latach polegać na intuicji. Poza tym byłam już kiedyś w takiej sytuacji: z dłonią na klamce, nie wiedząc, co znajdzie za drzwiami...

Oddycham głęboko. Przez chwilę mam wrażenie, jakby powietrze zacisnęło się wokół mnie. Bezwiednie chwytam wisiołek na szyi. To Święty Krzysztof. Mama podarowała go nam obojgu, żeby miał nad nami pieczę, chociaż to był jej obowiązek, a nie jakiegoś metalowego świętego. Nie jestem religijna i nie sądzę, by mama też była, ale mimo wszystko jakoś nie wyobrażam sobie rozstania się z tym medalikiem.

Drugą ręką pociągam klamkę do samego końca w dół. Nie mogę się powstrzymać od zaciśnięcia oczu, kiedy wchodzę do środka.

Panują tu egipskie ciemności.

– Ben? – wołam.

Nikt nie odpowiada.

Wchodzę dalej, macając ścianę dłonią w poszukiwaniu włącznika światła. W końcu zapalają się lampy, ukazując mym oczom mieszkanie. Chryste, jest ogromne! Znacznie większe, niż się spodziewałam. Bardziej okazałe, z wysokimi sufitami, wykończonymi ciemnymi drewnianymi balami. Podłoga pokryta jest wypolerowanym drewnianym parkietem, a ogromne okna wyglądają na dziedziniec.

Wchodzę głębiej do pokoju i nagle czuję mocne uderzenie w kark, a potem ukłucie czegoś ostrego, wdzierającego się w moje ciało.

Konsjerżka

Stróżówka

Kilka minut po odgłosach pukania obserwuję z okien mojej stróżówki, jak na dziedzińcu pojawia się pierwsza, zakapturzona postać. Potem nadchodzi druga, nowa – ta dziewczyna. Ciągnie za sobą po bruku dziedzińca wielką walizkę, robiąc tyle hałasu, że obudziłaby nawet zmarłego.

Obserwowałam ją przez interkom, dopóki nie wyłączył się dzwonek.

Jestem dobra w podpatrywaniu. Zamiatam korytarze rezydentów, odbieram ich pocztę, otwieram drzwi i przez cały czas wszystko rejestruję. Widzę wszystko i daję mi to dziwną władzę, nawet jeśli jestem jedyną osobą, która o tym wie. Mieszkańcy tego budynku zapominają o mnie. Tak jest dla nich wygodniej. Wyobrażają sobie, że jestem tylko przedłużeniem tej budowli, kolejnym kółkiem w wielkiej maszynie, tak jak winda, która zabiera ich do ich pięknych apartamentów. W pewnym sensie rzeczywiście stałam się częścią tego miejsca. Zdecydowanie odcisnęło na mnie swoje piętno. Jestem pewna, że długie lata życia w tej ciasnej chatynce sprawiły, że skurczyłam się, zapadłam w siebie, a godziny spędzane na zamiataniu i szorowaniu korytarzy i schodów budynku osłabiły moje ciało. Być może w innym życiu postarzałabym się jako pulchna kobieta, ale tu nie mam takiego luksusu. Jestem żyłasta i koścista – silniejsza, niż na to wyglądam.

Przypuszczam, że mogłabym wyjść i powstrzymać tę dziewczynę. Powinnam. Nie jestem pewna, dlaczego tego nie robię, ale konfrontacje nie są w moim stylu. Nauczyłam się już, że obserwacja jest dużo potężniejszą bronią. Poza tym obecność nieznajomej tutaj wydała się niemal nieunikniona. Widziałam jej determinację. Na pewno znalazłaby sposób na przedostanie się tutaj, bez względu na to, co mogłabym zrobić, żeby ją powstrzymać.

Głupia dziewczucha. Znacznie lepiej byłoby dla niej, gdyby zrezygnowała, opuściła to miejsce i nigdy nie wróciła. Teraz jednak jest już za późno.

Niech będzie, co ma być.

Jess

Serce wali mi jak oszalałe, czuję napięcie mięśni.

Spoglądam w dół na kota, który ociera się o moje nogi, mrużąc zmysłowo, czarny z białą kryzą. Dotykam dłonią tyłu bluzki, a potem patrzę na palce umazane krwią. Auć.

Pewnie skoczył na mnie z szafki stojącej w pobliżu drzwi, wbijając mi w plecy pazury, żeby utrzymać się, kiedy upadałam. Spogląda na mnie zmrużonymi zielonymi oczami i wydaje z siebie miauknięcie, zupełnie jakby pytał, co ja tu, do cholery, robię.

Kot! Chryste Panie! Zaczynam się śmiać i szybko przerywam, przestraszona tym, jak dziwnie brzmi to w przestronnym pomieszczeniu.

Nie wiedziałam, że Ben ma kota. Czy on w ogóle je lubi? Nagle to, że nie miałam o tym pojęcia, wydaje mi się strasznie idiotyczne. No cóż, pewnie tak naprawdę nie wiem o jego tutejszym życiu zbyt wiele.

– Ben? – wołam. I znów mój głos odbija się echem od ścian i wraca do mnie bez odpowiedzi. Chyba nawet nie spodziewałam się jej: jest tu zbyt cicho, zbyt pusto. Poza tym wyczuwam dziwny odór, jakiegoś związku chemicznego.

Nagle czuję, że muszę się napić. Wchodzę do małej kuchni po prawej stronie i zaczynam przeszukiwać szafki. Znajduję napoczętą butelkę czerwonego wina. Nie jest to mój ulubiony trunek – wolę coś wysokoprocentowego, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Właściwie to dobre motto dla całego mojego parszywego życia. Wlewam trochę wina do kieliszka. Na szafce z boku leży również paczka papierosów, jasnoniebieska. Gitany. Nie wiedziałam, że Ben nadal pali. Naturalnie musiał wybrać sobie jakiś wyszukany rodzaj papierosów. Wyjmuję jednego, zapalam, zaciągam się i kaszlę, jak za pierwszym razem, kiedy inny przygarnięty dzieciak, z którym mieszkałam, dał mi sztacha. Papieros jest mocny, ostry, bez filtra. Nie jestem przekonana, czy mi smakuje, ale i tak wpycham resztę paczki do kieszeni džinsów. Ben jest mi coś winien. Rozglądam się uważniej po mieszkaniu.

Jestem... co najmniej zaskoczona. Nie wiem, czego tak naprawdę się spodziewałam, ale na pewno nie tego. Ben jest bardzo kreatywny i modny (choć przy nim bym go tak nie opisała), a to mieszkanie wygląda bardzo staroświecko. Wszędzie widzę srebrzyste tapety z kwiecistym wzorkiem. Kiedy dotykam dłonią ściany, zdaję sobie sprawę, że to wypłowiwały jedwab. Widać na nim jaśniejsze miejsca tam, gdzie kiedyś wisiały obrazy. Materiał usiany jest małymi rdzawymi plamkami – oznaką wieku. Z wysokiego sufitu zwisa metalowy powyginany żyrandol, na którym leniwie powiewają w powietrzu nitki pajęczyny – musi tu być mały przeciąg. Poza okiennicami chyba kiedyś były tu również zasłony, bo widzę karnisz. Pod oknem stoi ciężkie biurko. Na półce dostrzegam kilka jasnobezowych książek i granatowy słownik francuski.

W pobliskim narożniku znajduje się wieszak na ubrania, a na nim stara kurtka khaki. Jestem pewna, że widziałam już w niej Bena. Może nawet było to podczas ostatniego spotkania, jakiś rok temu, kiedy przyjechał do Brighton i kupił mi lunch, zanim znów zniknął z mojego życia, nie oglądając się za siebie. Sięgam do kieszeni kurtki i wyciągam z niej klucze oraz brązowy skórzany portfel.

To bardzo dziwne, że Ben gdzieś wyszedł i zostawił to wszystko w domu.

Otwieram portfel: w kieszonce na banknoty jest kilkadziesiąt euro. Wyciągam dwudziestkę, a potem, po namyśle jeszcze kilka dziesiątek. Gdyby tutaj był, tak czy owak poprosiłabym go o małą pożyczkę. Zwrócę mu... kiedyś.

Z przodu, w przegródkę na karty kredytowe została wciśnięta wizytówka: Theo Mendelson. Wydawca paryskiej edycji „Guardiana”. Obok, zapisane długopisem (wygląda jak charakter pisma Bena – wiem, bo czasem pamięta o tym, żeby wysłać mi kartkę na urodziny): **SPRZEDAĆ MU HISTORIĘ!**

Spoglądam na klucze. Jeden z nich jest do vespy. Dziwne, bo ostatnio, kiedy widziałam Bena, jeździł starym mercedesem cabrio z lat osiemdziesiątych. Drugi klucz wygląda dość staroświecko i pasuje do tego miejsca. Podchodzę do drzwi i wkładam go w dziurkę od klucza. Zamek się przekręca.

Dziwne nieprzyjemne uczucie ściskające mi żołądek się pogłębia. Może to zapasowe klucze, te, które planował mi przekazać. Pewnie ma również dodatkowy klucz do vespy: może nawet się na niej gdzieś wybrał. Co do portfela, prawdopodobnie po prostu nosi przy sobie tylko gotówkę.

Następnym pomieszczeniem jest łazienka. Tutaj też nie ma nic ciekawego, poza faktem, że Ben zdaje się nie mieć żadnych ręczników, co jest dość dziwne. Wchodzę z powrotem do dużego pokoju. Sypialnia znajduje się zapewne za parą przeszkłonych drzwi. Podchodzę do nich, a za mną kot, trzymający się blisko niczym cień. Waham się przez chwilę.

Kot miauczy znowu, jakby chciał zapytać: na co czekasz? Upijam duży łyk wina i oddycham głęboko. Rozsuwam drzwi. Nabieram powietrza w płuca i otwieram oczy. Puste łóżko. Pusty pokój. Nikogo tu nie ma. Oddycham z ulgą.

No dobra, naprawdę nie spodziewałam się, że zastanę tu coś takiego. To w ogóle nie pasuje do Bena. Mój brat jest poukładany – to ja jestem tym sowizdrzałem. Ale kiedy człowiek raz w to wpadnie...

Dopijam wino i podchodzę do szuflad w komodzie sypialnianej. Nie znajduję tam zbyt wielu wskazówek, poza tym, że większość ubrań mojego brata wydaje się pochodzić ze sklepu zwanego Acne (kto nosi ubrania, których nazwa oznacza problemy skórne?[2]) oraz A.P.C.

Wracam do dużego pokoju i nalewam resztę wina do kieliszka. Podchodzę do biurka ustawionego przy dużych oknach wyglądających na dziedziniec. Na blacie nie ma nic poza tanim długopisem. Nie widzę laptopa. Kiedy Ben zabrał mnie na lunch podczas swoich odwiedzin w Brighton, wydawał się z nim nierozłączny. Wyciągnął go z torby i kiedy czekaliśmy na realizację zamówienia, zaczął coś pisać. Pewnie ma go ze sobą, gdziekolwiek teraz jest.

Nagle ogarnia mnie uczucie, że nie jestem sama, że ktoś mnie obserwuje. Włosy jeżą mi się na karku. Odwracam się szybko, ale nie ma tu nikogo poza kotem, który przysiadł na blacie kuchennym. Może to wszystko – nic więcej.

Kot obserwuje mnie przez kilka chwil, a potem przekrzywia głowę w bok, jakby zadawał mi pytanie. Pierwszy raz widzę go siedzącego tak nieruchomo. A potem unosi łapę do pyska i liże ją. Wtedy właśnie dostrzegam, że zarówno łapa, jak i biała kryza kota są usmarowane krwią.

[2] Ang. acne – trądzik młodzieńczy.

Jess

Zmroziło mnie. Co do...

Sięgam w kierunku kota, chcąc się mu lepiej przyjrzeć, ale zwierzę ucieka mi spod ręki. Może po prostu złapało jakąś mysz czy coś? Jedną z rodzin zastępczych, u której mieszkałam, miała kotkę, Suki. Chociaż była mała, potrafiła upolować gołębia: kiedyś wróciła umazana krwią jak w horrorze, a później tego poranka moja matka zastępcza Karen znalazła bezgłowy korpus ptaka. Jestem pewna, że gdzieś w tym mieszkaniu leży jakieś biedne małe martwe zwierzę, czekające, żebym w nie wdepnęła. A może kot zabił coś na dziedzińcu – okna są nieco uchylone, pewnie w ten sposób dostaje się do środka i wychodzi, po rynnach lub coś w tym stylu.

Mimo wszystko trochę się przestraszyłam. Kiedy go zobaczyłam, przez moment pomyślałam...

Nie. Jestem zwyczajnie zmęczona. Powinnam spróbować się przespać.

Ben pewnie pojawi się nad ranem, wytłumaczy, gdzie był, ja zwyzywam go od fiutów za to, że zostawił mnie w takiej sytuacji i że musiałam się praktycznie do niego włamać. Innymi słowy, będzie jak za starych dobrych czasów, zanim odjechał, żeby zamieszkać ze swoją nową bogatą rodziną, wyrobił sobie całkiem nowy styl wysławiania się i poglądy na świat, gdy ja tymczasem błąkałam się w systemie adopcyjnym, dopóki nie dorosłam na tyle, żeby zacząć samodzielne życie. Jestem pewna, że nic mu nie jest. Benowi nie przytrafiają się niedobre rzeczy. To on z nas dwojga jest tym szczęściarzem.

Zrzucam kurtkę i kładę ją na kanapie. Pewnie powinnam wziąć prysznic, bo jestem pewna, że śmierdzę – trochę potem, ale głównie octem. Nie da rady pracować w Copacabanie i nie zajeżdzać tym głównym. Myjemy nim bar po każdej zmianie. Jestem jednak zbyt zmęczona, żeby się umyć. Ben chyba wspominał coś o polówce, ale nigdzie jej nie widzę, dlatego ściągam z łóżka narzutę i kładę się w sypialni na wierzchu kołdry, nie rozbierając się. Poprawiam poduszki i próbuję je ułożyć nieco inaczej, i nagle coś wysuwa się z łóżka, spadając na podłogę.

Kobiece majtki: czarne, koronkowe, jedwabne, wyglądają na dość drogie. Fuj! Chryste, Ben! Nie mam ochoty myśleć o tym, w jaki sposób się tu dostały. Nie wiedziałam nawet, że Ben ma dziewczynę. Czuję lekkie ukłucie smutku, mimo woli. Ben jest całą moją rodziną, a ja prawie wcale go nie znam.

Jestem zbyt zmęczona, żeby zrobić coś więcej, jak tylko kopnąć bieliznę dalej, żeby znikła mi z oczu. Jutro będę spała na kanapie.

Jess

Wrzask rozdziera ciszę.

Słyszę głos mężczyzny, a potem drugi, kobiecy.

Siadam na łóżku, nasłuchując. Serce wali mi gwałtownie, obijając się boleśnie o żebra. Dopiero po kilku chwilach orientuję się, że hałasy dobiegają z dziedzińca, przez okna dużego pokoju. Sprawdzam godzinę na budziku stojącym obok łóżka Bena. Jest piąta nad ranem. Jeszcze nie zaświtało.

Mężczyzna znów coś krzyczy, bełkotliwie, jakby pił.

Podkradam się do okien w dużym pokoju i przykucam. Kot wtula głowę w moje udo, miaucząc.

– Ciiii – mówię mu, chociaż ciepło i dotyk jego ciała sprawia mi przyjemność.

Wyglądam na dziedziniec. Stoją tam dwie postaci, jedna wysoka, druga dużo mniejsza. Mężczyzna ma ciemne włosy, ona jest blondynką – jej długie włosy srebrzą się w chłodnym świetle latarni. Mężczyzna ma na sobie parkę z kapturem okolonym futrem. Wygląda znajomo i wkrótce orientuję się, że to ten sam gość, na którego natknęłam się w nocy przed bramą do budynku.

Kłótnia robi się coraz głośniejsza. Przekrzykują się teraz i jestem prawie pewna, że kobieta użyła słowa „policja”. W tym momencie głos mężczyzny się zmienił. Nadal nie rozumiem słów, ale w jego tonie pojawiła się nowa nuta agresji, groźby. Robi kilka kroków w stronę kobiety.

– Laisse-moi! – krzyczy. Ona również brzmi teraz inaczej, wydaje się raczej przestraszona niż wściekła. Mężczyzna podchodzi jeszcze o krok. Zdaję sobie nagle sprawę, że przywarłam do okna tak bardzo, że mój oddech zaparował szybę. Nie mogę tak po prostu siedzieć tu, słuchając i patrząc. Mężczyzna unosi rękę. Jest dużo wyższy od niej.

Nagle powraca wspomnienie. Płacząca mama. Przepraszam, przepraszam; i tak w kółko, niczym słowa modlitwy.

Unoszę rękę i walę nią o szybę. Chcę odwrócić na chwilę jego uwagę, dać kobiecie szansę na ucieczkę. Oboje zerkają w górę zaskoczeni tym

nagłym dźwiękiem. Kucam, chowając się przed ich wzrokiem.

Kiedy znów spoglądam na dziedziniec, widzę, jak mężczyzna podnosi coś z ziemi – coś dużego, masywnego, prostokątnego. Zamaszystym, pełnym gniewu ruchem rzuca to w stronę kobiety – prosto w nią. Blondynka odsuwa się, a przedmiot eksploduje u jej stóp. Widzę teraz, że to walizka, z której wylewają się wszędzie ubrania.

Potem mężczyzna spogląda prosto na mnie. Nie mam czasu się schować. Wiem, co oznacza to spojrzenie. Widziałem cię i chcę, żebyś o tym wiedziała.

Tak, myślę, odpowiadając twardym spojrzeniem. A ja widzę ciebie, palancie. Znam takich jak ty. Nie przerażasz mnie. Problem w tym, że czuję ciarki na całym ciele i słyszę paniczne łomotanie krwi w uszach.

Obserwuję, jak mężczyzna podchodzi do rzeźby i zrzuca ją gniewnie z cokołu. Kiedy figura upada na ziemię z hukiem, on rusza w kierunku drzwi wiodących do budynku. Po chwili słyszę trzaśnięcie drzwiami, roznoszące się echem po klatce schodowej.

Kobieta klęczy na dziedzińcu, zbierając rzeczy, które wypadły z walizki. Kolejne wspomnienie: mama na kolanach w przedpokoju, błagająca...

Gdzie są pozostali sąsiedzi? Nie mogę być jedyną osobą, która usłyszała tę sprzeczkę. Zejście na dół, żeby pomóc, nie jest kwestią wyboru, lecz czymś, co muszę zrobić. Chwytam klucze, zbiegam po schodach na dół i wychodzę na dziedziniec.

Kobieta drga, widząc mnie. Nadal klęczy. Widzę jej twarz, ubrudzoną rozmazaniem od płaczu tuszem do rzęs.

– Hej – zaczynam łagodnie. – Wszystko w porządku?

W odpowiedzi unosi coś, co wygląda jak jedwabna koszula, teraz ubrudzona kurzem z płyt dziedzińca.

– Przychodzę zabrać rzeczy – zaczyna drżącym głosem, po angielsku, z mocnym akcentem. – Mówię mu, że to koniec, na dobre. A on... to robi. To... skurwysyn. Nigdy nie powinnam za niego wychodzić.

Chryste, myślę. Właśnie dlatego lepiej mi jako singielce. Mama miała wyjątkowo podły gust co do mężczyzn. Mój ojciec był bodaj najgorszy z nich wszystkich. Niby dobry człowiek, w rzeczywistości prawdziwy skurwiel. Lepiej by było, gdyby zniknął w ciemnościach nocy tak jak ojciec Bena, jeszcze przed jego narodzinami.

Kobieta mamrocze coś pod nosem, wpychając rzeczy do walizki. Teraz już chyba gniew przeważa u niej nad strachem. Podchodzę bliżej,

przykucam i pomagam jej zebrać rzeczy: szpilki z długimi nazwami nadrukowanymi na wkładkach, czarny koronkowy jedwabny stanik, pomarańczowy sweterek zrobiony z najmiększej tkaniny, jaką kiedykolwiek miałam w rękach.

– Merci – mówi kobieta automatycznie, a potem marszczy czoło. – Kim jesteś? Nie widziałam cię tu wcześniej.

– Miałam się zatrzymać u mojego brata, Bena.

– Bena? – przeciąga jego imię. Przygląda mi się od stóp do głów, oceniając dzinsy i stary sweter. – Jest twoim bratem? Zanim go spotkałam, myślałam, że każdy Anglik jest czerwony od słońca, elegancji w nim za grosz i ma nieładne zęby. Nie wiedziałam, że może być taki... piękny, taki charmant, soigné. – Najwyraźniej w angielskim nie ma wystarczająco dobrych określeń na to, jak wspaniały jest mój brat. Kobieta wkłada rzeczy do walizki, gniewnie, gwałtownie, co i rusz spoglądając nieprzyjaźnie na drzwi wejściowe budynku.

– Czy to takie dziwne, że znudziłam się życiem z głupim pieprzonym... nieudacznym alcoolique? – mówi. – Że chciałam małego flirtu? I d'accord, może chciałam wzbudzić zazdrość w Antoinie. Żeby przejął się czymś poza samym sobą. Czy to takie zaskakujące, że zaczęłam szukać gdzie indziej?

Odrzuca włosy na plecy. Opadają niczym lśniąca zasłona. To dość imponujące, wykonać taki gest, kiedy klęczy się na bruku, zbierając swoją koronkową bieliznę ze zwirowanej ścieżki.

Spogląda znów w stronę budynku i podnosi głos, jakby chciała, żeby jej mąż ją usłyszał.

– On mówi, że jestem z nim tylko dla jego pieniędzy. Oczywiście, że tak. To jedyna rzecz, dla której było... jak to się mówi... warto? Ale teraz... – Wzrusza ramionami. – Już nie warto.

Podaję jej jedwabną niebieską sukienkę i jasnoróżowy kapelusz z nazwą JACQUEMUS wydrukowaną na przodzie.

– Widziałas może ostatnio Bena? – pytam.

– Non. – Spogląda na mnie, unosząc brew, jakbym coś insynuowała. – Pour quoi? Dlaczego pytasz?

– Miał tu na mnie czekać w nocy, wpuścić mnie do środka, ale nie było go... i nie odpowiada na moje wiadomości.

Jej oczy robią się wielkie jak spodki. Mamrocze coś pod nosem. Udaje mi się zrozumieć tylko:

– Antoine... non. Ce n'est pas possible...

– Co powiedziałaś?

– Och, rien. Nic. – Widzę jednak szybkie spojrzenie rzucone w kierunku budynku; przestraszone, podejrzliwe. Zastanawiam się, co ono oznacza.

Kobieta próbuje teraz zapiąć wypchaną walizkę z brązowej skóry, z wydrukowanym na całej powierzchni jakimś logo. Widzę jednak, że trzęsą jej się ręce, a palce nagle stają się niezgrabne.

– Merde. – Wreszcie walizka się dopina.

– Hej, chcesz może wejść do środka? – pytam. – Zadzwoń po taksówkę?

– Nie ma mowy – odpowiada zawzięcie. – Nigdy tam nie wrócę. Zamówiłam ubera... – Jak na zawołanie jej telefon pika. Kobieta sprawdza go i wydaje z siebie westchnienie ulgi. – Merci. Putain, już przyjechał. Muszę iść. – Odwraca się i spogląda jeszcze raz na dom. – Wiesz co? Pieprzyć to wredne miejsce. – Potem jej twarz łagodnieje i kobieta posyła pocałunek w stronę okien nad naszymi głowami. – Ale przynajmniej zdarzyła mi się tu jedna dobra rzecz.

Chwyta za rączkę małej walizki, a potem odwraca się i zaczyna iść szybko w stronę bramy. Biegnę za nią.

– Co masz na myśli, mówiąc, że to wredne miejsce?

Spogląda na mnie i potrząsa głową, a potem robi gest, jakby zamykała usta na suwak.

– Chcę dostać pieniądze z rozwodu.

Wychodzi na ulicę i wsiada do taksówki. Kiedy odjeżdża w noc, zdaje sobie sprawę, że nie zdołałam jej zapytać, czy to, co było między nią a moim bratem, było czymś poważniejszym niż flirt.

Odwracam się i niemal wyskakuję ze skóry. Jezu Chryste. Przede mną stoi stara kobieta, przyglądając mi się. Wydaje się emanować zimnym białym światłem, jak zjawa z Most Haunted. Kiedy jednak wreszcie odzyskuję dech, zdaje sobie sprawę, że światłość pochodzi od lampy podwórkowej, pod którą stoi. Do cholery, skąd ona się tu wzięła?

– Excuse-moi? – zaczynam. – Madame? – Nie jestem nawet pewna, o co właściwie chcę ją zapytać. Może „kim pani jest”? „I co pani tutaj robi?”

Kobieta nie odpowiada, po prostu potrząsa głową, bardzo powoli. Potem cofa się w kierunku chatki stojącej w rogu dziedzińca. Obserwuję, jak znika w środku i jak okiennice, które do tej pory musiały być najwyraźniej otwarte, teraz zostają szybko zamknięte.

SOBOTA

Nick

Drugie piętro

Napieram na kierownicę roweru Peloton, unosząc się z siodełka. Piekący pot spływa mi do oczu. Mam wrażenie, że płuca wypełnia mi kwas, a nie powietrze, a serce wali mi tak mocno, że za chwilę chyba dostanę zawału. Przyspieszam. Chcę pobić mój własny rekord wysiłkowy. Na granicy pola widzenia pojawiają się małe jasne punkciki. Mieszkanie wokół mnie wydaje się falować i rozmywać. Przez chwilę mam wrażenie, jakbym miał zemdleć. Może nawet tak się stało, bo w pewnej chwili się orientuję, że półożę na kierownicy, a mechanizm roweru stacjonarnego stopniowo zwalnia. Czuję nagłą falę mdłości. Przełykam ślinę i łykam łapczywie powietrze.

Spinningiem zafascynowałem się podczas pobytu w San Francisco, podobnie jak „kuloodporną” kawą, dietą keto, bikram jogą – praktycznie każdą przelotną modą, którą bawiła się reszta świata przodującego w technologii, dającą dodatkową przewagę, stanowiącą potencjalną inspirację. Zazwyczaj wskakuję na rower i po prostu trenuję albo słucham audycji Ted Talk – ale nie dzisiaj rano. Dzisiaj chciałem zatracić się w wysiłku, dotrzeć do miejsca, gdzie cichną wszystkie myśli. Obudziłem się tuż po piątej rano i wiedziałem, że już nie zasnę, zwłaszcza przy tej kłótni na dziedzińcu – najnowszej i najgorszej ze wszystkich. Sesja spinningu wydawała się jedynym sensownym wyborem.

Zsuwam się z siodełka na drżących nogach. Rower jest jedną z niewielu rzeczy w tym pokoju, poza moim iMakiem i książkami. Ściany są nagie, podłoga również, częściowo dlatego, że podoba mi się minimalizm, a częściowo dlatego, że wciąż nie czuję się tu jak w domu. Podoba mi się idea, że w każdej chwili mógłbym się stąd wyprowadzić.

Wyciągam słuchawki z uszu. Wygląda na to, że awantura na dziedzińcu już ucichła. Podchodzę do okna, czując drganie zmęczonych mięśni łydek.

Na początku nic nie widzę, a potem dostrzegam ruch. Na dziedzińcu jest jakaś dziewczyna, właśnie otwiera drzwi do budynku. W jej ruchach i wyglądzie jest coś znajomego. Nie potrafię tego zdefiniować, ale mój umysł próbuje szukać odpowiedzi, niczym zapomnianego słowa.

W mieszkaniu na trzecim piętrze zapalają się światła. Dziewczyna pojawia się na linii mojego wzroku i wiem, że musi mieć coś wspólnego z nim – z moim dawnym przyjacielem, a od niedawna również sąsiadem, Benjaminem Danielsem. Kiedyś opowiadał mi o młodszej siostrze – a raczej o przyrodniej siostrze. Podobno narwana, problematyczna – osoba z jego dawnego życia, jakkolwiek starał się od tego wszystkiego odciąć. Na pewno jednak nie wspominał, że zamierza się tu pojawić, chociaż nie byłby to pierwszy raz, kiedy coś przede mną zataił, prawda?

Dziewczyna pojawia się na chwilę przy oknie, wygląda na zewnątrz, a potem odwraca się i odchodzi w stronę sypialni, a przynajmniej tak mi się wydaje. Obserwuję ją, aż zupełnie znika mi z pola widzenia.

Jess

Boli mnie gardło, a moje czoło pokryte jest tłustawą warstwą potu. Wpatruję się w sufit wysoko nade mną i próbuję zrozumieć, gdzie jestem. Teraz już pamiętam... przyjazd tutaj zeszłej nocy... awanturę na dziedzińcu kilka godzin temu. Nadal było wtedy ciemno, więc po wszystkim wróciłam do łóżka. Nie sądziłam, że będę w stanie zasnąć, ale musiałam się jednak zdrzemnąć. Nie czuję się wypoczęta. Całe ciało boli mnie, jakbym stoczyła z kimś walkę. Myślę, że tak zresztą było, we śnie – takim, z którego człowiek budzi się z poczuciem ulgi. Powraca do mnie fragmentami. Próbowałam dostać się do zamkniętego na klucz pokoju, ale moje dłonie były niezgrabne, toporne, nieporadne. Ktoś – Ben? – krzyczał, żeby nie otwierać drzwi, nie otwierać drzwi, ale wiedziałam, że muszę to zrobić, że nie mam innego wyjścia. Wreszcie drzwi zaczęły się otwierać i w tym samym momencie zrozumiałam, że miał rację... och, dlaczego go nie posłuchałam? Bo to, co przywitało mnie po drugiej stronie...

Siadam na łóżku i zerkam na telefon. Ósma rano. Żadnych wiadomości. Nastął nowy dzień i wciąż ani śladu mojego brata. Dzwonię do niego, ale od razu włącza się poczta głosowa. Słucham nagrania, które mi zostawił, tego z instrukcją: „Po prostu zadzwoń domofonem. Będę tu na ciebie czekał...”.

Tym razem zauważam coś dziwnego; to, jak jego głos nagle cichnie w połowie zdania, jakby coś przyciągnęło jego uwagę. Potem słyszę ciche mruczenie w tle – może jakieś słowa, ale nie jestem w stanie ich zrozumieć.

Nieprzyjemne uczucie się pogłębia.

Wchodzę do dużego pokoju. W świetle dnia wygląda jeszcze bardziej jak sala muzealna. W powietrzu unoszą się drobinki kurzu. Zauważam coś, co umknęło mi ostatniej nocy. Na klepce podłogowej, zaledwie metr z kawałkiem od drzwi wejściowych, widać jaśniejszą plamę. Podchodzę do niej i przykucam, czując, jak zapach – ten dziwny chemiczny odór, który poczułam wczoraj w nocy – drapie mnie w gardle i piecze w nosie. Wybielacz. Ale to nie wszystko. Między klepkami coś się chowa, połyskując w chłodnym świetle poranka. Próbuję to wyciągnąć palcami, ale naprawdę

się zaklinowało. Idę do kuchni po dwa widelce, które wyciągam z szuflady kuchennej, i za pomocą nich wreszcie wydłubuję znalezisko. Najpierw moim oczom ukazuje się długi połączony łańcuszek, a potem wisiorek: postać świętego w długiej szacie, z pastorałem w dłoni.

Święty Krzysztof Bena. Sięgam ręką, dotykając identycznego łańcuszka na mojej szyi, czując ciężar medalika. Nigdy nie widziałam Bena bez jego wisiorka. Podobnie jak ja, zapewne również nigdy go nie zdejmuję, ponieważ to prezent od mamy – jedna z niewielu rzeczy, jakie od niej dostaliśmy. Może to poczucie winy, ale podejrzewam, że Ben jest nawet bardziej sentymentalny, jeśli chodzi o tego typu sprawy, niż ja.

Tymczasem jego łańcuszek jest tutaj. Zerwany.

Jess

Próbuję nie panikować. Staram się znaleźć racjonalne wytłumaczenie dla tego wszystkiego. Czy powinnam zawiadomić policję? Czy to właśnie zrobiłaby normalna osoba? Bo teraz jest już kilka podejrzanych rzeczy: nieobecność Bena w mieszkaniu, mimo zapowiedzi, że będzie na mnie czekał, oraz fakt, że nie odbiera telefonu. Zakrwawione futro kota, plama po wybielaczu na podłodze, zerwany łańcuszek z wisiorkiem. Przede wszystkim jednak chodzi o... wrażenie. Coś jest nie w porządku. Zawsze słuchaj swojego głosu wewnętrznego, to było credo mamy. Nigdy nie ignoruj przeczuc. Oczywiście w jej przypadku nie zadziałało to zbyt dobrze, ale w pewnym sensie miała rację. Właśnie dzięki temu wiedziałam, że powinnam zabarykadować się w pokoju na noc, kiedy wysłali mnie do Andersonów – i to jeszcze zanim inny dzieciak opowiedział mi o panu Andersonie i jego preferencjach. A przedtem, jeszcze zanim posłali mnie do rodziny zastępczej, wiedziałam, że nie powinnam wchodzić do tamtego zamkniętego pokoju – chociaż i tak to zrobiłam.

Nie chcę jednak wzywać policji. Może będą chcieli dowiedzieć się o tobie różnych rzeczy, podpowiada mi cichy głosik. Może będą mieli pytania, na które nie chciałabyś odpowiadać. Policja i ja niezbyt się lubimy. Powiedzmy sobie, że zdarzyło mi się kilka drobnych scysji. I chociaż ostatnim razem ten dupek dostał to, na co zasłużył, przypuszczam, że technicznie rzecz biorąc, popełniłam przestępstwo. Dlatego w tej chwili nie chcę się ujawniać, chyba że naprawdę już będę musiała.

Poza tym nie mam dla nich zbyt wielu informacji, prawda? Kot, który być może po prostu zabił mysz? Łańcuszek, który być może zerwał się przypadkiem? Brat, który być może po prostu znów gdzieś wybył, zostawiając mnie samej sobie?

Nie. To nie wystarczy.

Chowam głowę w dłoniach, usiłując zastanowić się, co dalej. W tym samym momencie mój żołądek burczy przeraźliwie głośno i zdaję sobie sprawę, że nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłam. Zeszłej nocy wyobrażałam sobie, że przyjadę tu i Ben poczęstuje mnie jakąś jajecznicą

lub czymś w tym rodzaju, albo może zamówimy jedzenie na wynos. W głębi duszy czuję się zbyt niespokojna i nakręcona, żeby coś zjeść, ale być może z pełnym żołądkiem będzie mi łatwiej myśleć?

Przeszukuję lodówkę i kredensy, ale znajduję tylko pół kostki masła i salami. Jedna szafka różni się od pozostałych: jest to coś w rodzaju niszy z krążkiem linowym, ale nie jestem w stanie domyślić się, do czego to wszystko służy. W desperacji kroję salami bardzo ostrym japońskim nożem, który znalazłam w słoju z utensyliami kuchennymi, ale to niezbyt pożywne śniadanie.

Wkładam do kieszeni komplet kluczy, który znalazłam w kurtce Bena. Znam już kod do bramy i mam klucze, więc będę w stanie wrócić do mieszkania.

W świetle dnia dziedziniec nie wygląda aż tak upiornie. Mijam roztrzaskaną rzeźbę nagiej kobiety, z głową oddzieloną od reszty, leżącą twarzą do góry, wpatrującą się ślepo w niebo. Jedna z rabatek wygląda na stosunkowo niedawno przekopaną, co wyjaśniałoby zapach świeżej ziemi. Jest tutaj również mała czynna fontanna. Zerkam w stronę małego domku w rogu i widzę ciemną szparę między okiennicami, idealną do obserwacji wszystkiego, co dzieje się na dziedzińcu. Wyobrażam sobie starą kobietę, którą widziałam zeszłej nocy, najwyraźniej mieszkającą w tej chatynce, obserwującą mnie zza zasłony.

Zamykam bramę do apartamentowca, chłonąc dziwaczne, obce otoczenie; bajecznie piękne budynki wokół mnie, samochody z nieznanymi tablicami rejestracyjnymi. Ulice również wyglądają inaczej za dnia – i są dużo bardziej tłoczne, kiedy już wychodzę z cichego zaułka. Nawet zapach tutaj jest inny: mieszanina spalin, dymu papierosowego i prażonej kawy. W nocy musiało padać, bo bruk lśni od wilgoci i jest śliski. Wszyscy wydają się doskonale wiedzieć, dokąd zmierzają; muszę uskoczyć na ulicę, uciekając przed kobietą idącą prosto na mnie, zajętą rozmową przez telefon, i o mały włos nie wpadam na skuter elektryczny, na którym jedzie dwójka dzieciaków. Nigdy przedtem nie czułam się tak bardzo nie na miejscu, tak bardzo zagubiona.

Mijam witryny sklepów, zasłonięte maskownicami, żelazne bramy prowadzące na dziedzińce i do ogrodów pełnych opadłych liści, apteki z migającymi neonowymi zielonymi krzyżami. (Na każdej ulicy jest przynajmniej jedna. Czy Francuzi częściej chorują?) Gubię się i kilka razy wracam w to samo miejsce. Wreszcie znajduję piekarnię ze szmaragdowym

szylde i złotym napisem BOULANGERIE nad pasiastą markizą. Wewnątrz ściany i podłoga wyłożone są wzorzystymi płytkami. Pachnie tu przypalonym cukrem i stopionym masłem. Mnóstwo tu ludzi: długa kolejka wije się przez cały sklep. Czekam, coraz głodniejsza, wpatrując się w ladę wypełnioną wszelkiego rodzaju produktami, które wyglądają zbyt idealnie, aby można je było zjeść: małe tartinki z glazurowanymi malinami, eklerki z fioletowym lukrem, małe czekoladowe ciasteczka złożone z tysiąca cieniutkich warstw, na wierzchu posypane delikatną warstwą czegoś, co wygląda jak złoty pył. Ludzie stojący przede mną składają duże zamówienia: trzy bochenki chleba, sześć croissantów, tarta jabłkowa. Czuję, jak ślina napływa mi do ust. W kieszeni szeleszczą banknoty wyjęte wczoraj z portfela Bena.

Kobieta przede mną ma włosy ułożone tak idealnie, że nie wyglądają na prawdziwe: lśniący bob, ani jedno pasemko nie odstaje. Ma jedwabną apaszkę, płaszcz w kolorze sierści wielbłądziej i czarną skórzaną torbę na ramieniu. Wygląda na bogatą, nie na pokaz – francuski odpowiednik wytworności. Nikt nie ma tak idealnej fryzury, chyba że całe dni generalnie nic nie robi.

Spoglądam w dół i widzę chudego srebrzystego psa na bladoniebieskiej skórzanej smyczy. Zwierzę przygląda mi się z podejrzliwością w ciemnych oczach.

Sprzedawczyni za ladą wręcza jej pastelowe pudełko przewiązane wstążką.

– Voilà, madame Meunier.

– Merci.

Kobieta z apaszką odwraca się i widzę, że usta ma umalowane czerwoną szminką, tak doskonale nałożoną, że równie dobrze mógłby to być tatuaż. Na oko madame Meunier ma pięćdziesiąt lat, ale jest naprawdę dobrze zakonserwowana. Wkłada kartę do portfela, z którego coś wypada. Kawalek papieru? Banknot?

Pochyliam się i podnoszę to z podłogi, przyglądając się uważniej. To nie pieniądze, a szkoda. Ktoś taki jak ona prawdopodobnie nie zauważyłby utraty marnych dziesięciu euro. Jest to odręczna notka, zapisana dużymi drukowanymi literami. Odczytuję: DOUBLE LA PROCHAINE FOIS, SALOPE.

– Donne-moi ça!

Podnoszę wzrok. Kobieta z apaszką spogląda na mnie gniewnie, wyciągając rękę. Wydaje mi się, że wiem, czego chce, ale jest przy tym niegrzeczna, jak królowa rozkazująca prostaczce. Udaję więc, że nie zrozumiałam.

– Słucham?

– Oddaj mi to. – Kobieta przerzuca się na angielski. – Proszę – dodaje wreszcie, zupełnie jakby w ostatniej chwili przypomniała sobie o uprzejmości.

Niespiesznie oddaję jej notkę. Wyrzywa ją z mojej dłoni tak gwałtownie, że jeden z jej długich paznokci kaleczy mi skórę. Bez słowa podziękowania odwraca się i wychodzi.

– Excusez-moi? Madame? – Sprzedawczyni jest gotowa przyjąć moje zamówienie.

– Poproszę croissanta. – Wszystko inne zapewne będzie zbyt drogie. W żołądku burczy mi głośno, kiedy widzę, jak sprzedawczyni pakuje rogalika do małej papierowej torby. – Właściwie to dwa proszę.

W drodze powrotnej do mieszkania przez chłodne, skąpane w porannej szarości ulice pochłaniam pierwszego croissanta, łapczywie, odrywając duże kęsy. Drugiego zjadam już wolniej, smakując słoność masła, delektując się ciastem, chrupiącym z wierzchu i miękkim w środku. Rogalik jest tak pyszny, że mam ochotę się rozpląkać, a niewiele rzeczy potrafi doprowadzić mnie do łez.

Po powrocie wchodzę przez bramę, używając kodu, który zapamiętałam poprzedniej nocy. Gdy przemierzam dziedziniec, dociera do mnie zapach dymu papierosowego. Spoglądam w górę. Na balkonie na czwartym piętrze siedzi kobieta z papierosem między palcami. Ma bladą twarz, poszarpane krótkie ciemne włosy. Ubrana jest cała na czarno, od golfu do martensów na nogach. Widzę nawet stąd, że jest młoda, ma może dziewiętnaście lub dwadzieścia lat. Dostrzega, że się jej przyglądam, i zastyga (tylko w ten sposób mogę to opisać).

Ty. Ty coś wiesz, myślę, spoglądając jej w oczy. A ja zamierzam cię zmusić, żebyś mi to powiedziała.

Mimi

Czwarte piętro

Widziała mnie. Kobieta, która przybyła zeszłej nocy i którą dzisiaj rano obserwowałam spacerującą po jego mieszkaniu. Patrzy prosto na mnie. Nie mogę się ruszyć.

Hałas w mojej głowie robi się coraz głośniejszy.

Wreszcie kobieta odwraca wzrok. Powietrze pali mnie, kiedy nabieram go w płuca.

Jego również obserwowałam z tego balkonu, kiedy się tu pojawił. Był sierpień, niemal trzy miesiące temu, sam środek fali upałów. Siedzieliśmy z Camille na balkonie na starych rozklekotanych leżakach, które kupiła na pchlim targu. Piłyśmy rozwodniony aperol, chociaż tak naprawdę nie cierpię tego smaku. Camille często przekonuje mnie do robienia rzeczy, których nie zrobiłabym sama z siebie.

Benjamin Daniels przyjechał uberem, ubrany w szarą koszulkę. Miał ciemne, długawe włosy. Z jakiegoś powodu wydał mi się kimś sławnym. A może nie tyle sławnym, co... niezwykłym, rozumiecie? Nie umiem tego wytłumaczyć, ale miał w sobie to coś, co sprawia, że człowiek chce na niego patrzeć. Musi na niego patrzeć.

Miałam na nosie okulary przeciwsłoneczne. Przyglądałam się mu kątem oka, więc nie było widać, że w ogóle patrzę w jego stronę. Kiedy otworzył bagażnik, dostrzegłam plamy potu pod jego pachami, a tam, gdzie koszulka podjechała nieco w górę, również linię opalenizny, kończącą się poniżej paska spodni, tam, gdzie zaczynała się jaśniejsza skóra i trójkąt ciemnych włosów, schodzący niżej. Mięśnie jego rąk naprężyły się, kiedy wyciągał walizkę z bagażnika. Nie był napakowany, już bardziej ładnie zbudowany. Jak perkusista – oni zawsze mają ładne mięśnie. Nawet z tej odległości potrafiłam sobie wyobrazić, jak pachnie jego pot – wcale nie brzydko, po prostu jak sól i skóra.

– Dzięki, kolego! – krzyknął do kierowcy i od razu rozpoznałam angielski akcent. Mam obsesję na punkcie pewnego starego serialu, Kumple,

opowiadającego o brytyjskich nastolatkach, które piją, palą, zakochują się i chodzą do łóżka z niewłaściwymi osobami.

– Mmmm. – Camille uniosła okulary przeciwsłoneczne.

– Mais non – odparłam. – Jest naprawdę stary, Camille.

Wzruszyła ramionami.

– Ma tylko trzydzieści parę lat.

– Oui, czyli jest stary. O jakieś... piętnaście lat starszy od nas.

– Ale pomyśl tylko o całym tym doświadczeniu. – Ułożyła palce w literę V i wsadziła między nie język.

Roześmiałam się, widząc ten gest.

– Beurk... jesteś obrzydliwa.

Uniosła brwi.

– Pas du tout. Zrozumiałabyś, gdyby tylko twój kochany papa kiedykolwiek dopuścił cię w poblizę męskiej części populacji...

– Zamknij się.

– Ach, Mimi... żartuję przecież! Tym niemniej pewnego dnia twój ojciec będzie musiał zdać sobie sprawę, że przestałaś już być jego małą dziewczynką. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i upiła trochę aperolu przez słomkę. Przez moment miałam ochotę ją spoliczkować... prawie to zrobiłam. Nie zawsze potrafię panować nad odruchami.

– Mój ojciec jest po prostu trochę... nadopiekuńczy. – Oczywiście było w tym dużo więcej, ale ja też nigdy nie chciałam zrobić niczego, co sprawiłoby papie zawód i zniszczyło w jego oczach mój wizerunek małej księżniczki.

Mimo to często marzyłam, żeby być bardziej jak Camille – tak bardzo wyluzowana w kwestii seksu. Dla niej to po prostu kolejna rzecz, którą lubi robić, obok pływania, jeżdżenia na rowerze i opalania się. Ja nigdy jeszcze nie uprawiałam seksu, nie wspominając już o igraszkach z dwojgiem ludzi naraz (jedna z jej specjalności) czy smakowaniu obu płci. Wiecie, co jest najzabawniejsze? Papa zaaprobował ją jako moją współlokatorkę. Powiedział, że zamieszkanie z inną dziewczyną „może powstrzymać mnie przed wplątaniem się w zbyt duże kłopoty”.

Camille miała na sobie swoje najbardziej skąpe bikini – trzy trójkąciiki bladej, wydzierganej na szydełku tkaniny, ledwie zasłaniające cokolwiek. Stopy oparła o żeliwną balustradę balkonu. Paznokcie u stóp pomalowane były odpryskującym już lakierem w kolorze „Barbie pink”. Poza miesiącem spędzonym na południu z przyjaciółmi spędzała na balkonie w zasadzie

każdy upalny dzień, robiąc się coraz bardziej brązowa i smarując się tonami La Roche-Posay. Jej całe ciało wyglądało, jakby zostało zanurzone w złocie, włosy rozjaśniła do koloru karmelu. Ja nie opalam się na brązowo, tylko przypiekam się na czerwono, dlatego siedziałam schowana w cieniu, jak wampir, ubrana w obszerną męską koszulę, z książką Françoise Sagan na kolanach.

Camille nachyliła się do przodu, nadal obserwując, jak nowo przybyły mężczyzna wyciąga bagaże z samochodu.

– O mój Boże, Mimi! On ma kota! Ależ to urocze. Widzisz go? Zobacz, tam, w tym nosidle. Salut minou!

Zrobiła to specjalnie, żeby spojrzeć w górę i dostrzegł nas – a raczej ją. I tak się dokładnie stało.

– Hej – zawołała, wstając i machając tak gwałtownie, że jej nénés zatańczyły w skąnym bikini, jakby chciały się wyrwać na wolność. – Bienvenue... witamy! Jestem Camille, a to jest Merveille. Słodka pusia.

Byłam cholernie zażenowana. Wiedziała doskonale, co mówi. Po francusku również używa się podobnego słowa: chatte, na określenie żeńskich narządów płciowych. Poza tym nie cierpię faktu, że moje pełne imię to Merveille. Nikt na mnie tak nie mówi. Jestem Mimi. Moja mama nazwała mnie tak, ponieważ to imię oznacza „cud”, a podobno właśnie tym było moje pojawienie się w jej życiu: niespodziewaną, lecz cudowną rzeczą. Moim zdaniem to okropne imię.

Schowałam się za książką, ale nie na tyle, żeby nie móc go dalej obserwować nad jej brzegiem.

Mężczyzna osłonił oczy przed słońcem.

– Dzięki! – zawołał, wyciągając rękę i machając w odpowiedzi. Znow zobaczyłam wtedy pasek jego ciała między koszulką i džinsami. – Jestem Ben, przyjaciel Nicka! Wprowadzam się na trzecie piętro.

Camille spojrzała na mnie.

– Cóż – zaczęła półgłosem. – Wygląda na to, że to miejsce właśnie zrobiło się dużo bardziej interesujące. – Uśmiechnęła się szeroko. – Może powinnam się mu właściwie przedstawić, zaoferować opiekę nad jego pusią, jeżeli będzie gdzieś wyjeżdżał.

Nie zdziwiłabym się, gdyby za tydzień już go zaliczyła, pomyślałam sobie. I rzeczywiście, to nie byłoby żadnym zaskoczeniem – w przeciwieństwie do tego, jak bardzo nienawidziłam samej myśli o tym.

Ktoś puka do drzwi mojego mieszkania.

Podkradam się do holu i spoglądam przez wizjer. Merde: to ona – kobieta z apartamentu Bena.

Przełykam ślinę, a raczej próbuję to zrobić, bo zdaje się, że język przyrósł mi do podniebienia.

Trudno jest myśleć z tym koszmarnym szumem w uszach. Wiem, że nie muszę otwierać drzwi. To moje miejsce, moje mieszkanie. Jednak jej ciągłe puk, puk odbija się echem wewnątrz mojej czaszki, aż wreszcie mam wrażenie, że za chwilę eksploduję.

Zaciskam zęby i otwieram drzwi, a potem cofam się o krok, zszokowana jej wyglądem. Z bliska widzę go w jej rysach twarzy, ale kobieta jest drobna, ma ciemniejsze oczy i jest w niej coś... sama nie wiem, jakiś głód, być może obecny również u Bena, chociaż on dużo lepiej go ukrywał. Mam wrażenie, że cała jest jakby grubiej ciosana. Ben był schludny, ona jest niechlujna: ma na sobie dzinsy i stary sweter z postrzępionymi mankietami, a ciemnoczerwone włosy spięła gumką na czubku głowy. Zupełne przeciwieństwo Bena. On nawet w szarej koszulce, w upalny dzień wyglądał na... uładzonego, wiecie, o co mi chodzi? Jakby wszystko doskonale do niego pasowało.

– Hej – zaczyna, uśmiechając się sztucznie. – Jestem Jess. Jak masz na imię?

– M... Mimi – odpowiadam chrapliwie.

– Mój brat, Ben, mieszka na trzecim piętrze, ale jest... to znaczy gdzieś zniknął. Znasz go może?

Przez jedną szaloną chwilę myślę o tym, aby udać, że nie rozumiem angielskiego, ale to głupota.

Potrząsam głową.

– Nie. Nie znałam go... to znaczy, nie znam. Mój angielski, przepraszam. Nie jest zbyt dobry.

Spogląda nad moim ramieniem, jakby chciała zajrzeć do środka. Przesuwam się, próbując zasłonić jej pole widzenia. Kobieta spogląda więc na mnie, jakby próbowała przejrzeć mnie na wskroś – i to chyba jest jeszcze gorsze.

– To twój apartament? – pyta.

– Oui.

– Rany. – Robi wielkie oczy. – Nieźle ci się powodzi. Sama tutaj mieszkasz?

– Z przyjaciółką, Camille.

Znów usiłuje zajrzeć do środka, nad moim ramieniem.

– Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie widziałas go ostatnio? Bena oczywiście.

– Nie. Trzyma zasłonięte okna. To znaczy... – Zdaję sobie sprawę, nieco zbyt późno, że nie o to mnie pytała.

Unosi brwi.

– W porządku – odpowiada. – Ale czy pamiętasz, kiedy widziałas go ostatnim razem, gdziekolwiek w tym miejscu? Naprawdę bardzo by mi to pomogło. – Uśmiecha się. Wygląda przy tym zupełnie inaczej niż on, ale nikt nie uśmiecha się tak jak Ben.

Zdaję sobie sprawę, że kobieta nie odejdzie, dopóki nie udzielę jej odpowiedzi. Chrząkam.

– Ja... nie wiem. Nie widziałam go od jakiegoś czasu... może jakiś tydzień?

– Quoi? Ce n'est pas vrai! To nieprawda! – Odwracam się i widzę Camille, ubraną tylko w krótką bluzeczkę na ramiączkach i culotte[3], zbliżającą się do mnie z tyłu. – Widziałas go wczoraj rano, nie pamiętasz, Mimi? Byliście razem na schodach.

Merde. Czuję, jak twarz oblewa mi gorąco.

– Och, no tak. Rzeczywiście. – Spoglądam na kobietę stojącą w drzwiach.

– Czyli Ben był tutaj wczoraj? – upewnia się, marszcząc czoło. Spogląda to na mnie, to na Camille. – Na pewno go widziałas?

– Tak – odpowiadam. – Wczoraj. Musiałam zapomnieć.

– Czy mówił, że gdzieś się wybiera?

– Nie. Spotkaliśmy się tylko przelotnie.

Przypominam sobie jego minę, kiedy mijaliśmy się na schodach. Hej, Mimi, coś się dzieje? Ten uśmiech. Nikt nie uśmiecha się tak jak on.

– Nie mogę pani pomóc – dodaję. – Przykro mi. – Zaczynam zamykać drzwi.

– Powiedział, że jeśli gdzieś będzie wyjeżdżał, poprosi mnie o zaopiekowanie się jego kicią – mówi Camille, a kokieteryjny sposób, w jaki wypowiada to ostatnie słowo, przypomina mi jej „słodką pusię” z dnia, w którym Ben tu przyjechał. – Ale nie prosił mnie o to.

– Naprawdę? – Kobieta wydaje się zainteresowana. – Czyli wygląda na to, jakby... – Być może zdała sobie sprawę, że powoli zamykam drzwi,

ponieważ robi gest, jakby chciała wejść do środka. Bez namysłu zatrzaskuję jej drzwi przed nosem tak gwałtownie, że czuję drżenie framugi.

Trzęsą mi się ramiona, całe ciało. Wiem, że Camille gapi się na mnie, zastanawiając się, co się dzieje. Nie obchodzi mnie jednak to, co sobie w tej chwili myśli. Opieram głowę o drzwi. Nie mogę oddychać. Nagle czuję, jakbym się dławiła. Żołądek podchodzi mi do gardła, nie mogę tego powstrzymać i zaczynam wymiotować na pięknie wypolerowany parkiet.

[3] Fr. majtki.

Sophie

Penthouse

Wchodzę właśnie po schodach na górę, kiedy ją dostrzegam – obcą kobietę w ścianach tego budynku. Jej widok wzbudza we mnie tak gwałtowną reakcję, że niemal upuszczam pudełko z wypiekami. Kobieta weszła na półpiętrze prowadzącym do penthouse'u. Nie powinno jej tutaj być.

Obserwuję ją przez chwilę.

– Bonjour – mówię wreszcie chłodno.

Odwraca się, przyłapaną na gorącym uczynku. Dobrze. Chciałam ją przestraszyć.

Ale teraz moja kolej na zaskoczenie.

– Ty! – To ta kobieta z boulangerie: niechlujna dziewczyna, która podniosła notkę, którą upuściłam na podłogę.

DOUBLE LA PROCHAINE FOIS, SALOPE. Następnym razem podwójna stawka, dziwko.

– Kim jesteś?

– Mam na imię Jess. Jess Hadley. Zatrzymałam się u mojego brata, Bena – odpowiada pospiesznie. – Na trzecim piętrze.

– Skoro tak, to co tutaj robisz? – No tak, to ma sens. Jest tak samo wścibska jak on. Zupełnie jakby to miejsce należało do niej.

– Szukałam Bena. – Pewnie zdaje sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało, zupełnie jakby oczekiwała, że ukrył się tu gdzieś, w cieniu okapu, bo nagle się zawstydzła. – Zna go pani? Benjamina Danielsa?

Ten uśmiech lisa wkradającego się do kurnika. Odgłos rozbijanego szkła. Smuga szkarłatu na sztywnej białej serwecie.

– Przyjaciela Nicolasa? Tak, chociaż spotkałam się z nim tylko kilka razy.

– Nicolas? Czyli „Nick”? Ben chyba o nim wspominał. Na którym piętrze mieszka?

Waham się.

– Na drugim – odpowiadam wreszcie.

– Pamięta pani może, kiedy ostatni raz go widziała? To znaczy Bena. Miał tu być zeszłej nocy. Próbowałam wypytać jedną z dziewcząt na czwartym piętrze... Mimi?... ale nie pomogła mi zbyt wiele.

– Nie przypominam sobie. – Być może odpowiadam zbyt szybko i ze zbyt dużym przekonaniem. – Ben trzyma się na uboczu, rozumiesz. Jest... jak to się mówi po angielsku... skryty.

– Naprawdę? To zupełnie nie jak Ben! Spodziewałam się, że zaprzyjaźnił się już ze wszystkimi mieszkańcami tego budynku.

– Nie ze mną. – To przynajmniej jest prawdą. Wzruszam nieznacznie ramionami. – W każdym razie być może gdzieś wyjechał i zapomniał ci powiedzieć?

– Nie – odpowiada. – Nie zrobiłby tego.

Czy pamiętam moje ostatnie spotkanie z Benem? Oczywiście, że tak.

W tej chwili wracam jednak myślą do pierwszego, ponad dwa miesiące temu, w środku fali upałów.

Od razu mi się nie spodobał. Wiedziałam, że go nie polubię.

Śmiech, to usłyszałam najpierw. Nieco groźny, w ten typowy męski sposób, z nutą współzawodnictwa.

Byłam wtedy na dziedzińcu. Spędziłam popołudnie, sadząc rośliny w cieniu. Dla niektórych ogrodnictwo jest formą kreatywnej pasji, ale dla mnie to sposób kontrolowania otoczenia. Kiedy oznajmiłam Jacques'owi, że chciałabym się zająć małym ogródkiem na dziedzińcu naszego apartamentowca, nie zrozumiał.

– Możemy zapłacić innym za tę usługę – odparł. W świecie mojego męża istnieją ludzie, którzy za pieniądze zrobią wszystko.

Miało się już pod wieczór, niebo ciemniało, ale upał nie odpuszczał. Obserwowałam zza krzewów rozmarynu, jak obaj weszli na dziedziniec: najpierw Nick, a potem nieznajomy, prowadząc motorynkę. Był mniej więcej w wieku Nicka, ale w jakiś sposób wydawał się starszy. Ładnie się poruszał. Miał w sobie bardzo szczególną pewność siebie, którą wypełniał przestrzeń wokół siebie.

Przyglądałam się, jak zrywa gałązkę rozmarynu z jednego z krzewów, pociągając mocno, aby oddzielić świeżą odrośl od pnia. Roztarł w dłoniach liście, przysunął do nosa i wciągnął powietrze. Było w tym geście coś bezczelnego – miałam niemal wrażenie, że popełnił akt wandalizmu.

Benoit podbiegł do nich. Nowo przybyły chwycił go i uniósł do góry. Wstałam.

– On nie lubi być trzymany na rękach przez kogoś innego niż ja.

Benoit, ten zdrajca, odwrócił głowę i polizał przybysza po dłoni.

– Bonjour Sophie – pozdrowił mnie Nicholas. – Poznaj Bena. Będzie tu mieszkał, w apartamencie na trzecim piętrze – dodał z dumą. Popisywał się znajomością ze swoim przyjacielem, demonstrował go jak zabawkę.

– Miło mi panią poznać, madame. – Nowo przybyły uśmiechnął się tym swoim leniwym uśmiechem, równie aroganckim co jego gest zerwania gałązki rozmarynu. Polubisz mnie, mówił. Mnie wszyscy lubią.

– Proszę, mów mi Sophie. – Słowo madame sprawiło, że poczułam się jak stuletnia starowinka, chociaż było dość stosowne.

– Sophie.

Teraz żałowałam, że odpowiedziałam. Cała ta sytuacja była zbyt nieformalna, zbyt osobista.

– Proszę mi go oddać. – Wyciągnęłam ręce po psa. Benoit pachniał lekko benzyną i męskim potem. Odsunęłam go trochę od siebie. – Konsjerżce się to nie spodoba. – Wskazałam głową na motorynkę, a potem skinęłam w stronę stróżówki. – Ona nienawidzi motorów.

Chciałam w ten sposób okazać stanowczość, ale zabrzmiałam jak matrona upominająca małego chłopca.

– Zrozumiano – odparł. – Dziękuję za wskazówkę. Będę musiał ją zjednać, może jakoś przekupić.

Wpatrzyłam się w niego. Po co niby miałby to robić?

– Powodzenia – wtrącił się Nick. – Ona nikogo nie lubi.

– Ach, ale ja lubię wyzwania – odparł jego przyjaciel. – Przekonam ją do siebie.

– Lepiej uważaj – ostrzegł Nick. – Nie jestem pewien, czy ośmielanie jej byłoby dobre. Nasza konsjerżka ma zwyczaj materializować się zza winkla w najmniej spodziewanych momentach.

Ten pomysł w ogóle mi się nie spodobał. Ta kobieta, jej wieczna obecność, wszystkowidzące spojrzenie. Co takiego mogłaby powiedzieć temu człowiekowi, jeśli „przekona ją do siebie”?

Kiedy Jacques wrócił do domu, powiedziałam mu, że spotkałam nowego sąsiada z mieszkania na trzecim piętrze. Zmarszczył czoło i wskazał palcem na mój policzek.

– Jesteś tu ubrudzona.

Potarłam kość policzkową. Jakimś cudem nie zauważyłam tego, kiedy sprawdzałam swój wygląd w lustrze... a sądziłam, że jestem taka ostrożna.

– I co sobie myślisz na temat naszego nowego sąsiada?

– Nie lubię go.

Jacques uniósł brwi.

– Wydawało mi się, że to dość interesujący młody człowiek. Dlaczego go nie lubisz?

– Jest zbyt... czarujący. – Ten urok osobisty. Używał go jak broni.

Jacques ściągnął brwi. Oczywiście nie rozumiał. Mój mąż był inteligentnym człowiekiem, ale jednocześnie bardzo aroganckim. Przyzwyczał się do tego, że wszystko idzie po jego myśli, że ma władzę. Ja nigdy nie nabyłam tego rodzaju nonszalancji. Nie byłam na tyle pewna swojej pozycji w naszym związku, żeby spocząć na laurach.

– Cóż – ciągnął. – Będziemy musieli zaprosić go na drinka i porządnie mu się przyjrzeć.

Nie spodobało mi się, że chce go zaprosić do naszego domu.

Pierwszy liścik pojawił się dwa tygodnie później.

Wiem, kim Pani jest, Madame Sophie Meunier. Wiem, kim naprawdę Pani jest. Jeżeli nie chce Pani, aby dowiedział się o tym ktoś inny, sugeruję, aby zostawiła Pani 2000€ pod obluzowanym schodkiem przed bramą.

„Madame”: wredny gest fałszywej formalności. Szyderczy, pewny siebie ton. Żadnych znaczków – list został doręczony osobiście. Mój szantażysta znał ten budynek wystarczająco dobrze, aby wiedzieć o obluzowanym schodku przed bramą.

Nie powiedziałam o niczym Jacques’owi. Wiedziałam, że odmówi zapłacenia. Ci, którzy mają dużo pieniędzy, częstokroć są najbardziej niechętni do oddawania ich komukolwiek. Jednak za bardzo się bałam, żeby nie zapłacić. Wyciągnęłam moją szkatułkę z biżuterią. Przez chwilę zastanawiałam się nad broszą z żółtego szafiru, którą dostałam od męża na naszą drugą rocznicę ślubu, i nad spinkami do włosów z nefrytem i diamentami – prezentem pod choinkę. Ostatecznie zdecydowałam się na bransoletkę ze szmaragdami jako najbezpieczniejszą opcję, bo Jacques nigdy nie nalegał, żebym ją nosiła. Zabrałam ją do lombardu – sklepiku w banlieues, dzielnicy poza peripherique – obwodnicą otaczającą miasto. Był to zupełnie inny świat niż Paryż z pocztówek i marzeń turystów. Musiałam udać się w miejsce, gdzie nikt nie mógł mnie rozpoznać.

Właściciel lombardu wiedział, że cała ta sprawa mnie przerasta. Musiał wyczuć mój strach. Nie miał pojęcia, że wcale nie chodzi o otoczenie, lecz o koszmar i upokorzenie z powodu znalezienia się w takiej sytuacji.

Wróciłam z wyprawy wyposażona w sumkę, która z łatwością mogła pokryć żądanie, chociaż mniejszą, niż powinnam dostać za tę bransoletkę. Dziesięć banknotów po 200 euro. Pieniądze wydawały się mi zbrukane potem innych rąk, przylepionym do nich brudem. Wsunęłam plik banknotów do grubej kremowej koperty, w której wyglądały na jeszcze brudniejsze, i zalepiłam ją – zupełnie jakby ten gest miał sprawić, że pieniądze stały się mniej przerażające i poniżające. Zostawiłam pakunek zgodnie z instrukcją, pod obluzowanym schodkiem przed bramą prowadzącą do naszego budynku.

Na jakiś czas opłacałam moje długi.

– Może chcesz wrócić już na trzecie piętro – mówię tej dziwnej niechlujnej dziewczynie. Jego siostrze. Trudno w to uwierzyć. W zasadzie to ciężko sobie wyobrazić, że ktoś taki jak on miał dzieciństwo i rodzinę. Wydawał się taki... pełen rezerwy. Jakby pojawił się na tym świecie od razu jako dorosły.

– Nie dosłyszałam pani nazwiska – mówi kobieta.

Bo ci go nie podałam.

– Sophie Meunier – odpowiadam. – Mieszkam wraz z mężem Jakiem w penthousie, na tym piętrze.

– Skoro pani mieszka w penthousie, to co jest tam? – wskazuje na drewnianą drabinę.

– Wejście do starych chambres de bonne... dawnych pomieszczeń dla służby, na poddaszu. – Kiwam głową w przeciwnym kierunku, ku schodom.

– Jestem jednak pewna, że chcesz już wrócić na trzecie piętro.

Kobieta wreszcie odczytuje aluzję. Żeby zejść po schodach, musi najpierw mnie minąć. Nie odsuwam się ani na milimetr. Dopiero czując, że zaczyna boleć mnie szczęka, zdaję sobie sprawę, jak mocno zaciskałam zęby podczas tego spotkania.

Jess

Zamykam za sobą drzwi od mieszkania, zastanawiając się nad spojrzeniem, jakim przed chwilą obdarzyła mnie Sophie Meunier – zupełnie jakbym była kawałkiem psiej kupy, która przywarła jej do podeszwy. Może jest Francuzką, ale ten typ rozpoznam wszędzie. Lśniący czarny bob, jedwabna apaszka i bajerancka torebka, sposób, w jaki podkreśliła, że mieszka „w penthousie”. Snobka. Nie po raz pierwszy ludzie patrzą na mnie jak na męta, ale wydaje mi się, że wyczułam coś jeszcze – jakąś dodatkową wrogość na wzmiankę o Benie.

Zastanawiam się nad jej sugestią, że być może wyjechał.

– To nie jest najlepszy moment – powiedział przez telefon, ale chyba nie wyjechałby tak po prostu bez słowa... prawda? W końcu jestem jego rodziną... jedyną rodziną. Bez względu na to, jak bardzo mój przyjazd był mu nie na rękę, nie sędzę, żeby mnie tak zwyczajnie porzucił.

Zarazem jednak nie byłyby to pierwszy raz, kiedy Ben nagle zniknął z mojego życia bez specjalnych pożegnań. Na przykład wtedy, kiedy znaleźli mu nowych odpicowanych rodziców, gotowych porwać go w nowe magiczne życie prywatnych szkół, wakacji za granicą i rodzinnych labradorów. Przykro nam, ale Danielsowie chcą adoptować tylko jedno dziecko. W zasadzie to czasami lepiej jest rozdzielić dzieci z tej samej rodziny, zwłaszcza jeśli doświadczyły wspólnej traumy. Jak już wspominałam, mój brat zawsze umiał rozkochać w sobie wszystkich. Odjechał więc, na tylnym siedzeniu granatowego volvo Danielsów. Obejrzał się tylko raz, a potem odwrócił się, spoglądając już tylko w przód, ku swojemu nowemu życiu.

Nie. Przecież zostawił mi instrukcje na poczcie głosowej, do diaska. A nawet jeśli musiałby nagle wyjechać z jakiegokolwiek powodu, to dlaczego nie odbiera telefonu ani nie odpowiada na esemesy?

Wciąż powracam myślą do zerwanego łańcuszka ze Świętym Krzysztofem, do zakrwawionego futra kota i do tego, że żaden z sąsiadów Bena nie chciał poświęcić mi czasu – co więcej, wydawali się wręcz wrogo nastawieni. Wszystko to jest bardzo dziwne, jakby stało się coś niedobrego.

Szukam Bena w mediach społecznościowych. W którymś momencie musiał skasować wszystkie swoje konta, poza Instagramem. Dlaczego dopiero teraz się zorientowałam? Nie miał konta na Facebooku ani na Twitterze. Na zdjęciu profilowym Instagrama widniał kot, który teraz siedzi we własnej osobie przycupnięty na biurku, obserwując mnie zwężonymi oczami. W historii nie ma żadnych zdjęć. Przypuszczam, że Ben jako mistrz wymyślania wszystkiego na nowo pozbył się starych postów, jednak coś w tym zniknięciu całej zawartości konta wzbudza we mnie nieprzyjemny dreszcz. Zupełnie jakby ktoś chciał wymazać go z życia. Tak czy owak, na wszelki wypadek wysyłam mu prywatną wiadomość.

„Ben, jeśli to przeczytasz, odbierz telefon!!”

Moja komórka brzęczy.

„Zostało ci tylko 50MB danych w roamingu. Aby wykupić więcej, kliknij na ten link...”

Cholera, nie wyrabiam na tej najtańszej taryfie.

Siadam na sofie i czuję, że usiadłam na portfelu Bena. Pewnie rzuciłam go tutaj wcześniej. Otwieram go i wyciągam wizytówkę. Theo Mendelson, wydawca paryskiej edycji „Guardiana”. I odręczny komentarz: SPRZEDAĆ MU HISTORIĘ! Może Ben ostatnio dla niego pracował albo kontaktował się z nim? Na wizytówce jest również numer telefonu. Dzwonię, ale nikt nie odbiera, więc wysyłam tylko treściwego esemesa:

„Hej. Chodzi o mojego brata, Bena Danielsa. Usiłuję go znaleźć. Czy może Pan pomóc?”

Odkładam telefon, bo właśnie usłyszałam coś dziwnego.

Siedzę bardzo nieruchomo, nasłuchując i usiłując zrozumieć, co to za odgłos. Brzmi jak kroki kogoś schodzącego po schodach, tylko że nie dochodzą od strony półpiętra i klatki schodowej, tylko za mną. Wstaję i przyglądam się uważnie ścianie. I nagle to dostrzegam. Przesuwam dłońmi po wyblakłym jedwabiu pokrywającym ściany. W materiale jest przerwa, długie rozcięcie biegnące poziomo nad moją głową i pionowo w dół. Odsuwam się i przyglądam kształtowi, jaki tworzy. Bardzo sprytne maskowanie, zwłaszcza gdy część zasłonięta jest sofą. Można w ogóle nie zauważyć, chyba że ktoś przygląda się niezwykle uważnie. Moim zdaniem tam są drzwi.

Sophie

Penthouse

Po powrocie do apartamentu sięgam do torebki – czarnej skórzanej Céline, niezwykle kosztownej i szalenie dyskretnej (prezent od Jacques'a) – wyciągam portfel i niemal ze zdziwieniem zauważam, że notka nie wypaliła jeszcze w nim dziury. Nie mogę uwierzyć, że byłam tak niezgrabna i upuściłam ją na podłogę w sklepie. Normalnie nigdy nie bywam taka nieogarnięta.

Następnym razem podwójna stawka, dziwko.

Dostałam ją wczoraj rano. Najnowsza z serii. No cóż, teraz już nic nie znaczy. Drę ją na drobne kawałeczki, które rozrzucam w kominku. Pociągam wbudowany w ścianę sznurek z chwościkiem i w palenisku rozpala się ogień, natychmiast pożerając papier. Przemierzam szybko mieszkanie, mijając wysokie na całą ścianę okna z widokiem na Paryż i tryptyk abstrakcji Gerharda Richtera zawieszony na ścianie przedpokoju. Moje obcasy stukają głośno o parkiet, szybko wyciszone przez jedwab antycznego perskiego chodnika.

Już w kuchni otwieram pastelowe pudełko z piekarni. Wewnątrz znajduje się quiche Lorraine najeżony kawałkami boczku, z ciastem tak kruchym, że łamie się pod najlżejszym dotknięciem. Zapach śmietany i żółtek wywołuje u mnie chwilowy odruch wymiotny. Kiedy Jacques wyjeżdża na swoje delegacje, zazwyczaj żywie się czarną kawą i owocami – i od czasu do czasu kawałkiem gorzkiej czekolady odłamany z tabliczki Maison Bonnat.

Nie miałam ochoty dzisiaj nigdzie wychodzić. Pragnę ukryć się przed światem. Jestem jednak regularną klientką, a trzymanie się rutyny jest niezwykle ważne.

Kilka minut później otwieram drzwi do mieszkania i czekam przez kilka minut, nasłuchując i spoglądając w dół na schody. Upewniam się, że nikogo tam nie ma. W tym budynku nie można zrobić prawie nic bez konsjerżki nagle wysuwającej się z ciemnego kąta, zupełnie jakby

zmaterializowała się z cieni. Teraz jednak nie ona mnie niepokoi, tylko ta nowa, obca kobieta.

Kiedy już jestem pewna, że nikogo nie ma, przechodzę przez półpiętro w kierunku drewnianych schodów i wspinam się do starych chambres de bonne. Jestem jedyną osobą ze wszystkich mieszkańców tego domu, która posiada klucz do tych starych pomieszczeń. Nawet konsjerżka nie ma tutaj wstępu.

Przywiązuję Benoit do balustrady u stóp schodów. Ma na sobie pasujący skórzany komplet od Hermès: on i ja, z naszymi kosztownymi obrożami od tego projektanta. Jeśli Benoit kogoś zobaczy, zacznie szczeleć.

Wyjmuję klucz z kieszeni i wspinam się po schodach. Wkładając klucz do zamka, dygoczę lekko i otwieram drzwi dopiero po kilku podejściach.

Zanim wejść do środka, ponownie sprawdzam, czy nikt mnie nie obserwuje. Muszę być bardzo ostrożna, zwłaszcza teraz, kiedy ona tutaj jest i węższy dookoła.

Spędzam wewnątrz może dziesięć minut. Po wszystkim zamykam starannie drzwi na kłódkę i wsuwam mały srebrny kluczyk do kieszeni. Benoit czeka na mnie u dołu schodów, spoglądając na mnie tymi swoimi ciemnymi oczami. Mój współnik i powiernik. Przykładam palec do ust.

Ciii.

Jess

Chwytam kanapę i odsuwam ją od ściany. Kot zeskakuje z biurka i podchodzi bliżej – może myśli, że odsłonię dla niego jakieś myszy albo robactwo. I oto są: drzwi. Nie mają klamki, ale udaje mi się złapać za ich brzeg, wcisnąć palce w szczelinę i pociągnąć. Otwierają się i oddycham gwałtownie.

Nie wiem, czego się spodziewałam – może jakiejś ukrytej szafy, ale nie tego. Po drugiej stronie wita mnie ciemność. Powietrze jest chłodne, zupełnie jakbym otworzyła lodówkę. Zalatuje tu stęchlizną i pleśnią, jak w kościołach. Kiedy moje oczy przyzwyczajają się do mroku, widzę zarys kamiennych schodów wijących się spiralą w dół i w górę, ciemnych i wąskich – całkowita odwrotność obszernej klatki schodowej w głównej części budynku. Podejrzewam, że były to schody dla służby, podobnie jak pokoje na poddaszu, o których wspominała Sophie Meunier.

Wchodzę do środka i pozwalam drzwiom zamknąć się za mną. Nagle ogarnia mnie gęsta ciemność, ale widzę wąską smużkę światła wdzierającą się tu przez szczelinę w drzwiach, trochę niżej niż na wysokości głowy. Widzę przez nią środek mieszkania – duży pokój i kuchnię. Wygląda to jak jakaś dziura do podglądania. Pewnie zawsze tu była, jest równie stara jak cały budynek. A może została zrobiona stosunkowo niedawno? Ktoś mógł obserwować Bena. Ktoś mógł obserwować mnie.

Nadal słyszę kroki, poniżej, jakby ktoś schodził po stopniach. Włączam latarkę w telefonie i ruszam za nimi, starając się nie potknąć o własne stopy na ciasnych zakrętach. Ta klatka schodowa musiała zostać wykonana w czasach, kiedy ludzie byli generalnie mniejsi. Nie jestem wprawdzie duża, ale i tak czuję się tu jak wielkolud.

Waham się przez sekundę – nie mam pojęcia, dokąd zawiodą mnie te schody. Nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł. Może właśnie zmierzam w kierunku niebezpieczeństwa?

Cóż, wcześniej taka świadomość mnie nie powstrzymywała, teraz też nie. Idę dalej.

Docieram do kolejnych drzwi. Tutaj również dostrzegam wąski otwór do podglądania. Przysuwam do niego oczy, szybko zaglądając do mieszkania. Nikogo nie ma w polu widzenia. Czuję się trochę dezorientowana, ale to chyba musi być mieszkanie na drugim piętrze, czyli apartament Nicka, przyjaciela Bena. Wygląda na to, że rozkład pomieszczeń jest taki sam, ale tutaj ściany są białe i nagie. W kącie stoi wielki komputer, a za nim kilka książek oraz coś, co wygląda mi na sprzęt do ćwiczeń. Poza tym przestrzeń jest praktycznie pusta i ma w sobie tyle charakteru co gabinet dentystyczny. Wygląda to tak, jakby Nick jeszcze się dobrze nie wprowadził.

Nadal słyszę oddalające się w dół kroki, więc ponawiam wędrówkę. Strumień światła z latarki telefonu podskakuje przede mną w takt moich kroków. Teraz chyba jestem na pierwszym piętrze. Kolejne mieszkanie i oczywiście otwór do podglądania. W tym apartamencie panuje bałagan: wszędzie porozrzucane rzeczy, puste opakowania po chipsach, przepełnione popielniczki, stoliki pełne butelek i przewrócona lampa stojąca. Odsuwam się od drzwi odruchowo, kiedy w polu widzenia pojawia się nagle jakaś sylwetka. Nie ma na sobie parki, ale i tak poznaję go natychmiast: to ten facet sprzed bramy i od kłótni na dziedzińcu. Antoine. Dopija resztki Jacka Danielsa prosto z butelki, a potem unosi ją. Chryste! Podskakuję, kiedy rozbija ją o kant stolika.

Antoine kiwa się na nogach, spoglądając na poszarpaną ułamaną szyjkę butelki, jakby zastanawiał się, co z nią zrobić. Potem odwraca się w moją stronę i przez jedną straszną chwilę mam wrażenie, że patrzy się prosto na mnie. Oglądam go jednak przez szczelinę szeroką na zaledwie kilka milimetrów... to niemożliwe, żeby mnie zobaczył, prawda?

Nie zamierzam się o tym przekonywać. Czym prędzej zbiegam na dół. Mijam parter, hol wejściowy. Schodzę dalej, teraz już chyba do piwnicy. Powietrze tutaj jest cięższe i zimniejsze. Wyobrażam sobie otaczające mnie pokłady ziemi. Wreszcie schody docierają do drzwi bujających się na zawiasach – kimkolwiek jest osoba, którą śledzę, dopiero co przez nie przeszła. Mój puls przyspiesza. Jestem coraz bliżej. Otwieram drzwi i chociaż za nimi jest równie ciemno, co tutaj, mam wrażenie, że wkraczam do obszerniejszego, niosącego echo pomieszczenia. Cisza. Żadnych odgłosów kroków. Gdzie się podziała ta osoba? Przecież przed chwilą jeszcze musiała tu być.

Jest tutaj chłodno i śmierdzi wilgocią i pleśnią. Latarka mojej komórki jest zbyt słaba, aby przedrzeć się przez ciemność, ale dostrzegam pomarańczowy poblask wyłącznika światła tuż przede mną. Naciskam go i zapalają się żarówki. Słyszę tykanie regulatora czasowego: tyk, tyk, tyk, tyk, tyk. Pewnie mam zaledwie kilka minut, zanim znów zapadną ciemności. Jestem z całą pewnością w piwnicy: szerokim pomieszczeniu o niskim suficie, ponaddwukrotnie większym od mieszkania Bena. Widzę kilka par drzwi w ścianie, stojak z kilkoma rowerami w kącie i czerwoną motorynkę opartą o jedną ze ścian. Podchodzę do niej, wyciągam klucze znalezione w kieszeni kurtki Bena, wkładam je do rozrusznika vespy i przekręcam. Motorynka ożywa, a ja zdaję sobie sprawę, że Ben nie mógł się nigdzie wybrać na swoim rumaku. Musiałam nieświadomie oprzeć się na motorze, ponieważ przechyliła się pode mną. Dopiero teraz widzę, że z jednego koła uszło powietrze – guma jest całkowicie postrzępiona. Wypadek? Tylko że coś w tym zniszczeniu wskazuje na celowość.

Odwracam się. Być może ktokolwiek tutaj był, zniknął za jednymi z tych drzwi. Schował się przede mną? Czuję nieprzyjemny dreszcz niepewności, kiedy zdaję sobie sprawę, że teraz to ja mogę być obserwowana.

Otwieram pierwsze drzwi i dostrzegam kilka pralek. Jedna z nich akurat jest włączona i widzę miotające się w jej bębnie różnokolorowe ubrania.

W następnym pomieszczeniu czuję zapach koszy na śmieci, zanim jeszcze je dostrzegam: ten słodkawy odór zepsucia. Coś chrobocze i szeleści. Zamykam szybko drzwi.

Za następnymi znajduje się coś w rodzaju komórki z rzeczami do sprzątania: mopy, szczotki, wiadra oraz sterta brudnawych szmat w rogu.

Kolejne odrzwia mają kłódkę, która teraz jednak jest otwarta. Wchodzę do środka. Jest tu pełno wina – całe półki, aż do sufitu. Pewnie znajduje się tutaj ponad tysiąc butelek i niektóre wyglądają na naprawdę stare. Naklejki są poplamione i częściowo poodklejane, a szkło pokryte jest warstwą kurzu. Wyciągam jedną z półki. Nie znam się specjalnie na winie. Owszem, pracowałam w wielu barach, ale zawsze były to tego rodzaju miejsca, w których ludzie proszą o „duży kieliszek czerwonego, kochaniutka” i gdzie za kilka dodatkowych funciaków podaje się całą butelkę. To tutaj wygląda na drogie. Ktokolwiek trzyma je tutaj, najwyraźniej musi ufać swoim sąsiadom – i najpewniej nie zauważy braku jednej małej butelki. Może alkohol pomoże mi w myśleniu. Wybieram coś, co wygląda na bardzo wiekowe, z nadzieją, że właściciel już dawno zapomniał o jego

istnieniu. Najbardziej zakurzone i pokryte pajęczynami butelki znajdują się na dolnych półkach. Przeszukuję je i wyciągam jeden trunek. 1996. Na nalepce widać rysunek pięknej rezydencji, w złocie. Château Blondin-Lavigne. Może być.

Światła gasną. Pewnie regulator czasowy się zatrzymał. Szukam włącznika. Jest tu strasznie ciemno i natychmiast czuję się zdezorientowana. Robię krok w lewo i ocieram się o coś. Cholera, muszę być ostrożniejsza; w końcu jestem dosłownie otoczona ścianami szkła.

Wreszcie dostrzegam nikły pomarańczowy punkcik kolejnego włącznika. Naciskam go i pomieszczenie znów kąpie się w blasku żarówek.

Odwracam się, żeby znaleźć drzwi. To dziwne – zdawało mi się, że zostawiłam je otwarte. Przekręcam klamkę, ale kiedy pociągam za nią, nic się nie dzieje. Drzwi ani drgną. Co, do diabła? Nie, to chyba niemożliwe. Próbuję jeszcze raz, z tym samym skutkiem. I jeszcze raz, wkładając w to całą moją siłę.

Ktoś mnie tutaj zamknął. To jedyne wytłumaczenie.

Konsjerżka

Stróżówka

Jest dopiero popołudnie, ale słońce przygasa, a cienie się wydłużają. Słyszę pukanie do drzwi mojego domku i od razu myślę, że to on, Benjamin Daniels. Jedyne z mieszkańców, który zniżał się do odwiedzania mnie tutaj. Wracam myślą do jego pierwszej wizyty, kiedy zapukał do moich drzwi, zupełnie mnie zaskakując:

– Bonjour, madame. Chciałem się tylko przedstawić. Właśnie wprowadzam się na trzecie piętro, więc chyba jesteśmy sąsiadami! – Najpierw uznałam, że się ze mnie naigrawa, ale jego uprzejmy uśmiech temu przeczył. Musiał jednak wiedzieć, że nie ma takiej rzeczywistości, w której moglibyśmy być sąsiadami, czyż nie? Mimo wszystko zrobił na mnie wrażenie.

Pukanie rozlega się znowu i tym razem słyszę w nim władczość. Oczywiście, że to nie on... To byłoby niemożliwe.

Otwieram drzwi i widzę ją stojącą za progiem. Sophie Meunier – dla mnie madame. Wygląda nienagannie, jak zwykle; elegancki beżowy płaszcz, lśniąca czarna torebka, czarny hełm gładkich włosów i jedwabna apaszka na szyi. Należy do plebisy kobiet, które spacerują lepszymi ulicami tego miasta, z torbami na zakupy zrobionymi ze sztywnego papieru ze złotym logo, pełnymi ubrań od najlepszych projektantów mody i innych kosztownych objets. Na smyczy prowadzą malutkiego pieska, koniecznie rasowego. Mają bogatych mężów z ich małymi romansami cinq-à-sept[4], wspaniałe apartamenty i białe wakacyjne domki z okiennicami na wyspie Île de Ré. Urodzone i wychowane tutaj, pochodzące ze starych francuskich bogatych rodzin (a przynajmniej chcą, żeby ludzie tak właśnie myśleli). Nic krzykliwego, nic nouveau – wyłącznie elegancka prostota, jakość i znakomity rodowód.

– Oui, madame? – pytam.

Odsuwa się o krok od drzwi, jakby nie mogła znieść takiej bliskości i uważała, że w jakiś sposób mogłaby zarazić się biedą.

– Ta dziewczyna – mówi. Nie używa mojego imienia. Nigdy tego nie robiła. Nie jestem pewna, czy w ogóle je zna. – Ta, która przyjechała wczoraj w nocy... i zatrzymała się w mieszkaniu na trzecim piętrze.

– Oui, madame?

– Masz ją obserwować. Chcę wiedzieć, kiedy wychodzi, kiedy wraca i czy ma jakichś gości. To bardzo ważne. Comprenez-vous? Rozumiesz?

– Oui, madame.

– Doskonale. – Jest niewiele wyższa ode mnie, ale jakimś cudem spogląda na mnie z góry, jakby była jakimś wielkoludem. Potem odwraca się i odchodzi tak szybko, jak pozwala jej na to srebrzysty pies, drepczący jej po piętach.

Obserwuję, jak się oddala, a potem idę do mojego malutkiego biurka i otwieram szufladę. Zaglądam do środka i sprawdzam zawartość.

Ta kobieta może traktować mnie z góry, ale wie, którą posiadam, daje mi władzę i sądzę, że ona o tym wie. Podejrzewam, chociaż nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby to przyznać, że madame Meunier trochę się mnie boi.

Zabawne: mamy ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się zdawać. Obie mieszkamy w tym budynku od wielu lat. Obie na swój sposób stałyśmy się niewidoczne, tworzymy część scenerii.

Ja jednak wiem, jakiego rodzaju człowiekiem naprawdę jest madame Sophie Meunier i do czego jest zdolna.

[4] Fr. między piątą a siódmą (godziną). Spotkanie z kochankiem/kochanką po pracy, przed powrotem do domu.

Jess

– Halo? – wrzeszczę. – Czy ktoś mnie słyszy?

Czuję, jak ściany pochłaniają dźwięki. Mój krzyk się nie przebija. Bez sensu. Napieram na drzwi z całej siły, z nadzieją, że ciężar mojego ciała pomoże mi zerwać zamek. Bezskutecznie. Równie dobrze mogłabym forsować betonową ścianę. W panice walę w drewno.

Cholera. Cholera.

– Hej! – krzyczę zrozpaczona. – HEJ! POMOCY!

Ostatnie słowo. Nagłe wspomnienie innego pokoju. Mnie, krzyczącej z całych sił, aż do utraty głosu, ale i tak niewystarczająco głośno... nigdy wystarczająco głośno. Nikt się nie pojawi. Pomocy, pomocy, pomocy, niech ktoś mi pomoże, ona nie...

Cała się trzęsę.

I nagle drzwi się otwierają i widzę światło. W progu stoi mężczyzna. Cofam się. To Antoine, gość, który jeszcze niedawno rozbił butelkę i brzeg stolika...

Nie... teraz widzę, że się mylę. Być może zdezorientował mnie jego wzrost, szerokość ramion, ale ten mężczyzna jest młodszy i w słabym świetle widzę, że ma jaśniejsze włosy, koloru ciemnego złota.

– Ça va? – pyta. – Wszystko w porządku? – dodaje po angielsku. – Przyszedłem zabrać pranie i usłyszałem...

– Jesteś Brytyjczykiem! – wyrywa mi się. Rodowitym Brytyjczykiem, dodajmy. Ma bardzo wytworny akcent człowieka z wyższych sfer – trochę taki, jakiego nabawił się Ben po zamieszkaniu z nowymi rodzicami.

Spogląda na mnie, jakby czekał na jakieś wytłumaczenie.

– Ktoś mnie tutaj zamknął – wyjaśniam. Adrenalina już opadła i czuję się cała rozdygotana. – Zrobił to specjalnie.

Mężczyzna przeciąga dłonią po włosach i marszczy czoło.

– Nie sądzę. Kiedy otwierałem drzwi, były zaklinowane. Klamka chodzi zbyt sztywno.

Myślę o tym, jak mocno rzuciłam się na drzwi. Czy rzeczywiście mogły być tylko zaklinowane?

- W każdym razie dziękuję – odpowiadam słabo.
- Nie ma za co. – Odsuwa się i spogląda na mnie. – Co pani tu robi? To znaczy nie w cave, tylko w mieszkaniu?
- Znasz Bena z trzeciego piętra? Miałam się u niego zatrzymać...
Ściąga brwi.
- Ben nie mówił mi, że będzie miał gościa.
- Ach, bo zdecydowałam się w ostatniej chwili – wyjaśniam. – Więc...
znasz Bena?
- Tak. To mój stary dobry znajomy. A pani kim jest?
- Jess. Jess Hadley, jego siostra.
- Jestem Nick. – Wzrusza ramionami. – Ja... to ja zasugerowałam, żeby tu przyjechał i zamieszkał w tym domu.

Nick

Drugie piętro

Zasugerowałem, żebyśmy zamiast stać tutaj i rozmawiać w chłodnych ciemnościach cave, poszli do mojego mieszkania. Teraz zaczynam żałować, że ją zaprosiłem. Zamiast usiąść, zgodnie z sugestią, chodzi po pokoju, oglądając mój rower pelotonowy i półki z książkami. Jej dżinsy są wytarte na kolanach, brzeg swetra postrzępiony, paznokcie poobgryzane aż do żywej skóry, wyglądają jak małe fragmenty pękniętej muszelki. Emanuje nerwową energią, zupełnie nie jak Ben, zawsze rozleniwiony i wyluzowany. Wyraża się również inaczej; zgaduję, że nie chodziła do prywatnej szkoły. Choć przekonałem się, że i akcent Bena zmieniał się często, w zależności od tego, z kim rozmawiał.

– Hej – mówi nagle. – Mogę obmyć twarz wodą? Jestem strasznie spocona.

– Proszę bardzo. – Cóż innego mógłbym powiedzieć?

Wraca po kilku minutach. Chwytam nozdrzami zapach Annick Goutal Eau de Monsieur. Albo sama również używa tych perfum (w co szczerze wątpię), albo skorzystała z moich.

– Lepiej? – pytam.

– Tak, dużo lepiej, dzięki. Fajny masz prysznic. Deszczownica, tak to się nazywa, prawda?

Nadal obserwuję ją, kiedy rozgląda się po pokoju. Widzę pewne podobieństwa. Pod pewnym kątem nawet bardzo duże... Ale cerę ma inną niż Ben, jej włosy są ciemnokasztanowe, a nie brązowe, a poza tym jest drobna i szczupła. W połączeniu z tym, w jaki sposób kręci się po moim domu, ciekawska, oceniająca to miejsce, przywodzi na myśl małego liska.

– Dzięki za pomoc – mówi. – Przez chwilę myślałam, że stamtąd nie wyjdę.

– Ale co ty do diaska robiłaś w cave?

– W czym?

– Cave. Piwnica po francusku – wyjaśniam.

– Ach, rozumiem. – Zaczyna obgryzać naskórek przy paznokciu kciuka. Wzrusza ramionami.

– Chciałam się rozejrzeć. – Widziałem butelkę wina w jej ręku i to, że szybko odłożyła ją z powrotem na półkę, kiedy sądziła, że nie patrzę. Nie zamierzam o tym wspominać. Właściciel tej piwniczki może sobie pozwolić na utratę kilku egzemplarzy z kolekcji. – Jest ogromna – mówi.

– W czasie wojny używało jej Gestapo – mówię. – Ich kwatera główna była w alei Focha, w pobliżu Bois de Boulogne, ale pod koniec okupacji mieli... za dużo więźniów. Trzymali ich w cave. Członków ruchu oporu i im podobnych.

Krzywi się.

– No cóż, to pewnie ma sens. To miejsce ma dziwną atmosferę, wiesz? Moja mama interesowała się tego typu rzeczami: energią, aurami, wibracjami.

Interesowała. Pamiętam, jak Ben opowiadał mi o swojej mamie któregoś wieczora, kiedy upił się w pubie. Podejrzewam jednak, że nawet pijany nie ujawnił tego, czego nie chciał.

– W każdym razie ja nigdy nie wierzyłam w takie rzeczy – ciągnie Jess. – Ale w tym miejscu naprawdę jest coś takiego, co wywołuje dreszcze – reflektuje się. – Przepraszam. Nie chciałam obrazić...

– Nie, nic nie szkodzi. Chyba wiem, o co ci chodzi. Dobra, zatem jesteś siostrą Bena. – Chcę się dowiedzieć, co dokładnie tutaj robi.

Kiwa głową.

– Uhm. Ta sama mama, inni ojcowie.

Zauważyłem, że nie wspomina nic o adopcji Bena. Pamiętam uczucie szoku, kiedy się o tym dowiedziałem. W gruncie rzeczy miało to jednak sens – fakt, że nie można go było włożyć do żadnej przegródki, tak jak pozostałych kolegów z uniwersytetu: statecznych gości z klubu wioślarskiego, kujonów z wyróżnieniami i wyluzowanych imprezowiczów. Owszem, miał akcent chłopaka ze szkoły prywatnej, łatwość nawiązywania kontaktów, ale zawsze miało się wrażenie, że pod tym wszystkim kryje się jeszcze coś – coś twardego, mrocznego. Może dlatego ludzie zawsze byli nim zaintrygowani.

– Podoba mi się twój ekspres Gaggia – mówi Jess, wędrując w stronę kuchni. – Mieli podobny w kawiarni, w której kiedyś pracowałam. – Śmieje się bez humoru. – Może nie chodziłam do ekskluzywnej szkoły ani na

uniwersytet, jak mój brat, ale wiem, jak zrobić doskonałą mikropiankę. – W jej głosie wyczuwam nutkę goryczy.

– Chcesz się napić kawy? Mogę ci ją przyrządzić, ale obawiam się, że mam tylko mleko owsiane.

– A masz może jakieś piwo? – pyta z nadzieją. – Wiem, że jest wcześniej, ale napiłabym się czegoś mocniejszego.

– Jasne. I usiądź sobie. – Wskazuję na sofę. Obserwowanie jej przemierzającej pokój w połączeniu z brakiem snu sprawia, że zaczyna mi się trochę kręcić w głowie.

Podchodzę do lodówki i wyciągam dwie butelki: piwo dla Jess i kombucę dla mnie – nigdy nie piję alkoholu przed dziewiętnastą. Chcę zaoferować, że otworzę jej butelkę, ale ona wyciąga zapalniczkę z kieszeni, podkłada pod kapsel, przytrzymując go palcem wskazującym, i w jakiś sposób podważa zamknięcie. Obserwuję ją zdumiony i lekko zdegustowany jednocześnie. Kim jest ta dziewczyna?

– Ben chyba nie wspominał, że zamierzasz do niego przyjechać z wizytą – mówię na tyle swobodnie, na ile potrafię. Nie chcę, żeby poczuła się o cokolwiek oskarżona. Rzecz w tym, że Ben naprawdę nic o tym nie mówił. Oczywiście od kilku tygodni nie rozmawialiśmy zbyt często. Był bardzo zajęty.

– Cóż, sprawa wypłynęła jakby w ostatniej chwili. – Zbywa mnie machnięciem dłoni. – Kiedy go widziałeś ostatnio?

– Zdaje się, że kilka dni temu.

– Więc nie odzywał się do ciebie dzisiaj?

– Nie. Coś się stało?

Przyglądam się, jak obgryza paznokiec tak blisko skóry, że aż krzywię się w duchu. Widzę małą kropelkę krwi wykwitającą obok miękkiej części paznokcia.

– Nie było go tutaj, kiedy przyjechałam wczoraj w nocy, i nie dał znaku życia od wczorajszego wieczora. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale czy Ben mógł wplątać się w jakieś kłopoty?

Wypluwam zaskoczony łyk napoju, który właśnie upiłem.

– Kłopoty? Jakiego rodzaju kłopoty?

– Po prostu... coś jest nie w porządku. – Bawi się nerwowo złotym łańcuszkiem. Widzę medalik świętego, taki sam jak u Bena. – Zostawił mi wiadomość na poczcie głosowej... urywa się jakby w połowie. A teraz nie odbiera telefonu, nie przeczytał żadnej z moich wiadomości. Jego portfel

i klucze nadal są w mieszkaniu... i nie wziął vespy, bo widziałam ją w piwnicy...

– Ale to przecież cały Ben, nieprawdaż? – odpowiadam. – Pewnie wyjechał gdzieś na kilka dni, za jakąś historią, z kilkuset euro w tylnej kieszeni spodni. Stąd można dojechać praktycznie w każde miejsce Europy. Zawsze taki był, od czasów uniwersytetu. Znikał i wracał po kilku dniach, twierdząc, że wyskoczył do Edynburga, bo tak się mu zachciało, albo że chciał zobaczyć Norfolk Broads[5], albo że zatrzymał się w hostelu i łąził po Brecon Beacons[6].

Reszta z nas siedziała w tej naszej małej bańce studenckiej rzeczywistości, ledwie pamiętając (niektórzy z nas celowo) o istnieniu świata zewnętrznego. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy jej opuścić, a Ben podróżował, sam, zupełnie jakby nie istniała dla niego żadna bariera. Zawsze gnał go głód, pragnienie przygody.

– Nie sądzę. – Jess wcina się w moje wspomnienia. – Nie zrobiłby tego... nie, kiedy wiedział, że zamierzam przyjechać. – Nie wydaje się jednak stuprocentowo pewna. Jej słowa zabrzmiały niemal jak pytanie. – W każdym razie, zdaje się, że znasz go całkiem nieźle?

– Nie mieliśmy ze sobą wiele kontaktu, aż do niedawna. – To przynajmniej prawda. – Wiesz, jak to jest. Skontaktował się ze mną, kiedy przeprowadził się do Paryża. A kiedy się spotkaliśmy... było zupełnie tak, jakbyśmy się rozstali poprzedniego dnia.

Wracam myślami do tego dnia, niemal trzy miesiące temu. Pamiętam swoje zaskoczenie, nawet szok, na widok jego e-maila po tak długim czasie, po wszystkim, co się stało. Spotkaliśmy się w barze sportowym w Saint-Germain: lepka podłoga, lepki kontuar, podpisane przez rugbistów koszulki rozpięte na ścianach, kawałki lekko zapleśniałej charcuterie dodawanej do piwa i rozgrywki klubowe na około piętnastu różnych monitorach rozsianych po całym pubie. Było to jednak nostalgiczne, niemal takie samo miejsce, do jakich chodziliśmy jako studenci, popijając kwarty piwa i udając, że jesteśmy prawdziwymi mężczyznami.

Szybko nadrobiliśmy zaległości ostatniej dekady: mój czas spędzony w Palo Alto, jego dziennikarstwo. Wyciągnął telefon, żeby zaprezentować mi swój dorobek.

– Nie jest to szczególnie... demaskatorska robota – powiedział ze wzruszeniem ramion. – Nie to, co naprawdę chciałem robić. Bądźmy

szczyry, to błahostki, ale w tej chwili w tym zawodzie nie jest łatwo. Powinienem pójść na jakiś kierunek techniczny, jak ty.

Zakaszlałem z zakłopotaniem.

– Stary, wiesz, ja też niekoniecznie podbiłem świat technologii. – Było to zdecydowane niedopowiedzenie. Byłem jednak niemal równie rozczarowany jego brakiem sukcesu jak swoim własnym. Spodziewałem się, że do tej pory napisał już jakąś nagrodzoną powieść. Pisaliśmy razem projekty, ale on zawsze lubował się bardziej w fikcji niż w rygorystycznym dziennikarstwie faktów. Jeżeli ktokolwiek miał odnieść sukces, byłem pewien, że będzie to Ben Daniels. Jeżeli jemu się nie udało, jakie szanse miała reszta z nas?

– Czuję się, jakbym uganiał się za ochłapami – powiedział. – Owszem, jadam w fajnych restauracjach, od czasu do czasu trafi mi się darmowa balanga, ale nie jest to coś, co by mnie satysfakcjonowało. Żeby dorobić się nazwiska, trzeba trafić na dużą sprawę, naprawdę coś wyjątkowego. Mam już dość Londynu i tej kliki oldbojów. Pomyślałem, że spróbuję szczęścia tutaj.

Cóż, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, obaj mieliśmy wielkie plany. Nawet jeśli moje życie nie poszło tak, jak chciałem, przynajmniej udało mi się spieprzyć z domu, od mojego starego.

Nagle brzęknięcie wyrywa mnie z zamyślenia. Jess, znów krążąca po mieszkaniu, strąciła z półki fotografię: jedną z niewielu, które tu mam.

Podnosi ją.

– Przepraszam. Fajna łódka. Na zdjęciu.

– To jacht mojego ojca.

– A to ty, razem z nim?

– Tak. – Miałem wtedy jakieś piętnaście lat. Na zdjęciu ojciec trzyma rękę na moim ramieniu, obaj uśmiechamy się do obiektywu. Tego dnia naprawdę udało mi się sprawić na nim wrażenie, kiedy przejąłem na jakiś czas stery. Był to jeden z bardzo nielicznych momentów, kiedy dane mi było poczuć jego dumę.

Jess nagle wybucha śmiechem.

– A to wygląda jak rodem z Harry’ego Pottera – mówi. – Te czarne peleryny. Czy to...

– Cambridge. – Nasza grupka po formalnym spotkaniu, stojąca na Jesus Green przy rzece Cam w blasku zachodzącego słońca, w togach, trzymamy

do połowy wypite butelki wina. Spoglądając na to zdjęcie, niemal czuję zielony zapach świeżo skoszonej trawy: esencję angielskiego lata.

– To tam poznałeś Bena?

– Tak. Pracowaliśmy razem nad wydawaniem „Varsity”: on nad artykułami, ja obsługiwałem stronę internetową. Obaj chodziliśmy do Jesusa.

Wywraca oczami.

– Ależ oni wymyślają nazwy dla tych college’ów. – Przygląda się uważniej fotografii, mrużąc oczy. – Bena nie ma na tym zdjęciu, prawda?

– Nie. On akurat je zrobił. – Zaśmiewał się, ustawiając nas w odpowiedniej pozycji. Cały Ben, stojący za obiektywem, a nie przed nim, opowiadający historię, a niebiorący w niej udziału.

Jess podchodzi do półek z książkami. Przechadza się w tę i we w tę, odczytując tytuły. Trudno mi sobie wyobrazić, że ta kobieta kiedykolwiek przestaje się ruszać.

– Masz dużo książek po francusku. Czy to właśnie Ben robił w Cambridge? Studiował francuski czy coś w tym stylu?

– Tak, na początku wybrał języki współczesne. Potem przerzucił się na literaturę angielską.

– Naprawdę? – Jakiś cień przesłania jej twarz. – Ja nie... nie wiedziałam tego o nim. Nigdy mi nie powiedział.

Przypominam sobie fragmenty opowieści Bena o swojej siostrze, z czasów naszych wspólnych podróży; o tym, że jej było w życiu dużo trudniej, nie miała nikogo, kto by się nią zaopiekował, błąkała się po rodzinach zastępczych, ale nie znalazła takiej, która by ją zaadoptowała.

– Więc to ty jesteś tym przyjacielem, który pomógł mu znaleźć to mieszkanie, tak? – pyta.

– Tak, to ja.

– Brzmi niesamowicie – powiedział, kiedy zasugerowałem to podczas kolejnego spotkania. – Jesteś absolutnie pewien co do czynszu? Myślisz, że naprawdę będzie taki niski? Bo muszę ci powiedzieć, że w tej chwili kiepsko u mnie z forszą.

– Pozwól, że jeszcze się dowiem, chociaż jestem prawie pewien – odparłem. – Wiesz, to mieszkanie nie jest w najlepszym stanie. Jeżeli nie przeszkadzają ci nieco... antyczne detale...

Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zupełnie nie. Znasz mnie. Lubię miejsca z charakterem. Poza tym daję ci słowo, to dużo lepsze niż sypianie u ludzi na kanapach. Mogę przywieźć mojego kota?

Roześmiałem się.

– Na pewno tak – obiecałem mu, że wszystkiego się dowiem. – Jestem przekonany, że jeśli chcesz tam zamieszkać, mieszkanie jest twoje.

– Cóż... dzięki, stary. Ja... serio, to brzmi niesamowicie.

– Nie ma problemu. Cieszę się, że mogę pomóc. Czyli co, jesteś zainteresowany?

– Jeszcze jak! – roześmiał się. – Pozwól, że postawię ci jeszcze jedną kolejkę, w ramach świętowania.

Siedzieliśmy tam całe godziny, wypiliśmy kilka piw i nagle zrobiło się zupełnie tak jak w Cambridge, jakby całe te dziesięć lat w ogóle nie minęło.

Ben wprowadził się do mieszkania kilka dni później. Tak szybko. Stałem razem z nim w środku, kiedy rozglądał się po pomieszczeniu.

– Wiem, że jest trochę retro – powiedziałem.

– Cóż, rzeczywiście ma... swój charakter – odparł. – Wiesz co? Myślę, że nie będę tutaj nic zmieniał. Podoba mi się. Gotycki styl.

A ja pomyślałem, jak to fajnie znów mieć w pobliżu swojego dobrego przyjaciela. Ben uśmiechnął się do mnie radośnie i nagle z jakiegoś powodu poczułem, że wszystko będzie dobrze. Może nawet lepiej niż dobrze. Zupełnie jakby miało mi to pomóc odnaleźć tego człowieka, którym kiedyś, dawno temu byłem.

– Czy mogę skorzystać z twojego komputera?

– Słucham? – Pytanie wyrywa mnie z zamyślenia. Widzę, że Jess stoi obok mojego iMaca.

– Te cholerne opłaty za roaming zupełnie mnie dobijają. Pomyślałam, że mogłabym zajrzeć jeszcze raz na Instagram Bena, w razie gdyby coś się stało z jego telefonem, ale udało się mu jakoś mi odpowiedzieć.

– Eee... mogę ci podać moje hasło do wifi? – sugeruję, ale ona siada już i kładzie dłoń na myszce. Wygląda na to, że nie mam żadnego wyboru w tej kwestii.

Porusza myszką i ekran się rozjaśnia.

– Zaraz... – Nachyla się, wpatrując w tapetę, a potem odwraca się do mnie. – To ty i Ben, prawda? Rany, wygląda tutaj strasznie młodo. Ty też.

Nie włączałem komputera przez kilka dni. Zmuszam się do spojrzenia w tamtym kierunku.

– Tak, byliśmy młodzi. Jeszcze w zasadzie dzieciaki. – Jakie to dziwne, kiedy teraz o tym myślę. Wtedy czułem się strasznie dorosły; jakby wszystkie tajemnice świata zostały mi nagle ujawnione. Mimo to nadal byliśmy tylko dziećmi. Spoglądam za okno. Nie muszę patrzeć na fotografię; widzę ją, kiedy zamknę oczy. Złote światło, Ben i ja mrużący oczy przed słońcem.

– Gdzie wtedy byliście?

– Włączyliśmy się całą grupą pociągami po Europie przez całe lato, po egzaminach końcowych.

– Pociągami?

– Tak, po całym kontynencie... było niesamowicie. – I to prawda. Najlepsze chwile mojego życia.

Spoglądam na Jess, która umilkła, zatopiona we własnych myślach.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, jasne. – Zmusza się do uśmiechu, ale wygląda, jakby wyparowała z niej spora dawka energii. – Gdzie... skąd jest to zdjęcie?

– Z Amsterdamu, tak sędzę.

Wcale nie sędzę, ja wiem. Jak mógłbym zapomnieć?

Spoglądając na to zdjęcie, nadal czuję słońce późnego lipca na mojej twarzy i siarczany odór kanałów. Wspomnienie jest nader wyraźne, chociaż pochodzi sprzed ponad dziesięciu lat. Na tej wycieczce wszystko wydawało się ważne: wszystkie wypowiedziane słowa, wszystkie czyny.

[5] Park narodowy z grupą płytkich jezior połączonych siecią rzek.

[6] Jeden z trzech walijskich parków narodowych, obejmujący pasmo górskie.

Jess

– Właśnie sobie przypomniałem. – Nick spogląda na zegarek. – Muszę się zbierać. Przepraszam. Wiem, że chciałaś skorzystać z komputera.

– Och. – Czuję się nieco zbity z tropu. – Nie ma sprawy. To może dasz mi to swoje hasło? Zobaczą, czy uda mi się połączyć z internetem.

– Jasne.

Nagle wygląda, jakby bardzo się spieszył do wyjścia. Może jest spóźniony?

– Dokąd idziesz? – pytam. – Do pracy?

Zastanawiałam się, czym zajmuje się zawodowo. Wszystko w tym gościu krzyczy o dużych pieniądzach. Nie, nie krzyczy, raczej szepcze. Rozglądając się po jego mieszkaniu, zauważyłam bajeranckie głośniki (Bang & Olufsen – sprawdzę je później w internecie, ale wyglądają na dość kosztowne), aparat fotograficzny (Leica), gigantyczny monitor w rogu (Apple) i ten profesjonalny ekspres do kawy. Trzeba się jednak dobrze przyjrzeć, żeby dostrzec to bogactwo. Wszystko tutaj wygląda, jakby należało do bogatego człowieka, który jednak nie lubi się tym przechwalać... może nawet jest nieco zażenowany tym dobrobytem. Każdy przedmiot opowiada jednak historię, podobnie jak książki na półkach, z tytułami, których nie mogę zrozumieć: Inwestycje w przyszłość, Inwestor techniczny, Schwytać jednorożca, Nauka samodyscypliny. To samo dotyczy łazienki Nicka. Spędziłam tam kilka sekund, obmywając twarz zimną wodą, a potem przejrzałam jego szafki. To, co ludzie trzymają w łazience, może nam dużo o nich powiedzieć. Nauczyłam się tego, kiedy zabierano mnie na spotkanie z potencjalnymi rodzinami zastępczymi. Nikt nie zabroni gościowi skorzystać z toalety. Chodziłam więc do łazienek i rozglądałam się; czasem kradłam jakąś szminkę albo buteleczkę perfum, czasem w drodze powrotnej zaglądałam do pokoi, żeby sprawdzić, czy dana rodzina ukrywa coś przerażającego lub dziwnego.

W łazience Nicka znalazłam wszystkie typowe przedmioty: płyn do płukania ust, pastę do zębów, wodę po goleniu, paracetamol, eleganckie przybory do mycia, z nazwami takimi, jak Aesop czy Byredo, a także, co

interesujące, dość spory zapas oksykodonu. Każdy człowiek czymś się truje. Rozumiem to doskonale. Sama w młodości próbowałam tego i owego. Kiedy czułam, że łatwiej byłoby przestać się przejmować czymkolwiek i choć na chwilę porzucić to życie. Ostatecznie okazało się, że to nie dla mnie, ale rozumiem taką potrzebę. A bogaci faceci też czują ból, czyż nie?

– Jestem teraz jakby... zmieniam pracę – mówi Nick.

– Co robiłeś przedtem? – Z niechęcią odsuwam się od biurka. Jestem prawie pewna, że jego ostatnia praca nie wymagała codziennego przebywania wśród nadmuchiwanych palm i flamingów zwisających z sufitu.

– Przez jakiś czas byłem w San Francisco. W Palo Alto. Start-upy technologiczne. Anioł biznesu. Kojarzysz?

– Eee... nie.

– Byłem inwestorem.

– Ach. – To pewnie przyjemne, być tak zblazowanym, jeśli chodzi o rozglądanie się za pracą. Najwyraźniej jego „szukanie pracy” nie było motywowane problemami finansowymi.

Nick przeciska się obok mnie, ruszając do wyjścia. Stoję mu na drodze, a on, będąc kulturalnym chłopcem z wyższych sfer, pewnie był zbyt uprzejmy, aby poprosić, żebym się przesunęła. Kiedy przechodzi obok mnie, czuję zapach jego wody kolońskiej: ciężkiej, drogiej i znamienitej – tej samej, którą spryskałam się w jego łazience.

– Och, przepraszam, spóźnisz się przeze mnie.

– Nie ma sprawy – odpowiada, ale mam wrażenie, że wcale nie jest tak zrelaksowany, jak mógłby świadczyć o tym jego ton. Dostrzegam chyba coś w jego postawie, w zaciśnięciu szczęk.

– W każdym razie dzięki za pomoc.

– Słuchaj, jestem pewien, że nie masz się czym martwić – mówi. – Mimo to służę pomocą. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, gdybyś miała jakieś pytania, postaram się na nie odpowiedzieć.

– Tylko jedna rzecz – odpowiadam. – Czy Ben się z kimś spotykał? Marszczy czoło.

– Spotykał?

– Tak. W sensie, czy miał jakąś dziewczynę albo jakiś romans?

– Dlaczego pytasz?

– Mam pewne podejrzenia. – Nie to, że jestem pruderyjna, ale czuję dziwną niechęć na myśl o opisywaniu majątek znalezionych w łóżku Bena.

– Hmm... – Przeczesuje palcami włosy i jego loczki robią się bardziej bezładne. Jest piękny. Owszem, koncentruję się przede wszystkim na odnalezieniu Bena, ale nie jestem przecież ślepa. Zawsze miałam głupią słabość do sztywnych facetów. Nie mówię, że jestem z tego dumna.

– Nic o tym nie wiem – mówi wreszcie. – Nie sądzę, żeby miał dziewczynę, ale myślę, że nie wiem wszystkiego o jego życiu tutaj, w Paryżu. Mało się kontaktowaliśmy, zanim tu przyjechał.

– Tak. – Wiem, jak to jest.

Ale to przecież typowy Ben, nieprawdaż? Nick powiedział to przed chwilą. Zawsze taki był, od czasów uniwersytetu. A ja myślałam wtedy tylko jedno: jest? był? A jeśli zawsze miał skłonności do wybierania się gdzieś bez zapowiedzi, od czasów Cambridge, dlaczego nie znalazł więcej czasu, żeby mnie odwiedzić? Zawsze twierdził, że jest „zajęty pisaniem prac” albo „nie mogę opuścić moich zajęć uzupełniających; wiesz, jak to jest”. Oczywiście wcale nie wiedziałam – i Ben zdawał sobie z tego sprawę. Jedyne raz, kiedy mnie odwiedził (byłam wtedy u rodziny zastępczej w Milton Keynes), to wtedy, kiedy zasugerowałam, że przyjadę do Cambridge. Miałam podejrzenie, że pojawienie się jego niechlujnej siostry z sierocińca i zburzenie jego wizerunku będzie wystarczającą groźbą i zadziała. Myśląc teraz o tym, czuję ukłucie czegoś, co mam nadzieję, jest gniewem, a nie bólem. Urażona duma jest okropna.

– Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc – mówi Nick. – Jeśli będziesz mnie potrzebować, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Jestem piętro niżej.

Spoglądamy sobie w oczy. Jego są prawie granatowe, a nie brązowe, jak na początku sądziłam. Próbuję nie zwracać uwagi na pociąg, jaki do niego czuję. Czy mogę zaufać temu mężczyźnie? Jest przyjacielem Bena. Twierdzi, że chce mi pomóc. Problem w tym, że niechętnie ufam ludziom. Zbyt długo musiałam radzić sobie sama. Nick może się jednak okazać użyteczny. Zna Bena, najwyraźniej lepiej niż ja, pod wieloma względami. Mówi po francusku, wydaje się porządnym człowiekiem. Wspominam dziwną, nerwową Mimi i chłodną Sophie Meunier. Miło jest pomyśleć, że ktoś w tym budynku może okazać się przydatnym sprzymierzeńcem.

Przyglądam się, jak zakłada elegancki granatowy wełniany płaszcz i owija szyję miękkim szarym szalikiem.

Podchodzi do drzwi i otwiera je dla mnie.

– Miło było cię poznać, Jess – mówi z lekkim uśmiechem. Wygląda jak anioł z obrazu. Nie wiem, skąd mi się wzięła ta myśl; może stąd, że sam

użył tego słowa, ale wiem, że do niego pasuje, idealnie. Upadły anioł. Te jego ciemnozłote loki i cienie pod granatowymi oczami. Mama również miała słabość do aniołów. Zawsze mówiła mi i Benowi, że wszyscy mamy swoich własnych Aniołów Stróżów, którzy się nami opiekują. Szkoda, że jej Anioł Stróż nie bardzo się spisał.

– Słuchaj, Jess, jestem pewien, że Ben się wkrótce pojawi – dodaje Nick.

– Dzięki. Ja też tak myślę. – Próbuję w to uwierzyć.

– Wiesz co, podam ci mój numer telefonu.

– Och, to byłoby świetnie. – Wręczam mu komórkę, żeby wpisał swoje dane.

Kiedy mi ją oddaje, nasze palce stykają się na chwilę i Nick szybko opuszcza rękę.

Po powrocie do mieszkania Bena z ulgą przekonuję się, że dzięki hasłu do wifi podanemu przez Nicka mogę się połączyć z internetem. Zaglądam na Instagram Bena i szukam „Nicka Millera” (nazwisko, które wpisał do telefonu), ale nie widzę go wśród znajomych brata. Próbuję go znaleźć w ogólnym wyszukiwaniu i dostaję listę pełną Nicków Millerów ze wszystkich stron świata: Stanów, Kanady, Australii. Zabieram się za przeglądanie ich stron, aż zaczynają boleć mnie oczy ze zmęczenia, ale wszyscy są zbyt młodzi, zbyt łyси albo z niewłaściwego kraju. Google również okazuje się bezużyteczne: znajduję jakiegoś fikcyjnego Nicka Millera z serialu telewizyjnego. Informacje o nim wypełniają listę wyników googlowania. Poddaję się. Właśnie zamierzam odłożyć telefon do kieszeni, kiedy brzęczy, informując o nadejściu wiadomości. Przez chwilę myślę: Ben! To wiadomość od Bena! Byłoby fantastycznie, po całym tym...

Wiadomość jest z nieznanego numeru:

„Dostałem Twoją wiadomość o Benie. Nie skontaktował się ze mną, ale obiecał mi kilka artykułów i ofertę historii. Pracuję dziś cały dzień w kawiarni Belle Epoque obok Jardin du Luxembourg. Możemy się tam spotkać. T.”

Przez chwilę jestem zdezorientowana, a potem wracam do mojej wiadomości i orientuję się, że to facet, do którego napisałam wcześniej. Wyjmuję portfel Bena z tylnej kieszeni dżinsów, żeby przypomnieć sobie jego nazwisko. Theo Mendelson, wydawca paryskiej edycji „Guardiana”.

„Jadę do Pana”, odpisuję.

Wsuwając wizytówkę do portfela, dostrzegam coś jeszcze. Zauważam to, ponieważ jest dość nietypowe; wykonane z metalu, ciemnogniatowe, z symbolem eksplodujących sztucznych ogni wybitych w złocie. Nie ma żadnych numerów ani chipu. Nie jest to karta kredytowa, ale również nie wizytówka. W takim razie co? Waham się, przez chwilę ważę w dłoni, a potem wkładam do kieszeni.

Kiedy otwieram drzwi prowadzące na dziedziniec, zdaję sobie sprawę, że zaczęło się już ściemniać. Niebo przybrało kolor starego siniaka. Kiedy to się stało? Nie zauważyłam upływu godzin. To miejsce pochłonęło mnie niczym jakiś potwór z bajki.

Przemierzając dziedziniec, słyszę dźwięk gdzieś blisko mnie. Coś chrobocze. Odwracam się i drgam, widząc małą zgarbioną postać stojącą zaledwie kilka metrów ode mnie, po prawej stronie. To starsza kobieta, ta, którą widziałam zeszłej nocy. Ma na sobie długi powyciągany sweter narzucony na fartuch, a siwe włosy skryła pod chustką. W jej twarzy zwraca uwagę duży nos, wystająca broda i głęboko osadzone oczy. Jest między siedemdziesiątką a dziewięćdziesiątką. Trzyma w ręku miotłę, za pomocą której zgarnia opadłe liście na kupkę. Wpatruje się we mnie intensywnie.

– Bonsoir – mówię. – Eee... widziała pani Bena? Z trzeciego piętra? – Wskazuję na okna mieszkania. Ona jednak tylko zamiata: szu, szu, szuuu, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Podchodzi jeszcze bliżej, wpatrując się we mnie niemal bez mrugania. Raz, tylko raz, bardzo szybko zerka na budynek, jakby coś sprawdzała. Potem otwiera usta i przemawia z cichym świstem, zupełnie jakby mówiła językiem opadłych liści:

– Nie ma tu nic dla ciebie.

Gapię się na nią.

– Co pani ma na myśli?

Staruszka potrząsa głową, a potem odwraca się i odchodzi, zabierając się z powrotem za zamiatanie liści. Cała scenka odbywa się tak szybko, że trudno mi uwierzyć, iż w ogóle się wydarzyła. Prawie.

Wpatruję się w jej zgarbioną, starzejącą się postać. Do diabła ciężkiego, mam wrażenie, że wszyscy, których tu spotykam, mówią samymi zagadkami. Może poza Nickiem. Czuję nagłą, gwałtowną potrzebę podbiegnięcia do kobiety i... sama nie wiem, potrząśnięcia nią albo coś

w tym stylu... Chcę zmusić ją do wytłumaczenia mi, o co jej chodzi. Przełykam frustrację.

Kiedy odwracam się i otwieram bramę, jestem pewna, że kobieta wbija spojrzenie w moje plecy. Czuję je niczym dotyk palców. Wychodzę na ulicę, zastanawiając się, czy było to ostrzeżenie, czy groźba.

Konsjerżka

Stróżówka

Brama zamyka się z brzękiem za dziewczyną. Pewnie sądzi, że zatrzymała się w normalnym budynku mieszkalnym; miejscu, w którym panują zwyczajne reguły. Nie ma pojęcia, w co się wpakowała.

Myślę o instrukcjach madame Meunier. Wiem, że nie mam innego wyboru, jak tylko uległość. Muszę współpracować, bo zbyt wiele mam do stracenia. Doniosę jej, tak jak mnie prosiła, że dziewczyna właśnie wyszła. Poinformuję madame również o jej powrocie, jak posłuszna pracownica, którą jestem. Jak już powiedziałam, nie lubię madame Meunier, ale pojawienie się tej dziewczyny zmusiło nas obie do zawarcia niewygodnego sojuszu. Przybyszka węszy, zadaje pytania mieszkańcom tego domu, zupełnie jak on. Nie mogę sobie pozwolić na to, aby zwróciła uwagę innych na to miejsce. On również chciał to zrobić.

Widzicie, są pewne tajemnice, które muszę chronić – a to oznacza, że nigdy nie będę mogła porzucić tej pracy. Aż do niedawna czułam się tu bezpieczna. Mieszkańcy tego domu mają swoje sekrety, a ja znam je nazbyt dobrze. Wiem za dużo. Nie mogą się mnie pozbyć, ale ja nie mogę również nigdy uwolnić się od nich.

Nowo przybyły był miły, to wszystko. Zauważył mnie. Witał się ze mną przy każdym spotkaniu, czy to na dziedzińcu, czy na klatce schodowej. Pytał mnie o samopoczucie, komentował pogodę. Wydaje się, że to niezbyt wiele, prawda? Jednak dużo czasu upłynęło, odkąd ktoś zwracał na mnie uwagę, nie wspominając o okazaniu uprzejmości – całe wieki, od kiedy ktokolwiek potraktował mnie jak istotę ludzką. Wkrótce jednak zaczął zadawać te swoje pytania.

– Jak długo pani tutaj pracuje? – spytał, kiedy myłam kamienną posadzkę klatki schodowej na parterze.

– Długo, monsieur. – Wyżęłam mop do wiaderka.

– A jak to się stało, że podjęła pani tutaj pracę? Proszę pozwolić mi sobie pomóc. – Przeniósł ciężkie wiadro na drugi koniec holu.

– Najpierw przyjechała tu, do Paryża, moja córka, a ja za nią.

- Co ją tu sprowadziło?
- To było bardzo dawno temu, monsieur.
- Mimo to jestem ciekaw.

Te słowa sprawiły, że przyjrzałam się mu uważniej. Nagle poczułam, że powiedziałam mu zbyt wiele, temu obcemu człowiekowi. Czy był zbyt życzliwy, nadmiernie zainteresowany? Czego ode mnie chciał?

Odpowiedziałam z zachowaniem dużej ostrożności.

– To niezbyt ciekawa historia. Może opowiem ją panu innym razem, monsieur. Teraz muszę się zająć pracą, ale dziękuję za pomoc.

– Naturalnie. Nie będę już pani przeszkadzał.

Przez tak wiele lat moja znikomość i fakt, że byłam jak niewidzialna, stanowiły maskę, za którą mogłam się schować. Dzięki temu udawało mi się nie rozgrzebywać przeszłości, mojego wstydu. Owszem, ta praca związana jest z częściową utratą godności osobistej, ale sama w sobie nie przynosi mi ujmy.

Jednak jego zainteresowanie, jego pytania sprawiły, że po raz pierwszy od długiego czasu poczułam się dostrzeżona – i jak głupia dałam się nabrać.

A teraz przyjechała tu za nim ta dziewczyna. Trzeba ją zachęcić do wyjazdu, zanim będzie w stanie wykoncypować, że nie wszystko tutaj jest takie, na jakie wygląda.

Być może uda mi się przekonać ją do odejścia?

Jess

To takie dziwne, znaleźć się znowu wśród ludzi, w zgiełku ruchu ulicznego, po doświadczeniu ciszy tamtego budynku. Czuję się dezorientowana, bo nadal nie wiem, gdzie jestem i w jaki sposób okoliczne ulice łączą się ze sobą. Sprawdzam na mapie na komórce – szybko, żeby nie zużyć zbyt dużej ilości danych. Okazuje się, że kawiarnia, w której mam się spotkać z tym całym Theo, leży po drugiej stronie rzeki, więc postanawiam pojechać tam metrem, chociaż oznacza to, że będę musiała rozmienić kolejny banknot skradziony z portfela Bena.

Mam wrażenie, że im dalej odchodzę od budynku, tym łatwiej mi się oddycha. Zupełnie jakby cząstka mnie poczuła zew wolności i teraz już nie chciała wrócić do tamtego mieszkania, chociaż wiem, że muszę.

Wędruję brukowanymi ulicami, mijając zatłoczone kawiarenki z wystawionymi na chodnik stolikami i plecionymi krzesłami. Ludzie rozmawiają przy winie i papierosie. Mijam stary drewniany młyn wyrastający z za żywopłotu i zastanawiam się, co, do diabła, taka budowla robi w samym środku miasta, w czyimś ogrodzie. Zbiegam szybko po długich kamiennych schodach, przeskakując nad facetem śpiącym w forcie zbudowanym z kartonów. Rzucam mu kilka euro do papierowego kubeczka. Nieco dalej mijam dwa szykowne placyki, wyglądające niemal identycznie, z wyjątkiem tego, że na jednym z nich widzę grupkę mężczyzn grających w jakąś odmianę boules, na drugim zaś stoi karuzela z prążkowanym palem na środku, pełna dzieci jeżdżących na plastikowych koniach i gigantycznych rybach.

Kiedy docieram do bardziej zatłoczonych ulic w pobliżu stacji metra, mam dziwne, uwierające przekonanie, że za chwilę coś się wydarzy. Zupełnie jakbym czuła jakiś specyficzny zapach w powietrzu – mam nosa do kłopotów. I rzeczywiście, po chwili dostrzegam trzy policyjne wozy zaparkowane w bocznej uliczce. W środku widzę funkcjonariuszy w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Instynktownie spuszczam głowę.

Podążam za tłumem ludzi do metra. Utykam w bramce, ponieważ zapominam wyciągnąć bilet z maszyny. Kiedy przyjeżdża pociąg, nie mam

pojęcia, jak otworzyć drzwi, ale jakiś mężczyzna pomaga mi, zanim kolejka odjedzie beze mnie. Wszystko to sprawia, że czuję się jak zagubiona turystka. Nienawidzę tego uczucia. Dezorientacja jest groźna, naraża człowieka na niebezpieczeństwa.

Stoję w zatłoczonym, śmierdzącym i przegrzanym wagonie i przez cały czas mam wrażenie, że jestem obserwowana. Rozglądam się: widzę grupkę nastolatków zwieszających się z górnych poręczy, wyglądających, jakby przed chwilą wyszli z parku dla deskorolkarzy, kilka starszych pań z małymi pieskami i torbami na zakupy na kółkach, kilkoro dziwnie ubranych ludzi z goglami narciarskimi na głowach i bandanami zawiązanymi na szyi. Jeden z nich niesie ręcznie namalowany transparent. Nie dostrzegam niczego w oczywisty sposób podejrzanego. Na kolejnym przystanku do kolejki wsiada akordeonista, blokując widok na połowę wagonu.

Po wyjściu z metra najkrótszą drogą wydaje się ta prowadząca przez park, Jardin du Luxembourg. Światło rzucane przez zachodzące słońce jest ciemnoczerwone, nie zapadły jeszcze ciemności. Opadłe liście zostały zebrane w duże pomarańczowe piramidy, ale gdzieś tam jeszcze pokrywają ścieżkę, szeleszcząc pod stopami. Gałęzie drzew są niemal nagie. Widzę pustą estradę, zamkniętą kawiarenkę z krzesłami poustawianymi pod ścianą w sterty. Znowu mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Jestem przekonana, że czuję na sobie czyjeś spojrzenie, kiedy jednak się odwracam, nie widzę nikogo podejrzanego.

A potem go widzę. Ben. Mija mnie, biegnąc z innym mężczyzną. Co, do diabła? Musiał mnie widzieć. Dlaczego się nie zatrzymał?

– Ben! – krzyczę, przyspieszając. – Ben! – Ale on się nie odwraca. Zaczynam biec. Widzę go w oddali, znikającego w gasnącym świetle. Cholera. Jestem dobra w wielu rzeczach, ale bieganie do nich nie należy.

– Hej, Ben! Do ciężkiej cholery! – Nie reaguje, chociaż kilkoro innych biegaczy spogląda na mnie, kiedy przebiegają mimo. Wreszcie prawie go doganiam, dysząc ciężko z wysiłku. Wyciągam rękę i dotykam jego ramienia. Odwraca się.

Cofam się o krok. To nie Ben. Jego twarz z bliska wygląda zupełnie inaczej: oczy osadzone zbyt blisko siebie, słabo zarysowana broda. W myślach widzę uniesione brwi Bena, zupełnie jakby stał tutaj teraz przede mną. Pomyliłaś mnie z tym gościem?

– Qu'est-ce que tu veux? – pyta nieznajomy, wyraźnie zirytowany. – Czego pani chce? – dodaje po angielsku.

Nie mogę odpowiedzieć, częściowo dlatego, że straciłam dech, ale głównie dlatego, że jestem całkowicie zdezorientowana. Mężczyzna pokazuje koledze na migi, że jestem wariatką, i obaj odbiegają.

Oczywiście, że to nie był Ben. Kiedy obserwuję, jak się oddala, widzę wyraźnie, że wszystko w nim jest nie takie – biegnie niezgrabnie, machając dziwacznie ramionami. W ruchach Bena nigdy nie było nic niezgrabnego. Zostaję sama, z identycznym uczuciem, jakiego doznałam, kiedy mijał mnie, biegnąc – miałam wrażenie, że zobaczyłam ducha.

Café Belle Epoque wygląda dość odświeżenie, cała lśni złotem i czerwienią, światła z wnętrza rozlewają się na chodnik. Stojące na zewnątrz stoliki są pełne ludzi, rozmawiających i śmiejących się. Okna kawiarni zaparowały od oddechów i ciepła ciał klientów siedzących w środku. Za rogiem, gdzie jeszcze nie zostały włączone lampy ogrzewające, widzę samotnego mężczyznę pochylonego nad laptopem. Z jakiegoś powodu jestem pewna, że to jego właśnie szukam.

– Theo? – Mam wrażenie, że jestem na randce z Tindera. Oczywiście przestałam już używać tej aplikacji. Pełno tam było fejków i dupków.

Mężczyzna unosi wzrok znad komputera z grymasem niezadowolenia. Ma ciemne włosy, które błagają o przycięcie, i początki brody. Wygląda jak pirat, który postanowił założyć cywilne ubranie: wełniany sweter postrzępiony wokół wycięcia na szyję, schowany pod obszerną kurtką.

– Theo? – powtarzam. – Wymieniliśmy esemesy, w sprawie Benjamin Daniela. Jestem Jess.

Kiwa oszczędnie głową. Odsuwam małe metalowe krzesło naprzeciwko niego. Skóra dłoni przywiera do zimnego metalu.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę? – To retoryczne pytanie: Theo zdążył już wyciągnąć z kieszeni pogniecioną paczkę czerwonych marlboro. Wszystko w nim wydaje się jakieś takie... wymięte.

– Jasne. Ja też się poczęstuję. – Nie mogę sobie pozwolić na uzależnienie się od papierosów, ale jestem dziwnie roztrzęsiona i muszę zapalić. Biorę papierosa, chociaż tak naprawdę mnie nie poczęstował.

Kolejne pół minuty spędza na próbach zapalenia papierosa tanią zapalniczką, mrużąc pod nosem:

– Ożeż kurwa... zapal się, skurwielu. – Wydaje mi się, że słyszę lekki akcent.

– Jest pan ze wschodniego Londynu? – pytam z nadzieją, że jeśli mu się przypocholebię, będzie chętniejszy do pomocy. – Skąd dokładnie?

Unosi ciemną brew i nie odpowiada. Wreszcie zapalniczka odpala. Przypala papierosy nam obojgu. Zaciąga się swoim jak astmatyk inhalatorem, a potem odchyła się na oparcie krzesła i spogląda na mnie. Jest wysoki i widać, że niezbyt mu wygodnie na tym małym krześle. Nogi skrzyżował w kostkach. Wydaje się nawet dość atrakcyjny, jeżeli ktoś lubi trochę nieokrzęsanych mężczyzn. Ja akurat raczej nie jestem fanką. Szokuje mnie fakt, że w ogóle myślę o czymś takim, zważywszy na okoliczności.

– A więc... – Mruży oczy, chroniąc się przed dymem. – Ben? – Coś w sposobie, w jaki wypowiada imię mojego brata, sugeruje, że niezbyt się lubili. Może wreszcie znalazłam jedyną osobę na świecie odporną na urok Bena.

Zanim mogę udzielić odpowiedzi, zjawia się kelner, chyba wkurzony, że musi zebrać od nas zamówienie (choć to przecież jego praca). Theo, równie zirytowany, że musi odezwać się do kelnera, zamawia podwójne espresso i coś, co nazywa się Ricard – wszystko to po francusku, z wyraźnym angielskim akcentem.

– Muszę zarwać noc. Mam dzisiaj deadline – tłumaczy się niezgrabnie.

Proszę o chocolat chaud, głównie po to, żeby się rozgrzać. Sześć euro: przyjmijmy, że to on zapłaci.

– Wezmę również to drugie – mówię kelnerowi.

– Un Ricard?

Kiwam głową i kelner odchodzi, powłócząc nogami.

– Chyba nie serwowaliśmy czegoś takiego w Copacabanie – mówię.

– Gdzie?

– W barze, w którym pracowałam jeszcze kilka dni temu.

Unosi brwi.

– Brzmi szykownie.

– To prawdziwa speluna.

Dzień, w którym Zboczeniec postanowił pokazać mi swojego obrzydliwego małego fiutka, był dniem, w którym miałam dosyć. Postanowiłam również, że odpłacę się temu odrażającemu typowi za wszystkie czasy, kiedy zbyt długo stał za mną, dysząc gorącym wilgotnym

oddechem na mój kark, albo kiedy „odsuwał mnie z drogi” z rękami na moich biodrach; za wszystkie jego komentarze na temat mojego wyglądu i moich ubiorów – za wszystko to, co pozornie było „nieważne”, ale w rzeczywistości sprawiało, że czułam się coraz mniej sobą. Inna dziewczyna może by odeszła i nigdy nie wróciła albo zadzwoniłaby po policję, ale ja nie jestem jedną z nich.

– No dobra. – Theo najwyraźniej nie ma czasu na pogaduszki. – Dlaczego tu jesteś?

– Z powodu Bena. Pracuje dla ciebie?

– Nie. W dzisiejszych czasach nikt dla nikogo nie pracuje, przynajmniej w tym zawodzie. To świat bezpardonowego współzawodnictwa. Każdy pracuje na siebie. Owszem, czasem proszę go o odpłatną przeglądówkę na temat podróży. Ben chciał zajmować się dziennikarstwem śledczym, ale to pewnie wiesz. – Potrząsam przecząco głową. – Tak się składa, że miał zrobić dla mnie kawałek o zamieszkach.

– Zamieszkach?

– Tak. – Spogląda na mnie, jakby nie mógł uwierzyć w moją ignorancję. – Ludzie są poważnie wkurzeni na wzrost podatków i cen paliwa. Zrobiło się gorąco... gaz łzawiący, armatki wodne itp. Wszystkie dzienniki o tym nawijają. Musiałaś coś widzieć w telewizji, prawda?

– Przyjechałam tutaj zeszłej nocy – zaczynam, ale potem nagle przypominam sobie: – Widziałam policję w pobliżu stacji metra Pigalle. – Wspominam również grupę podróżujących metrem ludzi z goglami narciarskimi. – Protestujących chyba też.

– Pewnie tak. Zamieszki objęły całe miasto, a Ben miał napisać dla mnie o tym reportaż. Chciał mi również opowiedzieć o jakiejś sensacyjnej historii, temacie na artykuł. W zasadzie to mieliśmy się spotkać dziś rano. Był bardzo skryty i tajemniczy, ale ostatecznie wcale się nie odezwał.

A zatem kolejna możliwość. Czy to prawdopodobne? Ben dogrzebał się czegoś niebezpiecznego, rozjuszył gniazdo os i musiał... no właśnie, co? Uciec? Zniknąć? A może... nie chcę myśleć o innych możliwościach.

Nadciągają nasze napoje. Gorąca czekolada w małym dzbanuszkach jest gęsta, ciemna i lśniąca. Nalewam sobie porcję, upijam łyk i zamykam oczy, bo może i wydałam całe sześć euro, ale jest to bodaj najlepsza pieprzona gorąca czekolada, jaką kiedykolwiek piłam.

Theo wsypuje do kawy sześć szaszetek brązowego cukru, a potem upija spory łyk swojego ricarda. Ja też próbuję – smakuje jak lukrecja.

Przypomina mi wszystkie te gęste shoty sambuki, które wypijałam za barem – te postawione przez klientów i te, które ukradkiem pociągałam z butelki wieczorami, kiedy nie było zbyt dużego ruchu. Wypijam całą porcję duszkiem. Theo unosi brwi.

Ocieram usta.

– Przepraszam. Potrzebowałam tego. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były naprawdę gówniane. Widzisz, Ben zniknął. Wiem, że nie odzywał się do ciebie, ale czy nie masz może pomysłu, gdzie mógłby być?

Theo wzrusza ramionami.

– Przykro mi.

Czuję, jak ostatnia kropelka nadziei, którą jeszcze miałam, wyparowuje.

– Co to znaczy: zniknął?

– Nie było go w mieszkaniu wczoraj w nocy, chociaż powiedział, że będzie. Nie odbiera telefonu ani nawet nie czyta moich wiadomości. Poza tym są jeszcze inne rzeczy... – Przełykam i opowiadam mu o krwi na sierści kota, plamie po wybielaczu i o wrogo nastawionych sąsiadach. Jednocześnie zastanawiam się nad tym, jak w ogóle do tego doszło. Jakim cudem siedzę tu teraz z obcym człowiekiem, w obcym mieście, próbując znaleźć mojego zaginionego brata?

Theo pali papierosa i spogląda na mnie, mrużąc oczy, przez zasłonę dymu. Jego mina w ogóle się nie zmienia. Gość ma naprawdę pokerową twarz.

– Kolejna dziwna sprawa to jego mieszkanie w tym wielkim szpanerskim budynku. Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, że Ben zarabia aż tyle z pisania. – Sądząc po stanie ubrań Theo, mam rację.

– Nie. Zdecydowanie tego zawodu nie uprawia się dla pieniędzy.

Przypominam sobie coś jeszcze: dziwną metalową kartę, którą wyciągnęłam z portfela brata. Wyjmuję ją z kieszeni dzinsów.

– Znalazłam coś takiego. Czy coś ci to mówi?

Theo przygląda się złotemu wzorowi, marszcząc czoło.

– Nie jestem pewien. Zdecydowanie gdzieś widziałem ten symbol, ale nie potrafię sobie przypomnieć gdzie. Mogę to zabrać? Oddam, obiecuję.

Przekazuję mu kartę z pewną niechęcią, ponieważ jest to jedna z niewielu rzeczy, które mogą stanowić jakąś wskazówkę. Theo bierze ode mnie przedmiot i w jego ruchu jest coś, co bardzo mi się nie podoba. Nagle robi się zbyt podekscytowany, chociaż powiedział mi, że nie zna Bena zbyt dobrze i nie wydaje się specjalnie przejęty jego losem. Nie zachowuje się

jak dobry Samarytanin. Nie jestem przekonana co do tego gościa, ale na bezrybiu i rak ryba...

– Jeszcze jedno – przypominam sobie. – Ben zostawił mi wiadomość na poczcie głosowej zeszłej nocy, zanim dojechałam na Gare du Nord.

Theo bierze do ręki moją komórkę i odtwarza nagranie. Brzmi ono inaczej niż ostatnim razem, kiedy go słuchałam – jakby nie nagrał tego Ben, jakby nagle był daleko poza moim zasięgiem.

Theo odsłuchuje całą wiadomość.

– Wygląda na to, że na końcu powiedział coś jeszcze. Udało ci się rozszyfrować, co?

– Nie... nie słyszę. Jest zbyt stłumione.

Unosi palec.

– Poczekaj. – Sięga do plecaka stojącego przy krześle, tak samo pogniecionego jak wszystko w nim, i wyciąga słuchawki. – Dobra. Mają redukcję szumów i są dość głośne. Chcesz jedną? – Wyciąga ją w moim kierunku.

Wkładam ją do ucha.

Theo podkreśla głośność do samego końca i znów odtwarza wiadomość Bena.

Słuchamy znajomej części nagrania. Głos Bena: „Hej, Jess, mój adres to rue des Amants numer dwanaście. Zapisz sobie. Trzecie piętro”. A potem: „Po prostu zadzwoń domofonem. Będę tu na ciebie czekał...” – Jego głos zdaje się zamierać w połowie zdania. Dokładnie tak, jak kiedy odsłuchiwałam to wcześniej. Teraz jednak słyszę wyraźnie: to, co brzmiało jak trzeszczenie, jest tak naprawdę skrzypieniem drewna. Rozpoznaję ten odgłos. To zawiasy w drzwiach do mieszkania Bena.

A potem słyszę głos Bena, jakby z oddali, cichy, ale znacznie bardziej wyraźny w porównaniu z mamrotaniem, które słyszałam przedtem: „Co ty tu robisz? I dlaczego?”... I po długiej przerwie: „Co, do diabła...?”.

A potem słychać dźwięk: jęk. Nawet przy takim nagłośnieniu trudno jest powiedzieć, czy wydała go jakaś osoba, czy to na przykład skrzypnięcie podłogi, a potem cisza.

Czuję nagły chłód. Bezwiednie chwytam medalik i zaciskam na nim dłoń.

Theo odtwarza nagranie jeszcze raz, i jeszcze. Wreszcie mam dowód. Ktoś był w mieszkaniu razem z Benem tej nocy, kiedy zostawił mi wiadomość.

Wyciągamy słuchawki z uszu i spoglądamy na siebie.

– Tak – mówi Theo. – Powiedziałbym, że to cholernie dziwne.

Mimi

Czwarte piętro

Nie ma jej w tej chwili w mieszkaniu. Wiem, bo okna mojej sypialni stanowią dobry punkt obserwacyjny. Wszystkie światła na trzecim piętrze są zgaszone, pokój pogrążony jest w ciemności. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę go, wyłaniającego się z cienia. Potem jednak mrugam i nagle nikogo już tam nie ma.

To do niego podobne. Miał zwyczaj pojawiać się niezapowiedziany, tak jak przy naszym drugim spotkaniu.

Wracając z Sorbony, zatrzymałam się w sklepie ze starymi winylami: Pêle-Mêle. Było koszmarnie gorąco. Mamy takie powiedzenie we francuskim, soleil de plomb, kiedy słońce wydaje się ciężkie jak ołów. Tamtego dnia właśnie tak się czułam. Trudno to sobie teraz wyobrazić, w tym chłodzie, ale było okropnie: gorące spaliny i spoceni, poparzeni słońcem turyści stłoczeni na chodnikach. Nienawidzę turystów, ale najbardziej nie cierpię ich w lato. Błąkają się wszędzie, przegrzani i źli, że są w środku miasta, a nie na plaży. W sklepie nie było żadnych przyjezdnych, ponieważ z zewnątrz wyglądał ponuro i depresyjnie – dokładnie dlatego lubiłam to miejsce. W środku panował półmrok i przyjemny chłód, czułam się, jakbym była pod wodą – wszystkie odgłosy dochodzące z ulicy wydawały się stłumione. Miałam wrażenie, że mogłabym tam spędzić całe godziny, zanurzona w mojej małej bańce, ukryta przed światem, dryfująca między stertami płyt winylowych, słuchając jednej po drugiej w kabinie z podrapanego szkła.

– Hej.

Odwróciłam się i zobaczyłam go – mężczyznę, który właśnie wprowadził się na trzecie piętro. Widywałam go niemal codziennie, przeprowadzającego vespę przez dziedziniec, a czasem chodzącego po mieszkaniu (nigdy nie zamykał okiennic). Z bliska wyglądał inaczej. Widziałam szczecinę zarostu na jego szczękach i rudawe włosy pokrywające ramiona. Na szyi nosił łańcuszek, znikający pod kołnierzem koszulki. Z jakiegoś powodu nie spodziewałam się po nim takiej ozdoby –

wydawał się na to zbyt lalusiowaty. Z bliska mogłam poczuć woń jego potu. Wiem, brzmi to trochę obrzydliwie, ale tak naprawdę pachniał czysto, pieprznie, a nie jak smażona cebula, której smród zawsze czuć w metrze. Był w sumie stary, tak jak to powiedziała Camille, ale jednocześnie miły i piękny. Zapierał mi dech w piersi.

– Merveille, prawda?

Niemal upuściłam płytę, którą właśnie trzymałam w rękach. Znał moje imię. Zapamiętał je – i jakimś cudem, chociaż go nienawidzę, w jego ustach brzmiało inaczej, niemal specjalnie. Kiwnęłam głową, bo nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. Czułam w ustach smak metalu. Może przygryzłam sobie język. Wyobraziłam sobie krew zbierającą się między moimi zębami. W panującej ciszy słyszałam terkotanie wiatraka pod sufitem: łup, łup, łup, jak bicie serca.

Wreszcie odzyskałam głos.

– W... większość ludzi nazywa mnie Mimi.

– Mimi. Pasuje do ciebie. Jestem Ben – mówił z mocnym angielskim akcentem. – Jesteśmy sąsiadami. Wprowadziłem się do mieszkania na trzecim piętrze kilka dni temu.

– Je sais – odparłam. Słowa wychodzące z moich ust zabrzmiały jak szept. Wiem. Wydawało mi się szaleństwem, że myśli, że tego nie wiem.

– To naprawdę fajny budynek. Pewnie uwielbiasz tam mieszkać. – Wzruszyłam ramionami w odpowiedzi. – Cała ta historia – ciągnął. – Te piękne szczegóły architektoniczne, cave, winda...

– Jest też winda kuchenna – wyplułam z siebie. To jedna z najfajniejszych rzeczy w tym budynku. Nie byłam pewna dlaczego, ale nagle zapragnęłam się z nim podzielić tą informacją.

– Winda kuchenna? – Nachylił się do mnie. Wyglądał na bardzo podekscytowanego. Poczułam miłe ciepło rozchodzące się po całym ciele na myśl o tym, że stałam się przyczyną tego zainteresowania. – Naprawdę?

– Tak. Z czasów, kiedy w budynku był hôtel particulier... należał do pewnej hrabiny czy kogoś w tym stylu i w cave znajdowała się kuchnia. Posyłano jedzenie i picie na górę, a z powrotem zjeżdżały rzeczy do prania.

– To niesamowite! Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego na własne oczy. Gdzie jest ta winda kuchenna? Nie, zaczekaj, nie mów mi. Spróbuję sam ją znaleźć. – Uśmiechnął się szeroko, a ja zdałam sobie sprawę, że odwzajemniam ten uśmiech.

Pociągnął za kołnierzyk koszulki.

– Chryste, ale dzisiaj gorąco.

Zobaczyłam mały medalik zawieszony na łańcuszku.

– Nosisz Świętego Krzysztofa? – wyrwało mi się, chyba z zaskoczenia na widok figurki świętego.

– Och. – Spojrzał na medalik. – Tak. Należał do mojej mamy. Dała mi go, kiedy byłam mały. Nigdy go nie zdejmuję... zwykle zapominam, że mam go na szyi.

Usiłowałam wyobrazić go sobie jako dziecko, ale jakoś nie potrafiłam. Widziałam go jako wysokiego, szerokiego w barach, opalonego mężczyznę. Owszem, miał zmarszczki, ale zdałam sobie nagle sprawę, że wcale go nie postarzają. Wygląda po prostu bardziej interesująco niż wszyscy inni faceci, których znałam – jakby zwiedził kawałek świata, widział i robił różne rzeczy. Znow pokazał zęby w uśmiechu.

– Jestem pod wrażeniem, że rozpoznałaś Świętego Krzysztofa. Jesteś katoliczką?

Zarumieniłam się.

– Moi rodzice posłali mnie do szkoły katolickiej – a dokładniej do żeńskiej szkoły katolickiej. Twój papa naprawdę miał nadzieję, że zostaniesz zakonnicą, powiedziała Camille. To najbliższe, co mógł znaleźć do pasa cnoty. Większość dzieciaków, które znam, tak jak Camille, chodziła do dużych liceów, gdzie nosiły własne ciuchy, paliły papierosy i wpychały sobie języki do gardeł w przerwach na lunch. Uczęszczanie do szkoły takiej jak Soeurs Servantes du Sacré-Coeur robi z człowieka kompletnego dziwaka – rodem z książki dla dzieci, Madeline. W praktyce oznacza to, że gapią się na ciebie zбочeńcy w metrze, a inni faceci zupełnie cię ignorują. Nie jesteś w stanie porozmawiać z nimi jak normalny człowiek. Pewnie rzeczywiście dlatego papa wybrał dla mnie tę szkołę.

Oczywiście nie zostałam w SSSC do samego końca. Mieli tam problem z jednym z nauczycieli, młodym mężczyzną. Moi rodzice uznali, że najlepiej będzie, jeśli przez ostatnie kilka lat nauki będę miała prywatne lekcje, co dla mnie było jeszcze gorsze.

Benjamin Daniels przyglądał się płycie, którą trzymałam w ręku.

– Velvet Underground – powiedział. – Uwielbiam ich.

Obrazek na okładce, autorstwa Andy’ego Warhola, był serią wilgotnych czerwonych ust, otwartych lekko, aby wypić wodę sodową przez słomkę. Nagle wydał mi się bardzo nieprzyzwoity i poczułam, że policzki znow zaczynają mi płonąć.

– Ja zamierzam kupić to. – Pokazał mi płytę, którą trzymał w ręku. – Yeah Yeah Yeahs. Lubisz ich?

Wzruszyłam ramionami.

– Je ne sais pas. – Nigdy nie słyszałam o tym zespole. Płyty Velvet Underground, którą wybrałam, również nie znałam. Podobała mi się po prostu okładka; po powrocie do domu chciałam skopiować ją do mojego szkiecownika. Uczę się na Sorbonie, ale tak naprawdę chciałabym studiować sztuki piękne (gdybym sama mogła zdecydować). Czasami, kiedy trzymam w dłoni węgiel albo pędzel, dopiero wtedy czuję się kompletna. Tylko wówczas potrafię normalnie rozmawiać.

– Cóż... muszę lecieć. – Krzywi się. – Terminy gonią. – Nawet to zabrzmiało całkiem fajnie: fakt, że ma jakieś terminy. Jest dziennikarzem. Obserwowałam go, kiedy pracował do późnej nocy na swoim laptopie. – Wy mieszkacie na czwartym piętrze, prawda? W tamtym budynku. Masz współlokatorkę... jak ona ma na imię...

– Camille. – Nikt nie zapomina Camille. To ona jest ta seksowna i zabawna. Ale Ben zapomniał, jak ma na imię, chociaż zapamiętał moje.

Kilka dni później znalazłam liścik wepchnięty pod drzwi mieszkania.

Znalazłem ją!

Na początku nie skojarzyłam, o co chodziło. Kto co lub kogo znalazł? To nie miało sensu. Pewnie chodzi o coś dla Camille. A potem nagle przypomniałam sobie rozmowę w sklepie z płytami. Czyżby to właśnie to? Podeszłam do szafki, w której skrywała się winda kuchenna, wyciągnęłam ukryty uchwyt i zaczęłam kręcić, wciągając małe pudło na górę. Dostrzegłam, że coś w nim jest: płyta Yeah Yeah Yeahs kupiona przez Bena, a do niej przyczepiony liścik: Hej, Mimi. Pomyślałem, że może zechcesz ją przesłuchać. Powiedz mi, co o niej myślisz. B x

– Od kogo to? – Camille podeszła i przeczytała notkę, nachylając się nad moim ramieniem. – Pożyczył ci płytę? Ben? – W jej głosie słyszałam zaskoczenie. – Widziałam go wczoraj – powiedziała. – Powiedział mi, że byłoby miło, gdybym mogła karmić jego kota, jeżeli on kiedyś gdzieś wyjedzie. Dał mi zapasowe klucze. – Założyła kosmyk karmelowych włosów za ucho. Poczułam lekkie ukłucie zazdrości, ale potem przypomniałam sobie, że Ben zostawił liścik mi, nie jej. To samo z płytą.

Jest takie powiedzenie we francuskim: Être bien dans sa peau. Czuć się dobrze we własnej skórze. Mnie nie jest to dane zbyt często, ale wtedy,

kiedy trzymałam w ręku płytę, czułam się świetnie – jakbym miała coś, co jest wyłącznie moje.

Spoglądam teraz na szafkę z ukrytą w środku windą kuchenną. Mam wrażenie, że mnie przyciąga. Otwieram drzwiczki, odsłaniając wyciąg, mocuję rączkę, tak samo, jak tamtego dnia w sierpniu. Czekam, aż mała ruchoma szafka pojawi się w polu widzenia.

Co?

Wpatruję się z niedowierzaniem. W środku coś jest – tak jak wtedy, kiedy wysłał mi płytę – owinięte w ściereczkę. Sięgam po to i kiedy zaciskam dłoń, czuję nagłe pieczenie. Wyciągam rękę i widzę krew ściekającą z mojej dłoni. Merde. Cokolwiek leży w windzie kuchennej, rozcięło mi skórę, przebijając się przez tkaninę ręcznika. Wypuszczam go z dłoni i przedmiot ukryty w ściereczce wypada na zewnątrz.

Odsuwam się o krok i spoglądam na nóż, pokryty plamami wyglądającymi jak rdza albo brud. Ale to nie jest ani rdza, ani brud – to coś, co poplamilo tkaninę, w którą był owinięty.

Zaczynam krzyczeć.

Jess

Nie mogę przestać myśleć o tym, jak brzmiał głos Bena pod koniec wiadomości. Ten strach: „Co ty tutaj robisz?”. Nacisk na słowo „ty”. Wyglądało na to, że Ben znał osobę, która pojawiła się w pokoju. A potem: „Co, do diabła?”. Mój brat, zawsze opanowany w każdej sytuacji... nigdy nie słyszałam, żeby tak się zachowywał. W ogóle nie brzmiał jak Ben.

Czuję nieprzyjemne uczucie w żołądku. Było tam cały czas, coraz silniejsze od zeszłej nocy. Teraz już nie mogę go dłużej ignorować. Myślę, że zeszłej nocy coś się stało z moim bratem, zanim przyjechałam. Coś złego.

– Zamierzasz tam wrócić? – pyta Theo. – Po tym, co usłyszałaś?

Zaskakuje mnie niepokój w jego głosie, zwłaszcza że nie wygląda na wrażliwego faceta.

– Tak – staram się powiedzieć to z większą pewnością siebie, niż czuję. – Muszę tam wrócić.

I to prawda. Poza tym (oczywiście tego nie mówię) nie mam się gdzie indziej zatrzymać.

Zamiast jechać metrem postanawiam się przespacerować. To dość długa droga, ale potrzebuję świeżego powietrza, żeby móc wszystko porządnie sobie przemyśleć. Spoglądam na mapę w telefonie, sprawdzając trasę. Nagle komórka wibruje.

„Wykorzystałaś prawie cały limit danych roamingu. Aby wykupić więcej, kliknij w poniższy link...”

Cholera. Wkładam telefon do kieszeni.

Mijam małe, pretensjonalne sklepiki, pomalowane na czerwono, szmaragdowo i granatowo, z jasno podświetlonymi oknami wystaw, prezentującymi sukienki z nadrukiem, świeczki, sofę, biżuterię, czekoladki, a nawet jakieś specjalne pieprzone bezy, zabarwione na bładoniebieski i różowy kolor. Każdy znajdzie tutaj coś dla siebie, oczywiście jeśli ma się pieniądze na zbyciu. Na moście przeciskam się przez tłumy turystów,

robiących sobie fotki przy rzece, całujących się, uśmiechających się, rozmawiających i śmiejących się, zupełnie jakby żyli w innym wszechświecie. Dla mnie całe piękno tego miejsca jest niczym śliczne kolorowe opakowanie skrywające coś bardzo diabolicznego. Czuję odór zepsucia maskowany słodkim zapachem dochodzącym z piekarni i sklepów z czekoladą: ryby wystawione na lodzie przed sklepem rybnym zostawiają śmierdzące kałuże na chodniku, tu i tam cuchną psie kupy i zablokowane odpływy na drodze. Ściskanie w dołku staje się coraz silniejsze. Co się stało z Benem zeszłej nocy? I co mogę zrobić?

Wiele razy w moim życiu znalazłam się w dość rozpaczliwej sytuacji. Nie miałam pojęcia, jak zapłacę czynsz danego miesiąca. Dziękowałam wtedy Bogu za brata z głębszymi kieszeniami niż moje. To prawda, może nienawidziłam go w przeszłości za to, że miał dużo więcej niż ja, ale bądźmy szczerzy, wyciągał mnie nie raz z naprawdę kiepskich sytuacji.

Kiedyś przyjechał golfem kupionym mu przez rodziców i zabrał mnie od okropnej rodziny zastępczej, chociaż był w środku egzaminów.

– My sieroty musimy się trzymać razem – powiedział. – Nie, w zasadzie to gorzej niż sieroty, bo nasi ojcowie nas nie chcieli. Żyją gdzieś, ale nie chcą nas.

– Nie jesteś taki jak ja – odparłam. – Masz rodzinę, Danielsów. Spójrz na siebie, posłuchaj, jak mówisz. Popatrz na ten cholerny samochód. Masz tak wiele.

Wzruszył ramionami.

– Ale młodszą siostrę mam tylko jedną.

Teraz przyszedł czas, żebym ja pomogła Benowi. I nawet jeśli wszystko we mnie wzbrania się przed zadzwonieniem na policję, myślę, że muszę to zrobić.

Wyjmuję telefon i wybieram 112.

Czekam kilka chwil, wsłuchując się w sygnał i bawiąc się moim Świętym Krzysztofem. Wreszcie ktoś odbiera:

– Comment puis-je vous aider? – pyta kobieta.

– Eee... Parlez-vous anglais?

– Non.

– Czy mogę rozmawiać z kimś, kto mówi po angielsku?

Westchnięcie.

– Une minute.

Zapada cisza, a potem słyszę męski głos:

– Tak?

Zaczynam wyjaśniać. Wypowiedziana na głos, cała historia wydaje się mało przekonująca.

– Przepraszam, nie rozumiem. Pani brat zostawił pani wiadomość. Ze swojego mieszkania? I pani się martwi?

– Wydawał się przerażony.

– Ale nie było żadnych śladów włamania do jego domu?

– Nie. Wydaje mi się, że był to ktoś znajomy...

– Pani brat jest... dzieckiem?

– Nie, ma trzydzieści kilka lat, ale zaginął.

– I jest pani pewna, że na przykład nie wyjechał na kilka dni? Bo wydaje się to najbardziej prawdopodobne, non?

Czuję ogarniające mnie poczucie bezradności. W ten sposób donikąd nie dojdziemy.

– Tak, jestem dość pewna. To wszystko jest naprawdę cholernie dziwne... przepraszam... a teraz nie odbiera telefonu, zostawił portfel i klucze.

Długa przerwa.

– OK, mademoiselle. Proszę podać mi nazwisko i adres. Zapiszę oficjalne zgłoszenie w bazie i odezwiemy się do pani.

– Ja... – Nie chcę, żeby ktokolwiek cokolwiek oficjalnie zapisywał na mój temat. Co, jeśli porównają potem informacje z Anglią, sprawdzą, kim jestem? Poza tym sposób, w jaki mężczyzna wypowiada słowa „oficjalne zgłoszenie”, znudzonym bezosobowym tonem – brzmi to jak „jasne, pomyślimy o tym, żeby coś zrobić za kilka lat, kiedy już załatwimy wszystkie ważne sprawy i może część tych mniej ważnych”.

– Mademoiselle? – powtarza mężczyzna.

Rozłączam się.

To była kompletna strata czasu, ale czego tak naprawdę się spodziewałam? Brytyjska policja nigdy wcześniej mi nie pomogła. Dlaczego sądziłam, że francuska będzie inna?

Spoglądam na telefon i zdaję sobie sprawę, że nie wiem, gdzie jestem. Pewnie podczas rozmowy telefonicznej chodziłam gdzieś bez celu. Włączam mapę, ale nie chce się załadować. W pewnym momencie telefon znów brzęczy i na ekranie pojawia się wiadomość:

„Wykorzystałaś cały limit danych roamingu. Aby wykupić więcej, kliknij w poniższy link...”.

Cholera... robi się coraz ciemniej i świadomość, że nie mogę się połączyć z internetem, sprawia w jakiś sposób, że czuję się bardziej zagubiona.

OK, weź się w garść, Jess. Wszystko będzie dobrze. Muszę tylko znaleźć bardziej ruchliwą ulicę, a na niej stację metra i mapę.

Problem w tym, że miasto ucisza się stopniowo, aż wreszcie słyszę tylko kroki jednej osoby, gdzieś za mną.

Po prawej mam wysoki murek i po chwili, zerkając na przytwierdzoną do niego małą tabliczkę, orientuję się, że jestem na obrzeżach cmentarza. Nad murem dostrzegam czubki co wyższych nagrobków – skrzydła i pochyloną głowę zasmuconego anioła. Jest już niemal całkowicie ciemno. Zatrzymuję się.

Kroki za mną również ucichają.

Ruszam szybciej, a one przyspieszają.

Ktoś mnie śledzi. Wiedziałam! Mijam narożnik muru. Za chwilę zniknę z pola widzenia na kilka sekund. Zamiast iść dalej, zatrzymuję się i przywieram do ściany tuż za rogiem. Serce wali mi jak młotem. Pewnie robię coś cholernie głupiego. Powinna uciec, znaleźć uczęszczaną ulicę, schować się wśród ludzi. Ale muszę się dowiedzieć.

Wreszcie pojawia się tajemnicza postać – wysoka, w ciemnym płaszczu. Pali mnie w piersi i zdaję sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech. Postać odwraca się powoli, rozgląda się. Szuka mnie. Na głowę ma naciągnięty kaptur i nie jestem w stanie zobaczyć jej twarzy.

Potem nagle cofa się i wiem, że mnie dostrzegła. Kaptur opada i w świetle lampy ulicznej widzę twarz kobiety – młodej i pięknej, jak modelka. Ma ciemnobrązowe włosy z równo przyciętą grzywką, pieprzyk na wysoko zarysowanym policzku – wygląda to jak znak interpunkcji. Nosi bluzę z kapturem pod skórzaną kurtką. Wpatruje się we mnie z zaskoczeniem.

– Hej – mówię, robiąc w jej kierunku ostrożny krok. Szok mija, zwłaszcza teraz, kiedy widzę, że nie jest aż tak groźna, jak mi się wydawało. – Dlaczego mnie śledziłaś?

Dziewczyna się cofa. Wygląda na to, że mam chwilowo przewagę.

– Czego chcesz? – pytam z większym naciskiem.

– Ja... szukam Bena. – Ma mocny akcent, ale nie francuski. Wydaje mi się wschodnioeuropejski. – Nie odbiera. Powiedział mi... tylko jeśli to coś ważnego... żeby przyjść do mieszkania. Słyszałam, jak o niego pytałaś wczoraj w nocy. Na ulicy.

Wracam myślą do mojego przyjazdu, kiedy stałam przy bramie i przez moment wydawało mi się, że widzę sylwetkę człowieka przyczajoną w cieniu za samochodem.

– To byłaś ty? Za samochodem?

Nie odpowiada. Pewnie nie powinnam spodziewać się wylewnej odpowiedzi. Znów robię krok w jej kierunku, a ona cofa się, utrzymując dystans.

– Dlaczego? – pytam. – Dlaczego szukasz Bena? Co jest ważne?

– Gdzie jest Ben? – powtarza tylko. – Muszę z nim porozmawiać.

– Próbuję się dowiedzieć dokładnie tego samego. Myślę, że coś się stało. Ben zniknął.

Dziewczyna nagle robi się potwornie blada i tak bardzo przerażona, że ja również czuję ogarniający mnie strach. Potem przeklina w innym języku – brzmi to trochę jak „kurwa”.

– Co się dzieje? – pytam. – Czego się tak boisz?

Potrząsa głową. Cofa się kilka kroków, niemal potykając się o własne stopy. Potem odwraca się i zaczyna iść szybko w przeciwnym kierunku.

– Zaczekaj – mówię. – Zaczekaj! – krzyczę, widząc, że dziewczyna nie zwalnia. Wręcz przeciwnie, zaczyna biec. Ruszam za nią. Cholera, szybka jest. To te długie nogi. Ja jestem wprawdzie szczupła, ale nie mam kondycji.

– Zatrzymaj się, proszę! – próbuję za nią krzyczeć.

W pogoni za dziewczyną docieram do bardziej ruchliwej ulicy. Przechodnie zaczynają się odwracać, żeby na nas spojrzeć. W ostatnim momencie nieznajoma skręca w lewo i zbiega w dół na stację metra, roztrącając po drodze parkę, która wchodziła na górę, ramię w ramię.

– Proszę – wołam, zbiegając za dziewczyną, zziajana. Mam wrażenie, jakbym poruszała się w zwolnionym tempie. – Zaczekaj!

Ale ona jest już za barierką. Na szczęście bramka obok jest zepsuta i ktoś zostawił ją otwartą. Wbiegam do środka za dziewczyną. Kiedy jednak docieram do rozwidlenia korytarzy, prowadzących w prawo do pociągów jadących w kierunku zachodnim lub w lewo – w kierunku wschodnim, nie mam pojęcia, dokąd pobiegła. Mam pięćdziesiąt procent szans wybrania właściwego kierunku. Dysząc, ruszam biegiem w prawo, na peron i widzę ją stojącą po drugiej stronie szyn. Cholera. Dziewczyna wpatruje się we mnie, blada jak prześcieradło.

– Proszę! – krzyczę, wciąż próbując złapać oddech. – Proszę, chcę tylko z tobą porozmawiać... – Ludzie zaczynają się na mnie gapić, ale nic mnie to nie obchodzi. – Zaczekaj tam! – krzyczę. Czuję powiew ciepłego powietrza i po chwili z hukiem z tunelu wynurza się pociąg. Wbiegam po schodach na kładkę prowadzącą na drugą platformę. Czuję łomot przetaczających się pode mną wagonów.

Zbiegam w dół. Nigdzie jej nie widzę. Ludzie ładują się do pociągu. Ja też próbuję wsiąść, ale jest w nim już zbyt wiele osób. Pechowi pasażerowie cofają się na peron, żeby poczekać na kolejne metro. Drzwi zamykają się i widzę za nimi twarz dziewczyny – bladą, przerażoną, wpatrującą się we mnie. Kolejka rusza ze stacji, ze stukotem wtaczając się do tunelu. Spoglądam na tablicę wyświetlającą informację o trasie: piętnaście stacji przed pętlą końcową.

Wreszcie znalazłam jakiś związek z Benem, trop, ale nie dam rady domyślić się, dokąd jedzie ta dziewczyna – gdzie może wsiąść. Najprawdopodobniej już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Jess

Rozświatlam mieszkanie tak, jak mogę. Włączyłam wszystkie lampy i nawet wykwinntny gramofon Bena. Usiłuję nie panikować i uznałam, że duża ilość światła i hałasu mi w tym pomoże. Kiedy przed chwilą weszłam do budynku, było cicho, zbyt cicho. Zupełnie jakby nikogo nie było wewnątrz – jakby ten dom nasłuchiwał, czekając na coś.

Siedząc tutaj w tej chwili, czuję się zupełnie inaczej. Przedtem było to zaledwie uczucie, którego nie mogłam zdefiniować, ale teraz, kiedy usłyszałam końcówkę wiadomości od Bena, wiem, że w tamtej chwili bał się – i że ktoś był z nim w mieszkaniu.

Myślę również o dziewczynie, o wyrazie jej twarzy, kiedy powiedziałam jej, że moim zdaniem coś przytrafiło się Benowi. Była przerażona, ale jednocześnie wydawało mi się, że w jakiś sposób się tego spodziewała.

Nagle dociera do mnie, jak łatwo, patrząc z odpowiedniego miejsca w innych mieszkaniach i pod odpowiednim kątem, można mnie obserwować, zupełnie jakbym była aktorką na scenie. Podchodzę do okien i zamykam wielkie drewniane okiennice. Tak jest lepiej. Kiedyś z całą pewnością były tutaj zasłony; zauważam, że kółka na karniszu są połamane, jakby w pewnym momencie zasłony zostały zerwane.

Nie umiem tak po prostu siedzieć i rozmyślać o sprawie bez końca. Musi być coś jeszcze, co mi umknęło – coś, co będzie wskazówką, co stało się wczoraj w nocy.

Przeszukuję mieszkanie. Zaglądam pod łóżko, przeszukuję szafę Bena i szafki w kuchni. Odsuwam biurko od ściany – bingo. Coś wypada – coś, co tkwiło uwięzione między nim i ścianą. Podnoszę z podłogi notatnik, jeden z tych drogich, oprawnych w skórę. Bardzo pasuje do Bena.

Otwieram go i widzę kilka odręcznych notatek, wyglądających na recenzje restauracji i tym podobne. Potem, na jednej ze stron na samym końcu, odczytuję:

LA PETITE MORT

Sophie M wie.

Mimi: jak ona do tego pasuje?

Konsjerżka?

La Petite Mort. Nawet ja potrafię to przetłumaczyć: mała śmierć.

Sophie M musi być Sophie Meunier, kobietą, która mieszka w penthousie. Sophie M wie. Co takiego wie? Mimi to ta dziewczyna z czwartego piętra, ta, która wyglądała, jakby miała zwrócić śniadanie, kiedy spytałam ją o Bena. Jak Mimi pasuje do całej tej sprawy? Jak związana jest z tym konsjerżka i dlaczego Ben powiązał w swoim notatniku wszystkie te osoby z „małą śmiercią”?

Przerzucam resztę notatnika z nadzieją na odkrycie kolejnych informacji, ale kartki są puste. Coś dziwnego dzieje się z ludźmi zamieszkującymi ten dom. Ben prowadził zapiski o nich wszystkich.

Wypijam następne wino z kolekcji Bena, czekając, żeby trochę mnie uspokoiło, ale tym razem nie pomaga. Robię się tylko bardziej śpiąca. Odstawiam kieliszek, bo nagle czuję pragnienie, żeby zachować przytomność, żeby czuć, myśleć. Nie chcę już wcale zasypiać. Przestałam się czuć bezpieczna.

Kiedy powieki zaczynają mi same opadać, zdaję sobie sprawę, że nie mam wyboru. Muszę się przespać. Potrzebuję energii, żeby móc dalej działać. Powłócząc nogami, przenoszę się do sypialni i opadam na łóżko. Wiem, że dzisiaj nie jestem już w stanie nic więcej zrobić – nie, kiedy jestem taka zmęczona. Gaszę światło i uświadamiam sobie, że minął cały dzień, a mój brat nie odezwał się do mnie ani razu. Uczucie przerażenia rośnie.

Otwieram nagle oczy. Mam wrażenie, że zamknęłam je przed sekundą, ale podświetlone cyferki na budziku Bena wskazują trzecią nad ranem. Coś mnie przebudziło. Jestem pewna, chociaż nie wiem, co to takiego. Może to kot coś strącił na podłogę? Nie, widzę go na łóżku i czuję ciężar jego ciała na stopach. Kiedy moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, widzę wyraźniej w nikłej poświacie zielonkawych cyfr wyświetlacza. Kot siedzi rozbudzony, z nastawionymi uszami, które poruszają się jak dwa radary usiłujące przechwycić sygnał. Wyraźnie czegoś nasłuchuje.

A potem ja również to słyszę: skrzypnięcie parkietu pod czyimiś stopami. Ktoś tutaj jest, w tym mieszkaniu, razem ze mną, po drugiej stronie przeszklonych drzwi.

Ale czy... czy to może Ben? Otwieram usta, żeby go zawołać, i się waham. Przypominam sobie wiadomość, którą zostawił na poczcie

elektronicznej. Za drzwiami do sypialni nie pali się żadne światło, więc mój gość porusza się w ciemności. Ben zapaliłby światło, wchodząc do domu.

Nagle jestem całkowicie rozbudzona, wręcz nakręcona. W ciszy mieszkania mój oddech wydaje się zbyt głośny, więc staram się go uspokoić, uciszyć. Zamykam oczy i udaję, że śpię. Leżę nieruchomo. Czy ktoś się tutaj włamał? Ale wtedy chyba usłyszałabym brzęk tłuczonego szkła lub trzask łamiącego się drewna.

Czekam, słuchając każdego najmniejszego skrzypnięcia, kiedy ktoś krąży po pokoju. Wydaje się, że intruz się nie spieszy. Naciągam głębiej narzutę, tak że jestem prawie całkiem zasłonięta. A potem, poprzez łomotanie mojej własnej krwi w uszach, słyszę otwieranie drzwi do sypialni.

Gardło mam tak zaciśnięte, że trudno mi jest oddychać. Serce łomocze mi w piersi. Nadal udaję, że śpię, ale jednocześnie myślę o lampie stojącej obok łóżka, ciężkiej, z metalową podstawką. Mogłabym ją szybko schwycić ręką...

Czekam, z głową wciśniętą w poduszkę, usiłując zdecydować, czy lepiej byłoby chwycić lampę w tym momencie, czy...

Ale teraz... słyszę, jak ciche kroki się oddalają i drzwi do sypialni zostają zasunięte, a kilka chwil później dobiega mnie jęknięcie zawiasów drzwi wejściowych, kiedy ktoś otwiera je i zamyka za sobą.

Intruz wyszedł.

Leżę przez chwilę nieruchomo, oddychając szybko i chrapliwie. Potem wyskakuję z łóżka, otwieram drzwi do sypialni i wybiegam do głównego pokoju. Jeżeli będę szybka, może złapię mojego nocnego gościa. Najpierw jednak biegnę do kuchni i przeszukuję szafki, wyciągając wreszcie ciężką patelnię, na wszelki wypadek. Otwieram drzwi do apartamentu. Korytarz i klatka schodowa są pogrążone w ciemności i ciszy. Zamykam drzwi i podchodzę do okien. Może zobaczę tę osobę, kiedy będzie przechodziła przez dziedziniec? Ale widzę tylko czarną studnię z ciemniejszymi kształtami drzew i krzewów. Żadnego poruszenia. Gdzie podział się intruz?

Włączam światło. Mieszkanie wygląda na zupełnie nietknięte. Nigdzie nie widzę zbitego szkła, a drzwi wyglądają na nieuszkodzone – zupełnie jakby ten ktoś wszedł tutaj bez żadnego problemu.

Można by odnieść wrażenie, że wszystko to mi się przyśniło, ale wiem na pewno, że ktoś tutaj był. Słyszałam to i ja, i kot – chociaż w tej chwili wygląda na całkowicie zrelaksowanego. Rozłożył się na sofie i czyści delikatnie przestrzeń między palcami łap.

Spoglądam na biurko Bena i nagle zdaję sobie sprawę, że jego notatnik zniknął. Przeszukuję szuflady, zaglądam nawet za biurko, tam, gdzie znalazłam oprawny w skórę notes. Cholera, co ze mnie za idiotka! Dlaczego zostawiłam go tutaj, na samym wierzchu? Dlaczego gdzieś go nie ukryłam?

Teraz wydaje mi się to oczywiste. Po usłyszeniu takiej wiadomości powinnam być dużo ostrożniejsza. Trzeba było położyć coś przed drzwiami. To oczywiste, że ktoś będzie próbował się tu pojawić, powęszyć. W dodatku nie musiał się włamywać. Jeżeli jest to ta sama osoba, z którą Ben rozmawiał podczas nagrywania wiadomości do mnie, miała swoje klucze.

TRZYDZIEŚCI GODZIN WCZEŚNIEJ

Ben

Wszystko ciemnieje, tylko na chwilę, a potem nadchodzi przerażająca jasność. To się stanie tutaj, teraz, w tym mieszkaniu. Dokładnie w tym niczym niewyróżniającym się miejscu na parkiecie, tuż za drzwiami. Tutaj umrze.

Rozumie, co musiało się stać. Nick. Któżby inny? Chociaż mógł w to być zamieszany jeszcze któryś z mieszkańców domu... Bo naturalnie są wszyscy ze sobą związani...

– Proszę – udaje mu się wykrztusić. – Wytłumaczę ci. – Zawsze był w stanie słowami wykręcić się z każdej sytuacji. Benjamin złotousty, tak go nazywała. Gdyby tylko udało mu się znaleźć odpowiednie słowa. Tymczasem nagle mówienie staje się dziwnie trudne...

Kolejny atak następuje z zadziwiającą szybkością i siłą. Błaga teraz cieniutkim, niemal dziecięcym głosem.

– Nie, nie... proszę, proszę... nie rób tego... – Słowa wylewają się z jego ust; jego, osoby zawsze opanowanej i pewnej siebie. Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Ben błaga. Błaga o litość, ale nie znajduje jej we wpatrzonych w niego oczach.

Widzi krew rozpryskaną na dzinsach, ale nie od razu dochodzi do niego, co się dzieje. Potem obserwuje, jak szkarłatne krople opadają na drewnianą podłogę, na początku powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Wygląda to nierealnie: niezwykła intensywna czerwień – i nagle tak jej dużo. Jak to

możliwe, żeby wszystko to wydostało się z niego? Z każdą sekundą jest jej więcej. Musi się z niego wylewać.

Następuje kolejny atak i Ben upada nagle, uderzając głową w coś twardego i ostrego – kant blatu kuchennego.

Powinien być mądrzejszy, mniej arogancki, ostrożniejszy. Trzeba było przynajmniej zainstalować na drzwiach łańcuch. Ale on sądził, że jest niepokonany, że zawsze wszystko ma pod kontrolą. Był taki głupi, zuchwały.

A teraz leży na podłodze i nie wyobraża sobie, że mógłby jeszcze kiedykolwiek wstać. Próbuje podnieść ręce, błagać bez słów, bronić się, ale jego ciało odmawia posłuszeństwa. Przestał je kontrolować. Wraz z tym zrozumieniem przychodzi kolejne uderzenie strachu: jest całkowicie bezbronny.

Okienice... okiennice są otwarte. Na zewnątrz jest ciemno, co oznacza, że cała ta scena musi być podświetlona dla kogoś obserwującego z zewnątrz. Jeśli ktoś to zobaczył – jeśli ktoś mógłby przyjść mu z pomocą...

Z ogromnym wysiłkiem otwiera oczy, odwraca się i zaczyna pełznąć do okien. To takie trudne. Za każdym razem, gdy podpiera się ręką, ślizga się na podłodze. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę dlaczego: parkiet jest pokryty jego własną krwią. Wreszcie dociera do okna. Podciąga się nieco ponad parapet, wyciąga rękę i zostawia krwawy odcisk dłoni na szybie. Czy ktoś tam jest? Czy dostrzeże w ciemnościach jakąś twarz zwróconą ku niemu, zaciekawioną światłem w jego oknach? Wzrok rozmywa się mu znowu. Próbuje uderzać dłonią w szybę, krzyczeć bezgłośnie: POMOCY.

I nagle uderza go fala bólu – potwornego, bardziej wszechogarniającego niż cokolwiek, czego doświadczył do tej pory. Nie będzie w stanie tego znieść, to na pewno ponad jego siły. To już koniec.

Jego ostatnia przytomna myśl to Jess. Jess ma tu przyjechać wieczorem i nikt jej nie otworzy. Od chwili pojawienia się tutaj jej życie również będzie w niebezpieczeństwie.

NIEDZIELA

Nick

Drugie piętro

Jest poranek. Wchodzę na klatkę schodową. Biegałem kilka godzin. W zasadzie to nie wiem, jak długo ani jaki dystans pokonałem. Pewnie dobrych kilkanaście kilometrów. Normalnie miałbym dokładne statystyki, bo zazwyczaj sprawdzam obsesyjnie mojego garmina i zachowuję wszystko na Stravie zaraz po powrocie do domu. Dzisiaj jednak nie mam na to siły. Musiałem po prostu oczyścić myśli. Zatrzymałem się tylko dlatego, że ból w łydce zaczął przebijać się przez wszystko, chociaż przez chwilę bieg w cierpieniu niemal sprawiał mi przyjemność. To stary uraz. Naciskałem doktorka z Doliny Krzemowej, żeby przepisał mi na niego oksykodon, który pomógł również zagłuszyć depresję, kiedy moje inwestycje zaczęły iść bardzo źle.

Na pierwszym piętrze waham się przez chwilę przed drzwiami apartamentu. Pukam raz, dwa, trzy razy. Nasłuchuję kroków, przyglądając się podrapanej framudze i wdychając odór starego dymu papierosowego. Czekam kilka minut, ale nikt nie otwiera. Pewnie zasnął na kanapie pijany. Albo unika mnie... nie zdziwiłbym się. Jest coś, co chcę... co muszę powiedzieć temu facetowi, ale przypuszczam, że będę musiał trochę poczekać.

Zaczynam wspinać się po schodach. Oczy mnie pieką, więc unoszę brzeg prze poczonej koszulki, żeby je obetrzeć, a potem ruszam dalej.

Mijam właśnie mieszkanie na trzecim piętrze, kiedy drzwi otwierają się gwałtownie i staje w nich Jess.

– O... hej. – Przesuwam dłonią po włosach.

– Och. – Wygląda na zaskoczoną. – Idziesz na górę?

– Nie – odpowiadam. – Nie... w zasadzie chciałem tylko sprawdzić, jak się miewasz. Chciałem też przeprosić za to, że wczoraj tak szybko wyszedłem, no wiesz, kiedy rozmawialiśmy. Udało ci się znaleźć Bena?

Przyglądam się jej uważniej. Ma bladą twarz. Nie przypomina już sprytnego liska jak wczoraj – teraz wygląda bardziej jak zajęc schwytyany w światło reflektorów.

– Jess, dobrze się czujesz? – pytam.

Otwiera usta, ale przez chwilę nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Mam wrażenie, że walczy z sobą.

– Ktoś tutaj był – wypluwa w końcu z siebie. – Bardzo rano. Ktoś inny musi mieć klucz do tego mieszkania.

– Klucz?

– Tak. Ktoś tutaj przyszedł, chodził po mieszkaniu. – Zajęc powoli znika, zastąpiony fasadą twardzielki.

– Co takiego? W mieszkaniu? Zginęło coś?

Waha się, a potem wzrusza ramionami.

– Nie.

– Posłuchaj, Jess. Wydaje mi się, że powinnaś porozmawiać z policją.

– Zadzwoiłam do nich wczoraj. – Krzywi się. – Nie byli zbyt pomocni.

– Co ci powiedzieli?

– Że zarejestrują oficjalnie zgłoszenie. – Wywraca oczami. – Nie mam pojęcia, po co w ogóle próbowałam. Jestem pieprzoną idiotką. Przyjechałam sama do Paryża, ledwie mówię po francusku. Dlaczego sądziłam, że wezmą mnie poważnie?...

– Jak dobrze mówisz po francusku?

Wzrusza ramionami.

– Prawie w ogóle. Potrafię zamówić piwo i to wszystko. Dość bezużyteczne, prawda?

– Słuchaj, może pójdę z tobą na Commissariat? Jestem pewien, że jeśli porozmawiam z nimi po francusku, będą bardziej pomocni.

Unosi brwi.

– To byłoby... to byłoby fantastycznie. Dziękuję. Ja... słuchaj, naprawdę jestem wdzięczna. – Wzrusza ramionami. – Niezbyt dobrze mi idzie

proszenie o przysługę.

– Nie prosiłaś, sam zaoferowałem. Powiedziałem ci już wczoraj, że chcę pomóc, i to nie były puste słowa.

– W każdym razie dziękuję. – Pociąga za łańcuszek na szyi. – Możemy pójść wkrótce? Muszę stąd wyjść.

Jess

Jesteśmy na ulicy, idziemy obok siebie w milczeniu. W głowie kołacze mi się mnóstwo myśli. Wiadomość od Bena wzbudziła we mnie nieufność do wszystkich mieszkańców tego budynku, włączając w to dawnego przyjaciela Bena z uniwerku, bez względu na to, jak bardzo wydaje się przyjazny. Ale przecież to Nick sam zasugerował udanie się na policję. Chyba nie zrobiłby czegoś takiego, gdyby miał coś wspólnego ze zniknięciem Bena?

– Tędy. – Nick chwyta mnie pod łokieć (czuję, jak ramię lekko łaskocze mnie pod jego dotykiem) i kieruje w stronę alejki, przypominającej bardziej kamienny tunel między dwoma budynkami. – Skrót – wyjaśnia.

Jeszcze przed chwilą byliśmy na zatłoczonej ulicy, ale teraz nagle nie ma tu nikogo i jest dużo ciemniej. Nasze kroki odbijają się echem od ścian. Nie podoba mi się fakt, że nie dostrzegam stąd nieba.

Czuję ulgę, kiedy wreszcie wychodzimy po drugiej stronie. Kiedy skręcamy w ulicę, widzę, że na jej końcu znajduje się barykada policyjna. Kilku facetów w hełmach i kamizelkach kuloodpornych stoi w gotowości z pałkami i trzeszczącymi radiostacjami.

– Cholera. – Czuję, jak wali mi serce.

– Merde – rzuca Nick w tym samym momencie.

Podchodzi do funkcjonariuszy i zaczyna z nimi rozmawiać. Ja zostaję na miejscu. Policjanci nie wydają się zbyt przyjaźnie nastawieni. Przyglądają się nam uważnie.

– To przez zamieszki – mówi Nick, wracając do mnie. – Spodziewają się drobnych kłopotów. – Przygląda mi się uważnie. – Dobrze się czujesz?

– Tak, wszystko w porządku. – Przypominam sobie, że przecież właśnie zmierzamy na posterunek. Może będą mi mogli pomóc. Nagle czuję, że muszę coś z siebie wyrzucić.

– Hej, Nick – zaczynam, kiedy ruszamy w dalszą drogę.

– Tak?

– Wczoraj, kiedy rozmawiałam z policją, powiedzieli, że potrzebują mojego nazwiska i adresu, do zgłoszenia czy coś. Ja... nie chcę im podawać

tych informacji.

Nick ściąga brwi.

– Dlaczego?

– Ja... nie warto wdawać się w szczegóły. – Ale on nadal spogląda na mnie dziwnym wzrokiem, a ja nie chcę, żeby uznał mnie za jakąś kryminalistkę. – Miałam drobny kłopot w pracy, zanim tu przyjechałam.

Niezbyt drobny. Dwa dni temu weszłam do Copacabany z uśmiechem na ustach, zupełnie jakby mój szef dzień wcześniej nie zaprezentował mi swojego kutasa. O tak, potrafię się dostosować, kiedy muszę. A ja potrzebowałam tej cholerne pracy. A potem, w porze lunchu, przed otwarciem, kiedy Zboczeniec był w toalecie (poszedł tam ze „świerszczykiem”, więc miałam trochę czasu), weszłam na górę, skradłam z jego gabinetu mały klucz, otworzyłam kasę i zabrałam z niej wszystkie pieniądze. Nie było tego dużo – Zboczeniec był na to zbyt chytry, co dzień wkładał do przegródek nową porcję gotówki. Wystarczyło jednak na to, żeby przyjechać do Paryża – uciec pierwszym eurostarem, na jaki udało mi się kupić bilety. Och, a na dodatek jeszcze ustawiłam przed drzwiami toalety dwie beczki z piwem, tuż pod klamką, żeby szef nie zdołał wyjść. Pewnie wydostanie się ze sraczyka zajęło mu kilka minut.

W każdym razie dlatego właśnie niezbyt mam ochotę znaleźć się w jakiegokolwiek oficjalnej bazie danych. Nie sądzę wprawdzie, żeby ścigał mnie Interpol, ale nie podoba mi się wizja mojego nazwiska tkwiącego w jakimś policyjnym systemie i tutejszych funkcjonariuszy porównujących dane z angielskimi. Przyjechałam tutaj, żeby zacząć nowe życie.

– Nic wielkiego – dodaję. – Po prostu... to delikatna sprawa.

– Nie no, jasne – odpowiada Nick. – Może podam im moje dane kontaktowe, co?

– Tak. – Garbię się lekko z poczucia ulgi. – Dziękuję, Nick... Byłoby fantastycznie.

– Wiesz, zastanawiam się, co mam powiedzieć policji – podejmuje, kiedy zatrzymujemy się na przejściu dla pieszych. – Oczywiście to, że twoim zdaniem ktoś był w mieszkaniu zeszłej nocy...

– Żadnym moim zdaniem – przerywam mu. – Na pewno.

– Jasne. – Kiwa głową. – Jeszcze coś, co powinienem powiedzieć?

Zastanawiam się.

– Rozmawiałam z wydawcą Bena.

– Doprawdy? – Spogląda na mnie.

– Tak, z tym facetem z „Guardiana”. Nie wiem, czy to ważne, ale wyglądało na to, że Ben miał jakiś pomysł na artykuł. Był tym bardzo podekscytowany.

– O czym miał napisać?

– Nie wiem. Jakiś kawałek śledczy. Przypuszczam, że jeśli wmieszał się w coś...

Nick zwalnia kroku.

– Ale jak to, jego wydawca nie wie, o czym miał być ten artykuł?

– Nie.

– Ach, jaka szkoda.

– Poza tym znalazłam notatnik. Właśnie to zginęło z mieszkania dzisiaj rano. Były w nim notatki o ludziach z apartamentowca. Sophie Meunier, wiesz, ta kobieta z góry? Mimi z czwartego piętra. Konsjerżka. I jeszcze La Petite Mort. Myślę, że znaczy to „mała śmierć”...

Wyraz twarzy Nicka zmienia się dziwnie.

– O co chodzi? Co to znaczy?

Kaszle zakłopotany.

– Cóż, to eufemizm oznaczający orgazm.

– Och. – Niełatwo mnie zawstydzić, ale w tej chwili czuję, że policzki zaczynają mi płonąć. Nagle jestem nader świadoma spojrzenia Nicka i tego, jak blisko siebie się znajdujemy na pustej ulicy. Zapada długie, niewygodne milczenie. – W każdym razie, ktokolwiek wszedł dziś do mieszkania Bena, zabrał notatnik, więc musi w nim być coś ważnego – mówię.

Skrećamy w boczną uliczkę. Na tablicach ogłoszeniowych wisi kilka zniszczonych czarno-białych ogłoszeń. Zatrzymuję się na chwilę, żeby się im przyjrzeć. Wpatrują się we mnie widmowe twarze. Nie muszę rozumieć francuskiego, żeby wiedzieć, czym, a raczej kim są. Zaginione osoby.

– Posłuchaj. – Nick podąża za moim wzrokiem. – Pewnie nie będzie łatwo. Wiele osób przepada bez śladu, co rok. Tutaj mają z tym pewien... problem kulturowy. Uważają, że jeśli ktoś zaginął, może miał po temu powody i że miał prawo zniknąć.

– No dobrze, ale chyba to nie dotyczy Bena. Bo jest więcej... – Waham się, ale ostatecznie decyduję się opowiedzieć Nickowi o wiadomości.

Znów zapada cisza, kiedy zastanawia się nad tym, co usłyszał.

– A tamta druga osoba – mówi wreszcie. – Słyszałaś jej głos?

– Nie. Nie sądzę, żeby cokolwiek mówiła. Tylko Ben się odzywał. – Przypominam sobie jego „co, do diabła?”. – Bał się. Nigdy nie słyszałam u

niego takiego tonu. O tym też chyba powinniśmy powiedzieć policji, prawda? Odtworzyć dla nich tę wiadomość?

– Tak, zdecydowanie.

Idziemy w milczeniu przez kilka minut. Nick nadaje tempo, a potem nagle zatrzymuje się przed dużym, współczesnym i naprawdę brzydkim budynkiem, całkowicie kontrastującym z otaczającymi go szykownymi blokami mieszkalnymi.

– OK, jesteśmy na miejscu.

Spoglądam na napis nad wejściem: COMMISSARIAT DE POLICE. Przełykam głośno ślinę, a potem wchodzę za Nickiem do środka. Czekam tuż za progiem, kiedy on zaczyna rozmawiać płynnym francuskim z gościem siedzącym w recepcji.

Próbuję sobie wyobrazić, jakie to uczucie, być pewnym siebie tak jak Nick w tym miejscu – mieć poczucie, że ma się prawo tutaj przebywać. Po mojej lewej widzę trzy osoby w brudnych ubraniach, skute kajdankami, z twarzami usmarowanymi czymś, co wygląda jak sadza, wrzeszczące i szamoczące się z trzymającymi ich policjantami. Demonstranci? Odnoszę wrażenie, że mam więcej wspólnego z nimi niż z tym miłym bogatym chłopcem, który mnie tutaj przyprowadził. Podskakuję nagle, kiedy ze środka wypada do recepcji dziewięciu czy dziesięciu funkcjonariuszy w kamizelkach i hełmach, przepychając się obok mnie w kierunku wyjścia i wskakując do czekającej na nich suki policyjnej.

Mężczyzna za biurkiem kiwa głową, słuchając Nicka. Widzę, jak podnosi słuchawkę telefonu.

– Poprosiłem o rozmowę z oficerem – mówi Nick, podchodząc do mnie. – W ten sposób będziemy pewni, że ktoś nas wysłucha. Recepcjonista właśnie po niego dzwoni.

– Och, to świetnie. – Dzięki Bogu za Nicka i jego płynną francuszczyznę, i pewność siebie typową dla faceta z wyższych sfer. Gdybym przyszła tutaj sama, znów by mnie zbyli albo gorzej – sama bym się wycofała i wyszła przed porozmawianiem z kimkolwiek.

Recepcjonista wstaje i przywołuje nas gestem, pokazując, gdzie mamy iść. Przełykam strach związany z wejściem głębiej do tej jaskini lwa. Mężczyzna prowadzi nas korytarzem do jednego z biur. Tabliczka na drzwiach oznajmia: COMISSAIRE BLANCHOT. W środku, za dużym biurkiem, siedzi mężczyzna, na oko zbliżający się do sześćdziesiątki. Spogląda na nas. Ma krótko obstrzyżone siwe włosy, dużą kwadratową

twarz i małe ciemne oczy. Wstaje, ściska dłoń Nicka, a potem odwraca się w moim kierunku, mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, później zaś wskazuje na dwa krzesła stojące naprzeciw biurka.

– Asseyez vous.

Najwyraźniej Nick nieźle pociągnął za sznurki: biuro i aura ważności roztaczana przez Blanchota podpowiadają mi, że jest jakąś szychą. Mimo to coś mi się w tym gościu nie podoba. Nie umiem stwierdzić, co dokładnie; może to ta jego twarz pitbulla albo sposób, w jaki przed chwilą na mnie spojrzał. Nieważne. Mówię sobie, że polubienie detektywa nie jest mi potrzebne. Musi tylko wykonać właściwie swoją pracę i znaleźć mojego brata. Poza tym nie jestem na tyle ślepa, aby nie zauważyć, że oceniam policjanta przez pryzmat moich własnych doświadczeń.

Nick zaczyna rozmawiać z Blanchotem po francusku. Od czasu do czasu wychwytyuję słowo lub dwa; chyba imię Bena. Kilka razy obaj spoglądają na mnie.

– Przepraszam. – Nick odwraca się do mnie. – Zdaję sobie sprawę, że rozmawialiśmy dość szybko. Chciałem po prostu wszystko przekazać. Zrozumiałaś cokolwiek? Obawiam się, że detektyw Blanchot nie mówi po angielsku.

Potrząsam głową.

– Nawet gdybyście rozmawiali bardzo powoli, nie zrobiliby mi to różnicy.

– Nie przejmuj się, wszystko ci wyjaśnię. Przedstawiłem mu całą sytuację i dochodzimy niestety do tego, o czym już ci wspominałem, czyli do „prawa do zniknięcia”. Próbuję go jednak przekonać, że chodzi o coś więcej i że ty... że oboje naprawdę bardzo się martwimy o Bena.

– Powiedziałaś mu o notatniku? – pytam. – I o tym, co wydarzyło się zeszłej nocy?

Nick kiwa głową.

– Tak, powiedziałem mu wszystko.

– A co z wiadomością na poczcie głosowej? – Wyciągam przed siebie telefon. – Mam ją tutaj. Mogę ją odtworzyć.

– To świetny pomysł. – Nick mówi coś do komisarza Blanchota, a potem spogląda na mnie i kiwa głową. – Chciałby jej posłuchać.

Wręczam mu telefon. Nie podoba mi się sposób, w jaki Blanchot mi go wrywa. On tylko wykonuje swoją pracę, Jess, upominam siebie.

Detektyw odtwarza wiadomość, korzystając z jakiegoś głośnika, i znów słyszę głos mojego brata tak wyraźnie, jak nigdy przedtem. „Co, do diabła”, a potem ten dźwięk – dziwne jęknięcie.

Spoglądam na Nicka, który potwornie zbladł. Najwyraźniej czuje to samo, co ja: czyli mój instynkt był prawidłowy.

Blanchot wyłącza telefon i kiwa do Nicka – może dlatego, że nie mówię po francusku, a może dlatego, że jestem kobietą. Albo jedno i drugie, nie ma to znaczenia – czuję się, jakbym prawie nie istniała.

Trącam Nicka.

– Rozumiem, że teraz ma już podkładkę, tak?

Nick przetyka głośno i bierze się w garść. Zadaje policjantowi pytanie, a potem spogląda na mnie.

– Tak. Sądzę, że to pomogło. Mamy dobre podstawy.

Kątem oka widzę, że Blanchot przygląda nam się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Nagle wszystko się kończy, Nick i detektyw ściskają sobie ręce.

– Merci, commissaire Blanchot – mówi Nick. Ja również dodaję merci i Blanchot uśmiecha się do mnie, a ja próbuję zignorować niepokój, który najpewniej ma mniej wspólnego z samą osobą komisarza, niż z tym, co reprezentuje. Zostajemy wyprowadzeni na korytarz i drzwi do biura detektywa zamykają się.

– Jak myślisz, dobrze poszło? – pytam Nicka, kiedy wychodzimy z budynku komendy. – Potraktował sprawę poważnie?

Kiwa głową.

– Tak, ostatecznie tak. Myślę, że pomogła mu w tym wiadomość telefoniczna – mówi chrapliwym głosem. Nadal jest blady i wstrząśnięty tym, co właśnie usłyszał w wiadomości. – Ach, nie musisz się martwić. Podałem moje dane jako główny kontakt, nie twoje. Gdy tylko coś będę wiedział, przekażę ci.

Zatrzymuje się na chwilę na ulicy i nieruchomieje. Obserwuję, jak zasłania oczy dłonią i oddycha głęboko, nerwowo. Myślę nagle, że jest jeszcze ktoś, komu zależy na Benie. Może nie jestem w tym wszystkim aż tak osamotniona, jak sądziłam.

Sophie

Penthouse

Szykuje apartament na przyjęcie koktajlowe. W ostatnią niedzielę każdego miesiąca Jacques i ja gościmy znajomych w naszym penthousie. Otwieramy najlepsze wina z naszej piwniczki, ale tym razem będzie inaczej. Mamy wiele do przedyskutowania.

Nalewam wino do karafki i ustawiam kieliszki. Stać nas na zatrudnienie ludzi do tego typu zadań, ale Jacques nigdy nie chciał, żeby jacyś obcy kręcili się po jego domu, wtykając nos w jego prywatne sprawy, a mi w zasadzie to pasowało. Przypuszczam tylko, że gdybyśmy zatrudniali kogoś z cateringu, może czułabym się nieco mniej samotna w ciągu wszystkich tych lat. Stawiając karafkę na niskim stoliku w salonie, widzę go we wspomnieniach, siedzącego w fotelu naprzeciwko – z nogami skrzyżowanymi w kostkach, kieliszkiem wina w ręku, wyraźnie czującego się tu bardzo wygodnie.

Obserwowałam go. Widziałam, jak przygląda się naszemu mieszkaniu, ocenia nasze bogactwo – a może próbuje znaleźć jakieś wady w wyposażeniu mieszkania, wybranym równie uważnie jak noszone przeze mnie stroje: fotel Florence Knoll z połowy wieku, jedwabny dywanik Ghom pod jego stopami. Wszystko to miało wyrażać klasę, dobry gust i kindersztubę, której nie można kupić.

Odwrócił głowę i zauważył, że mu się przyglądam. Uśmiechnął się szeroko – wyglądał jak lis wchodzący do kurnika. Chłodno odwzajemniłam uśmiech. Nie dam się wytrącić z równowagi. Zamierzam być gospodynią idealną.

Zapytał Jacques'a o jego kolekcję antycznych strzelb.

– Pokażę ci ją. – Jacques zdjął jedną z broni z półki. To rzadki honor. – Czujesz, jak ostry jest ten bagnet? Można nim przebić człowieka na wskroś.

Ben mówił same właściwe rzeczy. Skomentował dobry stan strzelby, mosiężne zdobienia. Mój mąż nie należy do osób, które łatwo się dają oczarować, ale widać było, że Ben go ujął.

– Czym się zajmujesz, Ben? – spytał, nalewając mu kolejny kieliszek czerwonego wina. Było gorące późne lato, więc białe byłoby lepsze, ale Jacques chciał się pochwalić swoimi zbiorami.

– Jestem pisarzem.

– Jest dziennikarzem – powiedział Nick w tym samym momencie.

Obserwowałam uważnie twarz Jacques'a.

– Jakiego rodzaju dziennikarzem? – spytał z niezwykłą niefrasobliwością.

Ben wzruszył ramionami.

– Głównie recenzuję restauracje, nowe wystawy w galeriach i tym podobne.

– Ach. – Jacques usiadł z powrotem na swoim fotelu; król wszystkiego, co miał w zasięgu wzroku. – Cóż, z chęcią polecę ci kilka restauracji do oceny.

Ben uśmiechnął się tym swoim naturalnym, charyzmatycznym uśmiechem.

– To byłoby bardzo pomocne. Dziękuję.

– Lubię cię, Ben. – Jacques wycelował w niego palcem. – Przypominasz mi trochę mnie samego w młodym wieku. Masz zapał, entuzjazm. Głód. Ja też taki byłem. W dzisiejszych czasach można to powiedzieć o niewielu młodych ludziach.

W tym momencie pojawili się Antoine i jego żona Dominique z apartamentu na pierwszym piętrze. Koszuli Antoine'a brakowało guzika. Tkanina rozchylała się, ukazując miękkie ciało. Dominique z kolei, można powiedzieć, że się postarała. Miała na sobie sukienkę zrobioną na szydełku, tak cienką, że opinała każdą dojrzałą krzywiznę jej ciała. Mon Dieu, widać było brodawki jej piersi. Było w niej coś, co kojarzyło się z Bardotką: nadąsane wydęcie warg i te ciemne oczy jałówki. Złapałam się na myśli, że cała ta dojrzałość przeminie, zmieni się w sadełko (popatrz tylko na Bardotkę, biedaczka) – przekleństwo tak wielu francuskich mężczyzn. Tłuszcz w tym kraju jest postrzegany jako objaw słabości, a nawet głupoty. Poczulałam dziwną złośliwą satysfakcję.

Obserwowałam, jak spogląda na Bena. Obejrzała go uważnie od stóp do głów. Pewnie w jej przekonaniu zrobiła to dyskretnie, ale mi kojarzyła się z tanią dziwką nagabującą klienta. Ben odwzajemnił spojrzenie: dwoje atrakcyjnych ludzi zauważyło siebie. Ach, to frisson. Dominique odwróciła się do Antoine'a. Kiedy z nim rozmawiała, jej usta wykrzywiły się

w uśmiechu, ale nie był on przeznaczony dla jej męża, tylko dla Bena. Wykalkulowane, wypracowane przedstawienie.

Antoine pił zbyt dużo. Wychylił kieliszek i od razu podstawił go po następną porcję. Jego oddech nawet z daleka był kwaśny. Robił z siebie idiotę.

– Czy ktoś tutaj pali? – spytał Ben. – Zamierzam wyskoczyć na papierosa. Fatalny nałóg, wiem o tym. Zastanawiam się, czy mógłbym skorzystać z tarasu na dachu?

– To tędy. – Pokazałam mu drogę. – Obok regału z książkami i na lewo. Za drzwiami zobaczysz schody.

– Dzięki. – Uśmiechnął się do mnie czarująco.

Czekałam na zapalenie się świec na tarasie, co oznaczałoby, że znalazł drogę na górę i minął czujniki. Dach pozostał skąpany w mroku. Wejście po schodach nie powinno mu zająć dłużej niż minutę lub dwie.

Podczas gdy inni rozmawiali, ja poszłam sprawdzić, co się dzieje. Na tarasie nie było po nim śladu, podobnie jak w części pokoju schowanej za regałem z książkami. Ogarnęło mnie znów to dziwne uczucie chłodu, wrażenie, że lis właśnie wszedł do kurnika. Ruszyłam ciemnym korytarzem prowadzącym do pozostałych pokoi w apartamencie.

Znalazłam go w gabinecie Jacques'a. Światła nie były włączone, a Ben wyraźnie czegoś szukał.

– Co ty tu robisz? – Skóra paliła mnie z gniewu. I ze strachu.

Odwrócił się do mnie w ciemnościach.

– Przepraszam. Musiałem pomylić drogę.

– Wytłumaczyłam ci ją bardzo wyraźnie. – Trudno było zachować uprzejmość, stłumić pragnienie natychmiastowego wyrzucenia go z domu.

– W lewo i za drzwi. W przeciwnym kierunku.

Skrzywił się przepaszająco.

– Mój błąd. Chyba wypilem za dużo tego znakomitego wina. Skoro jednak już tutaj jesteśmy, powiedz mi coś o tej fotografii. Fascynuje mnie. – Od razu wiedziałam, o którym zdjęciu mówi: dużym czarno-białym akcie wiszącym naprzeciwko biurka mojego męża. Twarz kobiety jest zwrócona w bok, jej profil rozplywa się w cieniach. Widać obnażone piersi i ciemny trójkąt włosów łonowych między białymi udami. Prosiłam Jacques'a, żeby się go pozbył. Był bardzo nieprzyzwoity i naprawdę kiepski.

– Należy do mojego męża – odparłam sucho. – To jego gabinet.

– Ach, a więc to tutaj pracuje wielki człowiek. A ty? Też masz jakieś zajęcie?

– Nie. – Musiał to przecież wiedzieć. Kobiety o mojej pozycji nie mają się działalności zarobkowej.

– Ale zanim poznałaś męża, musiałaś chyba coś robić?

– Tak.

– Przepraszam – powiedział po milczeniu tak długim, że niemal namacalnym. – To ten dziennikarz we mnie. Po prostu... interesuję się ludźmi. – Wzruszył ramionami. – Obawiam się, że to nieuleczalne. Proszę o wybaczenie.

Kiedy go poznałam, przyszło mi na myśl, że używa swojego uroku osobistego jak broni. Teraz się co do tego upewniłam. Nasz nowy sąsiad był niebezpieczny. Pomyślałam o liścikach, o moim tajemniczym szantażyście. Czy to zbieg okoliczności, że Ben – człowiek z jego wiedzą – pojawił się niemal w tym samym czasie, co żądanie pieniędzy i groźby ujawnienia moich sekretów? Jeżeli tak, nie zamierzałam na to pozwolić. Nie dopuszczę, aby ten obcy człowiek zburzył wszystko, co zbudowałam.

Udało mi się odnaleźć głos.

– Zaprowadzę cię na taras na dachu – powiedziałam. Szłam za nim, dopóki nie przeszedł przez właściwe drzwi. Odwrócił się jeszcze z szerokim uśmiechem i skinięciem głowy. Tym razem nie odwzajemniłam uśmiechu.

Wróciłam do pozostałych gości. Minutę później Dominique wstała i oznajmiła, że ona również idzie na papierosa. Być może była zażenowana tym, że jej mąż upija się do nieprzytomności na sofie – albo, sądząc po jej spojrzeniu na Bena po przybyciu, była zwyczajnie bezwstydna.

Antoine wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek, mocno. Wino w jego dłoni zafalowało i szkarłatna kropla wylądowała na bladej tkaninie jej sukni.

– Non – powiedział. – Tu ne feras rien de la sorte. Nie zrobisz niczego podobnego.

Dominique zerknęła na mnie szeroko otwartymi oczami – kobieta do kobiety. Widzisz, jak on mnie traktuje? Odwróciłam wzrok. Dokonałaś wyboru, chérie, tak jak i ja. Wiedziałam, jakiego rodzaju człowiekiem jest mój mąż, kiedy za niego wychodziłam. Jestem pewna, że ty również, a jeśli nie, no cóż, w takim razie jesteś głupsza, niż sądziłam.

Obserwowałam, jak wyrwała rękę z uścisku męża i odeszła w kierunku tarasu. Wyobraziłam sobie ją i Bena; niemal widziałam scenkę, jaka się tam

mogła rozegrać. Przed nimi rozciągała się panorama dachów Paryża, podświetlone ulice wyglądały niczym sznury lampek choinkowych. Dominique nachyliła się do przodu, żeby podpalić papierosa od jego papierosa. Jej usta musnęły jego dłoń.

Oboje wrócili krótką chwilę później. Kiedy Antoine ich zobaczył, podniósł się z sofy i podszedł chwiejnym krokiem do żony.

– Idziemy do domu.

Dominique potrząsnęła głową.

– Nie. Nie chcę wracać.

Nachylił się do niej i syknął, wystarczająco głośno, żebyśmy wszyscy usłyszeli:

– Idziemy, ty mała dziwko. Petite salope. – A potem spojrzał na Bena. – Trzymaj się z dala od mojej żony, ty angielski gnojku. Comprends-tu? Rozumiesz? – Dla podkreślenia swoich słów machnął ręką, w której trzymał kieliszek z winem. Nie wiem do dziś, czy zrobił to dlatego, że był pijany, czy specjalnie, ale kieliszek wyleciał mu z ręki, rozbijając się. Wino prysnęło na ścianę.

Wszyscy nagle znieruchomieli i ucichli.

Ben odwrócił się do Jacques'a.

– Bardzo mi przykro, monsieur Meunier. Ja...

– Proszę. – Jacques podniósł się z fotela. – Nie tłumacz się. – Podszedł do Antoine'a. – Nikt się w ten sposób nie zachowuje w moim domu. Nie jesteś już tutaj mile widziany. Wynoś się. – Jego głos był zimny, przesycony groźbą.

Antoine otworzył usta. Zobaczyłam jego zęby, przybrudzone winem. Przez chwilę myślałam, że powie coś niewybaczalnego. Potem odwrócił się i spojrzał na Bena – długim spojrzeniem, które było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

Milczenie, które towarzyszyło ich wyjściu, wibrowało niczym kamerton.

Później, kiedy Jacques rozmawiał przez telefon, wzięłam prysznic w swojej łazience i niemal nieświadomie skierowałam strumień wody między nogi. Przed oczami miałam ich dwoje: Dominique i Bena w ogrodzie na dachu, i wszystkie rzeczy, które mogły między nimi zajść, gdy reszta z nas prowadziła nic nieznaczące rozmowy w mieszkaniu na dole. I kiedy mój mąż warczał rozkazy do słuchawki, doskonale słyszalne

zza ściany, ja miałam cichy orgazm, przyciskając głowę do chłodnych kafelków. Mała śmierć, tak to nazywają. La petite mort. Może to właściwe określenie, bo tego wieczora część mnie umarła, a narodziła się inna.

Jess

Jest już wieczór i siedzę w mieszkaniu, wpatrując się w dziedziniec za oknem i w podświetlone prostokąty okien moich sąsiadów, usiłując dostrzec ich sylwetki, poruszające się w głębi mieszkań.

Napisałam do Nicka kilka esemesów, pytając, czy odezwała się już do niego policja, ale jeszcze nie odpowiedział. Wiem, że pewnie jest jeszcze za wcześnie, ale nie mogłam się powstrzymać. Jestem wdzięczna za jego wcześniejszą pomoc. Dobrze jest wiedzieć, że mam w nim sprzymierzeńca. Nadal jednak nie wierzę, że policja cokolwiek zrobi. Zaczynam znów czuć narastający niepokój. Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać.

Zakładam kurtkę i wychodzę z mieszkania na korytarz, nie wiedząc jeszcze, dokąd pójdę, ale czując, że muszę coś zrobić. Zatrzymuję się na chwilę, zastanawiając się, co dalej, i zdaję sobie nagle sprawę, że z góry dobiegają mnie czyjeś podniesione głosy. Nie mogę się oprzeć, żeby nie sprawdzić. Zaczynam wchodzić po schodach na górę, mijając drzwi prowadzące do mieszkania Mimi i nasłuchując przez chwilę. Głosy muszą dochodzić z penthouse'u. Słyszę głos mężczyzny wybijający się nad pozostałymi, ale wszyscy jakby rozmawiali jednocześnie. Nie jestem w stanie rozróżnić żadnych słów. Kolejne piętro i staję na podeście schodów, przed drzwiami do mieszkania. Po lewej widzę drewniane schody prowadzące do dawnych kwater służby.

Podkradam się do drzwi, krzywiąc się na każde skrzypnięcie podłogi. Mam nadzieję, że ludzie w mieszkaniu są zbyt zajęci dyskusją i skupieni na sobie, żeby zwracać uwagę na odgłosy za drzwiami. Podchodzę bardzo blisko, a potem opadam na kolana i przykładam ucho do dziurki od klucza.

Mężczyzna znów zaczyna mówić, głośniejszy niż przedtem. Cholera, oczywiście wszystko jest po francusku. Wydaje mi się, że słyszę imię Bena. Sztywniej i przyciskam ucho bardziej do dziurki, ale nie jestem w stanie zrozumieć ani jednego...

– Elle est dangereuse.

Zaraz. Nawet ja mogę to zgadnąć: Ona jest niebezpieczna. Nasłuchuję intensywnie każdego słowa, które mogłabym jeszcze zrozumieć.

Nagle rozlega się szczekanie, tuż przy moim uchu. Odskakuję od dziurki od klucza, prawie się przewracam. Szybko wstaję. Cholera, muszę stąd zniknąć. Nie mogą mnie zoba...

– To ty.

Za późno. Odwracam się. Stoi w drzwiach – Sophie Meunier, w kremowej jedwabnej bluzce i czarnych spodniach, z lśniącymi diamentami w uszach i spojrzeniem tak zimnym, że mogłabym się zmienić w sopel lodu. U jej stóp stoi mały szary pies (charcik?), spoglądając na mnie lśniącymi czarnymi oczami.

– Co ty tu robisz?

– Usłyszałam głosy i... – Przerywam, zdając sobie sprawę, że głosy dochodzące zza drzwi czyjegoś innego mieszkania nie są zbyt dobrym wytłumaczeniem dla podsłuchiwania. Złotousty Ben być może jakoś by z tego wybrnął, ale ja nie widzę sposobu.

Sophie Meunier wygląda, jakby zastanawiała się, co ze mną zrobić. Wreszcie znów się odzywa:

– Cóż, skoro już tu jesteś, może wejdiesz i przyłączysz się do nas na drinka?

– Eee...

Obserwuje mnie, czekając na odpowiedź. Mój instynkt podpowiada mi, że wejście do jej mieszkania byłoby bardzo złym pomysłem.

– Jasne – odpowiadam. – Dzięki. – Spoglądam na swój strój; converse'y, znoszona kurtka i dzinsy rozerwane na kolanie. – Jestem odpowiednio ubrana?

Jej mina świadczy o tym, że w moim ubraniu nie ma absolutnie nic odpowiedniego.

– Nie ma znaczenia – odpowiada. – Proszę, chodź ze mną.

Podążam za nią w głąb mieszkania. Czuję jej perfumy, bogate, kwiatowe. Tak naprawdę po prostu pachnie pieniędzmi.

Już w środku rozglądam się dookoła. Mieszkanie jest dwukrotnie obszerniejsze od apartamentu Bena, może nawet większe, jasno oświetlone, otwarta przestrzeń rozdzielona regałem na książki. Okna na całą ścianę wyglądają na dachy i budynki paryskie. Oświetlone okna wszystkich mieszkań naszego budynku tworzą w ciemności dywan światła.

Ile kosztuje takie mieszkanie? Zgaduję, że kupę forsy. Kilka milionów? Pewnie tak. Na podłodze leżą kosztowne chodniki, na ścianach widzę ogromne obrazy współczesnych artystów: jasne smugi i rozpryski kolorów,

duże śmiałe kształty. Najbliżej mnie znajduje się dość mały obraz, przedstawiający kobietę trzymającą jakiś garnuszek, z oknem w tle. W dolnym prawym rogu dostrzegam podpis artysty: Matisse. OK. Rany gościa. Nie znam się na sztuce, ale nawet ja słyszałam o Matissie. Wszędzie dookoła, na niskich stolikach widzę małe figurki i delikatne szklane wazony. Mogłabym się założyć, że nawet ta najmniejsza kosztowała więcej, niż mogłabym zarobić przez rok w tamtym gównianym barze. Łatwo by było jedną zwinąć...

Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem obserwowana. Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie dwojga oczu – namalowanych, nie prawdziwych. Mam przed sobą ogromny portret mężczyzny siedzącego w fotelu. Mocno zarysowana szczęka i nos, skronie przyprószone siwizną. Jest przystojny, chociaż w nieco okrutny sposób. Może to te jego usta, ich łuk. Zabawne, ale wydaje mi się znajomy. Mam wrażenie, że widziałam już gdzieś tę twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie. Może to ktoś sławny? Jakiś polityk czy coś w ten deseń? Nie jestem tylko pewna, dlaczego miałabym rozpoznać polityka, zwłaszcza francuskiego: nic nie wiem o tego typu sprawach. Nie, to musi być ktoś inny, tylko gdzie ja do diaska...

– Mój mąż, Jacques – mówi Sophie zza moich pleców. – Jest w tej chwili na wyjeździe służbowym, ale jestem pewna, że... – krótkie wahanie – z przyjemnością cię pozna.

Wygląda na wpływowego, dzianego. Oczywiście, że jest bogaty. Wystarczy spojrzeć na to miejsce.

– Czym on się zajmuje?

– Winem – odpowiada.

To by wyjaśniało tysiące butelek wina w piwnicy. Cave również musi należeć do niej i jej męża.

Mój wzrok biegnie do dziwnej gablotki na przeciwległej ścianie. Najpierw myślę, że to jakaś rzeźba współczesna, ale potem dostrzegam, że to kolekcja starych strzelb, każdej z ostrą, podobną do noża nakładką przyczepioną na końcu.

Sophie podąża za moim wzrokiem.

– Z pierwszej wojny światowej – mówi. – Jacques lubi kolekcjonować antyki.

– Jednej brakuje – zauważam.

– Tak. Została oddana do naprawy. Wymagają więcej troski, niż mogłoby ci się wydawać. Bon – mówi szorstko. – Proszę wejść i zapoznać się

z innymi.

Idziemy w kierunku regału. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę z obecności innych. Kiedy obchodzimy regał, widzę ich, siedzących na dwóch kremowych, ustawionych naprzeciwko siebie sofach. Mimi z czwartego piętra i (o nie!) Antoine z pierwszego. Wpatruje się we mnie i widać, że jest tak samo zadowolony z mojego widoku, jak ja z jego. Czyż nie jest tego rodzaju sąsiadem, którego omija się z daleka i zostawia samemu sobie? Spoglądam na niego znowu, a on nadal się na mnie gapi. Mam wrażenie, jakby po moich plecach pełznął lodowaty wąż.

To takie dziwne zbiorowisko ludzi; nie mają ze sobą nic wspólnego poza faktem, że są swoimi sąsiadami: dziwna cicha Mimi, która nie może mieć więcej niż dziewiętnaście czy dwadzieścia lat; Antoine – chodząca tragedia w średnim wieku; Sophie, cała w jedwabiu i diamentach. O czym oni przed chwilą rozmawiali? Nie brzmiało to jak uprzejma sąsiedzka konwersacja. Czuję ich spojrzenia na sobie i mam wrażenie, że przyglądają mi się jak jakiemuś dziwacznemu egzemplarzowi przyniesionemu do laboratorium. Elle est dangereuse. Jestem przekonana, że dobrze usłyszałam.

– Może kieliszek wina? – pyta Sophie.

– Och, tak, poproszę.

Chwyta butelkę i kiedy wino spływa do kieliszka, dostrzegam na nalepce złoty, znajomo wyglądający rysunek zamku i zdaję sobie sprawę, że wygląda tak samo jak ta na butelce, którą wzięłam z półki z piwnicy z winami.

Pociągam długi łyk alkoholu. Potrzebuję tego. Czuję obserwujące mnie trzy pary oczu. To oni mają władzę i wiedzę w tym pokoju, a mi się to nie podoba. Czuję się w mniejszości, w pułapce. A potem myślę sobie: pieprzyć to. Jedno z nich musi wiedzieć, co się stało z Benem. To moja szansa.

– Ben nadal się nie odezwał – mówię. – Wiecie, naprawdę zaczynam myśleć, że coś mu się stało. – Chcę ich zszokować, przerwać tę pełną napięcia ciszę. – Kiedy poszłam dzisiaj na policję – ciągnę dalej.

Dzieje się to tak szybko – zbyt szybko, abym zauważyła sam początek, ale robi się małe zamieszanie i widzę, że Mimi wylała wino. Szkarłatny płyn rozlał się na chodnik i jedną z nóg sofy.

Przez chwilę nikt się nie rusza. Może tak jak ja, pozostała dwójka również przygląda się, jak ciemny płyn wsiąka w tkaninę, i oboje czują się wdzięczni, że to nie oni narobili bałaganu.

Twarcz dziewczyny robi się koloru buraka.

– Merde – mówi.

– Nic się nie stało – odpowiada Sophie. – Pas de problème. – Ale jej głos jest twardy jak stal.

Mimi

Czwarte piętro

Putain. Chcę stąd wyjść, natychmiast, ale to wywołałoby kolejne zamieszanie, więc nie mogę. Muszę tutaj siedzieć i znosić ich spojrzenia. Jej spojrzenie. Biały szum w mojej głowie zmienia się w ogłuszający ryk.

Nagle czuję narastające mdłości. Muszę wyjść z pokoju. To jedyny sposób. Mam wrażenie, że nie panuję nad swoim ciałem. Wino... nie jestem nawet pewna, czy to był wypadek, czy zrobiłam to specjalnie.

Zrywam się z sofy, nadal czując spojrzenia wszystkich na sobie, i biegnę w stronę korytarza, do łazienki.

Weź się w garść, Mimi. Putain de merde. Weź się w garść, kurwa.

Wymiotuję do muszli klozetowej, a potem spoglądam w lustro. Moje oczy są różowe od popękanych naczynek.

Przez chwilę wydaje mi się, że go widzę, stojącego za mną. Ten jego uśmiech i uczucie tajemnicy, która należała tylko do nas dwojga.

Mogłam przyglądać się mu godzinami. Te gorące wczesnojesienne noce, kiedy pracował przy swoim biurku z otwartymi oknami, a ja leżałam na łóżku z wiatraczkiem chłodzącym mi kark, przy zgaszonych światłach, żeby nie dostrzegł mnie wśród cieni. Miałam wrażenie, że oglądam go na scenie. Czasami spacerował po mieszkaniu bez koszuli. Raz widziałam go tylko w ręczniku owiniętym wokół talii. Widziałam cień włosów na jego klatce piersiowej, tę linię włosów, zwężającą się od brzucha w dół, schodzącą pod ręcznik. Był mężczyzną, nie chłopcem. Prawie nigdy nie pamiętał o zamykaniu okiennic – a może specjalnie zostawiał je otwarte.

Wyciągnęłam przybory do malowania. Ben był moim nowym ulubionym natchnieniem. Nigdy nie malowałam tak dobrze i nigdy nie zapełniałam płótna tak szybko. Zazwyczaj musiałam przerywać, sprawdzać, poprawiać pomyłki, ale z nim nie było takiej potrzeby. Wyobrażałam sobie, że być może pewnego dnia poproszę go o to, żeby zapozował dla mnie.

Czasami słyszałam muzykę płynącą w powietrzu nad dziedzińcem. Miałam wrażenie, że Ben chciał, żebym ją słyszała. Może nawet puszczał ją dla mnie?

Pewnego dnia spojrział za okno i przyłapał mnie na obserwowaniu go.

Serce mi stanęło. Putain. Obserwowałam go już tak długo, że zapomniałam, że on również może mnie zobaczyć. To było takie żenujące.

Ale on tylko uniósł rękę i przywitał się – zupełnie tak, jak tamtego pierwszego dnia, kiedy widziałyśmy go przyjeżdżającego uberem. Tylko że wtedy po prostu się przywitał – i to głównie z Camille, na pewno raczej z Camille, w jej skąnym bikini. Tym razem było inaczej – tym razem pozdrowił mnie, tylko mnie.

Uniosłam rękę w odpowiedzi.

Czułam, jakby ten gest stał się naszym tajnym sygnałem.

A potem się uśmiechnął.

Wiem, że mam tendencję do zafiksowania się – do obsesji. Uznałam jednak, że on również jest trochę zafiksowany. Siedział przy biurku, pisząc do północy albo dłużej. Czasem palił papierosa – i ja też. Miałam wtedy wrażenie, jakbyśmy palili razem.

Przyglądałam mu się tak długo, aż oczy zaczęły mnie piec.

Teraz, w łazience, przemywam twarz zimną wodą i płuczę usta z kwaśnego posmaku wymiocin. Próbuje oddychać normalnie.

Dlaczego zgodziłam się tutaj przyjść tego wieczora? Myślę o Camille, zarzucającej swoją małą plecioną torebkę na ramię, wychodzącej wcześniej do miasta, żeby spotkać się z przyjaciółmi, jak zwykle bez najmniejszej troski. Ona nie jest uwięziona jak ja – bez przyjaciół i samotna. Tak bardzo chciałabym zamienić się z nią miejscami.

Słyszę nagle głos Bena, tak wyraźnie, jakby stał za moimi plecami i szeptał mi do ucha. Niemal czuję jego ciepły oddech na skórze. „Jesteś silna, Mimi. Wiem to. Dużo silniejsza, niż sądzą inni”.

Jess

Po wyjściu Mimi zapada cisza. Upijam łyk wina.

– Jak wy wszyscy... – zaczynam, ale przerywa mi pukanie do drzwi. Wydaje się nieść nieskończonym echem w panującej ciszy. Sophie Meunier wstaje, żeby otworzyć. Antoine i ja zostajemy, spoglądając na siebie z przeciwległych sof. Wpatruje się we mnie bez zmrużenia oka, a ja myślę o tym, jak rozbił butelkę w swoim mieszkaniu, kiedy obserwowałam go przez dziurkę do podglądania, i o tym, jak agresywny był ten gest. Wracam myślami do awantury z jego żoną na dziedzińcu.

Nagle syczy do mnie cicho:

– Co ty tutaj robisz, mała? Nie zrozumiałaś jeszcze?

Upijam znów wino z kieliszka.

– Delektuję się tym znakomitym winem – odpowiadam. Nie brzmi to wprawdzie tak nonszalancko, jak chciałam, bo głos trochę mi się łamie. Chciałabym myśleć, że nie boję się zbyt wielu rzeczy, ale ten gość mnie przeraża.

– Nicolas – słyszę głos Sophie, wymawiającej jego imię z francuska. – Witaj – przerzuca się na angielski. – Chodź, przyłącz się do nas. Napijesz się czegoś?

Nick! W głębi duszy odczuwam ulgę z powodu jego obecności tutaj. Nie muszę tu tkwić sama z tymi wszystkimi ludźmi. Jednocześnie jednak zastanawiam się: co on tutaj robi?

Kilka chwil później wyłania się zza regału, prowadzony przez Sophie Meunier, z kieliszkiem wina w dłoni. Najwyraźniej mieszkanie w Paryżu dodało mu więcej stylu niż przeciętnemu Brytyjczykowi płci męskiej: ma na sobie świeżą białą koszulę rozpiętą pod szyją i doskonale podkreślającą jego opaleniznę. Do tego przywdział granatowe spodnie. Jego kręcone ciemnozłote włosy są zaczesane do tyłu. Wygląda jak model z reklamy perfum: piękny, wyniosły... opamiętuję się. Co ja najlepszego robię, pragnąc tego mężczyzny?

– Jess – mówi Sophie. – Poznaj Nicolasa.

Nick uśmiecha się.

– Hej – mówi, a potem spogląda na Sophie. – My już się znamy z Jess.

Następuje kolejna niewygodna chwila milczenia. Czy tak właśnie zachowują się bogaci ludzie mieszkający w tego typu apartamentach? Spotykają się na lampkę wina? Zupełnie inaczej niż moi sąsiedzi. Ale też ja nigdy nie mieszkałam w szczególnie sąsiedzkich okolicach.

Sophie uśmiecha się chłodno.

– Może, Nicolasie, pokażalbys Jess widok z ogrodu na dachu?

– Jasne. – Nick spogląda na mnie. – Jess, chcesz się przejść i zobaczyć panoramę?

Czuję, jakby Sophie usiłowała pozbyć się mnie z mieszkania. Da mi to jednak szansę porozmawiania z Nickiem bez towarzystwa innych. Idę za nim, mijając regał, a potem wspinamy się na schody.

Otwiera przede mną drzwi.

– Panie przodem.

Muszę go wyminąć, kiedy trzyma drzwi otwarte. Przez chwilę jestem na tyle blisko niego, że czuję jego kosztowną wodę kolońską i delikatny zapach potu.

Uderza we mnie podmuch mroźnego powietrza. Potem widzę nocne niebo i światła poniżej. Miasto rozciąga się pod moimi stopami niczym rozświetlona mapa; jasne wstęgi ulic wiją się w różne strony, znaczone rozmywającym się czerwonym poblaskiem tylnych świateł samochodów... przez chwilę mam wrażenie, jakbym unosiła się w powietrzu. Cofam się. Nie, nie unoszę się w powietrzu, ale też niewiele oddziela mnie od ulic pięć pięter poniżej – tylko niezbyt solidnie wyglądająca żeliwna balustrada.

Nagle wokół nas zapalają się klosze kierujące światło ku górze; muszą działać na jakiś czujnik. Widzę teraz krzewy, a nawet drzewa w dużych kamiennych donicach, wielki krzak róży, na którym nadal jeszcze tkwi kilka białych kwiatów, a także statuetki, bardzo podobne do tej, która została roztrzaskana na kawałki na dziedzińcu.

Nick wchodzi na taras tuż za mną. Ponieważ zastygłam w miejscu, nie zostawiłam mu zbyt wiele miejsca, musi stanąć bardzo blisko mnie. Czuję ciepło jego oddechu na moim karku – ogromny kontrast z lodowatym powietrzem. Mam nagle ogromną ochotę, żeby oprzeć się o jego pierś. Jak by zareagował, gdybym to zrobiła? Odsunąłby się? Jednocześnie czuję pragnienie, żeby zanurkować przed siebie, prosto w noc. Mam wrażenie, że mogłabym w niej pływać.

Kiedy jesteś tak wysoko, czy czujesz czasem chęć, żeby skoczyć?

– Tak – mówi Nick, a ja zdaję sobie sprawę, że musiałam wypowiedzieć te słowa na głos.

Odwracam się do niego. Ledwie go widzę – tylko ciemną sylwetkę na tle ustawionych za nim reflektorów. Jest wysoki. Stojąc tak blisko, dostrzegam, jak duża jest różnica wzrostu między nami. Cofa się nieznacznie.

Spoglądam za niego i widzę, że nad nami jest jeszcze jeden poziom budynku: okna są małe, ciemne, zakurzone, niemal całkowicie porasta je bluszcz. Wygląda to trochę jak domek z bajki. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle za brudną szybą pojawiła się widmowa twarz.

– Co tam jest?

Podąża za moim wzrokiem.

– Och, to stare chambres de bonne, wiesz, gdzie mieszkały kiedyś służące. – To pewnie tam prowadzą drewniane schody. Nick wskazuje ręką na miasto. – Niezły mają stąd widok, prawda?

– Niesamowity. Jak myślisz, ile kosztuje takie mieszkanie? Kilka milionów? Więcej?

– Ach... nie mam pojęcia – odpowiada, ale musi wiedzieć, ile warte jest jego mieszkanie. Pewnie czuje się trochę niewygodnie. Podejrzewam, że jest zbyt dobrze wychowany, aby mówić o tego rodzaju sprawach.

– Masz jakieś wieści od tego inspektora policji? – pytam. – Blanchota?

– Niestety, nie. – To dziwne, nie widzieć wyrazu jego twarzy. – Wiem, że to frustrujące, ale minęło dopiero kilka godzin. Dajmy mu czas.

Ogarnia mnie fala rozpacz. Oczywiście, Nick ma rację, jest jeszcze zbyt wcześnie, ale nie jestem w stanie powstrzymać się od paniki na myśl, że nadal nie zbliżyłam się do znalezienia Bena – ani do zrozumienia tych wszystkich ludzi tutaj.

– Wydajecie się dość zaprzyjaźnieni. – Staram się nadać mojemu głosowi lekkość.

Nick parska śmiechem.

– Nie powiedziałbym.

– Często się tak gromadzicie? Ja nigdy nie spotykałam się na drinki z moimi sąsiadami.

Wzrusza ramionami.

– Nie, niezbyt często. Czasami. Hej, chcesz papierosa?

– O jasne. Dzięki.

Słyszę pstryknięcie zapalniczki i widzę jego twarz, podświetloną od dołu małym płomieniem. Jego oczy wyglądają jak dwie czarne dziury, puste, jak u rzeźby na dziedzińcu. Podaje mi papierosa i przez chwilę czuję ciepły dotyk jego palców, a potem jego oddech na mojej twarzy, kiedy nachyliłam się, żeby zapalić papierosa od zapalniczki. Mam wrażenie, że powietrze między nami drży.

Zaciągam się.

– Sophie chyba nie za bardzo mnie lubi.

Wzrusza ramionami.

– Ona mało kogo lubi.

– A Jacques, jej mąż? Ten na tym wielkim portrecie? Jaki on jest?

Krzywi się.

– Trochę z niego kutas, szczerze mówiąc. A ona zdecydowanie jest z nim dla pieniędzy.

Niemal dławię się dymem papierosowym. Nick powiedział to tak zwyczajnym tonem, chociaż położył akcent na słowie „kutas”. Zastanawiam się, co ma przeciwko tej parze. Poza tym, skoro nie bardzo ich lubi, co, do diabła, robi w ich mieszkaniu na drinku?

– A co z tym gościem z mieszkania na pierwszym piętrze? Antoine’em? Nie mogę uwierzyć, że ona go zaprosiła. Dziwię się, że pozwoliła mu usiąść na swojej kanapie. Kiedy tutaj przyjechałam, pierwszej nocy, powiedział mi, żebym spierdalała. Milutki, nie?

Nick wzrusza ramionami.

– Cóż... oczywiście to żadne wytłumaczenie, ale jego żona właśnie go rzuciła.

– Tak? Moim zdaniem miała szczęście, że się od niego uwolniła.

– Zobacz. – Wskazuje gdzieś za mnie. – Widać stąd Sacré-Coeur. – Wyraźnie nie chce już dłużej rozmawiać na temat swoich sąsiadów. Spoglądamy razem na podświetloną katedrę, która zdaje się unosić nad miastem niczym wielka biała zjawa. A w oddali... tak, widzę wieżę Eiffla. Przez kilka sekund rozjarza się niczym gigantyczna świeca rzymska i tysiące punktowych światełek oświetlają ją aż do samego czubka. Nagle zdaję sobie sprawę, jak wielkie i niepoznane jest to miasto. Ben jest gdzieś tam – mam nadzieję, że jest. I znów powraca uczucie rozpacz.

Stawiam się do pionu. Musi być jeszcze coś, czego mogę się dowiedzieć, jakiś nowy trop, wątek, którego jeszcze nie zbadałam. Spoglądam na Nicka.

– Ben nigdy nie wspominał, nad czym pracował? – pytam. – Co zamierzał napisać w tym swoim artykule?

– Mi nic o tym nie mówił. O ile wiem, nadal pracował nad recenzjami restauracji i tym podobnymi sprawami. Ale to cały Ben, prawda? – W jego głosie dostrzegam chyba nutkę gorczy.

– Co to znaczy?

– Cóż, powstaje pytanie, czy ktokolwiek zna prawdziwego Benjaminą Daniela.

Żadna nowina, myślę. Mimo to nadal zastanawiam się, co konkretnie Nick chciał przez to powiedzieć.

– W każdym razie zawsze chciał robić coś takiego – mówi dalej, teraz dla odmiany bardziej melancholijnie. – Dziennikarstwo śledcze. Albo napisać książkę. Pamiętam, jak mówił, że chciałby napisać coś, co sprawiłoby, że jego mama byłaby z niego dumna. Opowiadał o tym na wycieczce.

– Tej, na którą wybraliście się po skończeniu uniwerku? – Sposób, w jaki wypowiedział słowo „wycieczka”, sprawił, że nabrało znaczenia. Ta Wycieczka. Wracam myślą do wygaszacza na jego komputerze. Instynkt podpowiada mi, żebym pytała dalej. – Jak tam było? Przemierzyliście całą Europę, tak?

– Tak. – Jego ton znów się zmienia, jest teraz łagodniejszy, pełen podekscytowania. – Spędziliśmy tak całe lato. Było nas czterech: Ben, ja i dwóch innych chłopaków. Żyliśmy w prymitywnych warunkach. Wiesz, jak to jest: brudne pociągi bez klimatyzacji, zatłkane kible. Dni, tygodnie spania na siedząco na twardych plastikowych siedzeniach, jedzenia czerstwego chleba. Rzadko praliśmy rzeczy, a kiedy już do tego doszło, musieliśmy korzystać z pralni publicznych.

Wydaje się podekscytowany. Kochany, myślę. Jeżeli uważasz, że to są prymitywne warunki, to nie masz o niczym pojęcia. Przypominam sobie wygląd jego minimalistycznie urządzonego mieszkania: głośniki Bang & Olufsen, iMac, całe to dyskretne bogactwo. Chcę go za to nienawidzić, ale nie potrafię. Wyczuwam w nim jakąś tęsknotę. Przypominam sobie oksykodon, który znalazłam w jego łazience.

– Dokąd pojechaliście? – pytam.

– Wszędzie. Jednego dnia zwiedzaliśmy Pragę, drugiego Wiedeń, a kilka dni później byliśmy już w Budapeszcie. Czasem spędzaliśmy cały tydzień, wylegając się na plaży, a nocami bawiąc się w klubach. Tak było na

przykład w Barcelonie. W Istambule z kolei strawiliśmy cały tydzień na wychodzeniu z zatrucia pokarmowego.

Kiwam głową. Wiem doskonale, o czym mówi, ale nie jestem pewna, czy byłabym w stanie wskazać wszystkie te miejsca na mapie.

– Więc to tym był zajęty Ben – mówię. – Daleka droga od kawalerki w Haringey.

– Gdzie jest Haringey?

Spoglądam na niego wymownie. Nie umiał nawet wymówić poprawnie tej nazwy, ale oczywiście bogaty dzieciak jak on nigdy nie słyszał o tej dziurze.

– Północny Londyn. Stamtąd pochodzimy, Ben i ja. Nawet wtedy nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł się wyrwać, zacząć podróżować. Przypomina mi to o czymś...

– O czym?

– Moja mama często zostawiała nas samych, kiedy wychodziła. Pracowała na zmiany i zamykała nas w mieszkaniu od szóstej, żebyśmy nie wpakowali się w jakieś kłopoty... To była nie najlepsza dzielnica. Strasznie się wtedy nudziliśmy, ale Ben miał taki stary globus... wiesz, jeden z tych podświetlanych. Całymi godzinami obracał go, wskazując na różne miejsca, gdzie moglibyśmy pojechać. Opisywał mi je: targi przypraw, turkusowe morza, miasta na szczycie wzgórz... Bóg jeden wie, skąd on to wszystko wiedział. Pewnie zwyczajnie zmyślał. – Wyrrywam się ze wspomnień. Nie jestem pewna, czy komukolwiek o tym opowiadałam. – W każdym razie wygląda na to, że się świetnie bawiliście. To zdjęcie z wygaszacza ekranu na twoim komputerze... to z Amsterdamu, tak?

Spoglądam na Nicka, ale on wpatruje się w noc. Moje pytanie zawisa w chłodnym jesiennym powietrzu.

Konsjerzka

Stróżówka

Z dziedzica obserwuję taras na dachu. Chwilę temu zobaczyłam, jak zapalają się tam światła. Teraz dostrzegam, że ktoś zbliża się do balustrady. Dobiegają mnie głosy i słabe dźwięki muzyki, kontrastujące z odgłosami ulicy i wyciem policyjnych syren. Słyszałam przed chwilą w radiu, że dzisiaj wieczorem rozruchy znów wybuchły pełną mocą. Oczywiście tych tam na górze niewiele to obchodzi, jeśli nawet o tym wiedzą.

Radio było prezentem od niego. Zaledwie kilka tygodni temu obserwowałam stąd jego, na tarasie, palącego papierosa z żoną pijaka z pierwszego piętra.

Osoba stojąca przy barierce odwraca się i widzę, że to ona – dziewczyna mieszkająca w apartamencie Bena. W jakiś sposób udało się jej uzyskać dostęp do penthouse'u. Została zaproszona? Z pewnością nie. Jeżeli chociaż trochę przypomina swojego brata, wyobrażam sobie, że sama mogła się tam wprosić.

W ciągu kilku dni zyskała dostęp do części budynku, do których ja nigdy nie zajrzałam, mimo że pracuję tu od lat. Cóż, można się tego było spodziewać. W końcu ja nie jestem jedną z nich. Przez cały czas mojej pracy tutaj pamiętam, że wielki Jacques Meunier raczył na mnie spojrzeć może dwa razy, a odezwał się tylko raz. Oczywiście dla tego typu osoby ja jestem ledwie człowiekiem; bardziej niż niewidzialna.

Ta dziewczyna jednak również jest outsiderką – tak jak ja, a może nawet bardziej niż ja. Wygląda na to, że ma również inklinacje do wspinaczki po szczeblach drabiny społecznej, jak jej brat. Do torowania sobie uparcie drogi w górę. Czy wie, w co się wplątała? Nie sędzę.

Widzę drugą sylwetkę wyrastającą za nią. To młody człowiek z drugiego piętra. Oddycham gwałtownie: dziewczyna stoi naprawdę bardzo blisko barierki. Mam tylko nadzieję, że wie, co robi. Im wyżej się wspinasz, tym boleśniejszy upadek.

Nick

Drugie piętro

Opowiadanie Jess o naszej wyprawie przebudziło wspomnienia: dreszcz emocji, uczucie odurzenia przygodą, przeskakiwaniem z miasta do miasta, niezliczonymi rundkami pokera granego zniszczonymi kartami i pić ciepłego piwa z puszką, gadaniem o głupotach lub wzniosłych sprawach, a czasem o jednym i drugim naraz. To było coś prawdziwego. Mojego. Coś, czego nie kupi się za żadne pieniądze. Właśnie dlatego tak ochoczo zareagowałem na pomysł odnowienia znajomości z Benem, mimo wszystkiego, co się stało. To nie pierwszy raz, kiedy tęskniłem za powrotem do tamtych czasów, za tamtą niewinnością.

Otrząsam się. Widzieliśmy świat przez różowe okulary. Bo wszystko wtedy było niewinne, prawda?

Z wyjątkiem tego dnia, kiedy nasz kolega Guy omal nie przedawkował w berlińskim klubie nocnym, a my znaleźliśmy go leżącego sobie wodę na twarz i praktycznie uratowaliśmy mu życie.

I z wyjątkiem tego dnia, kiedy musieliśmy zapłacić łapówkę węgierskiemu kolejarzowi, bo nasze bilety były przedawnione, a on groził, że wyrzuci nas gdzieś w środku dzikiego sosnowego lasu.

Z wyjątkiem tego dnia, kiedy w jakiejś ciemnej uliczce w Zagrzebiu gangsterzy o mały włos nie poderżnęli nam gardeł po tym, jak obrabowali nas z resztek gotówki.

I z wyjątkiem czasu w Amsterdamie.

Obserwuję, jak Jess zaciąga się papierosem. Pamiętam, jak Ben opowiadał mi o niej w jednej z praskich piwiarni:

– Moja siostra przyrodnia, Jess... to ona znalazła mamę. Była jeszcze dzieckiem. Sypialnia była zamknięta na klucz, ale ja nauczyłem ją, jak otwierać zamki za pomocą wytrychów... ośmiolatki nigdy nie powinny oglądać takich rzeczy. To... kurwa. – Pamiętam, że jego głos trochę się załamał. – Zżera mnie poczucie winy, że nie było mnie przy tym.

Zastanawiam się, co takie wydarzenie może zrobić z człowiekiem. Obserwuję Jess, wracam myślą do wczorajszego spotkania, kiedy prawie

ukradła butelkę z piwnicy; dumam o jej niezapowiedzianym pojawieniu się w penthousie, nieproszonej. Jest w niej jakaś lekkomyślność – mam wrażenie, że mogłaby zrobić cokolwiek. Jest niebezpiecznie nieprzewidywalna. A zważywszy na dzisiejszą poranną wycieczkę, najwyraźniej ma również problemy z policją.

– Nigdy nie wyjeżdżałam nigdzie poza Anglię – mówi nagle. – Oczywiście nie licząc obecnej wycieczki, która zresztą, jak widać, świetnie się układa.

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem.

– Jak... to naprawdę twój pierwszy raz za granicą?

– No. – Wzrusza ramionami. – Wcześniej nie miałam powodu ani pieniędzy, żeby wyjechać. Jak było w Amsterdamie?

Wracam myślami do tamtej wycieczki. Smród kanałów w upalny dzień. Byliśmy grupką młodych chłopaków, więc oczywiście natychmiast udaliśmy się do dzielnicy czerwonych latarni. De Wallen, tak ją nazywają. Neonowa poświata okien: pomarańcz i amarant. Dziewczyny w bieliźnie, przyciskające ciała do szyb, sygnalizujące, że mogą pokazać więcej, jeśli ktoś jest gotów zapłacić. A potem szyld: SEKS SHOW NA ŻYWO, W PIWNICY.

Inni chcieli to zobaczyć, naturalnie. Byliśmy napalonymi młodzieńkami.

Poszliśmy jakimś tunelem i schodami w dół. Światło stawało się coraz bardziej nikłe. Weszliśmy do małego pokoju, śmierdzącego starym potem i dymem papierosowym. Trudno było oddychać, jakby powietrze było rozrzedzone, a ściany zamykały się ze wszystkich stron. Drzwi się otworzyły.

– Nie mogę – powiedziałem nagle.

Pozostali spojrzeli na mnie, jakbym postradał zmysły.

– Ale przecież to właśnie się robi w Amsterdamie – powiedział Harry. – To tylko zabawa. Nie chcesz mi powiedzieć, że boisz się, że nas złapią. Poza tym tutaj wszystko jest legalne, więc nie będziemy mieli przez to kłopotów, jeśli się martwisz.

– Wiem – odparłem. – Wiem, ale... ja po prostu nie mogę. Słuchajcie, ja... połażę sobie po okolicy... Spotkam się z wami po wszystkim.

Widziałem, co sobie o mnie myślą: że jestem mięczakiem. Nie obchodziło mnie to. Po prostu nie mogłem tego zrobić. Ben spojrział na mnie wtedy i chociaż nie mógł wiedzieć, miałem wrażenie, że się domyślił. Ale to właśnie był cały Ben. Nasz prawdziwy przywódca, jedyny dorosły w naszej

małej grupce; w jakiś sposób bardziej światowy niż my wszyscy. To on potrafił nas wprowadzić do każdego klubu nocnego, hostelu, w którym rzekomo nie było już miejsc. Umiał wykręcić nas z każdej problematycznej sytuacji – to on przekupił kolejarza. Strasznie mu tego zazdrościłem; tego rodzaju uroku osobistego nie można kupić ani się nauczyć. Miałem jednak nadzieję, że chociaż odrobina tej pewności siebie jakoś przejdzie i na mnie.

– Pójdę z tobą, stary – powiedział.

– Będzie jakoś głupio, jak zostaniemy tylko we dwóch – marudzili pozostali. – Co z wami jest nie tak, do kurwy nędzy?

Ale Ben objął mnie ramieniem.

– Chodź, zostawimy tych palantów z ich lichą rozrywką – powiedział. – A my może znajdziemy kafejkę z marychą?

Wyszliśmy na ulicę i od razu poczułem, że łatwiej mi jest oddychać. Dotarliśmy do miejsca kilka przecznic dalej i siedliśmy ze skrętami w dłoni.

Ben nachylił się do mnie:

– Wszystko w porządku, stary?

– Tak... w porządku. – Zaciągnąłem się mocno, czekając na otumanienie ziołem.

– Co cię tak wystraszyło w tamtym miejscu? – spytał chwilę później.

– Nie wiem – odparłem. – Nie obraż się, ale nie chcę o tym rozmawiać.

Zaczęliśmy od słabszego wariantu. Na początku wydawało się, że niespecjalnie działa, ale kiedy w końcu zaskoczyło, poczułem, że coś się we mnie zmienia. W zasadzie teraz, kiedy o tym myślę, może to nie zioło, tylko Ben.

– Posłuchaj, rozumiem, że nie masz ochoty o tym rozmawiać – powiedział. – Ale jeśli kiedyś będziesz chciał to z siebie zrzucić, wal jak w dym. – Uniósł ręce. – Ja nie oceniam.

Pomyślałem o tamtym miejscu, o dziewczętach. Tłumiłem to w sobie tak długo, mój mroczny mały sekret. Może czas na katharsis? Odetchnąłem głęboko i zaciągnąłem się trawką, a potem zacząłem mówić – i nie chciałem przestać.

Opowiedziałem Benowi o moim prezencie na szesnaste urodziny, kiedy to ojciec uznał, że czas, abym stał się mężczyzną. Jego prezent dla mnie, dla syna, najlepszy z najlepszych. Chciał ofiarować mi doświadczenie, którego nigdy nie zapomnę.

Pamiętam schody prowadzące w dół, otwieranie drzwi. Pamiętam, jak mówiłem mu, że tego nie chcę.

– Co takiego? – Tata wpatrzył się we mnie. – Uważasz, że jesteś za dobry? Chcesz mi rzucić tym prezentem w twarz? Co jest z tobą nie tak, chłopcze?

Powiedziałem Benowi, że zostałem. Bo musiałem. I że wyszedłem z tego miejsca zmieniony, ale jeszcze nie całkiem byłem mężczyzną. O tym, jak zostawiło to brudną plamę na moim życiu.

Nagle wspomnienia, sekrety zaczęły się ze mnie wylewać – sprawy, o których nigdy nikomu nie mówiłem. Wodospad pomyj. A Ben po prostu siedział tam, w ciemnej kawiarence i słuchał.

– Chryste – powiedział. Jego źrenice były ogromne. – To naprawdę popieprzone. – Pamiętam wyraźnie jego słowa.

– Nikomu nigdy się z tego nie zwierzałem – odparłem. – Nie... nie mów pozostałym, OK?

– Masz to jak w banku – obiecał Ben.

Potem przerzuciliśmy się na mocniejsze rzeczy, podpuszczając się wzajemnie. I wtedy naprawdę w nas walnęło. Spoglądaliśmy na siebie i chichotaliśmy głupio, nie wiedząc tak naprawdę, z czego się śmiejemy.

– Nie zwiedziliśmy w mieście zbyt wiele – mówię do Jess. – Dlatego nie nazwałbym siebie ekspertem. Na pewno mógłbym za to doradzić, gdzie znaleźć kafejkę z dobrym ziołem.

Gdyby tylko ta noc się na tym skończyła. Bez tego, co przyszło później. Bez ciemności. Bez czarnej wody kanału.

Jess

– Zaraz, chwileczkę – mówię. – Powiedziałeś, że nie widzieliście się z Benem od ponad dziesięciu lat, kiedy wpadliście na siebie w Paryżu?

– Tak.

– I to było już po tej wycieczce, tak?

– Owszem. Nie widziałem go od tamtej pory.

Kiwam głową, czekam na dalszy ciąg, na wyjaśnienie tej długiej przerwy.
Milczenie.

– Muszę spytać. Co do diaska zdarzyło się w Amsterdamie? – mówię żartobliwie, chociaż wyczuwam, że coś w tym jest. Kiedy o tym opowiadał, jego głos dziwnie się zmienił.

Przez chwilę twarz Nicka nieruchomieje, a potem nagle przypomina sobie, jak się uśmiechać.

– Ha. No wiesz, chłopcy zachowujący się jak to chłopcy.

Uderza w nas podmuch mroźnego wiatru, zrywając liście z krzewów i unosząc je w górę.

– Chryste. – Obejmuję się ramionami.

– Ty drżysz – mówi Nick.

– No cóż, ta kurtka tak naprawdę nie nadaje się na takie chłody. Primarni, z górnej półki. – Pomyślałam, że Nick z pewnością nie ma pojęcia, co to Primark.

Wyciąga do mnie rękę tak gwałtownie, że odskakuję do tyłu.

– Przepraszam! – mówi. – Nie chciałem cię przestraszyć. Liść wplątał ci się we włosy. Poczekaj chwilę, wyciągnę go.

– Pewnie niejedno tam znajdziesz – próbuję żartować. – Jedzenie, niedopałki i takie tam. – Czuję ciepło oddechu na twarzy i palce zanurzone we włosach, kiedy wyciąga z nich liść.

– Proszę... – Pokazuje mi go: brązowy uschnięty liść bluszczu. Jego twarz wciąż jest blisko i mam bardzo silne wrażenie, że zaraz mnie pocałuje. Już dawno nikt mnie nie całował. Rozchyłam lekko usta.

Nagle cały taras pogrąża się w ciemności.

– Cholera – przeklina Nick. – To czujniki. Niewystarczająco się ruszaliśmy.

Macha ręką i światło znów się zapala, ale chwila intymności między nami mija bezpowrotnie. Mrugam oczami, porażona nagłą jasnością. Co ja sobie, do cholery, wyobrażałam? Usiłuję odnaleźć mojego zaginionego brata. Nie mam czasu na takie rzeczy.

Nick odsuwa się ode mnie.

– No dobra – mówi, nie patrząc na mnie. – Wracamy już?

Schodzimy w dół, z powrotem do apartamentu.

– Wiesz co, chyba skoczę do łazienki. – Muszę się opanować.

– Pokazać ci drogę? – pyta Nick. Najwyraźniej zna rozkład tego mieszkania, mimo że twierdził, iż nie bywa tutaj częstym gościem.

– Nie, nie trzeba, ale dzięki.

Wraca do pozostałych, a ja wędruję słabo oświetlonym korytarzem, po miękkim chodniku, podziwiając obrazy na ścianach. Otwieram wszystkie drzwi po drodze: nie wiem dokładnie, czego szukam, ale wiem, że muszę znaleźć coś, co powie mi więcej o tych ludziach i o tym, co łączyło z nimi Bena.

Znajduję dwie sypialnie, jedną bardzo męską i bezosobową – tak właśnie wyobrażam sobie pokoje w szykownym hotelu dla biznesmenów. Druga jest kobieca. Wygląda na to, że Sophie i Jacques Meunierowie sypiają osobno. Interesujące, chociaż może nie zaskakujące. Do pokoju Sophie przylega garderoba o rozmiarach kolejnego pokoju, z półkami pełnymi szpilek i kozaków w stonowanych odcieniach czarnego, jasnobrązowego i żółtobrązowego, stojakami pełnymi sukienek i jedwabnych koszul, kosztownych swetrów przełożonych bibułą. W jednym rogu stoi ozdobna toaletka, staroświeckie krzesło oraz duże lustro. Myślałam, że tylko Kardashianki i ludzie w filmach mają podobne pokoje.

Znajduję wreszcie łazienkę, wystarczająco dużą, żeby poprowadzić w niej zajęcia grupowe jogi. Widzę ogromną głęboką wannę obudowaną marmurem oraz osobną umywalkę dla pana i pani domu. Kolejne drzwi prowadzą do toalety: bogaci ludzie najwyraźniej nie sikają w tym samym miejscu, w którym pławią się w kąpeli z dodatkiem olejków zapachowych. Szybko zaglądam do szafek, ale nie znajduję zbyt wiele, poza jakimiś mydłami z górnej półki, ze sklepu Santa Maria Novella. Chowam kilka do kieszeni.

Pokój naprzeciwko toalety wygląda na gabinet. Pachnie garbowaną skórą i starym drewnem. Duże staroświeckie biurko z bordowym skórzanym blatem stoi na samym środku pokoju, naprzeciwko niego zaś wisi czarno-biały obraz. Na początku wydaje mi się, że to jakaś abstrakcja, ale potem nagle orientuję się, że to fotografia kobiety: piersi, pępek, trójkąt włosów łonowych między jej nogami. Wpatruję się w ten portret przez chwilę, zaskoczona. To dość dziwny wybór do gabinetu, ale przypuszczam, że w swoim własnym domu można robić, co się chce.

Próbuję zajrzeć do szuflad w biurku. Są zamknięte, ale tego typu zamki łatwo otworzyć. Pierwszy otwieram w ciągu minuty. W środku znajduję kilka kartek. Wygląda na to, że paru brakuje, ponieważ te tutaj są opatrzone na dole numerami „2” i „3”. Zdaje się, że to jakaś lista cen. Nie, to numery rachunków. Pewnie za wina. W tytule jednej z kolumn napisano „dobry rocznik”. Zauważam, że nigdzie nie ma więcej niż cztery butelki. Obok każdego wina jest cena. Chryste. Niektóre z tych pojedynczych egzemplarzy kosztują ponad tysiąc euro. Dalej widać zdaje się nazwiska klientów. Kto wydaje tyle forsy na wino?

Sięgam w głąb szuflady, sprawdzając, czy jest w niej jeszcze coś. Moje palce zamykają się na czymś małym, skórzanym. Wyciągam to. Paszport. Dość stary, przynajmniej tak wygląda. Z przodu na okładce ma złoty okrągły symbol i dość egzotycznie wyglądające litery. Może to rosyjski? Wydaje się naprawdę stary. Otwieram go i widzę czarno-białą fotografię młodej kobiety. Mam to samo uczucie, jak kiedy spoglądałam na ten portret nad kominkiem – że skądś tę osobę znam, chociaż nie mogę jej umiejscowić. Jej policzki i usta są pełne, ma długie, gęste kręcone włosy i brwi uregulowane w cienkie łuki. I nagle ją poznaję, chyba dzięki ułożeniu ust i krzywiźnie brody. To Sophie Meunier, tyle że około trzydzieści lat młodsza. Znowu spoglądam na okładkę. Czyli tak naprawdę jest Rosjanką albo coś w tym stylu, a nie Francuzką. Dziwne.

Zamykam szufladę i nagle coś spada z łomotem z biurka na podłogę. Cholera. Chwytam szybko przedmiot – fotografię w srebrnej oprawce. Na szczęście się nie potłukła. Zdjęcie jest bardzo formalne, wytworne. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że nie widziałam go wcześniej. Pewnie byłam zbyt skoncentrowana na szufladach. Na fotografii widać kilka osób. Najpierw rozpoznaję mężczyznę: to Jacques Meunier, mąż Sophie – gość z portretu. Obok niego stoi Sophie Meunier, gdzieś między aktualnym wiekiem a tym z fotografii paszportowej, z czymś, co miało

prawdopodobnie być uśmiechem, a nie chłodnym grymasem na twarzy. Dalej widać trójkę dzieci. Mrużę oczy, przyglądając się uważniej twarzom, a potem przechyliam fotografię, żeby padło na nią trochę więcej nikłego światła. Dwóch nastolatków i mała dziewczynka.

Tego młodszego chłopca z burzą złotych włosów już gdzieś widziałam. Przypominam sobie gdzie – na zdjęciu w mieszkaniu Nicka, tym na łódce, z ojcem trzymającym rękę na jego ramieniu. Młodszy chłopiec to Nick.

Zaraz. Momencik, to nie ma w ogóle sensu. Tylko że nagle, owszem, nabiera tragicznego sensu. Ten starszy chłopiec z ciemnymi włosami i kwaśną miną, niemal już dorosły mężczyzna – myślę, że to Antoine. A ta malutka dziewczynka z ciemnymi włosami... przyglądam się bliżej. W jej zaskoczony minie jest coś znajomego. To Mimi. Ludzie na fotografii są...

Nagle słyszę, że ktoś woła mnie po imieniu. Jak długo tutaj byłam? Odstawiam fotografię ze stukotem, bo moje ręce nagle robią się niezgrabne. Szybko podbiegam do drzwi i wyglądam przez szparę w nich na korytarz. Drzwi na jego końcu nadal się zamknięte, ale kiedy je obserwuję, zaczynają się otwierać. Pospiesznie przebiegam przez korytarz do toalety, zanim ktokolwiek ma szansę mnie zobaczyć.

– Jess? – słyszę głos Nicka.

Otwieram drzwi do toalety i wychodzę na korytarz z najbardziej niewinną miną, na jaką mnie stać. Serce wali mi jak młotem i niemal podchodzi mi do gardła.

– Hej – mówię. – Wszystko w porządku?

– Och. Ja tylko... Sophie chciała, żebym się upewnił, że się nie zgubiłaś.

– Uśmiecha się ładnie, a ja myślę, że w ogóle nie znam tej osoby.

– Nie, nie zgubiłam się. – Niesamowite, ale mój głos brzmi całkiem normalnie. – Właśnie zamierzałam się do was przyłączyć.

Uśmiecham się.

I przez cały ten czas myślę: oni są rodziną, są rodziną. Miły Nick, oziębła Sophie, pijany Antoine i cicha, intensywna Mimi.

Co jest grane, do kurwy nędzy?

Sophie

Penthouse

Wszyscy wyszli. Szczęki zeszywniały mi od wysiłku, jakim jest utrzymywanie maski spokoju. Niespodziewane pojawienie się tej dziewczyny całkowicie pokrzyżowało mi plany na wieczór. Nie zdołałam osiągnąć wszystkiego, co zamierzałam.

Na stole nadal stoi napoczęta butelka wina. Wypiłam znacznie więcej, niż gdyby Jacques nam towarzyszył. Byłby zde gustowany tym, że uraczyłam się więcej niż jednym kieliszkiem. Cóż jednak zrobić, skoro muszę spędzać tak wiele wieczorów sama, od tylu lat. Pewnie nie jestem wyjątkiem wśród kobiet o podobnej randze społecznej – pozostawione same sobie, beczynne, w ogromnych apartamentach, podczas gdy ich mężowie są gdzieś daleko, z kochankami lub zajęci pracą.

Kiedy wychodziłam za Jacques'a, rozumiałam, że jest to wymiana handlowa: moja młodość i uroda za jego bogactwo. Z upływem lat, jak to zwykle bywa przy tego rodzaju kontraktach, moja wartość zmaląa, jego zaś wzrosła. Wiedziałam, w co się pakuję, i generalnie nie żałuję mojego wyboru. Może jednak nie do końca rozumiałam głębię samotności, tych wszystkich pustych godzin. Spoglądam na Benoit, śpiącego w swoim kojcu w rogu. Nie dziwota, że tak wiele kobiet mojego pokroju ma psy.

Samotność jest jednak lepsza od towarzystwa moich pasierbów. Widzę, jak na mnie patrzą, Antoine i Nicolas.

Sięgam po butelkę i przelewam resztkę wina do kieliszka. Płyn sięga aż do samego brzegu. Wypijam go. To bardzo szlachetny burgund, ale pity w ten sposób, nie smakuje aż tak dobrze. Kwas pali moje gardło i nozdrza niczym wymiociny.

Otwieram kolejne wino i zaczynam pić, tym razem prosto z butelki, trzymając ją za szyjkę. Wino wypływa zbyt szybko, nie nadążam go połykać. Kaszlę. Gardło mnie pali, czerwony płyn ścieka po mojej brodzie i szyi. Jego chłód jest dziwnie orzeźwiający. Czuję, jak wsiąka w jedwab mojej apaszki.

Widziałam go na dziedzińcu następnego poranka po wieczorze z winem. Rozmawiał z Camille, współlokatorką Mimi, stojąc w plamie słońca. Jacques powiedział mi kiedyś, że aprobeuje tę dziewczynę mieszkającą z naszą córką. Podobno ma na Mimi dobry wpływ. Oczywiście. Nie miało to nic wspólnego z różowymi wydętymi usteczkami, delikatnym zadartym noskiem i małymi jędrnymi piersiami.

Camille nachylała się ku Benjaminowi Danielsowi niczym słonecznik na prowansalskim polu zwracający się ku słońcu. Jej bluzka w drobniutką kratkę zsuwała się z opalonych ramion, a białe szorty były tak krótkie, że odsłaniały połowę zbrązowiałych pośladków. Wyglądali oboje przepięknie razem, tak jak on i Dominique. Nie można było tego nie zauważyć.

– Bonjour, madame Meunier – zawołała śpiewnie Camille i pomachała mi dyskretnie, przestępując z nogi na nogę. Madame oczywiście powiedziała po to, żebym poczuła całą tę okrutną władzę jej młodości. Nagle zabrzączał jej telefon. Odczytała esemes z uśmiechem powoli wpęczającym na usta. Pewnie jakaś sekretna wiadomość od kochanka. Jej palce powędrowały do ust. Być może robiła to na pokaz, żeby skusić i zaintrygować Bena.

A potem nagle zostaliśmy na dziedzińcu tylko my dwoje: Benjamin Daniels i ja. No i oczywiście jeszcze konsjerżka. Byłam pewna, że cały czas obserwuje nas zza okiennic.

– Urządziła pani tutaj piękny ogród – powiedział.

Skąd wiedział, że to moje dzieło?

– Nie wygląda najlepiej – odparłam. – O tej porze roku wszystko już przejrzewa.

– Ale ja uwielbiam soczyste kolory – odparł. – Proszę mi powiedzieć, co to za kwiaty, o tam?

– Dalie. Agapanty.

Zapytał mnie jeszcze o kilka innych rabatów. Wydawał się szczerze zainteresowany, chociaż wiedziałam dobrze, że chce mi w ten sposób sprawić przyjemność. Mimo to nie przerywałam. Lubiłam mu – komukolwiek – opowiadać o tej małej, stworzonej przeze mnie oazie. Przez chwilę zapominałam nawet o moich podejrzeniach w stosunku do niego.

A potem nagle stanął blisko, przede mną.

– Chciałem panią o coś zapytać. Pani akcent jest intrygujący. Czy pochodzi pani z Francji?

– Słucham? – Walczyłam z całych sił o zachowanie spokojnej miny. Czułam, że moja maska zaczyna się rozpadać.

– Zauważyłem, że nie zawsze używa pani przedimków określonych – ciągnął. – A spółgłoski wymawia pani nieco twardziej niż rodzimy Francuz. – Zbliżył kciuk do palca wskazującego. – Tylko troszeczkę. Skąd pani pochodzi?

– Ja... – Przez chwilę nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Nikt nigdy nie skomentował mojego akcentu – nawet Francuzi, zwłaszcza paryżanie, którzy jak wiadomo są największymi snobami na świecie. Zaczęłam nawet pochlebiać sobie samej za to, że tak udoskonaliłam wymowę. Wyobrażałam sobie, że moja maska jest nie do rozbicia. W tamtej chwili przyszło mi jednak do głowy, że skoro Ben zgadł, a sam nie był Francuzem, oznaczało to, że inni również dostrzegali ułomność mojej francuszczyzny. To była skaza, dziura w ślimaczej skorupie. Wszystko, co tak ostrożnie, z pieczołowitością budowałam, na co tak ciężko pracowałam. Tym jednym pytaniem chciał mi dać do zrozumienia: mnie nie oszukasz.

– Nie lubię go – powiedziałam później Jacques’owi. – Nie ufam mu.

– O co, do diabła, ci chodzi? Ostatniej nocy bardzo mi zaimponował. Wręcz ocieka ambicją. Może będzie miał zbawienny wpływ na moich nieudacznym synów.

Co mogłam mu powiedzieć? Skomentował mój akcent? Nie podoba mi się sposób, w jaki nas obserwuje? Nie lubię jego uśmiechu? Wszystko to brzmiało nieprzekonująco.

– Nie chcę go tutaj. – To wszystko, co przyszło mi na myśl. – Myślę, że powinieneś poprosić go, żeby stąd zniknął.

– Och, doprawdy? – odparł Jacques uprzejmie. Zbyt uprzejmie. – Zamierzasz mi teraz mówić, kogo mogę lub nie mogę gościć w moim własnym domu?

I taki był koniec rozmowy. Wiedziałam, że nie powinnam wspomnieć już ani słowem więcej o tej sprawie, a przynajmniej na razie. Będę musiała wymyślić inny sposób pozbycia się stąd Benjamina Daniela.

Następnego ranka pojawił się kolejny liścik.

Znam Cię, Sophie Meunier. Znam wstydlive sekrety ukryte pod tą burżuazyjną fasadą. Możemy je zatrzymać między nami albo dowie się

o nich cała reszta świata. Proszę jedynie o drobną opłatę za moje milczenie.

Suma, której żądał mój szantażysta, się podwoiła.

Przypuszczam, że parę tysięcy euro może wydawać się niewielkim wydatkiem w przypadku kogoś, kto mieszka w apartamencie wartym kilka milionów. Problem w tym, że mieszkanie oficjalnie należy do Jacques'a, a pieniądze są zamrożone na jego kontach bankowych, w inwestycjach i biznesach. Od początku mieliśmy dość staroświecką umowę: miałam tylko to, co dostawałam od niego na utrzymanie domu oraz osobiste wydatki. Zanim nie stałam się częścią jego świata, nie zdawałam sobie sprawy, jak niewidzialne są pieniądze – smar, który usprawnia ruch kółek w maszynie. Wszystko jest odłożone na konto, inwestowane albo umieszczone w lokatach krótko- lub długoterminowych. Niewiele majątku jest dostępne w formie gotówki.

Mimo wszystko nie powiedziałam Jacques'owi o niczym. Wiedziałam, jak źle by na to zareagował, co oczywiście tylko pogorszyłoby sprawę. Wyznanie mu prawdy urzeczywistniłoby problem i wywlekło przeszłość na światło dzienne, nie wspominając o stworzeniu wyraźniejszej nierównowagi władzy między mną i moim mężem. Nie, wolałam znaleźć jakiś sposób zapłaty. Czułam, że będę w stanie poradzić sobie z tym sama. Wybrałam bransoletkę z diamentami; prezent na rocznicę ślubu.

Następnego dnia rano posłusznie zostawiłam plik brudnych banknotów w kremowej kopercie pod obluzowanym schodkiem.

Spoglądam na siebie w lustrze po przeciwnej stronie pokoju. Widzę rozlewającą się szkarłatną plamę wina. Jestem zahipnotyzowana jej widokiem. Czerwień wsiąka w blady jedwab koszuli niczym krew.

Zdzieram z siebie koszulę. Rwie się tak łatwo; guziki z masy perłowej odrywają się od tkaniny, rozpryskując się po wszystkich kątach pokoju. Następne w kolejności są spodnie. Delikatna, miękka tkanina wełniana jest ciasna, opinająca. Chwilę później leżę na podłodze, wierzgając, żeby rzucić spodnie z nóg. Pocę się i dyszę jak zwierzę.

Spoglądam na siebie, ubraną wyłącznie w bieliznę – kupioną za spore pieniądze przez mojego męża, ale tak rzadko przez niego oglądaną. Oceniam to ciało, któremu odmówiono tylu przyjemności, nadal doskonale zachowane dzięki latom diety: ksylofon mojego dekoltu, kamerton mojej

miednicy. Kiedyś moje ciało było pełne okrągłości, dojrzałości. Prowokowało pożądanie lub wzdarcę. Prosiło o dotykane. Z wielkim wysiłkiem zmieniałam je w coś, co się ukrywa, na czym wieszka się odzienie stworzone dla kobiet o mojej pozycji społecznej.

Moje wargi są zabrudzone winem, podobnie jak zęby. Otwieram szeroko usta.

Nie spuszczać wzroku z mojego odbicia w lustrze, wydaję z siebie bezgłośny krzyk.

Jess

Wymawiam się, żeby jak najszybciej opuścić penthouse. Chcę się stamtąd wydostać. Przez chwilę, czując na sobie wzrok ich wszystkich, zastanawiam się, czy któreś z nich będzie mnie próbowało zatrzymać. Nawet otwierając drzwi, myślę, że zaraz poczuję czyjaś dłoń na moim ramieniu. Schodzę szybko po schodach do mieszkania Bena, czując mrowienie na karku.

Są rodziną. Oni są rodziną. Tak naprawdę to mieszkanie nie należy do Bena. W tej chwili siedzę w czyimś domu rodzinnym. Dlaczego, do diabła, Ben mi tego nie powiedział? Uznał, że nie jest to ważne? A może nie wiedział o tym?

Przypominam sobie wrażenie, jakie zrobiła na mnie płynna francuszczyzna Nicka na posterunku policji. Oczywiście, że potrafi znakomicie mówić po francusku: to jego pierwszy język. Próbuje przypomnieć sobie naszą pierwszą rozmowę. Tak naprawdę chyba nigdy nie powiedział, że jest Anglikiem. Po prostu po wszystkich tych opowieściach o Cambridge tak właśnie założyłam, a on nie wyprowadzał mnie z błędu.

Jest jednak coś, w czym mnie okłamał. Udawał, że ma na nazwisko Miller. Dlaczego właśnie tak? Pamiętam listę wyników wyszukiwania, kiedy wpisałam je w Google – czyżby wybrał je ze względu na to, jak dużo wyników generuje? Podchodzę do półki z książkami Bena i wyciągam wysłużony słownik francusko-angielski. Przerzucam kartki do litery M i znajduję definicję:

Meunier (mønje) rzeczownik męski: miller[7].

Miller = Meunier. Podał mi angielskie tłumaczenie swojego nazwiska.

Tylko jednego nie mogę rozgryźć: jeżeli Nick miał swój ukryty motyw, dlaczego tak chętnie mi pomagał? Czemu poszedł ze mną na policję i porozmawiał z komisarzem Blanchotem? Coś mi tu nie pasuje. Może zataił przede mną wszystko z innego, bardziej niewinnego powodu. Może po prostu są bardzo skrytą rodziną, zwłaszcza jeśli są tacy bogaci. A może zrobił ze mnie absolutną idiotkę...

Na wspomnienie dzisiejszego przyjęcia w penthousie przeszywa mnie dreszcz. Obserwowali mnie jak zwierzę w zoo. Taka przypadkowa zbieranina ludzi, którzy wybrali swoje towarzystwo, mimo że wydawali się nie mieć ze sobą nic wspólnego, nie miała dla mnie sensu. Ale rodzina... to co innego. Z rodziną nie trzeba mieć nic wspólnego – wiąże cię ta sama krew. To znaczy, tak przypuszczam. Ja sama nie mam wielkiego doświadczenia, jeśli o to chodzi. Zastanawiam się, czy to właśnie z tego powodu nie dostrzegłam od razu prawdy – nie potrafiłam odczytać znaków, drobnych wskazówek. Po prostu nie wiem, w jaki sposób funkcjonują normalne rodziny.

Podchodzę do półki, żeby odstawić słownik, i nagle widzę pojedynczą kartkę, która zsuwa się na podłogę. Na początku wydaje mi się, że to kartka z książki, bo wygląda dość staro. Kiedy jednak podnoszę ją, spostrzegam swoją pomyłkę. Dopiero po dłuższej chwili domyślam się, dlaczego wydaje się znajoma. Jestem pewna, że to pierwsza kartka rachunków, które znalazłam w szufladzie pana Meuniera, w penthousie. Tak: na dole strony widzę cyfrę „1”. Zawartość również jest podobna: roczniki, ceny i nazwiska kupców, opatrzone małą literką „M” przed nazwiskiem. Najbardziej interesujące jest jednak to, co widnieje w nagłówku: symbol wybuchającego sztucznego ognia, naniesiony wypukłym złotym wzorem. Zupełnie tak, jak na tej dziwnej metalowej karcie, którą Ben miał w swoim portfelu – tej, którą pożyczyłam wczoraj Theo. Co bardziej interesujące, Ben narysował ten sam wzór w swoim notesie, obok zaś, na marginesie napisał:

Numery nie mają sensu. Wino nie może kosztować aż tyle.

A pod spodem podwójnie podkreślony dopisek: Spytać Irinę.

Serce przyspiesza nieco w mojej piersi. To jest związek, ważny trop. Tylko jak ja mam się dowiedzieć, co to znaczy? I kim, do diabła, jest Irina?

Wyciągam telefon i robię zdjęcie, i znów korzystając z sieci Nicka, wysłałam je do Theo.

„Znalazłam to w rzeczach Bena. Masz pomysł, co to takiego?”

Wracam myślą do naszego spotkania w kawiarni. Nie jestem pewna, czy do końca ufam temu facetowi. Nie jestem nawet przekonana, że jeszcze kiedyś się do mnie odezwie, ale też jest jedyną osobą, która mi została...

Mój kciuk zastyga na ekranie telefonu. Nieruchomieję. Właśnie coś usłyszałam; jakieś chrobotanie przy drzwiach wejściowych do mieszkania. Zastanawiam się przez chwilę, czy to nie kot, ale dostrzegam go

wypoczywającego na sofie. Czuję, jak na piersi zaciska mi się żelazna obęcz. Ktoś tam jest, próbuje się tutaj dostać.

Wstaję, czując, że muszę znaleźć coś, czym będę się mogła bronić. Przypominam sobie bardzo ostry nóż leżący w kuchni Bena – ten z japońskimi napisami. Chwytam go, podchodzę do drzwi wejściowych i otwieram je gwałtownie.

– Ty!

To ta staruszka, konsjerżka. Robi krok w tył i podnosi rękę. W prawej dłoni chyba coś trzyma, ale nie jestem w stanie powiedzieć, co to takiego, bo zaciska palce zbyt mocno.

– Proszę... madame... – Ma schrypnięty głos, jakby zardzewiał od nieużywania. – Proszę... nie wiedziałam, że panienka tu jest. Myślałam... – Przerzywa gwałtownie i odruchowo zerka w górę.

– Sądziłaś, że nadal jestem w penthousie, tak? – A więc obserwowała moje poczynania w tym miejscu. – I myślałaś co dokładnie? Że przyjdiesz tu sobie i poszperasz? Co tam masz w ręku? Klucz?

– Nie, madame ... to nic takiego, przysięgam. – Ale nie pokazuje mi przedmiotu ukrytego w dłoni.

Przychodzi mi coś do głowy

– Czy to ty byłaś tu zeszłej nocy? Łaziłaś po mieszkaniu, szpiegowałaś?

– Proszę, ja nie wiem, o czym panienka mówi. – Cofa się, zastraszona.

I nagle czuję się źle w całej tej sytuacji. Może nie jestem wysoka, ale ona jest jeszcze drobniejsza niż ja. To starsza kobieta. Opuszczam nóż, którym nieświadomie celowałam w nią. Jestem nieco zszokowana swoim zachowaniem.

– Przepraszam. Wszystko w porządku.

Bo przecież ile ona może? Tak drobna zasuszona staruszka jak ona nie będzie chyba w stanie wyrządzić mi krzywdy?

Znów jestem sama. Zastanawiam się nad moimi opcjami. Mogłabym porozmawiać z Nickiem, zażądać wyjaśnień, sprawdzić, co ma do powiedzenia, spytać, co on sobie wyobrażał, podając mi fałszywe nazwisko, dać możliwość wytłumaczenia się. Odrzucam ten pomysł dość szybko. Muszę udawać, że niczego nie wiem. Jeżeli Nick zrozumie, że odkryłam jego – ich – tajemnicę, stanę się automatycznie zagrożeniem dla całej rodziny i tego, co mogą ukrywać przed światem. Jeśli uzna, że nadal

nic nie wiem, może nadal będę mogła prowadzić swoje śledztwo, niewidzialna na widoku. Z tej perspektywy widzę, że moja wiedza daje mi pewną przewagę. Od samego początku, kiedy przekroczyłam próg tego domu, to inni rozdawali karty. Teraz udało mi się jedną zdobyć – tylko jedną, ale być może okaże się asem w rękawie. A ja zamierzam jej użyć.

[7] Z ang. młynarz.

Mimi

Czwarte piętro

Po powrocie do mieszkania pragnę tylko pójść do swojego pokoju, naciągnąć kołdrę na głowę, wczłogać się głęboko w ciemność z Monsieur Gusem, moim pingwinem i spać przez wiele dni. Wyczerpały mnie te drinki wypite na górze i wysiłek, jaki kosztowało mnie to spotkanie. Kiedy jednak usiłuję otworzyć drzwi wejściowe, widzę, że blokują je skrzynki piwa i butelki mocnych alkoholi. Z głębi mieszkania dobiega mnie wrzask MC Solaara.

– Qu'est-ce qui se passe? – wołam. – Co tu się dzieje?

Pojawia się Camille, w męskich bokserkach i koronkowej kamizelce, z ciemnoblond włosami zebranymi w niedbały kok na czubku głowy. Między palcami jednej ręki zwisa skręt.

– Nasze przyjęcie halloweenowe. – Uśmiecha się szeroko. – To dzisiaj wieczorem.

– Przyjęcie?

Spogląda na mnie, jakbym oszalała.

– No tak. Nie pamiętasz? Dwudziesta pierwsza trzydzieści, w cave, złowieszcza atmosfera... potem może zaprosimy kilka osób tutaj, na poprawiny. Powiedziałaś, że twój papa najprawdopodobniej będzie w tym tygodniu poza domem, w delegacji.

Putain. Zupełnie zapomniałam. Naprawdę się na to zgodziłam? Jeśli tak, musiało to być wieki temu. Nie mogę przyjmować gości. Nie dam rady...

– Nie możemy robić przyjęcia – mówię. Staram się być stanowcza, asertywna, ale mój głos brzmi piskliwie i niepewnie.

Camille spogląda na mnie i wybucha śmiechem.

– Ha! Niezły żart. – Podchodzi do mnie i wicherzy mi włosy, a potem całuje mnie w policzek, rozsiewając w powietrzu zapach marihuany i Miss Dior. – Dlaczego jesteś taka niezadowolona, ma petite chou? – Odsuwa się i przygląda się mi uważniej. – Zaraz. Es-tu sérieuse? Co, do kurwy nędzy, Mimi? Myślisz, że możesz wszystko tak po prostu odwołać na godzinę

przed rozpoczęciem? – Wpatruje się we mnie intensywnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy. – Co się z tobą dzieje? O co chodzi?

– Rien – odpowiadam. Nic. – Wszystko jest w porządku. Tylko żartowałam. Ja... nie mogę się doczekać, wiesz? – mówię to, krzyżując palce za plecami, jak małe dziecko ukrywające prawdę. Camille spogląda na mnie podejrzliwie. Nie potrafię znieść jej wzroku.

– Po prostu niezbyt dobrze spałam zeszłej nocy. – Przeszuję z nogi na nogę. – Słuchaj... muszę iść, przyszykować się. – Czuję, że trzęsą mi się ręce. Zaciskam je w pięści. Muszę skończyć tę konwersację teraz, natychmiast. – Przebrać się w kostium.

Na szczęście to odwraca jej uwagę.

– Mówiłam ci, że zamierzam przebrać się za jedną z wieśniaczek z filmu W biały dzień? – pyta. – Udało mi się znaleźć niesamowitą klasyczną sukienkę chłopki na rynku Les Puces... obleję ją dużą ilością sztucznej krwi. Będzie superfajowsko, non?

– Tak – odpowiadam schrypniętym głosem. – Superfajowsko.

Idę pospiesznie do swojego pokoju i zamykam za sobą drzwi, a potem opieram się o nie plecami i oddycham głęboko. Ciemnofioletowe ściany otaczają mnie niczym ciemny kokon. Spoglądam na sufit, na którym, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, przykleiłam mnóstwo świecących w ciemności gwiazd, i usiłuję sobie przypomnieć tamto dziecko, które kiedyś wpatrywało się w nie przed zaśnięciem. Potem spoglądam na plakat Cindy na przeciwległej ścianie i nagle, chociaż wiem, że to tylko moja wyobraźnia, wydaje mi się inny: jej oczy są dzikie i wystraszone.

Zawsze kochałam tę porę roku, zwłaszcza Halloween. Mogłam wtedy nurzać się w mroku po całej tej wesołości i upale lata. Nigdy jednak nie chodziłam na przyjęcia, nawet w najlepszym okresie mojego życia. Mam ochotę spróbować się tutaj schować. Spoglądam na ocienioną przestrzeń pod łóżkiem. Może powinnam wczłogać się tam, jak to robiłam w dzieciństwie, kiedy papa był zły, i poczekać, aż wszystko się skończy...

Nie, to nie ma sensu. Camille stanie się tylko bardziej podejrzliwa i uparta. Wiem, że nie mam wyboru, jak tylko zaakceptować sytuację, wziąć udział w przyjęciu i upić się tak bardzo, żeby zapomnieć, jak się nazywam. Grubą kredką do oczu próbuję narysować na policzku pajęczynę, żeby Camille nie mówiła, że się nie postarałam, ale nie jestem w stanie powstrzymać drżenia rąk. Zamiast malować pajęczynę rozmazuję tusz pod oczami i na policzkach, jakbym płakała czernią – rzeka sadzy.

Spoglądam w lustro i się odsuwam. To naprawdę trochę przerażające, bo wyglądam dokładnie tak, jak się czuję.

Konsjerżka

Stróżówka

Przylapała mnie. Taka nieostrożność – to do mnie niepodobne. Cóż, będę po prostu musiała obserwować dalej i poczekać na kolejną okazję.

Siedzę w swoim domu. Brzęczyk przy bramie znów się odzywa, raz po raz. Za każdym razem waham się. To moja mała porcja władzy. Mogę odmówić wpuszczenia kogoś, jeśli zechcę. Z łatwością mogłabym odesłać pojawiających się gości. Oczywiście nie robię tego i tylko obserwuję ich pochod przez dziedziniec. Wszyscy są w kostiumach, młodzi i piękni – nawet ci, którzy nie grzeszą urodą, mają wciąż przywilej młodości – całe życie przed sobą.

Słyszę głośny okrzyk radości. Jeden z chłopców wskakuje drugiemu na barana. Ich zachowanie pokazuje prawdę: są jeszcze dziećmi, mimo ich dorastających ciał. Moja córka miała tyle samo lat, kiedy przyjechała do Paryża. Trudno w to uwierzyć. W porównaniu z tymi dzieciakami wydawała się tak bardzo dorosła i skoncentrowana. To właśnie robi z człowiekiem bieda; skraca dzieciństwo i utrwala w tobie ambicję.

Rozmawiałam o niej z Benjaminem Danielsem.

Gdzieś w połowie września zapukał znów do drzwi mojej stróżówki. Kiedy otworzyłam, niepewnie, wręczył mi kartonowe pudełko. Z boku widniała naklejona na nim fotografia wiatraka elektrycznego.

– Nie rozumiem, monsieur.

Uśmiechnął się do mnie. Miał naprawdę przemiły uśmiech.

– Un cadeau. Prezent. Dla pani.

Wpatrzyłam się w niego. Próbowałam odmówić.

– Non, monsieur... to zbyt wiele, nie mogę tego przyjąć. Już i tak ofiarował mi pan radio...

– Ach, ale ono było za darmo! Daję słowo. Dwa w cenie jednego u Mr. Bricolage. Kupiłem jeden do mieszkania, a drugiego nie potrzebuję, naprawdę. A tutaj pewnie jest dość gorąco. – Kiwnął głową w kierunku wnętrza swojego domku. – Może ustawię go dla pani?

Nikt nigdy nie wchodził do mojej stróżówki. Nikt z pozostałych nigdy nie był w środku. Zawahałam się przez chwilę, ale miał rację, w środku było bardzo gorąco i duszno. Okna zawsze trzymam zamknięte, dla prywatności, ale przez to powietrze stawało się coraz gorętsze i bardziej zastępe, aż wreszcie miałam wrażenie, że siedzę w wielkim piecu. Dlatego otworzyłam drzwi i wpuściłam go do środka. Zademonstrował mi różne funkcje wiatraka, pomógł ustawić go pod odpowiednim kątem tak, żebym mogła siedzieć przy oknie, czując powiew chłodniejszego powietrza. Widziałam, jak rozgląda się po pokoju, przygląda się biurku, rozkładanemu łóżku, zasłonie, za którą znajdowała się łazienka. Próbowałam nie czuć wstydu; przynajmniej było tutaj posprzątane. A potem, kiedy już wychodził, spytał o fotografie wiszące na ścianie.

– Kto na nich jest? Jakie śliczne dziecko.

– To moja córka, monsieur – odpowiedziałam z nutą matczynej dumy, której nie czułam już od dłuższego czasu. – W dzieciństwie. A tutaj, kiedy była trochę starsza.

– To wszystko ona?

– Tak.

Miał rację. Była ślicznym dzieckiem, tak bardzo, że w naszym dawnym miejscu zamieszkania, w naszej ojczyźnie, ludzie zatrzymywali mnie na ulicy, żeby mi to powiedzieć. A czasami, zgodnie z naszą tradycją, czynili znak przeciwko złemu oku, mówili, żebym się pilnowała, bo moja córka jest zbyt piękna i jeśli nie będę ostrożna – jeżeli powodowana dumą nie ukryję jej przed światem – czeka nas nieszczęście.

– Jak ma na imię?

– Elira.

– To ona przyjechała do Paryża?

– Tak.

– I nadal tutaj mieszka?

– Nie, już nie. Ale ja przyjechałam tu za nią i zostałam po jej odejściu.

– Musi być... aktorką? Modelką? Z taką urodą...

– Była bardzo dobrą tancerką – odparłam. Nie mogłam się powstrzymać. Nagle, słysząc zainteresowanie w jego głosie, poczułam pragnienie, żeby opowiedzieć mu o niej. Nie rozmawiałam o mojej rodzinie od bardzo długiego czasu. – Właśnie po to przyjechała do Paryża.

Przypomniałam sobie telefon, miesiąc później. Wtedy ludzie nie używali e-mailów ani esemesów. Czekałam tygodniami na rozmowę telefoniczną,

która najczęściej była przerywana pikaniem oznajmającym, że moja córka nie ma już więcej monet.

– Znalazłam miejsce, mamó. Mogę tam tańczyć. Płacą mi dobre pieniądze.

– I jesteś pewna, że to miejsce jest bezpieczne? Że jest w porządku? Roześmiała się.

– Tak, mamó. Znajduje się w dobrej części miasta. Powinnaś zobaczyć te wszystkie sklepy w okolicy! Chodzą do nich wyszukani, bogaci ludzie.

Przyglądam się, jak jeden z imprezowiczów zatacza się na pobliską rabatkę, tę, na której niedawno zasadzono kwiaty. Rozpina rozporek i sika na ziemię. Madame Meunier byłaby wstrząśnięta, gdyby widziała, chociaż przypuszczam, że w tej chwili ma na głowie dużo poważniejsze sprawy. Normalnie myśl o jej cennych kwiatkach zroszonych uryną wywołałaby u mnie swego rodzaju mroczne zadowolenie, ale nie tym razem. W tej chwili bardziej niepokoi mnie ta masowa inwazja ludzi w budynku.

Nie powinno ich tutaj być. Nie w tej chwili. Nie po wszystkim, co się tu wydarzyło.

Jess

Krażę po mieszkaniu, zastanawiając się, czy reszta z nich nadal siedzi w penthousie, popijając wino i zaśmiewając się z mojej głupoty.

Otwieram okna, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Z oddali dobiega mnie ciche wycie syren policyjnych. Paryż wydaje się miastem w stanie wojny z samym sobą. Poza tym jest dziwnie cicho. Słyszę każde skrzypnięcie podłogi pod moimi stopami, a nawet szelest suchych liści na dziedzińcu.

Nagle ciszę rozdziera wrzask. Zastygam, cała spięta. Krzyk dobiega ze środka...

Przyłącza się do niego kolejny głos i nagle słyszę hałasy na dziedzińcu: pokrzykiwanie i pohukiwanie. Otwieram okiennice i widzę masę dzieciaków wlewającą się przez bramę i wchodzącą do głównego budynku. Wszyscy niosą ze sobą alkohol, krzyczą i śmieją się. Najwyraźniej odbywa się tu jakaś impreza. Kto, do diabła, zorganizował tu przyjęcie? Widzę szpiczaste kapelusze, peleryny i niesione pod pachami dynie. Nagle kojarzę – to Halloween. Trudno uwierzyć, że poza tajemnicą tego mieszkania i zniknięciem Bena istnieje świat, że gdzieś tam wciąż upływa czas. Gdybym nadal była w Brighton, pewnie w tej chwili byłabym przebrana za seksowną kotkę i serwowałabym jägermeistera klientom, którzy przyjechali tu z Londynu na wieczór kawalerski. Minęło niewiele więcej niż 48 godzin, od kiedy porzuciłam tamto życie, ale mam wrażenie, jakby było odległą historią.

Widzę, jak jeden z gości zatrzymuje się i sika na rabatkę, obserwowany przez rechoczących kolegów. Zamykam okiennice z trzaskiem, mając nadzieję, że w ten sposób zablokuję chociaż nieco hałasu.

Siedzę przez chwilę, nasłuchując: odgłosy zza okien są stłumione, ale nadal słyszalne. Przed chwilą coś przyszło mi do głowy: może ktoś z gości znał Bena. W końcu mój brat mieszkał tutaj przez kilka miesięcy. Może byłabym w stanie dowiedzieć się czegoś więcej o tej rodzinie. Poza tym szczerze mówiąc, wszystko jest lepsze od siedzenia tutaj z uczuciem, że

jestem otoczona i szpiegowana, nie wiedząc, co reszta moich sąsiadów dla mnie zaplanowała.

Nie mam kostiumu, ale na pewno mogę zrobić użytek z czegoś tutaj. Wchodzę do sypialni i pod czujnym spojrzeniem kota, który który siedzi na komodzie Bena, ściągam prześcieradło z łóżka. W szufladzie znajduję nóż i wycinam w materiale dwie dziury na oczy, a potem narzucam prześcieradło na głowę. Idę do łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze, uważając przy tym, żeby nie potknąć się o brzeg prześcieradła. Cóż, nie wygram konkursu na przebranie, ale przynajmniej je mam, mogę ukryć pod nim twarz, a poza tym jest o niebo lepsze od pieprzonej seksownej kotki – najpopularniejszego kostiumu halloweenowego.

Otwieram drzwi do mieszkania i nasłuchuję. Wygląda na to, że wszyscy zmierzają do piwnicy. Skradając się, schodzę na dół, wiedziona dźwiękami muzyki i strumieniem gości. Wkraczam do cave, gdzie łupanie basu robi się coraz głośniejsze, aż czuję jego wibracje pod czaszką.

Nick

Drugie piętro

Palę już trzeciego papierosa tego wieczora. Zacząłem palić dopiero po powrocie tutaj. Smak napawa mnie odrazą, ale potrzebuję uspokajającej dawki nikotyny. Wszystkie te lata zdrowego prowadzenia się i spójrzenie na mnie, zaciągającego się marlboro jak tonący, który łapie ostatni oddech. Wyglądam przez okno, obserwując tłumy dzieciaków przelewające się przez dziedziniec. Tam na tarasie prawie ją pocałowałem. Ta chwila, rozciągająca się między nami, aż wreszcie wydawało się, że to jedyna rzecz, która ma sens.

Chryste. Gdyby światła nie zgasły i nie wybudziły mnie z transu, zrobiłbym to – i gdzie teraz bym był?

Jego siostra. Jego siostra.

Co ja sobie wyobrażałem?

Wchodzę do łazienki, gaszę papierosa na wilgotnej powierzchni umywalki i spoglądam w lustro.

Co ty sobie wyobrażasz? Kim niby jesteś? Pyta mnie bezgłośnie moje odbicie. I co ważniejsze, za kogo ona cię uważa?

Dobry człowiek. Skory do pomocy. Niepokojący się o swojego kumpla.

To właśnie widzi, prawda? W to pozwoliłeś jej uwierzyć.

Przeczytałem gdzieś, że sześćdziesiąt procent ludzi nie potrafi przetrwać więcej niż dziesięciu minut bez kłamstwa. Małe nieścisłości, żeby lepiej się zaprezentować, wyjść na lepszych, bardziej atrakcyjnych. Białe kłamstwa, aby uniknąć obrażenia kogoś. Nie różnię się od innych. To ludzka cecha. Najważniejsze jednak jest to, że tak naprawdę wcale nie okłamałem Jess. Niezupełnie. Po prostu nie powiedziałem jej całej prawdy.

To nie moja wina, że uznała mnie za Brytyjczyka. Ma to sens. Miałem wiele lat na wypracowanie sobie akcentu i płynności w mowie. Kiedy byłem w Cambridge, bardzo się starałem; nie chciałem być znany jako „ten Francuz”. Spłaszczyłem samogłoski, utwardziłem spółgłoski. Doprowadziłem do perfekcji londyński akcent. Zawsze byłem z tego dumny

i cieszyłem się w duchu, kiedy Brytole brali mnie za jednego z nich, dokładnie tak jak ona.

Drugą rzeczą, którą założyła, to że mieszkańcy tego budynku są tylko sąsiadami, obcymi dla siebie ludźmi. To wszystko ona, naprawdę. Ja po prostu nie wyprowadzałem jej z błędu. Szczerze mówiąc, podobało mi się, że wierzyła Nickowi Millerowi – zwykłemu facetowi, który nie ma nic wspólnego z tym miejscem poza czynszem, który płaci za mieszkanie.

Czy ktokolwiek może uczciwie powiedzieć, że nigdy nie chciał, aby jego rodzina była mniej żenująca albo inna w jakimś tam aspekcie? Że nigdy nie zastanawiał się, jak by to było uwolnić się od tych wszystkich rodzinnych zjazdów? Od tego bagażu. A moja rodzina ma go więcej niż ktokolwiek.

Nawiasem mówiąc, papa odezwał się do mnie dziś wieczorem. Wszystko w porządku, synu? Pamiętaj, ufam, że zajmiesz się wszystkim na miejscu. Słowo „synu” było u niego przejawem uczuć. Musi naprawdę pragnąć, żebym zrobił to, czego chce. Mój ojciec potrafi skłonić ludzi do wypełniania jego poleceń. Oczywiście druga część wiadomości to klasyczny papa. Ne merdes pas. Nie spieprz tego.

Wracam myślą do tamtej kolacji, w czasie fali upałów. Wszyscy zostaliśmy wezwani na taras na dachu. Fioletowawe światło, latarnie połyskujące między figowcami, ciepły zapach ich liści. Lampy uliczne zapalające się pod nami, powietrze gęste niczym zupa – można je było jeść, a nie wdychać.

Papa na jednym końcu stołu, moja macocha obok niego, cała w jedwabiu w kolorze eau-de-nil i diamentach, tak chłodna, jak gorąca była noc, z twarzą zwróconą ku niebu, jakby była zupełnie gdzie indziej – albo chciała być. Pamiętam ten dzień, kiedy papa przedstawił nam Sophie. Musiałem wtedy mieć koło dziewięciu lat. Wydawała się wówczas taka olśniewająca, tajemnicza.

Po drugiej stronie stołu siedział Ben: gość honorowy i utuczone ciele zarazem. Papa zaprosił go tutaj osobiście. Ben wywarł na nim ogromne wrażenie podczas przyjęcia z drinkami.

– Ben. – Ojciec podszedł do niego z nowo otwartą butelką wina. – Musisz mi powiedzieć, co o tym myślisz. Widać wyraźnie, że masz doskonały zmysł smaku. To coś, czego nie można się nauczyć, nieważne, ile wina się wypije.

Spojrzałem na Antoine'a, opróżniającego drugą butelkę. Czy dotarła do niego ta zaczepka? Nasz ojciec nigdy nie mówi niczego przypadkowo.

Antoine jest teoretycznie jego protegowanym; pracował z papą, od kiedy skończył szkołę. Jednocześnie jednak awansował na chłopca do bicia, nawet bardziej niż ja – tym bardziej że musiał brać wszystko na siebie przez wszystkie te lata, gdy mnie tutaj nie było.

– Dziękuję, Jacques. – Ben z uśmiechem podstawiał kieliszek.

Nalewając szkarłatny płyn do jednego z kieliszków Lalique mojej matki, papa położył rękę na ramieniu Bena, w ojcowskim geście. Wyglądali razem bardzo naturalnie, swobodnie i było to coś, czego ja i papa nigdy nie mieliśmy. Ten widok wzbudził we mnie idiotyczną zazdrość. Antoine również to zauważył. Widziałem jego ironiczne skrzywienie.

Może jednak zadziałała to na moją korzyść. Jeżeli ojciec tak bardzo polubił Bena – kogoś, kogo ja zaprosiłem do tego domu i do naszej rodziny – być może wreszcie pojawiła się możliwość, że zaakceptuje mnie, swojego własnego syna. Żałosna nadzieja, ale taka jest prawda. Zawsze musiałem bić się o ochłapy uczuć ojcowskich.

– Widzę twoją irytację, Nicolas – powiedział ojciec, odwracając się do mnie nagle, tym swoim denerwującym zwyczajem. Użył słowa maussade. Przyłapany, przełknąłem wino zbyt szybko, rozkaszałem się i poczułem gorycz w gardle. Niezbyt lubię wino. Może jakieś biodynamiczne odmiany, lecz nie zleżałe wina starego świata.

– To naprawdę niesamowite – ciągnął. – Dokładnie taka sama mina jak u twojej świątobliwej nieżyjącej matki. Nic nigdy nie było dla niej wystarczająco dobre.

Poczułem, jak siedzący obok mnie Antoine drży.

– To jej pieprzone wino właśnie nalewasz – mruknął pod nosem. Moja matka należała do starego rodu: dawna krew, stare wino z wielkiego majątku ziemskiego: Château Blondin-Lavigne. Piwnica z tysiącami butelek była częścią jej dziedzictwa, które pozostawiła mojemu ojcu na łożu śmierci. Od kiedy odeszła, mój brat, który nigdy nie wybaczył jej, że nas zostawiła, przedzierał się systematycznie przez jej zapasy.

– Co to było, chłopcze? – Papa spojrzał na Antoine'a. – Chciałeś się może czymś z nami podzielić?

Zapadła niebezpieczna cisza. Przerwał ją Ben, odzywając się z doskonałym wyczuciem pierwszego skrzypka wchodzącego na solo:

– To jest przepyszne, Sophie.

Spożywaliśmy ulubione danie mojego ojca (oczywiście): krwisty filec, zimne smażone ziemniaki i sałatkę z ogórka.

– To chyba najlepsza wołowina, jaką kiedykolwiek jadłem.

– Nie ugotowałam jej sama – odparła Sophie. – Zamówiłam w restauracji.

Oczywiście ona nie jadła mięsa, tylko sałatkę. Zauważyłem, że nie patrzyła na Bena, tylko gdzieś ponad jego ramieniem. Najwyraźniej jeszcze jej nie zawojował. Dostrzegłem jednak ukradkowe spojrzenia, jakie rzucała mu Mimi, kiedy sądziła, że nikt na nią nie patrzy. Miała trudność z trafieniem widelcem do ust. Widziałem również, jak żona Antoine’a, Dominique, spoglądała na Bena z lekkim uśmieszkiem na twarzy, jakby wolała go od leżącego przed nią jedzenia. Przez cały ten czas mój brat zaciskał palce na nożu do steka tak, jakby planował wbić go komuś między żebra.

– Oczywiście, znasz Nicolasa od dziecka. – Ojciec znów zwrócił się do Bena. – Czy on w ogóle się uczył w tym idiotycznym miejscu?

Idiotycznym miejscem było oczywiście Cambridge – jeden z czołowych uniwersytetów świata. Ale wielki Jacques Meunier nie potrzebował edukacji i zobaczcie, do czego doszedł. Człowiek, który wszystko zawdzięcza wyłącznie sobie.

– A może tylko przepuszczał moje ciężko zarobione pieniądze? – ciągnął papa. – Jesteś w tym dość dobry. – Spojrzał na mnie. – Prawda, mój chłopcze?

Zabolało. Jakiś czas temu zainwestowałem część owych „ciężko zarobionych pieniędzy” w nową firmę medyczną w Palo Alto. Wszyscy moi znajomi byli nią podjarani: małe ukłucie w palec, kropla krwi, przyszłość opieki zdrowotnej. Większość pieniędzy otrzymanych od papy, kiedy skończyłem osiemnaście lat, już wykorzystałem. Miałem więc szansę, aby się wykazać, udowodnić, że znajomość mojej dziedziny była równie dobra jak jego...

– Nie mogę powiedzieć, jak pilnie się uczył – odparł Ben z uśmiechem skierowanym w moją stronę. Poczułem ulgę, że napięcie nieco opadło. – Chodziliśmy na różne zajęcia, ale napisaliśmy praktycznie razem projekt końcowy. Poza tym nasza grupka zwiedziła w lecie całą Europę, prawda, Nick?

Pokiwałem głową. Próbowałem uśmiechnąć się równie swobodnie jako on, ale nagle poczułem się, jakby obserwował mnie drapieznik ukryty w wysokiej trawie.

– Praga, Barcelona, Amsterdam – ciągnął Ben. Nie wiem, czy był to przypadek, ale przy tym ostatnim słowie nasz wzrok się skrzyżował. Nie potrafiłem odczytać miny Bena. Nagle zapragnąłem, żeby się zamknął. Próbowałem mu to przekazać spojrzeniem. Przestań. Wystarczy. To nie był najlepszy moment do wspomnienia Amsterdamu. Mój ojciec nigdy nie może się dowiedzieć.

Ben odwrócił wzrok i wtedy zdałem sobie sprawę, jak nierozważny byłem, zapraszając go tutaj.

Nagle rozległ się łomot tak głośny, jakby dom nagle miał się pod nami zapaść. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że to piorun. Niemal natychmiast fioletowe niebo rozdarła błyskawica. Papa był wściekły. Kontrolował wszystko, co się działo w jego domu i pracy, ale nawet on nie miał wpływu na kaprysy pogody. Pojawiły się pierwsze krople deszczu. Kolacja dobiegła końca.

Dzięki Bogu.

Poczułem, że znów mogę oddychać. Coś się jednak zmieniło.

Później tej nocy w moim pokoju pojawił się Antoine.

– Papa i twój angielski koleżka są w sobie zakochani, nie? Wiesz, że to byłoby w jego stylu, wydziedziczyć nas i zostawić wszystko jakiemuś przypadkowemu pieprzonemu obcemu, nie?

– To bzdura – odparłem. Mówiłem prawdę, ale nawet wypowiadając te słowa, poczułem, że idea zaczęła się zakorzeniać w moich myślach. Faktycznie, to byłoby podobne do papy. Zawsze powtarzał nam, własnym synom, jak bardzo jesteśmy bezużyteczni i jak bardzo jest nami rozczarowany. Ale czy Ben też taki nie był?

To, co zawsze czyniło go intrygującym, to jego niepoznawalność. Można było spędzić w jego towarzystwie całe godziny, dni – można było podróżować z nim po całej Europie – i nigdy nie być pewnym, czy poznało się prawdziwego Benjamina Danielsa. Był kameleonem, enigmą. Tak naprawdę nie miałem pojęcia, kogo zaprosiłem pod ten dach, na łono mojej rodziny.

Sięgam do szafki pod umywalką, wyciągam butelkę płynu do płukania jamy ustnej i nalewam porcję do małego kubeczka. Chcę wypłukać z ust obrzydliwy smak tytoniu. Drzwiczki nadal są otwarte i widzę buteleczki

z pigułkami, ustawione w zgrabny rząd. To byłoby takie proste, pomocne, gdybym poczuł się nieco mniej... obecny w tej chwili.

Prawda jest taka, że udawałem przed Jess, ale potrafiłem też niemal udawać przed samym sobą: że jestem normalnym dorosłym człowiekiem, mieszkającym samotnie, otoczonym atrybutami własnego sukcesu. Mieszkanie, które wynajmowałem za swoje zarobki. Rzeczy, które kupiłem za swoje ciężko zarobione pieniądze. Naprawdę chciałem być tym mężczyzną. Próbowałem. Nie chcę być trzydziestoparoletnim utracjuszem, zmuszonym do zamieszkania w domu własnego ojca, ponieważ straciłem absolutnie wszystko.

Uwierzcie mi, chociaż próbowałem się oszukiwać, posiadanie osobnego domofonu i zamka w drzwiach do mieszkania nie ma znaczenia. Nadal mieszkam pod jego dachem, wciąż jestem zainfekowany tym miejscem. Mieszkając tu, cofam się w rozwoju. Dlatego właśnie uciekłem stąd na drugi koniec świata, na całe dziesięć lat. Dlatego byłem taki szczęśliwy w Cambridge. Dlatego kiedy Ben się ze mną skontaktował, od razu się z nim spotkałem, mimo tego, co zdarzyło się w Amsterdamie. Dlatego zaprosiłem go do zamieszkania tutaj. Pomyślałem, że jego obecność sprawi, że mój wyrok stanie się bardziej znośny – że jego towarzystwo pomoże mi powrócić do innych czasów.

I to wszystko, cały powód, dla którego pozwalam jej sądzić, że jestem kimś i czymś innym. Mała nieszkodliwa fantazja, nic naprawdę niedobrego.

Daję słowo.

Jess

Głosy huczą ponad dźwiękami muzyki. Nie mogę uwierzyć, ile osób zmieściło się w tej przestrzeni – musi tu być dobrze ponad setka. Z sufitu zwieszają się sztuczne pajęczyny, porozstawiane na podłodze świeczki podświetlają nagie ściany. Zapach topiącego się wosku wypełnia ciasną zamkniętą przestrzeń. Cienie rzucane przez migoczące płomienie sprawiają wrażenie, że kamień porusza się, wierci jak coś ożywionego.

Usiłuję wmieszać się w tłum. Mój kostium jest zdecydowanie najgorszy ze wszystkich. Większość gości naprawdę się postarała. Zakonnica w białym habicie przesiąkniętym krwią całuje kobietę, która pomalowała całe swoje w połowie obnażone ciało na czerwono, a na głowę założyła pokręcone diabelskie rogi. Lekarz z czasów zarazy, spowity od stóp do głów w czarny płaszcz i kapelusz, unosi nieco długi zakrzywiony dziób maski, żeby zaciągnąć się papierosem. Dym wylatuje przez otwory na oczy. Wysoka postać w smokingu, z wielką głową wilka, popija koktajl przez słomkę. Wszędzie dookoła widzę szalonych zakonników, śmierci, demony i upiory. Na dodatek otoczenie sprawia, że wszystkie te postaci wydają się znacznie bardziej złowieszcze niż gdyby widzieć je na ulicy, w odpowiednim świetle. Nawet sztuczna krew wygląda tutaj na prawdziwą.

Zastanawiam się, w jaki sposób przyłączyć się do jednej ze stojących tu grup i zacząć rozmowę o Benie. Poza tym desperacko potrzebuję drinka.

Nagle czuję, że ktoś zrywa mi prześcieradło z głowy. Martwy kowboj unosi ręce w geście przeprosin.

– Oj! – Pewnie potknął się o przydługą płachtę. Cholera, zdążyła się już ubrudzić od ziemi i zamokła od rozlanego piwa. Zgniatam ją w brudną kulę. Muszę sobie jakoś poradzić bez przebrania. Jest tu tylu ludzi, że raczej nie będę się wyróżniać.

– Och, salut!

Odwracam się i widzę niemożliwie śliczną dziewczynę w ogromnej kwietnej koronie i białej zwiewnej chłopskiej sukmanie, splamionej krwią. Współlokatorka Mimi, Camille. Tak, to musi być ona.

– To ty! – mówi. – Jesteś siostrą Bena, prawda?

No tak, tyle by było w kwestii niewyróżniania się z tłumu.

– Eee... mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? Usłyszałam muzykę i...

– Plus on est de fous, plus on rit, rozumiesz? Im więcej, tym lepiej! Szkoda, że Bena tu nie ma. – Lekkie wydęcie ust. – Ten gość zdaje się uwielbiać imprezy!

– Znałaś mojego brata?

Dziewczyna marszczy malutki, piegowaty nosek.

– Bena? Oui, un peu. Troszeczkę.

– Wszyscy go tu lubili? To znaczy, Meunierowie? Rodzina?

– Oczywiście. Wszyscy go uwielbiają! Jacques Meunier chyba bardzo go lubi. Może nawet bardziej niż swoje własne dzieci. Och... – Przerzywa, jakby sobie coś przypomniała. – Antoine. On nie lubi Bena.

Wspominam scenkę, która rozegrała się na dziedzińcu pierwszego dnia mojego tu pobytu.

– Myślisz, że między... no wiesz, między moim bratem a żoną Antoine'a coś było?

Uśmiech znika.

– Ben i Dominique? Jamais. – W jej głosie pojawia się niespodziewana zaciekłość. – Flirtowali, ale nic więcej.

Próbuję innego podejścia.

– Powiedziałaś, że widziałas Bena w piątek, rozmawiającego z Mimi na schodach?

Potakuje.

– O której godzinie to było? Widziałas go może później? Tamtego wieczora?

Lekkie wahanie, a potem:

– Nie było mnie tutaj tamtej nocy – mówi. Nagle chyba spostrzeża kogoś za moimi plecami. – Coucou Simone! – Spogląda na mnie. – Muszę iść. Baw się dobrze. – Macha mi ręką na pożegnanie. Beztroska imprezowiczka powróciła. Jednak kiedy spytałam ją o tamtą noc, kiedy Ben zniknął, nie wyglądała na zadowoloną z życia. Miałam wrażenie, że chciała przestać rozmawiać, i przez chwilę wydało mi się, że odsłoniła kogoś zupełnie innego – kogoś, kto chowa się za maską Camille.

Mimi

Czwarte piętro

Zanim docieram do cave, jest tam już mnóstwo ludzi ściśniętych w środku. Nigdy nie czułam się dobrze w tłumie, nawet w najlepszych latach. Nie lubię, kiedy ludzie wkraczają w moją przestrzeń osobistą. Przyjaciel Camille, Henri, przyniósł swoje miksery oraz gigantyczny głośnik. Gra teraz La femme na cały regulator. Camille wita nowo przybyłych w wejściu, odziana w swój stroik rodem z W biały dzień. Kwietna korona chybotrze się na jej głowie, kiedy podskakuje i obejmuje kolejnych gości.

– Ach, salut Gus. Manu! Coucou Dédé!

Nikt nie zwraca na mnie specjalnej uwagi, mimo że to mój dom. Wszyscy przyszli tutaj dla Camille – to jej przyjaciele. Nalewam dziesięć centymetrów wódki do kieliszka i zaczynam pić.

– Salut, Mimi.

Oglądam się. Merde. To przyjaciółka Camille, LouLou. Siedzi na kolanach jakiegoś chłopaka, z drinkiem w jednej dłoni i papierosem w drugiej. Jest przebrana za kotkę; opaska na włosy z czarnymi koronkowymi uszami, jedwabna sukienka z nadrukiem skóry geparda, zsuwająca się z jednego ramienia. Długie brązowe włosy ma potargane, jakby przed chwilą wstała z łóżka, a jej szminka jest rozmazana, ale w seksowny sposób. Perfekcyjna paryżanka – zupełnie jak z tego głupiego serialu Emily w Paryżu albo jak te instagramowe kretyнки w espadrylach Bobo, z oczami umalowanymi „na kocicę”, wpatrujące się zachęcająco w obiektyw. Tak właśnie ludzie wyobrażają sobie francuskie dziewczyny – nie jak mnie, z przyciętą w domu plerezą i krostami wokół ust.

– Dawno cię nie widziałam. – Macha papierosem. Jest jedną z tych panienek, które zapalają papierosa przed kawiarnią, ale tak naprawdę się nie zaciągają, tylko trzymają je i dymią wszędzie, machając swoimi ślicznymi drobnymi rączkami. Gorący popiół ląduje na moim ramieniu.

– Pamiętam. – Rozszerza oczy. – To było w tym barze w parku... sierpień. Mon Dieu, nigdy cię takiej nie widziałam. Byłaś szalona. –

Radosny cichy chichot dla dziwaczki Mimi.

W tej chwili muzyka się zmienia. Nie mogę uwierzyć własnym uszom, ale z głośnika płynie melodia Heads Will Roll Yeah Yeah Yeahs. To chyba przeznaczenie. I nagle przenoszę się w tamtą chwilę.

Było zbyt gorąco, żeby siedzieć w domu, więc zasugerowałam Camille, żebyśmy poszły do baru Rosa Bonheur w parku des Buttes-Chaumont. Nie wspomniałam jej o tym, że może spotkamy tam Bena. Pisał akurat artykuł o tym miejscu. Usłyszałam, jak rozmawiał na ten temat z wydawcą przy otwartym oknie mieszkania.

Od kiedy pożyczył mi płytę Yeah Yeah Yeahs, wygooglowałam ich wokalistkę, Karen O. Próbowałam się ubierać tak jak ona i wtedy czułam się jak ktoś inny. Całe popołudnie spędziłam na obcinaniu włosów, żeby przypominały jej krótką, poszarpaną fryzurę. Tamtego wieczoru zrobiłam się na Karen O: założyłam cienką białą koszulkę, umalowałam usta na czerwono i podkreśliłam oczy czarną kredką. W ostatnim momencie zdjęłam stanik.

– Wow! – westchnęła Camille, kiedy wyszłam z pokoju. – Wyglądasz... zupełnie inaczej. O mój Boże... widzę twoje nénés! – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Dla kogo się tak wystroiłaś?

– Va te faire foutre – powiedziałam jej, żeby się odpieprzyła, bo poczułam się strasznie zażenowana. – Nie wystroiłam się dla nikogo. – Poza tym trudno było porównać mój strój z luźną robioną na drutach sukienką ze złotej siateczki, kończącą się tuż za jej chatte.

Na ulicach było tak gorąco, że nagrzone chodniki paliły w podeszwy, mimo butów, a powietrze migotało od kurzu i spalin. Fatalnym zbiegiem okoliczności, kiedy wychodziłyśmy, przy bramie dostrzegłyśmy papę nadchodzącego z przeciwnej strony. Mimo gorąca poczułam się, jakby ktoś oblał mnie kubłem zimnej wody. Chciałam się zapaść pod ziemię. Wiedziałam dokładnie, kiedy mnie zauważył; jego mina zmieniła się niebezpiecznie.

– Salut. – Camille pomachała do niego. Papa uśmiechnął się do niej; zawsze ma uśmiech dla Camille, tak jak każdy inny facet na ziemi. Miała na sobie marynarkę narzuconą na sukienkę, więc nie widać było, że pod spodem jest praktycznie naga. Zauważyłam, że wypracowała sobie sposób, żeby zachowywać się dokładnie tak, jak mężczyźni pragną. Przy papie

zawsze była fałszywie skromna, niewinna, zawsze tylko oui, monsieur i non, monsieur, i spojrzenia rzucone spod przymkniętych powiek.

Papa spojrział na mnie.

– Co ty masz na sobie? – spytał. Jego oczy niebezpiecznie zaśniły.

– Ja... – zająknęłam się. – Jest tak gorąco, więc pomyślałam...

– Tu ressembles à une petite putain – powiedział. Pamiętam to doskonale, bo poczułam, jakby wypalał te słowa żelazem na mojej skórze. Nadal czuję ten ból. Wyglądasz jak mała kurewka. Nigdy wcześniej nie odzywał się do mnie w ten sposób. – I co ty zrobiłaś ze swoimi włosami?

Unoszę ręce i dotykam grzywki stylizowanej na Karen O.

– Wstydzę się za ciebie. Słyszysz? Nigdy więcej nie ubieraj się w ten sposób. Wróć i przebierz się.

Ton jego głosu przestraszył mnie. Pokiwałam głową.

– D'accord, papa.

Weszliśmy za nim z powrotem do budynku, ale gdy tylko papa zniknął w penthousie, Camille chwyciła mnie za rękę i wybiegaliśmy na ulicę, ruszając w stronę stacji metra. Próbowałam zapomnieć o tym, co się zdarzyło, starałam się być kolejną zwykłą, beztroską dziesiętnastolatką, która wybrała się wieczorem na miasto.

Park sprawiał wrażenie dżungli, a nie części miasta: z trawników, krzewów i drzew unosiła się para. Wokół baru tłoczyli się ludzie. Czuć było podniecenie, nieokiełznaną energię. Głębokie basy muzyki wibrowały w całym moim ciele. Niektórzy ludzie byli skąpiej ubrani niż ja, a nawet niż Camille: widziałam dziewczęta w niewiele przykrywających bikini, prawdopodobnie przez cały dzień opalające się na paryskich plażach – sztucznych pasach piasku, które pojawiają się latem wzdłuż Sekwany. Powietrze pachniało potem, kremem do opalania, gorącą wysuszoną trawą i lepką słodyczą koktajli.

Wypiłam pierwszy aperol spritz, jakby to była lemoniada. Nadal czułam się chora na wspomnienie miny papy. Mała kurewka. Sposób, w jaki wypluł z siebie te słowa. Drugi drink również wypiłam za szybko, a potem przestałam się przejmować.

Dziewczyna grająca muzykę podkreśliła głośność i ludzie zaczęli tańczyć. Camille chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła w środek tłumu. Było tu kilku naszych – a raczej jej – przyjaciół z Sorbony. Przekazywali sobie pigułki schowane w małej plastikowej torebce. To nie dla mnie. Piję, ale nigdy nie biorę narkotyków.

– Allez Mimi – powiedziała LouLou, kładąc tabletkę na języku i połykając ją. – Pourquoi pa? – Dalej, Mimi, czemu nie? – Tylko połowę?

I może rzeczywiście zmieniłam się w kogoś innego, bo wzięłam małą połówkę tabletki, którą mi ofiarowała. Przez chwilę trzymałam ją na języku, pozwalając jej się rozpuścić.

Potem wszystko się rozmazało. Nagle tańczyłam w środku tłumu ludzi i chciałam już na zawsze zostać pomiędzy tymi wszystkimi spoconymi ciałami, tymi obcymi ludźmi. Wydawało mi się, że uśmiechają się do mnie, miłość wręcz wylewa się z nich.

Ludzie tańczyli na stołach. Ktoś uniósł mnie do góry i postawił na jednym. Nie obchodziło mnie to. Byłam kimś innym, kimś nowym. Mimi zniknęła. Czułam się wspaniale.

A potem z głośników popłynęły dźwięki Heads Will Roll i w tym samym momencie dostrzegłam Bena – gdzieś w środku tłumu, pomimo upału ubranego w jasnoszarą koszulkę i dżinsy, z butelką piwa w ręku. Miałam wrażenie, że znajdujemy się w filmie. Tak dużo czasu spędziłam, obserwując go w jego mieszkaniu, siedzącego przy stole w czasie obiadu, że jego obecność tutaj, w prawdziwym świecie, otoczonego obcymi ludźmi, wydawała się mi dziwaczna, nierzeczywista. Chyba zaczęłam uważać, że Ben należy do mnie.

A potem odwrócił się, jakby poczuł na sobie mój wzrok i zrozumiał, że tu jestem. Uniósł dłoń i uśmiechnął się. Przebiegł mnie prąd elektryczny. Ruszyłam w jego stronę – i nagle zaczęłam spadać; zapomniałam, że jestem na stole, i ziemia ruszyła z kosmiczną prędkością na spotkanie mojej twarzy...

– Mimi. Mimi? Z kim tutaj jesteś?

Nie widziałam nikogo innego. Wszystkie te twarze, przed chwilą uśmiechające się, już tak nie wyglądały. Widziałam, jak mi się przyglądają, słyszałam śmiech i wydawało mi się, jakbym była otoczona stadem dzikich zwierząt, zgrzytających zębami i gapiących się. Ale on też tam był i byłam przekonana, że zapewni mi bezpieczeństwo.

– Chyba potrzebujesz trochę świeżego powietrza. – Wyciągnął do mnie rękę, którą pospiesznie chwyciłam. To był nasz pierwszy kontakt i nie chciałam, żeby się skończył, nawet kiedy Ben pociągnął mnie w górę i postawił na nogi. Nie chciałam już nigdy być bez niego. Nawet dłonie miał piękne, z długimi eleganckimi palcami. Chciałam je włożyć do ust, żeby posmakować jego skórę.

W parku było ciemno, zwłaszcza z dala od świateł i dźwięków muzyki z baru. Wszystko wydawało się oddalone o milion kilometrów. Im dalej szliśmy, tym bardziej cały świat wydawał się nierealny. Był tylko on. Dźwięk jego głosu.

Zawędrowaliśmy nad jezioro. Ben chciał usiąść na ławce, ale ja zobaczyłam drzewo w pobliżu wody, rozpościerające korzenie pod powierzchnią.

– Tutaj – powiedziałam. Ben usiadł obok mnie. Czułam jego zapach; czysty pot i cytrus.

Podał mi butelkę z wodą Evian. Nagle poczułam, jak bardzo jestem spragniona.

– Nie za dużo – powiedział. – Powoli... tyle wystarczy. – Zabrał mi butelkę. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. – Jak się czujesz? Chcesz wrócić do przyjaciół?

Nie. Potrząsnęłam głową. Nie chciałam tego. Pragnęłam zostać tutaj, w ciemnościach, z ciepłą bryzą poruszającą koronami wysokich drzew nad nami i cichym pluskaniem wody jeziora o brzegi.

– To nie są moi przyjaciele.

Wyciągnął papierosa.

– Chcesz zapalić? Przypuszczam, że mogłoby pomóc...

Wsadziłam jednego do ust, a Ben podsunął mi zapalniczkę.

– Ty to zrób – powiedziałam.

Uwielbiałam obserwować ruch jego palców, kiedy pstrykał zapalniczką, zupełnie jakby rzucał jakiś czar. Czubek rozżarzył się i zapalił. Zaciągnęłam się dymem.

– Merci.

Nagle cienie widoczne pod pobliskim drzewem się poruszyły. Ktoś tam był... nie, dwie osoby, splątane ze sobą. Usłyszałam jęknięcie, a potem szept:

– Je suis ta petite pute. Jestem twoją małą kurewką.

Normalnie odwróciłabym wzrok zażenowana. Tym razem jednak nie potrafiłam oderwać od nich wzroku. Tabletki, ciemności, bliskość Bena (szczególnie to) sprawiły, że coś się we mnie wyluzowało. Rozwiązało mi język.

– Nigdy czegoś takiego nie miałam – szepnęłam, spoglądając w kierunku parki pod drzewem. I nagle, tak po prostu, opowiedziałam mu swój żenujący sekret: to, że podczas gdy Camille sprowadzała sobie na noc co

tydzień nowych facetów, a czasem panienki, ja tak naprawdę nie uprawiałam jeszcze z nikim seksu. W tamtej chwili nie czułam wstydu. Wydawało mi się, że to coś, o czym mogę normalnie rozmawiać.

– Papa jest bardzo surowy. – Pomyślałam o spojrzeniu, jakim obdarzył mnie wcześniej. Mała kurewka. – Powiedział mi coś naprawdę okropnego... na temat mojego wyglądu. I czasami mam wrażenie, że jest mną zażenowany, jakby wcale mnie nie lubił. Spogląda na mnie, mówi do mnie, jakbym była... oszustką czy coś w tym stylu. – Chyba nie umiałam tego wytłumaczyć wystarczająco jasno. Nigdy nie rozmawiałam o tym z innymi ludźmi. Ben jednak słuchał i potakiwał głową, i po raz pierwszy czułam, że ktoś naprawdę mnie słyszy.

Potem odezwał się:

– Nie jesteś już małą dziewczynką, Mimi, tylko dorosłą kobietą. Twój ojciec nie może cię już dłużej kontrolować. To uczucie, które przed chwilą opisałaś; nastrój, w jaki cię wprowadza... Użyj tego, żeby stać się silniejsza. Wykorzystaj to jako inspirację do swoich obrazów. Wszyscy prawdziwi artyści są outsiderami.

Spojrzałam na niego. Przemawiał z taką mocą i przekonaniem, jakby mówił z własnego doświadczenia.

– Jestem adoptowany – powiedział nagle. – Moim zdaniem rodzina jest przecenianą instytucją.

Spojrzałam na niego, siedzącego tak blisko w ciemności. To, co usłyszałam, miało sens. Było częścią bliskości między nami, tego związku, nici porozumienia, które poczułam przy naszym pierwszym spotkaniu. Oboje byliśmy outsiderami.

– I wiesz co? – dodał zmienionym głosem; bardziej żywiołowym, natarczywym. – Nie chodzi o to, skąd pochodzisz i co się mogło zdarzyć w twoim życiu w przeszłości. Chodzi o to, kim jesteś. O to, jak wykorzystasz okazje, które stawia przed tobą życie.

Położył dłoń lekko na moim ramieniu. Bardzo delikatnie. Opuszki jego palców były gorące na mojej skórze. Ciepło zdawało się wędrować z ramienia prosto do samego środka mojego ciała. W tej chwili, tutaj, w ciemności, mógł zrobić ze mną wszystko, a ja oddałabym się mu całkowicie.

Nagle się uśmiechnął.

– Tak swoją drogą, wyglądają nieźle.

– Quoi?

– Twoje włosy.

Uniosłam rękę, żeby ich dotknąć. Czułam wilgotne od potu kosmyki przywierające do czoła.

– Pasują ci. – Uśmiechnął się znowu.

W tym momencie nachyliłam się, chwyciłam jego twarz w obie dłonie i pocałowałam go. Chciałam więcej, więc zaczęłam się na niego wdrapywać, usiłując usiąść na nim okrakiem.

– Hej. – Roześmiał się, odsuwając się i delikatnie mnie odpychając. Wytarł usta. – Hej, Mimi. Za bardzo cię lubię, żeby skorzystać.

I wtedy zrozumiałam: nie tutaj; nie w ten sposób; nie jako mój pierwszy raz. Pierwszy raz między nami powinien być specjalny. Idealny.

Może to narkotyk, ale w tym momencie poczułam, że zakochuję się w Benie. Wcześniej wydawało mi się, że już kiedyś byłam zakochana, tylko nam nie wyszło. Teraz wiedziałam już, jak nieprawdziwe było to uczucie. Teraz rozumiałam. Czekałam na Bena.

Utwór kończy się i pryska zakłęcie. Jestem znów w cave, otoczona gromadą idiotów w kretyńskich kostiumach halloweenowych. Z głośników leci Christine and the Queens i wszyscy wyją razem refren. Ludzie przepychają się obok mnie, ignorując moją obecność, jak zwykle.

Zaraz. Dostrzegam twarz w tłumie – twarz, której nie powinnam tutaj widzieć.

Putain de merde.

Co ona tu, do diabła, robi?

Jess

Przedzieram się przez cave, wchodząc w głąb tłumu zamaskowanych twarzy i wijących się ciał. Impreza rozkręca się na całego. Jestem prawie pewna, że pod ścianą dostrzegam parkę uprawiającą seks lub coś bardzo zbliżonego oraz małą grupkę wciągającą nosem kokę. Zastanawiam się, czy piwnica z winem została zamknięta. Podejrzewam, że ci ludzie zrobiliby w niej niezłe spustoszenie.

– Veux-tu un baiser de vampire? – pyta jakiś facet. Jest przebrany za Draculę: ma plastikową pelerynę i sztuczne kły. To niemal tak samo beznadziejny kostium jak mój.

– Przepraszam, co takiego? – odwracam się do niego.

– Pocałunek wampira – odpowiada po angielsku z szerokim uśmiechem.

– Pytałem, czy chcesz spróbować.

Przez chwilę zastanawiam się, czy przypadkiem nie proponuje mi seksu. Potem jednak spoglądam w dół i widzę, że trzyma w dłoni kieliszek z jasnoczerwonym płynem.

– Co w nim jest?

– Wódka, grenadyna... może trochę chamborda. – Wzrusza ramionami. – W większości wódka.

– OK, w porządku. – Przydałoby mi się trochę pijackiej odwagi. Chłopak wręcza mi napój. Upijam łyk... Chryste, smakuje jeszcze gorzej, niż wygląda. Metaliczny posmak wódki przebija się przez lepką słodczy gęstego likieru malinowego. Smakuje jak coś, co może serwowaliśmy w Copacabanie, a to nie jest dobra rzecz. Mimo to warto się napić, dla samej wódki, nawet jeśli wolę ją bez dodatków. Upijam kolejny duży łyk, tym razem przygotowana na atak słodkości.

– Nie spotkałem cię wcześniej – mówi po angielsku, ale wydaje się w tym jeszcze bardziej francuski. – Jak masz na imię?

– Jess. A ty?

– Victor. Enchanté.

– Eeeee... dzięki. – Przechodzę od razu do sedna. – Hej, znałeś może Bena? Benamina Danielsa? Z trzeciego piętra??

Krzywi się przepaszająco.

– Non, désolé. – Wydaje się szczerze zasmucony, że nie umiał mi pomóc.

– Podoba mi się twój akcent. Jest super. Z Londynu, non?

– Tak. – Nie jest to do końca prawda, ale tak naprawdę kto wie, skąd jestem?

– Mimi to twoja znajoma?

– Eee... tak, przypuszczam, że można tak powiedzieć. – Czytaj: spotkałam ją dokładnie dwa razy i nigdy nie cieszyła się specjalnie na mój widok. Nie zamierzam jednak wdawać się w tej chwili w szczegóły.

– Bo wiesz... większość ludzi tutaj to przyjaciele Camille. Nikt tak naprawdę nie zna Mimi. Ona... jak to się mówi po angielsku? Trzyma się na uboczu? Jest trochę intensywna. No wiesz... – Kręci palcem przy skroni. Zgaduję, że chce powiedzieć „wariatka”.

– Nie znam jej aż tak dobrze – odpowiadam cicho.

– Niektórzy nie rozumieją, dlaczego Camille przyjaźni się z Mimi. Ale według mnie wystarczy spojrzeć na jej apartament i człowiek rozumie dlaczego. Mimi ma bogatych rodziców, rozumiesz, co mam na myśli? – Wskazuje na mieszkania nad nami. – W tej dzielnicy? Cholernie kosztowne. To naprawdę odlotowa nora. – Dwa ostatnie słowa usiłuje powiedzieć z amerykańskim akcentem.

W innych okolicznościach pewnie zrobiliby mi się żal tej dziewczyny. Ludzie zawsze zakładają, że ktoś przyjaźni się z tobą dla pieniędzy. To okropne. Ja nigdy wprawdzie nie musiałam borykać się z tego rodzaju problemami, ale mimo wszystko.

– Kim jesteś? – pyta.

– Słucham? – Przez chwilę nie rozumiem, a potem kojarzę, że mówi o moim przebraniu. – Och, tak. – Cholera. Spoglądam na moje ubranie: dzinsy i stary powyciągany sweter. – Byłam przebrana za ducha, ale teraz jestem po prostu zwykłą byłą barmanką, która ma dość obrywania od wszystkich za nie swoje grzechy.

– Quoi? – Marszczy czoło z niezrozumieniem.

– Och to... takie brytyjskie powiedzenie. Może nie umiem przetłumaczyć – wyjaśniam.

– Ach, rozumiem. W porządku.

Nagle przychodzi mi do głowy pomysł. Jeżeli Camille i Mimi są tutaj, to w ich apartamencie nie ma nikogo. Mogłabym się w nim rozejrzeć.

– Hej, Victor, czy możesz coś dla mnie zrobić? – pytam.

– Co?

– Strasznie mi się chce siusiu, ale nie wiem, gdzie jest... toilette?

Nagle wydaje się zażenowany. Najwyraźniej młodzi Francuzi wstydzą się rozmowy o tych sprawach na równi z ich angielskimi odpowiednikami.

– Czy mógłbyś poprosić Camille o klucz do ich mieszkania? – Uśmiecham się najładniej, jak potrafię, tak jak w barze przy gościach, którzy dawali największe napiwki. Odrzucam włosy na plecy. – Byłabym ci bardzo wdzięczna.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Bien sûr.

Bingo. Może Ben nie jest jedynym członkiem naszej rodziny wyposażonym w urok osobisty.

Popijam drinka, czekając. Zaczyna mi nawet smakować – albo to wódka wreszcie uderza mi do głowy. Victor wraca kilka minut później i pokazuje mi klucz.

– Fantastycznie. – Wyciągam rękę.

– Pójdę z tobą. – Uśmiecha się szeroko. Cholera. Zastanawiam się, czy przypadkiem na coś nie liczy. Jeśli jednak pójdziemy razem, będę wyglądała mniej podejrzanie.

Ruszam za Victorem. Wychodzimy z cave po ciemnych schodach, potem jedziemy windą (jego sugestia), przyciśnięci do siebie, ponieważ nie ma w niej zbyt wiele miejsca. Czuję jego oddech: papierosy i wódka – nie do końca odrażająca kombinacja. Poza tym jest całkiem przystojny, tylko zbyt ładniutki jak na mój gust. Zarys szczęki ma tak ostry, że można by nim krajać cytryny. No i jest jeszcze dzieciakiem.

Nagle wracam myślą do Nicka, do nas obojga na tarasie, kilka godzin temu. Tamta chwila, kiedy wyjął liść z moich włosów i nie odsunął się tak szybko, jak powinien. Ten moment, zanim zgasły światła, byłam przekonana, że chce mnie pocałować. Co by się stało, gdyby taras nagle nie pograżył się w ciemnościach? Gdybym nie szperała w mieszkaniu Sophie i nie znalazła tamtej fotografii? Czy wrócilibyśmy do jego mieszkania i wskoczyli razem do łóżka...

– Wiesz, zawsze chciałem być ze starszą kobietą – mówi szczerze, wyrывая mnie z zamyślenia.

Spokojnie, kolego, myślę. Poza tym mam dopiero dwadzieścia osiem lat.

Winda zatrzymuje się ze zgrzytem na czwartym piętrze. Victor otwiera drzwi do mieszkania. W dużym pokoju stoją skrzynki piwa i liczne butelki

z mocnymi alkoholami. Pewnie to zapasy na przyjęcie.

– Hej, może zrobisz nam drinki, a ja pójdę się wysikać? – sugeruję. – Tylko tym razem daj więcej wódki, a mniej tego czerwonego, dobra?

Od dużego pokoju odchodzi korytarz z kilkoma drzwiami. Rozkład mieszkania trochę przypomina mi penthouse, tyle że wszystko w nieco mniejszej skali i zamiast oryginalnych obrazów na ścianach wiszą odlepiające się plakaty: CINDY SHERMAN: CENTRE POMPIDOU oraz lista trasy koncertowej niejakiego DINOS. W pierwszym pokoju, do którego wchodzę, widzę śmietnik: podłoga zasłana ubraniami, koronkową bielizną w landrynkowych kolorach i butami. Staniki i stringi owijają się o obcasy szpilek. Toaletka cała zastawiona jest przyborami do makijażu. Widzę dobre dwadzieścia szminek, wszystkie bez zamknięcia. Na ścianie wisi gigantyczny plakat Harry’ego Stylesa w spódniczce baletowej, a po przeciwnej stronie – Duy Lipy we fraku. Przypominam sobie Mimi, jej wiecznie skrzywioną minę i poszarpaną grunge’ową grzywkę. Jestem przekonana, że to nie jej styl. Zamykam drzwi.

Następny pokój musi należeć do Mimi. Ciemne ściany, duże czarno-białe reprodukcje – wszystkie przedstawiające dziwną kobietę z pustym wzrokiem – i wiele poważnie wyglądających tomiszczy o sztukach pięknych. Obok stoi gramofon i zbiór płyt w specjalnej skrzynce. Jedna płyta czeka na odtworzenie – Yeah Year Yeahs, It’s Blitz!

Podkradam się do okna. Okazuje się, że Mimi ma idealny widok pod kątem na duży pokój Bena, znajdujący się po drugiej stronie dziedzińca. Dostrzegam jego biurko i sofę. Interesujące. Myślę o tym, jak upuściła kieliszek z winem, kiedy rozmawialiśmy w penthousie o Benie. Ukrywa coś, jestem tego pewna.

Otwieram szafkę i przeszukuję jej ubrania. Nic wartego bliższego przyjrzenia się. Wszystko wygląda schludnie, nawet aż za bardzo. Problem w tym, że nie wiem, czego szukam – a podejrzewam, że nie mam zbyt wiele czasu, zanim Victor zacznie się zastanawiać, co tak długo robię.

Kłękam i zaczynam macać na ślepo pod łóżkiem. Moja dłoń trafia na jakiś materiał owinięty wokół czegoś twardego, być może drewna. Czuję, że znalazłam coś ważnego. Wyciągam całość spod łóżka. Kawałek szarego materiału odwija się, ukazując plik postrzępionych płócien, pociętych i podartych na kawałki. Taki bałagan i chaos w tym schludnym pokoiku.

Przyglądam się bliżej materiałowi, w który zawinięte są płótna. Jest to szara koszulka z logo Acne, dokładnie taka, jakie znalazłam w szufladzie

Bena. Jestem pewna, że to jedna z jego koszulek. Nawet pachnie jego wodą kolońską. Dlaczego Mimi trzyma swoje obrazy zawinięte w jedną z koszulek Bena? I, co ważniejsze, skąd w ogóle ją ma?

– Jessie? – woła Victor. – Dobrze się czujesz, Jessie?

Cholera, chyba idzie w moim kierunku.

Próbuję złożyć pocięte obrazy w całość, tak szybko, jak się da. To trochę jak układanie zwariowanych puzzli. Wreszcie udaje mi się odtworzyć pierwszy z nich na tyle, że mogę zobaczyć całość. Wstaję. To naprawdę doskonałe podobieństwo. Udało się jej nawet uchwycić ten jego uśmiech, który inni nazywali czarującym, a który moim zdaniem sprawia, że Ben wygląda jak lizusowski dupek. Mam go przed oczami. Bena. Zupełnie takiego jak w rzeczywistości.

Z wyjątkiem jednego małego, przerażającego szczegółu. Unoszę dłoń do ust. Oczy Bena zostały usunięte.

– Jessie? – woła znów Victor. – Où es-tu, Jessie?

Składam drugi obraz i następny. Chryste.

Wszystkie przedstawiają jego. Na jednym nawet leży i, na Boga żywego, widzę więcej mojego brata niż powinnam lub chciałam. Na każdym obrazie oczy Bena zostały zniszczone: wycięte czymś albo wydarte.

Miałam wrażenie, że Mimi kłamie, kiedy powiedziała podczas naszego pierwszego spotkania, że nie zna Bena. Podejrzywałam, że coś ukrywa, gdy tylko jej wino rozlało się na podłodze w apartamencie Sophie Meunier. Nigdy jednak nie podejrzewałam czegoś takiego. Jeżeli te obrazy, zwłaszcza akt, są jakąś wskazówką, Mimi zna Bena bardzo dobrze – i żywi do niego wystarczająco mocne uczucia, żeby poważnie naruszyć swoje własne obrazy. Te rozdarcia w płótnie mogły zostać zrobione czymś naprawdę ostrym albo przy użyciu sporej siły. Albo jednego i drugiego.

Wstaję, ale wtedy dzieje się coś dziwnego. Mam wrażenie, że cały pokój buja się na boki. Ooooo! Muszę się oprzeć o szafkę nocną dla odzyskania równowagi. Mrugam, próbując w ten sposób odegnąć mdłości. Cofam się i znów to czuję. Usiłuję odzyskać równowagę, ale mam wrażenie, że grunt usuwa mi się spod stóp, a wszystko wokół mnie zrobione jest z galaretki, która powoli zapada się do wewnątrz.

Zataczając się, wychodzę z pokoju na korytarz. Muszę wyciągać ręce do boków, żeby się nie przewrócić. A potem na końcu korytarza pojawia się Victor.

– Jessie... tutaj jesteś. Co robiłaś? – Rusza w moim kierunku ciemnym korytarzem. Uśmiecha się. Jego zęby są bardzo białe, jak u prawdziwego wampira. Mogę stąd wyjść, tylko przechodząc obok niego – Victor blokuje mi drogę ucieczki. Nawet z mózgiem zmienionym w galaretę wiem, co się stało. Człowiek, który pracował w dwudziestu podejrzanych spelunkach, nie może nie wiedzieć. Ten drink postawiony przez jakiegoś gościa – darmowy koktajl, który w rzeczywistości będzie cię kosztował krocie. Nigdy, przenigdy nie dam się nabrać na to gównno. Co ja sobie, do cholery, wyobrażałam? Jak mogłam być taka głupia? To zawsze ci ładni, przystojni, pozornie niegroźni faceci.

– Do kurwy nędzy, co było w tym drinku, Victor? – pytam.

A potem ogarnia mnie ciemność.

PONIEDZIAŁEK

Mimi

Czwarte piętro

Jest poranek. Siedzę na balkonie, przyglądając się, jak światło wdziera się w granatowe niebo. Skręt ukradziony od Camille nie pomógł mi się odprężyć. Czuję się tylko bardziej chora i rozedrgana. Mam wrażenie... jakbym była uwięziona w mojej własnej skórze. Mam ochotę ją z siebie zedrzeć.

Wypadam z mieszkania i zbiegam w dół po krętych schodach do cave, modląc się, żebym nie spotkała nikogo po drodze. Wszędzie pełno jest śmieci po wczorajszej zabawie: potłuczonego szkła, rozlanych drinków i fragmentów kostiumów – peruk, trójzębów i szpiczastych kapeluszy. Zazwyczaj lubię tu przebywać; jest tu ciemno i cicho, dobre miejsce do ukrycia się. Teraz jednak nie mogę tu być, bo widzę jego vespę opartą o ścianę.

Nie patrzę – nie potrafię – w tamtą stronę. Wyciągam rower z sąsiadującego stojaka.

Ben zawsze jeździł vespą. Chciałam poznać jego życie, pojechać za nim do miasta, zobaczyć, gdzie chadza, co robi, z kim się spotyka, ale nie mogłam, bo wszędzie jeździł tą swoją motorynką. Pewnego dnia zeszłam na dół i zrobiłam dziurę w przedniej oponie bardzo ostrym nożem do cięcia płótna. Tak było lepiej. Ben nie da rady korzystać z vespy przez dobre kilka dni. Zrobiłam to tylko dlatego, że go kochałam.

Tego popołudnia widziałam, jak wychodzi gdzieś piechotą. Mój plan zadziałał. Poszłam za nim na stację metra i wsiadłam do sąsiedniego wagonu. Ben wysiadł w górnianej dzielnicy. Co on tu robił, do diabła? Poszedł do śmierdzącego tłuszczem szisza baru po drugiej stronie ulicy, zamówił kawę po turecku i próbował wtopić się w tłum klientów palących tytoń różany. Ben sprawiał, że robiłam rzeczy, na które normalnie bym się nie poważyła. Dzięki niemu stawałam się odważna.

Jakieś dziesięć minut później przyłączyła się do niego jakaś dziewczyna. Była wysoka i chuda, na głowie miała kaptur, który zdjęła dopiero wtedy, kiedy usiadła naprzeciwko Bena. Poczułam mdłości, kiedy zobaczyłam jej twarz. Nawet z tej odległości widziałam, że jest piękna. Miała wysokie policzki modelki i ciemnoczekoladowe włosy z prostą grzywką, wyglądającą o niebo lepiej niż moja. Była też młoda, prawdopodobnie w moim wieku. Owszem, jej ubrania były paskudne: kurtka ze sztucznej skóry, pod spodem bluza z kapturem i tanie dzinsy, ale w jakiś sposób, może dzięki kontrastowi, sprawiały, że wyglądała jeszcze piękniej. Obserwowałam ich, czując, jak boli mnie serce, jak cierpienie wypala mi dziurę pod żebrami.

Oczekiwałam, że Ben ją pocałuje, dotknie jej twarzy, dłoni, pogłaszczę ją po włosach – cokolwiek. Czekałam na jeszcze głębszy ból. Wiedziałam, że nadejdzie, kiedy zobaczę, jak Ben to robi. Nic jednak takiego się nie stało. Po prostu siedzieli i rozmawiali. Zdałam sobie sprawę, że to formalna konwersacja i że chyba nie znają się zbyt dobrze. Zdecydowanie nic ich nie łączyło ani nie sugerowało, że mogli być kochankami. Wreszcie Ben coś jej przekazał. Próbowałam dojrzeć co. Przedmiot wyglądał jak telefon, aparat fotograficzny lub coś w tym stylu. Potem dziewczyna wstała i wyszła. Ben również. Rozeszli się w dwóch różnych kierunkach. Nadal nie wiedziałam, dlaczego spotkał się z tą kobietą i co takiego jej dał, ale poczułam taką ulgę, że zachciało mi się płakać. Nie zdradził mnie. Wiedziałam, że powinnam mu ufać.

Później, już po powrocie do domu, rozmyślałam o tamtej nocy w parku, kiedy podzieliliśmy się papierosem, siedząc w ciemnościach nad jeziorem. Pamiętałam smak jego ust, kiedy go pocałowałam. Myślałam o tym, leżąc wieczorem w łóżku, pozwalając moim palcom odkrywać własne ciało i szepcząc słowa usłyszane w mroku nad jeziorem: Je suis ta petite pute. Jestem twoją małą kurewką.

To było to. Wiedziałam. Na to właśnie czekałam tak długo. Różniłam się od Camille. Nie potrafiłam się pieprzyć z przypadkowo poznanymi chłopakami. To musiało być coś prawdziwego. Un grand amour. Myślałam, że byłam już kiedyś zakochana, w moim nauczycielu plastyki, Henrim, w szkole Les Soeurs Servantes du Sacré-Coeur. Wiedziałam, że od początku coś nas łączyło. Uśmiechnął się do mnie na pierwszej lekcji, powiedział mi, że jestem utalentowana. Potem jednak, kiedy wysłałam mu jego portrety, odprowadził mnie na stronę i powiedział, że nie były stosowne – chociaż tak bardzo się starałam, ciężko pracowałam nad zachowaniem proporcji, nad odcieniami, dokładnie tak, jak nas uczył. A kiedy wysłałam te obrazy do jego żony, pocięte w drobne kawałki, złożyli oboje formalne zażalenie. A potem... nie chcę się wdawać w szczegóły. W każdym razie słyszałam, że wyjechali uczyć w innej szkole, za granicą.

Nie wiedziałam, gdzie kryła się ta część mnie – ta, która potrafiła się zakochać. To znaczy wiedziałam – po prostu trzymałam ją zawsze pod kluczem, ukrytą głęboko w duszy, przerażona, że tego rodzaju słabość znów narazi mnie na cierpienie. Teraz jednak byłam gotowa. Poza tym Ben był inny. On mnie nie zdradzi.

Na dole, w cave, odrywam wzrok od jego vespy. Mam wrażenie, jakby na mojej klatce piersiowej zaciskała się metalowa obręcz, nie pozwalając mi zaczerpnąć tchu. W uszach nadal słyszę ten okropny gwizd, biały szum, sztorm. Muszę go jakoś powstrzymać.

Wyrywam rower ze stojaka i wciągam go po schodach na górę. Czuję rosnące we mnie ciśnienie, kiedy prowadzę pojazd przez dziedziniec i popycham go brukowaną uliczką... aż do głównej trajektorii, huczącej od ruchu ulicznego. Wskakuję na siodło, rozglądam się szybko na boki, przez łązy przesłaniające mi wzrok i wjeżdżam prosto na ulicę.

Słyszę pisk hamulców, trąbienie i nagle leżę na boku, na asfalcie, słysząc wirowanie kół roweru. Czuję się poobijana i połamana. Serce wali mi jak młotem.

Było blisko.

– Ty głupia cipo! – wrzeszczy kierowca półciężarówki, wychylając się z otwartego okna i machając na mnie dłonią z zapalonym papierosem. – Co ty, do cholery, robisz? Patrz, jak jedziesz!

Odpowiadam mu, wypluwając z siebie stek przekleństw. Nazywam go un fils de pute, skurwysynem, un sac à merde, kupą gówna... mówię mu, żeby się pierdolił i że nie umie prowadzić samochodu.

Nagle brama przed naszym budynkiem otwiera się i wybiega przez nią konsjerżka. Nigdy nie widziałam jej poruszającej się z taką prędkością. Zawsze wydawała się taka stara, przygarbiona. Może jednak, kiedy nikt nie patrzy, rusza się znacznie żwawiej, bo zawsze jest tam, gdzie człowiek najmniej by się jej spodziewał. Wychyla się zza rogu, wyłania z cieni, czai się gdzieś z tyłu. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle mamy konsjerżkę. Większość miejsc już z nich nie korzysta. Powinniśmy po prostu zainstalować nowoczesny system interkomów. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby nie było jej w pobliżu, zawsze węszącej i szpiegującej wszystkich. Nie podoba mi się sposób, w jaki się nam przygląda – a zwłaszcza mnie.

Bez słowa wyciąga ręce i pomaga mi wstać. Jest dużo silniejsza, niżbym przypuszczała. Potem spogląda na mnie uważnie, intensywnie, jakby usiłowała mi coś powiedzieć. Odwracam wzrok. Ona chyba musi coś wiedzieć. Może nawet wie wszystko.

Odrącam jej dłoń.

– Ça va – mówię. Wszystko w porządku. – Sama się podniosę.

Kolana nadal pieką mnie jak dziecko, które przewróciło się na podwórku. Łańcuch spadł z roweru, ale to nie jest najgorsze.

Ta sytuacja mogła się skończyć zupełnie inaczej. Gdybym tylko nie była takim tchórzem. Bo tak naprawdę spojrzałam. W tym sęk.

Wiedziałam doskonale, co robię.

Było tak blisko – ale niewystarczająco blisko.

Sophie

Penthouse

Schodzę na dół z Benoit drepczącym mi po piętach. Mijając drzwi na trzecim piętrze, zatrzymuję się. Czuję jej obecność za nimi, niczym truciznę w samym sercu tego miejsca.

To samo było z nim. Jego obecność zakłóciła równowagę tego domu. Po tamtej kolacji na tarasie widziałam go wszędzie: na klatce schodowej, przemierzającego dziedziniec, rozmawiającego z konsjerżką. My nigdy nie rozmawiamy z konsjerżką, chyba że musimy jej wydać instrukcje. Jest członkiem obsługi. Obowiązuje przecież jakaś hierarchia. Kiedyś widziałam nawet, jak wchodził z nią do jej domu. O czym rozmawiali? Co ona mogła mu opowiadać?

Kiedy nadszedł trzeci list, nadawca nie wrzucił go do skrzynki, lecz wepchnął pod drzwi do mieszkania, w czasie gdy – wedle wiedzy szantażysty – Jacques miał być poza domem. Wróciłam z piekarni z ulubionym quichem Jacques'a, który kupowałam mu w każdy piątek, od kiedy pamiętam. Widząc list, upuściłam trzymane w rękach pudełko. Ciasto rozprysnęło się na podłodze. Poczułam wtedy niezwykły dreszcz strachu, który jednak przez moment wydawał się niemal podnieceniem. To również mnie przeraziło.

Byłam niewidoczna od tak dawna – moja wartość znikła całe wieki temu. Jednak te listy, chociaż mnie przerażały, sprawiały, że po raz pierwszy od długiego czasu poczułam się dostrzeżona.

Wiedziałam, że nie mogę zostać w tym domu ani chwili dłużej.

Na zewnątrz ulice nadal były rozgrzane do białości. Powietrze wibrowało od gorąca. Turyści tłoczyli się przy kawiarnianych stolikach wystawionych na chodnik, pocili się nad ich thé glacés i citron pressées, zastanawiając się, dlaczego nie czują się orzeźwieni. W restauracji jednak panował przyjemny chłodny półmrok, jak w jakiejś podziemnej jaskini. Tego się właśnie spodziewałam. Ciemne obłożone boazerią ściany, białe obrusy, ogromne obrazy na ścianach. Naturalnie posadzono mnie przy najlepszym stoliku – Meunier SARL dostarczał im od wielu lat rzadkich roczników win. Zimny

strumień z klimatyzacji chłodził moje plecy, kiedy sączyłam wodę mineralną.

– Madame Meunier – przywitał się ze mną kelner. – Bienvenue. Podać to, co zwykle?

Kiedy stołowaliśmy się tutaj z Jakiem, zawsze zamawiałam to samo: sałatkę z endywii z orzechami włoskimi i okruszkami roqueforta. Starzejąca się żona to jedno; tłusta żona to co innego.

Tym razem jednak Jacques'a ze mną nie było.

– L'entrecôte – zażyczyłam sobie.

Kelner spojrzał się na mnie, jakbym poprosiła go o kawał ludzkiego mięsa. Stek zawsze był wyborem mojego męża.

– Ale madame, jest bardzo gorąco. Może zaproponuję pani ostrygi... mamy fantastyczne poussés en claire, albo łosoś sous vide...

– Stek poproszę – powtórzyłam. – Krwisty.

Ostatnim razem jadłam czerwone mięso, kiedy ginekolog wiele lat temu przepisał mi je na płodność. W tym kraju lekarze nadal zalecają je oraz wino jako lek na wiele dolegliwości. Całe miesiące jadłam jak jaskiniowiec. Kiedy to nie zadziało, musiałam znieść upokorzenie zabiegów in vitro. Zastrzyki w pośladki, lekko zde gustowane spojrzenia Jacques'a. Odziedziczyłam dwóch pasierbów. Dlaczego upierałam się przy dziecku? Nie potrafiłam wytłumaczyć, że zwyczajnie potrzebowałam kogoś pokochać; całym sercem, bezwarunkowo i z wzajemnością. Oczywiście zabiegi nie odniosły sukcesu, a Jacques nie zgodził się na adopcję. Związane z tym papiery, prześwietlanie jego interesów – nie przystałby na to.

Na stole pojawił się stek. Zaczęłam go kroić, obserwując, jak z rozcięcia wycieka wodnista, różowa krew. Wtedy właśnie podniosłam wzrok i zobaczyłam go, Benjamina Danielsa w rogu restauracji. Siedział tyłem do mnie, chociaż widziałam jego odbicie w lustrze ciągnącym się na całej długości ściany. W linii jego pleców, w sposobie, w jaki siedział, trzymając ręce w kieszeniach, było coś eleganckiego. Wyglądał jak ktoś, kto czuje się bardzo dobrze w swojej własnej skórze.

Poczułam, jak przyspiesza mi puls. Co on tutaj robił?

Podniósł wzrok i pochwycił moje spojrzenie w lustrze. Podejrzewałam jednak, że od początku wiedział o mojej tu obecności i czekał, aż go zauważę. Jego odbicie uniosło kufel z piwem w geście toastu.

Odwróciłam wzrok i upiłam nieco mojej wody mineralnej.

Kilka sekund później na stół padł cień. Podniosłam wzrok i zobaczyłam ten przymilny uśmiech. Miał na sobie zmiętą płócienną koszulę i szorty, odsłaniające opalone nogi. Był całkowicie nieodpowiednio ubrany, zważywszy na formalne wymogi restauracji, ale mimo wszystko wydawał się dość zrelaksowany. Nienawidziłam go za to.

– Witaj, Sophie.

Najeżyłam się na tę bezpośredniość, ale potem przypomniałam sobie, że sama powiedziałam mu, żeby nie zwracał się do mnie madame. Mimo wszystko sposób, w jaki wypowiedział moje imię, wydał się pogwałceniem mojej prywatności.

– Mogę? – Wskazał na krzesło. Odmowa byłaby nieuprzejma, więc skinęłam głową, pokazując, że nie obchodzi mnie, co zrobi.

Po raz pierwszy znalazłam się tak blisko niego. Teraz widziałam, że nie jest przystojny, przynajmniej w tradycyjnym sensie. Miał nieregularne rysy. To jego pewność siebie, charyzma sprawiały, że wydawał się atrakcyjny.

– Co tutaj robisz? – spytałam.

– Piszę recenzję na temat tego miejsca – odparł. – Jacques zasugerował mi to podczas obiadu. Jeszcze nie zamówiłem, ale jestem pod wrażeniem przestrzeni, atmosfery... obrazów.

Zerknęłam na malowidło, na które spoglądał. Przedstawiało kobietę na kolanach, potężnie zbudowaną, niemal po męsku, z silnie zarysowaną szczęką i umięśnionymi kończynami. Głowę odrzuciła do tyłu, wyjąc do księżycy jak pies. Szeroko rozstawione nogi, podciągnięta spódnica... to było niemal seksualne. Gdyby zbliżyć się na tyle, żeby móc powąchać ten obraz, pewnie poczułoby się krew, a nie farbę. Nagle dotarło do mnie, że w drodze tutaj mogłam spocić się pod pachami i teraz na mojej jedwabnej bluzce wykwitają w tym miejscu ciemne wilgotne półksiężyce.

– Co o tym sądzisz? – spytał. – Uwielbiam Paulę Rego.

– Nie jestem pewna, czy mogę się zgodzić.

Wskazał na moje usta.

– Masz tutaj trochę... o tutaj.

Przytknęłam kącik serwetki do ust i otarłam je. Na grubym białym lnieniu zostały plamy krwi. Wpatrzyłam się w nie.

Ben zakaszłał.

– Mam wrażenie... chciałem tylko powiedzieć, że mam nadzieję, że nie zaczęliśmy naszej znajomości niewłaściwie. Tamtego dnia... kiedy

skomentowałem twój akcent... mam nadzieję, że nie odebrałaś tego jako niegrzeczność.

– Mais non – odparłam. – Dlaczego miałbyś tak pomyśleć?

– Widzisz, w Cambridge studiowałem francuski i jestem po prostu zafascynowany tego typu rzeczami.

– Nie poczułam się urażona – powiedziałam mu. – Pas du tout.

Zupełnie nie.

– Cieszę się. – Uśmiechnął się szeroko. – Ulżyło mi. Chciałem powiedzieć również, że kolacja na tarasie była wspaniała. Dziękuję za zaproszenie.

– To nie ja cię zaprosiłam – odparłam. – To był pomysł Jacques’a.

Być może zabrzmiało to niegrzecznie, ale powiedziałam prawdę. Nikt nie jest zapraszany do nas bez uprzedniej aprobaty mojego męża.

– Biedny Jacques – odparł ze skruszonym uśmiechem. – Co za pogoda! Nigdy nie widziałem nikogo tak wściekłego. Myślałem, że będzie siłował się z burzą jak król Lear. Ta jego mina!

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać. Powinnam poczuć się urażona, zdegustowana. Nikt nie robił sobie żartów z mojego męża. Zadziałał zwykły element zaskoczenia. Poza tym Benjamin świetnie odtworzył wściekłą minę Jacques’a.

Próbując odzyskać równowagę, sięgnęłam po wodę i upiłam mały łyczek. Dawno już nie czułam się taka lekka.

– Powiedz mi, jak to jest, być żoną takiego człowieka jak Jacques Meunier?

Zakrztusiłam się wodą i rozkaszałam. Łzy nabiegły mi do oczu. Jeden z kelnerów podbiegł, oferując pomoc, ale odesłałam go machnięciem dłoni. Myślałam tylko o jednym: jak dużo Ben wiedział? Co mógł mu powiedzieć Nicolas?

– Przepraszam. – Uśmiechnął się przelotnie. – Zdaje się, że moje pytanie zabrzmiało trochę niewłaściwie. Czasami potrafię być bardzo niezgrabny, kiedy mówię po francusku. Chodziło mi o to: jak to jest być żoną takiego znamienitego biznesmana?

Nie odpowiedziałam. Obdarzyłam go spojrzeniem, które mówiło „nie boję się ciebie”. Problem w tym, że się bałam. To on wysyłał mi te liściki, teraz byłam już tego pewna. To on zabierał koperty z gotówką, które zostawiałam pod obluzowanym schodkiem.

– Miałem na myśli, że jeśli kiedykolwiek będziesz chciała udzielić wywiadu, byłbym zainteresowany rozmową z tobą. Mogłabyś opowiedzieć,

jak to jest, prowadzić tak udany biznes...

– To nie jest mój biznes.

– Och, jestem pewien, że to nieprawda. Na pewno musisz...

– Nie. – Nachylałam się lekko nad stołem dla podkreślenia moich słów i przy każdym słowie stukam paznokciem o blat stołu. – Nie mam nic wspólnego z biznesem. Comprenez-vous? Rozumiesz?

– OK. Cóż. – Spojrzał na zegarek. – W każdym razie moja oferta nadal jest ważna. Możemy zrobić artykuł o... powiedzmy bardziej o stylu życia. O tobie jako kwintesencji paryżanki. Coś w tym stylu. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. – Uśmiechnął się.

Spojrzałam na niego, nic nie mówiąc. Być może nie rozumiesz, z kim masz do czynienia. Są pewne rzeczy, które musiałam zrobić, żeby dotrzeć tam, gdzie się znalazłam; rzeczy i ludzie, których musiałam poświęcić. W porównaniu z tym wszystkim jesteś niczym.

– W każdym razie – podniósł się – będę już zmykał. Mam spotkanie z moim wydawcą. Do zobaczenia.

Kiedy upewniłam się już, że wyszedł, przywołałam kelnera.

– Rocznik 1998.

Jego oczy zrobiły się okrągłe. Wyglądał, jakby chciał zaoferować alternatywę dla tak ciężkiego czerwonego wina w tym upale. Potem jednak zobaczył moją minę. Kiwnął głową, odszedł pośpiesznie i wrócił po chwili z butelką.

Popijając trunek, wspominałam jedną z nocy na wczesnym etapie mojego małżeństwa. Opera Garnier, gdzie oglądaliśmy Madame Butterfly pod sufitami zdobionymi przez Chagalla, sączyliśmy schłodzonego szampana w barze podczas przerwy, a ja miałam nadzieję, że Jacques pokaże mi słynne reliefy słońca i księżyca, pomalowane czystym złotem na kopułowatych sufitach małych salek na każdym końcu. On jednak był bardziej zainteresowany pokazywaniem mi ludzi, swoich klientów: ministrów z pewnych wydziałów rządowych, biznesmenów, ważnych postaci z francuskich mediów. Niektórych nawet rozpoznawałam, chociaż oni mnie nie znali, w przeciwieństwie do Jacques'a. Odpowiadali na jego skiniecie głowy równie dyskretnym skinieniem.

Wiedziałam doskonale, za jakiego rodzaju człowieka wychodzę. Zdecydowałam się na to z pełną świadomością. Wiedziałam, co dzięki temu zyskam. Nie, nasze małżeństwo nie zawsze było idealne, ale czyje związki

są? Poza tym w końcu dał mi córkę i z tego powodu mogłam mu wybaczyć wszystko.

Zatrzymuję się na chwilę przed drzwiami apartamentu na trzecim piętrze, wpatrując się w przybitą do nich mosiężną trójkę. Pamiętam, jak stałam dokładnie w tym samym miejscu kilka tygodni temu. Resztę tamtego popołudnia spędziłam w restauracji, systematycznie opróżniając butelkę wina z 1998 roku, zapewne pod zde gustowanymi spojrzeniami kelnerów. Madame Meunier oszalała. Pijąc, rozmyślałam o Benjaminie Danielsie i jego impertynencji, o listach i potwornej władzy, jaką nade mną miały. Ogarniała mnie coraz większa wściekłość. Po raz pierwszy od długiego czasu czułam, że żyję – jakbym była zdolna do wszystkiego.

Do domu wróciłam o zmierzchu. Wspięłam się po schodach na trzecie piętro, stanęłam dokładnie w tym samym miejscu co teraz i zapukałam do drzwi.

Benjamin otworzył szybko, zanim miałam czas zmienić zdanie.

– Sophie. Co za miła niespodzianka.

Miał na sobie koszulkę i dżinsy. Chodził na bosaka. W głębi mieszkania rozlegały się dźwięki muzyki z gramofonu stojącego za nim. Płyta kręciła się leniwie na podstawce. W dłoni trzymał otwartą butelkę piwa. Przyszło mi do głowy, że być może ma gościa. Wcześniej nie brałam tego nawet pod uwagę.

– Wejdz, proszę.

Poszłam za nim do dużego pokoju, nagle czując się jak intruz, co oczywiście było absurdalne. To mój dom i to Ben był intruzem.

– Mogę zaoferować ci coś do picia? – spytał.

– Nie, dziękuję.

– Nalegam... mam otwarte wino. – Machnął butelką trzymaną w dłoni. – To nieprzyzwoite, żebym ja pił, a ty nie.

Jego uprzejmość i czar prawie wytrąciły mi oręż z ręki. Powinnam być na to przygotowana.

– Nie – powtórzyłam. – Nie chcę wina. To nie jest wizyta towarzyska.

Poza tym nadal czułam zawroty głowy po wypiciu całej butelki w restauracji.

Skrzywił się.

– Przepraszam. Jeżeli chodzi ci o spotkanie w restauracji... o moje pytania, wiem, że było to z mojej strony bezczelne. Zdaję sobie sprawę, że przekroczyłem granicę przyzwoitości.

– Nie chodzi o to. – Serce biło mi gwałtownie. Przywiódł mnie tutaj gniew, ale teraz czułam strach. Wypowiedzenie tego na głos sprawi, że wreszcie stanie się to realne. – To ty, prawda?

Zmarszczył czoło.

– Co, ja? – Najwyraźniej się tego nie spodziewał. Teraz to ja wytrąciłam go z równowagi. Ta myśl dodała mi pewności siebie, jakiej potrzebowałam, żeby kontynuować.

– Te listy.

– Listy? – Wyglądał na skonsternowanego.

– Wiesz dobrze, o czym mówię. Listy... żądania zapłaty. Przyszłam ci powiedzieć, że nie powinieneś mi grozić. Niewiele jest rzeczy, których bym nie zrobiła w swojej obronie. Ja... nie zawaham się przed niczym.

Nadal słyszę jego niepewny, przepraszający śmiech.

– Madame Meunier... Sophie... bardzo mi przykro, ale autentycznie nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jakie listy?

– Te, które zostawiałeś mi w mojej skrzynce na listy. Pod drzwiami.

Obserwowałam uważnie jego twarz, ale dostrzegałam wyłącznie zaskoczenie i niezrozumienie. Albo był doskonałym aktorem, co wcale nie byłoby takie niemożliwe, albo to, co powiedziałam, nie miało dla niego żadnego sensu. Czy to możliwe? Spojrzałam na niego, na jego skonsternowaną minę, i nagle zorientowałam się, że mu wierzę, wbrew sobie. Ale to nie miało sensu. Jeśli to nie on, w takim razie kto?

– Ja... – Pokój nagle jakby trochę się przechylił na boki. To połączenie dużej ilości wina i zaskakującego rozwoju sytuacji.

– Może zechcesz usiąść?

Skorzystałam z sugestii, bo nagle poczułam, że chyba nie jestem w stanie dłużej stać.

Ben nalał mi kieliszek wina, tym razem nie pytając o zgodę. Potrzebowałam tego. Przyjęłam je, starając się nie ścisnąć szyjki zbyt mocno, żeby nie pękła.

Usiadł obok mnie. Spojrzałam na tego mężczyznę, który był mi solą w oku od dnia swojego przyjazdu i który zajmował tak wiele miejsca w moich myślach. Mężczyznę, który sprawił, że poczułam się widzialna (z całym dyskomfortem, który jest częścią tego stanu), kiedy sądziłam, że

stałam się na dobre niewidzialna. Owszem, był to bezpieczny stan, chociaż pełen samotności. Zapomniałam jednak, jakie to ekscytujące, kiedy ktoś cię dostrzega.

Być może byłam w swego rodzaju transie, z powodu dużej ilości wina, które wypijałam przed wizytą tutaj; i z powodu stresu, wzrastającego we mnie od wielu tygodni, w ciągu których mój szantażysta zaczął mnie prześladować; i z powodu wieloletniej samotności, pełnej sekretów i milczenia.

Nachyliłam się i pocałowałam go, a potem niemal natychmiast się odsunęłam. Nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłam. Zasłoniłam usta dłonią, a potem dotknęłam rozpalonego policzka.

Ben uśmiechnął się do mnie. Nie widziałam tego rodzaju uśmiechu wcześniej. To było coś nowego – coś intymnego, tajemniczego. Coś przeznaczonego tylko dla mnie.

– Ja... muszę już iść. – Odstawiłam wino na stolik, przy okazji przewracając jego butelkę z piwem. – Och, mon Dieu. Bardzo przepraszam...

– Nie obchodzi mnie to piwo – odparł. A potem chwycił moją twarz w dłonie, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

Jego zapach, jego obcość, nieznaną dotyk jego ust na moich, utrata kontroli – wszystko to było zaskoczeniem, ale nie sam pocałunek. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że go pragnę.

– Od pierwszego dnia – powiedział, jakby myślał to samo. – Kiedy zobaczyłem cię na dziedzińcu, zapragnąłem dowiedzieć się o tobie więcej.

– To absurdalne – odparłam zgodnie z prawdą. Chociaż sposób, w jaki na mnie patrzył, sprawiał, że jego słowa wydały mi się mniej groteskowe.

– Nieprawda. Miałem nadzieję na coś takiego od tamtej nocy, na twoim przyjęciu. Kiedy zostaliśmy sami we dwoje, w gabinecie twojego męża...

Przypomniałam sobie wściekłość, jaką poczułam, widząc go tam, przyglądającego się fotografii. Wściekłość i strach. Ale strach i pożądanie często się przeplatają.

– To absurd – odparłam. – A co z Dominique?

– Dominique? – Wydawał się autentycznie skonfundowany.

– Widziałam was razem, na tamtym przyjęciu.

Roześmiał się.

– Ona potrafiłaby przelecieć samym wzrokiem nawet rzeźbę. Poza tym było to dość użyteczne. Dzięki temu mogłem odwrócić uwagę twojego

męża od faktu, że pożądam jego żony.

Wyciągnął rękę i znów mnie do siebie przysunął.

– To nie może się zdarzyć... – Chyba jednak usłyszał brak przekonania w moim głosie, bo tylko się uśmiechnął.

– Przykro mi bardzo, ale obawiam się, że to już się dzieje.

– Musimy być ostrożni – szepnęłam kilka minut później, rozpinając guziki mojej koszuli. Odśloniłam moją bieliznę, kupioną za duże pieniądze, lecz rzadko oglądaną przez kogokolwiek poza mną samą. Odśloniłam moje ciało, które tak dawno już nie zaznało rozkoszy, utrzymywane w doskonałości dla mężczyzny, który rzadko kiedy na nie patrzył.

Ben opadł na kolana przede mną, jakby chciał oddać mi cześć. Pociągnął w dół obcisłą tkaninę moich spodni, odnajdując ustami delikatną koronkę moich majtek, i przywarł do mnie.

Nick

Drugie piętro

Ostatniej nocy kiepsko spałem i to nie ze względu na łomotanie basu na zabawie w cave, rozchodzące się przez całą noc po klatce schodowej. Idę do łazienki i wysypuję na dłoń dwie niebieskie tabletki z buteleczki. To w zasadzie jedyna rzecz, dzięki której funkcjonuję. Wrzucam je z powrotem do opakowania.

Wracam do pokoju. Kiedy przechodzę obok iMaca, monitor ożywa. Czyżbym go potrącił? Jeżeli tak, nie zauważyłem. Widzę ją – fotografię Bena i mnie. Stoję przed nim zmieniony w kamień, przyciągany do zdjęcia w ten sam sposób, jak osobę ze skłonnością do samookaleczania przyciąga dotyk żyletki na nadgarstku.

Po tamtej kolacji na dachu wszystko się zmieniło. Nie podobało mi się to, że papa faworyzuje Bena, i to, jak Ben odwrócił ode mnie wzrok, opowiadając o naszej wycieczce po Europie. Bardzo nie podobał mi się również fakt, że na każdą moją sugestię, żebyśmy poszli się napić, wymawiał się brakiem czasu. Musiał pędzić na spotkanie z wydawcą albo napisać recenzję nowej restauracji. Unikał moich telefonów, esemesów i wzroku, kiedy spotykaliśmy się na schodach.

Nie tak to miało być. Nie to planowałem, proponując mu zamieszkanie na trzecim piętrze. To on się ze mną skontaktował. Jego e-mail otworzył wrota do przeszłości. Podjąłem ogromne ryzyko, zapraszając go tutaj. Uznałem, że zawarliśmy dżentelmeńską umowę.

Podchodzę do ściany naprzeciwko iMaca i przesuwam dłońmi po gładkiej powierzchni. Czuję drobną nierówność w gipsowej nawierzchni. Za ścianą jest druga, ukryta klatka schodowa. Antoine i ja bawiliśmy się w niej jako dzieci. Chowaliśmy się tam również przed papą, kiedy był w jednym ze swoich niebezpiecznych nastrojów. Wstyd przyznać, ale kilka razy podglądałem Bena przez dziurkę do obserwowania, zaglądałem w jego życie. Próbowałem domyślić się, co zamierza, co takiego pisze tak zapalczywie na laptopie i do kogo dzwoni z komórki. Próbowałem usłyszeć słowa, ale bez powodzenia.

Chociaż mnie lekceważył, wyglądało na to, że ma czas dla innych rezydentów tego miejsca. Pewnego popołudnia znalazłem ich w cave, kiedy przyszedłem zrobić pranie. Najpierw usłyszałem śmiech, a potem głos papy:

– Oczywiście kiedy odziedziczyłem ten biznes po ich matce, był w nieładzie. Musiałem zająć się tym, żeby zaczął przynosić zyski. W dzisiejszych czasach człowiek musi być kreatywny w świecie win, zwłaszcza kiedy posiadłość przestała produkować wino, a zapasy wkrótce zmieniają się w ocet. Trzeba znaleźć sposób na urozmaicenie oferty.

– Co się tu dzieje? – zawołałem. – Prywatna degustacja wina?

Wynurzyli się z piwniczki winnej jak dwóch uczniaków, którzy coś przeszkrobali. Papa trzymał w jednej ręce butelkę, a w drugiej dwa kieliszki. Zęby Bena, kiedy uśmiechnął się szeroko, były przybrudzone garbnikiem z wina, które wypił. W ręce trzymał jedną z niewielu zachowanych butelek magnum z 1996 roku. Najwyraźniej to prezent od mojego ojca.

– Nicolas – wycedził papa. – Przeszedłeś nam przerwać zabawę?

Nie: Może zechciałbyś się do nas przyłączyć, synu? Masz ochotę na kieliszek wina? Przez cały ten czas, kiedy mieszkałem pod dachem mojego ojca, nigdy nie zaproponował niczego podobnego do tej miłutkiej degustacji. Poczułem się, jakby ktoś posypał mi solą świeżą ranę. Pierwsza prawdziwa zdrada. Powiedziałem Benowi, jakim człowiekiem naprawdę jest mój ojciec. Czyżby zapomniał?

Ben uśmiecha się do mnie szeroko z fotografii na wygaszaczu ekranu. A ja stoję obok niego, równie szczęśliwy, jak idiota, którym byłem. Lipiec, Amsterdam. Słońce świeciło nam w oczy. Rozmowa o tym z Jess przywołała wspomnienia tamtego wieczoru, spędzonego z Benem w kafejce z marihuaną. Moja opowieść o urodzinach i o „prezencie” od papy. O tym, że było to moim katharsis i poczułem się oczyszczony, wolny.

Po wszystkim spacerowaliśmy z Benem po ciemnych ulicach Amsterdamu, rozmawiając. Nie byłem pewien, dokąd zmierzamy, i myślę, że on również nie miał pojęcia. W którymś momencie opuściliśmy część miasta popularną wśród turystów, a z nią tłumy ludzi. Te kanały były cichsze, słabiej oświetlone. Widzieliśmy eleganckie stare domy z długimi oknami, przez które widać było mieszkańców, rozmawiających nad lampką

wina, jedzących obiad, był też jakiś facet piszący coś przy biurku. Tutaj żyli normalni ludzie.

Słysząc było tylko plusk wody o betonowe brzegi kanałów. Woda czarna jak atrament i światła z okien, tańczące na jej powierzchni. I ten zapach, mchu i pleśni. Starodawny zapach. Żadnych mdlących kłębow dymu z marihuany, przez które trzeba się było przedzierać. Miałem już dosyć tego smrodu, wszechobecności ludzkich ciał i nieustannej paplaniny. Jeszcze bardziej mierziło mnie towarzystwo naszych dwóch kolegów: ich głosów, smrodu ich pach i spoconych nóg. Zbyt długo przebywaliśmy ze sobą tego lata. Słyszałem już każdy żart i historię, którą znali. Z Benem było jakoś inaczej, chociaż nie byłem w stanie zdefiniować dlaczego.

Ta cisza: chciałem ją pić jak zimną źródlaną wodę. Była magiczna... I to, że zwierzyłem się Benowi z moich problemów z papą – to tak, jak kiedy człowiek zje coś zepsutego i po wymiotowaniu czuje się całkiem pusty, wypróżniony, ale jednocześnie oczyszczony i niemal lepiej niż przedtem.

– Dzięki – powtórzyłem. – Za wysłuchanie mnie. Nie powiesz nikomu, prawda? Naszym kolegom?

– Nie, oczywiście, że nie. To będzie nasza tajemnica, stary, jeśli chcesz.

Szliśmy wzdłuż wyjątkowo ciemnego kanału; myślę, że kilka lamp ulicznych przestało działać. Panowała nieziemaska cisza.

Są takie chwile w życiu, które zdarzają się tak gładko i naturalnie, zupełnie jakby zostały z góry zaplanowane. To właśnie była jedna z nich. Nie pamiętam podjęcia świadomej decyzji, żeby się zbliżyć do Bena, ale nagle zacząłem go całować. To zdecydowanie ja wykonałem pierwszy ruch, wiem to na pewno, nawet jeśli miałem wrażenie, że moje ciało reaguje szybciej niż mój umysł.

Całowałem się z wieloma osobami – oczywiście z dziewczynami. Tylko z dziewczynami; podczas prywatek, pijany po oficjalnych imprezach albo balu studenckim. Robiłem różne rzeczy i nie było to nieprzyjemne. Nigdy jednak nie było to bardziej intymne i podniecające niż, powiedzmy, uścisk dłoni. Nie napełniało mnie wstrętem, ale zawsze, kiedy to robiłem, myślałem o logistyce – czy używam moich palców i języka we właściwy sposób. Czułem lekkie mdłości na myśl o tym, ile śliny wymieniam z tą drugą osobą. Miałem wrażenie, jakby był to sport, który trenowałem, być może chcąc podnieść poziom moich umiejętności. Nigdy nie czułem podniecenia, które przyspiesza puls.

Ale to wtedy było inne: naturalne jak oddychanie. Zdziwiłem się, jak jędrne wydawały mi się jego usta po miękkości wszystkich dziewcząt, które całowałem. Nie spodziewałem się takiej różnicy. Poza tym wydawało mi się to właściwe, dobre – jak coś, na co czekałem całe życie, coś, co miało sens.

Chwyliłem w palce łańcuszek, który nosił na szyi, ten sam, który widziałem tak wiele razy pojawiający się i znikający pod jego koszulką. Łańcuszek, na którym wisiała mała figurka świętego. Szarpnąłem go delikatnie, przyciągając Bena bliżej.

A potem zaczęliśmy wycofywać się w ciemność. Popchnąłem go w jakiś zaułek, opadając przed nim na kolana – i znów każdy mój ruch był płynny, jakby wszystko zostało wcześniej zaplanowane, jakby było nam przeznaczone. Rozpiąłem mu rozporek i wziąłem go do ust, czując ciepło i twardość, tajemny zapach jego skóry. Kolana piekły mnie od klęczenia na twardym bruku. I chociaż nigdy przedtem nie pozwoliłem sobie o tym myśleć, chyba jednak musiałem, gdzieś w podświadomości, w najgłębszych zakamarkach umysłu, ukrytych nawet przede mną samym – bo wiedziałem doskonale, co robię.

Po wszystkim Ben uśmiechnął się rozespanym, leniwym, upalonym uśmiechem.

Dla mnie jednak po fali euforii nastąpił natychmiastowy zjazd. Nigdy przedtem nie czułem się tak zdegradowany. Kolana mnie bolały, a dzinsy miałem mokre od czegoś, w czym uklęknąłem.

– Kurwa. Kurwa, nie wiem, co się tu stało. Cholera. Ja... jestem strasznie nawalony – powiedziałem. Oczywiście skłamałem. Owszem, byłem upalony, ale nigdy w życiu nie czułem większej przejrzystości myśli. Nigdy nie czułem się tak żywy, naelektryzowany, nakręcony, sam nie wiem, jak to opisać.

– Stary – odparł Ben z uśmiechem. – Nie ma się czym przejmować. Jesteśmy trochę pijani i bardzo upaleni. – Powiódł ręką dookoła i wzruszył ramionami. – Poza tym nikt przecież nas nie widział.

Nie mogłem uwierzyć, że podszedł do tego na takim luzie, ale może gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że Ben właśnie taki jest. Kiedyś usłyszałem, jak ktoś w Cambridge opisał go jako „wszystkożercę”. Zastanawiałem się wtedy, co to miało oznaczać.

– Nie mów nikomu – poprosiłem. Nagle poczułem osłabienie ze strachu. – Posłuchaj, ty nie rozumiesz. To... to musi zostać między nami. Jeśli w jakiś sposób dotarłoby to do... mój ojciec tego nie zrozumie. – Sama

myśl o tym, że papa mógłby się dowiedzieć, zadziałała jak cios w splot słoneczny. Uszło ze mnie całe powietrze. Widziałem oczami wyobraźni jego minę, słyszałem jego głos. Nadal pamiętałem, co powiedział, kiedy oznajmiłem, że nie chcę mojego prezentu urodzinowego, który czekał na mnie w tamtym pokoju: Co się z tobą dzieje, synu? Jesteś pedałem? Ta odraza w jego głosie.

On mnie zabije, pomyślałem. Gdyby podejrzewał, pewnie wolałby nie mieć takiego syna. W najlepszym razie wydziedziczy mnie, a chociaż wiedziałem, co myślę o korzystaniu z jego pieniędzy, nie byłem jeszcze gotowy z nich zrezygnować.

Po Amsterdamie uznałem, że nigdy więcej nie chcę widzieć Benjamina Danielsa. Nasze drogi się rozeszły. Ja miałem szereg sympatii. Wyjechałem do Stanów na prawie dziesięć lat, nie oglądając się za siebie. Owszem, było tam również kilku mężczyzn: ośmieliła mnie odległość tysięcy kilometrów lądu i wody, mimo że zawsze słyszałem w głowie głos mojego ojca. Nigdy nie było to jednak nic poważnego.

Nie znaczy to, że nigdy nie wracałem w myślach do tamtej nocy. W pewnym sensie, starając się o niej zapomnieć, myślałem o niej bez przerwy. A potem, wszystkie te lata później, dostałem od niego e-mail. To musiało coś oznaczać – to, że skontaktował się ze mną tak po prostu, znienacka. Nie mogło chodzić o zwykłe spotkanie towarzyskie po latach.

Problem w tym, że od tamtej kolacji na tarasie, podczas której zrobił wrażenie na papie, prawie w ogóle nie widywałem Bena ani z nim nie rozmawiałem, chyba że w przelocie. Potrafił znaleźć czas nawet dla konsjerżki, do diabła ciężkiego, ale nie dla mnie, swojego starego przyjaciela. Siedział tu sobie, płacąc praktycznie zerowy czynsz. Wziął to, czego potrzebował, a potem odciął się ode mnie. Poczuję się wykorzystany, a kiedy pomyślałem, jak dziwnie się zachowywał przy każdym naszym spotkaniu, poczułem również lekką obawę, chociaż nie wiedziałem dlaczego. Przypomniałem sobie słowa Antoine'a o tym, że papa mógłby nas wydziedziczyć dla kaprysu. W tamtej chwili wydały mi się szaleństwem. Teraz jednak... chyba wolałem, żeby Bena tutaj nie było. Chciałem odwołać moje zaproszenie, ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Ben za dużo wiedział. Tak wiele informacji mógł użyć przeciwko mnie. Musiałem znaleźć inny sposób, żeby zmusić go do zniknięcia stąd.

Ekran monitora nagle ciemnieje. Nie ma to znaczenia – nadal widzę to zdjęcie. Prześladowało mnie od dziesięciolecia.

Myślę o tym, jak zeszłej nocy o mały włos nie pocałowałem jego siostry. To przez nagłe, szokujące cudowne podobieństwo: to, jak przechylała głowę, marszczyła czoło i się śmiała. Poza tym atmosfera chwili była podobna: ta ciemność, cisza i bezruch, nas dwoje na mgnienie oka odizolowanych od reszty świata.

Tamta noc w Amsterdamie była najgorszą, najbardziej wstydliwą rzeczą, jaką zrobiłem w całym swoim życiu.

Najlepszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła.

Właśnie w ten sposób to postrzegałem, do czasu, kiedy pojawił się tutaj i został na dłużej.

Jess

Budzę się w ciemności, czuję ciężar na piersi, obrzydliwy smak w ustach, mój język jest suchy i ciężki, jakby nie należał do mnie. Przez kilka chwil wszystko, co zdarzyło się przedtem, nie istnieje. Mam wrażenie, jakbym nachylała się nad wielką czarną dziurą.

Po omacku próbuję rozpoznać otoczenie. Chyba leżę w łóżku, ale w czym?

Cholera, co się ze mną stało?

Stopniowo pamięć zaczyna wracać. Zabawa. Ten obrzydliwy drink. Wampir Victor.

A potem widzę coś znajomego – małe zielone cyferki świecące w ciemności. Budzik Bena. Jakimś sposobem znalazłam się z powrotem w jego mieszkaniu. Mrugam i próbuję odczytać godzinę. Siedemnasta trzydzieści osiem. Ale to przecież niemożliwe. Popołudnie? To by oznaczało, że spałam przez... Chryste Panie... przez cały dzień.

Próbuję usiąść. Dostrzegam dwoje wielkich, lśniących oczu z pionowymi źrenicami kilka centymetrów od mojego nosa. Kot siedzi mi na piersi, stąd ten ciężar. Zaczyna ugniatać mnie łapami, wbijając boleśnie pazurki w moją szyję. Odpycham go i zwierzak zeskakuje na podłogę. Spoglądam na siebie. Jestem zupełnie ubrana, dzięki Bogu. Teraz pamiętam, chociaż nadal urywkami: to Victor mnie tu przyprowadził po tym, jak urwał mi się film w mieszkaniu Mimi. Nie był drapieżcą usiłującym mnie wykorzystać i zgwałcić, jak zaczęłam go podejrzewać. Chyba przestraszył się mojego stanu i uciekł tak szybko, jak mógł. No cóż, przynajmniej próbował pomóc.

Urywek wspomnień. Znalazłam coś zeszłej nocy. Coś, co wydało mi się ważne. Na początku wszystko, co się wydarzyło, powraca do mnie w zamglonych chaotycznych fragmentach, zupełnie jakbym miała przed sobą układankę puzzli z brakującymi fragmentami. Wiem, że miałam bardzo dziwne sny. Przypominam sobie Bena, krzyczącego coś do mnie przez zamknięte okno. Nie widziałam jego twarzy wyraźnie – szkło wydawało się pofałdowane, ale słyszałam jego słowa. A potem nagle

wreszcie zobaczyłam jego twarz bardzo wyraźnie i to było dużo, dużo gorsze, bo Ben nie miał oczu. Ktoś mu je wydrapał.

Teraz pamiętam obrazy ukryte pod łóżkiem Mimi. Chryste przenajświętszy. To właśnie je znalazłam zeszłej nocy. Te łzy na płótnach, jakby wydrapała je w jakimś napadzie szaleństwa. Cięcia i dziury tam, gdzie powinny być oczy – wszystko to owinięte w koszulkę Bena.

Zwlekam się z łóżka i zataczając się, wchodzę do dużego pokoju. W głowie mi łupie. Może jestem mała, ale nie jestem łatwą panienką. Jeden drink nie wystarczy, żeby doprowadzić mnie do takiego stanu. Może to nawet wcale nie był Victor, ale jestem pewna jednego: ktoś zrobił to celowo.

Nagle podskakuję, słysząc wysoki wibrujący dźwięk. Moja komórka. Na ekranie pojawia się imię Theo.

Odbieram.

– Halo?

– Wiem, co to za karta. – Żadnych uprzejmości, żadnych wstępów.

– Słucham? O czym ty mówisz?

– O tej karcie, którą mi dałaś. Metalowej z wytłoczonymi ogniami sztucznymi. Możesz się ze mną spotkać za piętnaście ósma, czyli... za jakąś godzinę? Będę czekał na stacji metra Palais Royal. Stamtąd możemy pójść piechotą. Och, postaraj się ubrać na tyle elegancko, na ile możesz.

– Ja nie...

Ale on już się rozłączył.

Mimi

Czwarte piętro

Wrzuciłam jej prochy do drinka. To było naprawdę proste. Ludzie częstowali się ketaminą, więc zdobyłam trochę, wrzuciłam proszek do jej kieliszka, poczekałam, aż się rozpuści, i poprosiłam jednego z kolegów Camille, żeby podał go tej brytyjskiej panienci z rudymi włosami. Wydawał się zadowolony ze swojej misji: cóż, zapewne można powiedzieć, że jest całkiem ładna.

Musiałam to zrobić. Nie mogłam pozwolić, żeby się tu kręciła. Nie oznacza to, że nie czuję się źle... całe życie byłam bardzo ostrożna, jeśli chodzi o narkotyki, z wyjątkiem tej jednej nocy w parku. Podanie ich komuś, w dodatku bez jego wiedzy czy przyzwolenia, było bardzo nie w porządku. To nie jej wina, że popełniła błąd, przyjeżdżając tutaj. To właśnie jest najgorsze. Pewnie nawet nie jest złą osobą.

Ale ja niestety jestem.

Camille wychodzi z pokoju w jedwabnej podomce, z makijażem rozmazanym wokół oczu. To pierwszy raz, kiedy wyłoniła się tego dnia.

– Hej. Wczoraj w nocy było suuuuper. Ludziom się podobało, nie sądzisz? – Przygląda mi się uważniej. – Putain, Mimi, wyglądasz okropnie. Co się stało z twoimi kolanami? – Nadal bolą mnie od upadku na asfalt niemal pod kołami półciężarówki. Konsjerżka uparła się, żeby przemyć obtarcia płynem odkażającym.

Camille uśmiecha się, błyskając zębami.

– Ktoś tutaj miał dobrą noc, non?

Wzruszam ramionami.

– Oui. Może być. – Tak naprawdę była to bodaj najgorsza noc w moim życiu. – Ale... nie spałam zbyt dobrze. – Nie spałam w ogóle.

Camille przygląda mi się uważnie.

– Oooooch. Czy to ten rodzaj bezsenności?

– O co ci chodzi? – Niech już przestanie się tak na mnie gapić.

– Wiesz, o co mi chodzi! Spotkanie z twoim tajemniczym mężczyzną?

Nagle moje serce przyspiesza gwałtownie.

– Och. Nie, nic w tym stylu.

– Zaraz. – Szczerzy zęby w uśmiechu. – Nigdy właściwie nie powiedziałaś mi, czy zadziałało.

– O czym ty mówisz? – Za bardzo na mnie naciska, za dużo jej tutaj. Zapach Miss Dior i zastarzałego dymu papierosowego nagle wydają się zbyt intensywne. Muszę się od niej uwolnić.

– To, co wybrałyśmy, Mimi! – Unosi brwi. – Chyba nie zapomniałaś, co? Przecież to było tylko dwa tygodnie temu?!

Zaczynam mieć wrażenie, jakby przytrafiło się to komuś innemu. Widzę siebie jako bohaterkę filmu, pukającą do drzwi sypialni Camille, która siedzi na łóżku, malując paznokcie u stóp. Cały pokój śmierdzi lakierem do paznokci i trawką.

– Chcę kupić bieliznę – mówię.

Zawsze kupowała mi ją maman. Każdego sezonu chodziłyśmy razem do Eres, gdzie kupowała mi trzy proste zestawy: czarny, biały i beżowy. Ale ja chciałam czegoś innego. Czegoś, co sama sobie wybrałam. Nie miałam tylko pojęcia, gdzie iść, ale wiedziałam, że Camille może mnie tam zabrać.

Brwi Camille podjeżdżają do góry.

– Mimi! Co się z tobą stało? Nowy styl, a teraz... lingerie? Kim on jest? – Uśmiechnęła się sprytnie. – Albo ona? Merde, jesteś taka skryta, że nie wiem nawet, czy nie wolisz dziewczyn. – Wykrzywia usta ironicznie. – A może tak jak w moim przypadku, wszystko zależy od nastroju?

Czy naprawdę nie wiedziała, kto to? Mnie wydawało się to oczywiste. Nie tylko mi się podobał, ale też między nami było coś niezwykłego. Miałam wrażenie, że wszyscy, cały świat to widzi.

– Chodź. – Zerwała się na nogi, odrzucając piankowe separatory palców stóp. – Idziemy. Teraz.

Zaciągnęła mnie do Passage du Desir w Châtelet. To sex shop, sieciówka na ulicy pełnej sklepów z obuwem i odzieżą – cóż, w końcu to Francja, gdzie pieprzenie się jest swego rodzaju dumą narodową. Widzę wychodzące z niego parki z torbami zarzuconymi na ramię, uśmiechające się do siebie tajemniczo; kobiety wstępujące tam w porze lunchu po nowy wibrator. Nigdy przedtem nie byłam w takim sklepie. Przechodząc obok, za każdym razem rumieniłam się na widok okien wystawowych i odwracałam wzrok.

Miałam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią, zastanawiając się, co ta zawstydzona dziewczina robi wśród tych wszystkich lateksowych stroików i lubrykantów. Spuściłam głowę, próbując ukryć się pod moją nową grzywką. Przed oczami pojawiały mi się okropne scenki papy przechodzącego nieopodal, w jakiś sposób dostrzegającego mnie tutaj i wywlekającego mnie stąd za włosy; wyzywającego mnie od *une petite salope* na ulicy pełnej ludzi.

Camille wygrzebała gdzieś pudełko z napisem „zestaw miłosny”. Był w nich komplet bielizny i podwiązki, za dziesięć euro. Potrząsnęłam głową: nie były wystarczająco szykowne. Camille chwyciła wielkie jasnorożowe dildo z obscenicznie wystającymi żyłami i pomachała mi nim przed nosem.

– Może powinnaś przy okazji kupić sobie coś takiego?

– Odłóż to – syknęłam, gotowa umrzeć ze wstydu. Tak, we francuskim też mamy takie powiedzenie: *mourir de honte*.

– Masturbacja jest zdrowa, *chérie* – powiedziała Camille znacznie głośniejszym głosem, niż musiała. Doskonale się bawiła, widziałam to. – Wiesz, co nie jest zdrowe? Brak masturbacji. Założę się, że w tej szkole, do której wysłał cię papa, wkładali ci w głowę, że to grzech.

Opowiedziałam Camille o szkole, ale nie o tym, dlaczego musiałam z niej odejść.

– *Va te faire foutre*[8]. – Dałam jej kuksańca.

– Powiedziałałabym, że dokładnie tego potrzebujesz.

Wyciągnęłam ją z sex shopu i poszłyśmy do bardziej eleganckiego miejsca, gdzie asystentki sklepowe ze schludnymi koczkami i idealnie pomalowanymi ustami spoglądały na mnie z ukosa. Moja męska koszula, duże buty, samodzielnie obcięta grzywka; ochroniarz cały czas nas pilnował. Normalnie nie zgodziłabym się na takie traktowanie. Wyszłabym z takiego sklepu. Musiałam to jednak zrobić, dla niego.

– Ja też chcę wybrać coś dla siebie. – Camille przyłożyła do ciała jedwabną sukienkę z uprzężą.

– Masz już więcej rzeczy niż w całym tym sklepie.

– *Oui*, ale wiesz, chcę mieć coś bardziej szykownego.

– Dla kogo? – spytałam.

– Dla kogoś nowego. – Uśmiechnęła się tajemniczo. To było dziwne. Camille nigdy nie miała tajemnic. Kiedy na horyzoncie pojawiał się nowy kochanek, zazwyczaj w ciągu trzydziestu minut po pierwszym bzykanku dowiadywał się o tym cały świat.

– Powiedz mi – poprosiłam, ale ona nie chciała. Nie podobała mi się ta nowa tajemnicza Camille, ale byłam zbyt podekscytowana zakupami, żeby się nad tym zastanawiać. Nie mogłam się doczekać.

Obok półek z seksownymi zabawkami od projektantów mody stały wieszaki pełne koronkowej i jedwabnej bielizny. Zaczęłyśmy je przeglądać, próbować tkaniny palcami. Bielizna musiała być idealna. Niektóre rodzaje były zbyt prowokujące: majtki z dziurką w kroczu, pasy, uprząże, skóra. Niektóre rzeczy Camille od razu odrzuciła jako „coś, co kupiłaby twoja maman”; kwiaty i jedwab w pastelowych kolorach różu, pistacji i lawendy.

– Mam. Znalazłam coś dla ciebie. – Wyciągnęła wieszak w moją stronę. Był to najdroższy zestaw ze wszystkich, którym się przyglądałyśmy. Czarna koronka i jedwab tak cienki, że ledwie było go czuć między palcami. Szykowny, ale jednocześnie seksowny. Dla dorosłej kobiety.

Przymierzyłam go w przebieralni z aksamitnymi zasłonami. Czułam się teraz mniej zażenowana. Nigdy nie patrzyłam na siebie w ten sposób. Myślałam, że poczuje się głupio i niezręcznie, że będę martwiła się moimi małymi cyckami, trochę odstającym brzuchem i krzywymi nogami.

Tak się nie stało. Zamiast tego wyobraziłam sobie, w jaki sposób się przed nim obnażę. To spojrzenie, ta mina. Fantazjowałam o tym, jak ściąga ze mnie tę bieliznę.

Je suis ta petite pute.

Po przebraniu się zaniiosłam komplet sprzedawczyni. Widziałam, jak próbowała ukryć zaskoczenie, kiedy wyjęłam kartę kredytową. Właśnie tak. Pierdol się, suko. Mogłabym wykupić cały sklep, gdybym zechciała.

W drodze powrotnej do domu myślałam tylko o zawartości torby, którą niosłam na ramieniu. Prawie nic nie ważyła, ale nagle stała się całym światem.

Przez kilka kolejnych nocy obserwowałam Bena z okna. Jego sesje pisania robiły się coraz dłuższe i dłuższe. Wspomagał się kawą, którą parzył na palniku i pił, wyglądając przez okno na dziedziniec. Wiedziałam, że pisze coś ważnego. Walił w klawiaturę z prędkością karabinu maszynowego, nachylony nad komputerem. Może któregoś dnia pozwoli mi przeczytać swoje dzieło. Chciałam być pierwszą osobą, z którą się nim podzieli. Obserwowałam, jak pochyla się i głaska po głowie swojego kota, i wyobrażałam sobie, że to ja nim jestem. Myślałam o tym, że pewnego dnia to ja mogłabym leżeć na jego sofie, z głową na jego kolanach, a on głaskałby moje włosy, jakby były kocim futerkiem. Słuchalibyśmy płyt

i rozmawiali o wszystkich wspólnych planach. Widziałam nas dwoje razem w jego mieszkaniu tak wyraźnie, jakbym była tego świadkiem – jakby to był przebłysk jasnowidzenia.

[8] Fr. pieprz się.

Nick

Drugie piętro

Słyszę walenie w drzwi do mojego mieszkania. Podskakuję, zaskoczony.

– Kto to?

– Laissez-moi entrer. Pozwól mi wejść. – Kolejna seria łomotania. Drzwi drżą i chwieją się lekko w zawiasach.

Otwieram je i Antoine wchodzi do środka, potracając mnie przy tym, otoczony chmurą alkoholu i nieświeżego potu. Odsuwam się o krok.

Wszedł tutaj w podobnym nastroju zaledwie dwa tygodnie temu.

– Dominique mnie zdradza. Wiem to. Mała dziwka. Przychodzi do domu, pachnąc inaczej niż zwykle. Wczoraj zadzwoniłem do niej, kiedy byłem na klatce schodowej, i usłyszałem dzwonek telefonu dochodzący z innego miejsca w tym budynku. Kiedy zadzwoniłem po raz drugi, wyłączyła telefon. Powiedziała, że pojechała do Saint-Germain na pedicure. To on, jestem tego pewien; ten angielski connard, którego zaprosiłeś do naszego domu...

Kiedy minionej nocy Jess wspomniała o Antoine, zobaczyłem go oczami innych ludzi. Wstydzilem się go. Nie myliła się – jest utracjuszem, ale fakt, że ta opinia wyszła z jej ust, wzbudzał moją niechęć, bo mimo wszystko to mój brat. W swoim towarzystwie możemy poniżyć członków naszej rodziny, ile się nam podoba, ale w momencie, gdy obraża ich jakiś outsider, krew nam zaczyna wrzeć. To prawda, nie lubię go, ale go kocham. Poza tym widzę w nim wszystkie moje upadki. Dla Antoine'a to procenty, dla mnie leki i wykańczające ćwiczenia. Może trochę lepiej kontroluję swoje uzależnienia, może wydają się mniej zdeorganizowany, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale czy to naprawdę coś, czym powinienem się chwalić?

Antoine szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Pewnie żałujesz, że w ogóle tutaj przyjechałeś, co? – Podchodzi bliżej.
– Powiedz mi, skoro zadawanie się z tymi wszystkimi młodymi wilkami było takie wspaniałe, dlaczego wróciłeś? Ach, oui... Bo nie jesteś lepszy niż reszta naszej rodziny. Próbujesz, udajesz, że jesteś i że nie potrzebujesz ani

papy, ani jego pieniędzy, ale ostatecznie wracasz do niego na kolanach, jak my wszyscy, próbując wyssać jeszcze trochę dobra z ojcowskiego cycka...

– Zamknij się, OK?! – krzyczę, zaciskając dłonie w pięści.

Oddycham głęboko: liczę do czterech, wdychając, i do ośmiu, wydychając, tak jak nauczyła mnie moja aplikacja „Mindfulness”. Nie jestem dumny z tego, że wpadłem w gniew. Mam dużo więcej do zaoferowania. Nie jestem takim facetem. Ale nikt nie potrafi tak zaleźć mi za skórę jak Antoine. Nikt inny nie wie dokładnie, co i w jaki sposób powiedzieć dla wywołania maksymalnej reakcji. Oczywiście poza moim ojcem.

Najgorsze jednak było to, że mój brat miał rację. Wróciłem do pater familias niczym ptak wędrowny, powracający w sezonie do tego samego zatrutego źródła.

– Wróciłeś do domu, synu – powiedział papa, kiedy usiedliśmy na tarasie na dachu pierwszej nocy po moim przyjeździe. – Zawsze wiedziałem, że wrócisz. Któregoś weekendu musimy wybrać się łódką na wycieczkę do Île de Ré.

Może się zmienił. Złagodniał. Nie dręczył mnie z powodu pieniędzy, które straciłem w złej inwestycji. Jeszcze nie wtedy. Zaoferował mi nawet cygaro, które wypaliłem, chociaż nienawidzę tego smaku. Może się za mną stęsknił?

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że wcale nie o to chodziło. Był to kolejny dowód jego władzy. Nie umiałem zorganizować sobie życia bez niego.

– Jeśli chcesz więcej moich pieniędzy, możesz wrócić pod mój dach, żebym mógł mieć na ciebie oko – ciągnął. – Koniec z rozbijaniem się po świecie. Chcę, żeby moja inwestycja się zwróciła. Chcę wiedzieć, że nie przepuszczasz tego na głupoty, tu comprends? Rozumiesz?

Antoine przechadza się w tę i we w tę.

– I co zamierzasz z nią zrobić? – pyta z pijacką wojowniczością.

– Ciszej. Może coś zrozumieć. – W tym budynku ściany mają uszy.

– Co ona tutaj jeszcze robi, do kurwy nędzy? – Kopie framugę. – Co, jeśli pójdzie na policję?

– Załatwiłem to już.

– Co masz przez to na myśli?

– Dobrze jest mieć przyjaciół na wysokich stanowiskach.

Rozumie.

– Ona musi zniknąć – zaczyna mamrotać pod nosem. – Moglibyśmy jej nie wpuścić. To proste. Wystarczy zmienić kombinację kodu przy bramie, wtedy nie da rady się tutaj dostać.

– Nie, to nie...

– Albo zmusić ją do wyjazdu. Taką małą jak ona – to nie będzie zbyt trudne.

– Nie. Jeżeli już, w ten sposób zmusimy ją tylko do ponownego zgłoszenia się na policję, tym razem samej...

Antoine wyduje z siebie jęk frustracji. Jest prawdziwą kulą u nogi. Rodzina, co? Bo krew zawsze jest gęstsza od wody – albo, jak to mówimy po francusku, la voix du sang est la plus forte: głos krwi najsilniejszy. Przywołuje mnie tutaj, do tego miejsca.

– Lepiej, żeby tu została – mówię ostro. – Chyba musisz to widzieć. Trzeba mieć na nią oko. Póki co, po prostu będziemy musieli zachować spokój. Papa będzie wiedział, co zrobić.

– Odzywał się do ciebie? – pyta Antoine. – Papa? – Jego głos ulega zmianie. Pojawia się w nim nuta jakiejś potrzeby. Kiedy wypowiedział słowo papa, przez chwilę brzmiał jak mały chłopiec, którym kiedyś był; mały chłopiec, który siedział przed sypialnią swojej matki, którą niestrudzenie badali najlepsi lekarze Paryża, niezdolni zdiagnozować choroby, która ją zżerała.

Kiwam głową.

– Skontaktował się ze mną dzisiaj rano.

Mam nadzieję, że pilnujesz naszych spraw na miejscu, synu. Kontroluj Antoine'a. Wrócę jak najszybciej będę mógł.

Antoine krzywi się. Jest prawą ręką papy w rodzinnym biznesie, ale teraz, póki co, to ja jestem synem, któremu ojciec ufa. To musi boleć. Ale tak było od samego początku: papa wiecznie nasyłający jednego na drugiego w walce o ochłapy ojcowskiego uczucia. Tylko w wyjątkowych okazjach jednoczymy się przeciwko wspólnemu wrogowi.

CZTERDZIEŚCI OSIEM GODZIN WCZEŚNIEJ

Obserwuje przez okiennice, jak wynoszą go z budynku. Zawsze wszystko obserwuje w tym miejscu – czasami ze swojego domku w ogrodzie, czasem z zaułków budynku, skąd może szpiegować wszystkich niezauważona.

Ciało leżące na zaimprovizowanym całunie jest widocznie ciężkie. Pewnie już zaczyna sztywnieć. Nieporęczny balast.

Światła w mieszkaniu na trzecim piętrze do tej pory rozjaśniały noc. Teraz są zgaszone niczym czarne zasłony, maskujące wszystko, co dzieje się w środku. Jednak tego, co się stało, nie będzie tak łatwo wyprzeć z pamięci.

Światło na dziedzińcu zapala się. Kobieta obserwuje, jak zabierają się do pracy, ukryci przed światem zewnętrznym dzięki wysokim murom. Robią to, co musi zostać zrobione.

Myślała, że na jego widok coś poczuje, ale myliła się. Uśmiecha się lekko na myśl, że jego krew stanie się od tej chwili częścią tego miejsca, jego mroczną tajemnicą. Cóż, on przecież lubił tajemnice. Jego posoka zostanie tu teraz na zawsze – jego kłamstwa pogrzebane wraz z całą resztą.

Dzisiaj w nocy zdarzyło się coś okropnego. Nie zamierza mówić o tym, co widziała, nigdy. Nikt w tym budynku nie jest całkowicie niewinny, włączając w to również i ją.

W ciemności rozbłyska nowy punkt światła, na czwartym piętrze. Przy szybko dostrzega bladą twarz, ciemne włosy, dłoń przytkniętą do okna. Może jednak ktoś tutaj jest niewinny, mimo wszystko.

Jess

Przegrzebuje szafę Bena, na wypadek gdyby miał tu jakieś ukryte ubrania byłej dziewczyny, coś, co mogłabym pożyczyć. Zanim Theo się rozłączył, planowałam powiedzieć mu, że nie mam żadnych eleganckich strojów na dzisiejszy wieczór. Nie mam również czasu ani pieniędzy, żeby coś sobie kupić. Theo nie dał mi w zasadzie czasu.

Przerywam na chwilę szperanie w koszulach Bena i przykładam jedną z nich do twarzy. Próbuję przywołać go z resztek jego zapachu, uwierzyć, że za chwilę stanie tu przede mną. Ale zapach jego wody kolońskiej, jego skóry zaczyna już zanikać. W jakiś sposób jest to symbolem naszej całej relacji: od zawsze gonię ducha.

Odrywam się od jego koszuli. Wybieram jeden z moich swetrów, który nie ma żadnych dziur. Czeszę włosy – nie myłam ich od przyjazdu tutaj, ale przynajmniej teraz nie wyglądają jak wielki kołtun. Zakładam kurtkę i parę tanich kolczyków w kształcie kółek. Spoglądam w lustro. Nie wyglądam specjalnie elegancko, ale Theo będzie to musiał jakoś przeżyć.

Otwieram drzwi do mieszkania. Na klatce schodowej panują egipskie ciemności. Szukam po omacku włącznika światła. Czuję zapach dymu papierosowego, silniejszy niż zwykle. Zupełnie jakby ktoś tutaj był, w pobliżu. Coś sprawia, że spoglądam gwałtownie w lewo. Nie wiem, co to – jakiś dźwięk, a może zafalowanie powietrza.

A potem nagle zauważam coś nie na miejscu: mały rozjarzony czerwony punkcik ponad moją głową, zawieszony w ciemności. Dopiero po chwili kojarzę, co to takiego. Patrzę na koniec papierosa, trzymany przez kogoś, kto kryje się w mroku nade mną.

– Kto tu jest? – pytam, a raczej próbuję zapytać, bo z moich ust wydobywa się zduszony pomruk. Szukam włącznika światła w pobliżu drzwi i wreszcie moje palce natrafiają na plastikowy kwadracik. Lampy się zapalają, ale na klatce schodowej nie ma nikogo.

Serce wali mi jak młotem, kiedy przemierzam dziedziniec. Docieram do bramy i słyszę nagle szybkie szuranie stóp za plecami. Odwracam się.

Z cienia znów wyłania się konsjerżka. Próbuje cofnąć się o krok i mój obcas uderza w metal. Zdaję sobie sprawę, że stoję przy samej bramie, nie mam gdzie się wycofać. Kobieta sięga mi tylko do brody (a ja sama nie jestem zbyt wysoka), ale w jej bliskości jest coś niebezpiecznego, groźnego.

– Tak? – mówię. – O co chodzi?

– Mam ci coś do powiedzenia – syczy. Spogląda w górę, na skrzydła budynku. Przypomina mi małe zwierzątko, wężące w powietrzu drapieżnika. Podążam za jej wzrokiem. Większość okien jest ciemna, szyby odbijają blask lamp po drugiej stronie ulicy. Światła palą się tylko w jednym z okien w penthousie. Nie widzę nikogo, kto mógłby nas obserwować (jestem pewna, że właśnie po to kobieta spojrzała w górę), ale pewnie nawet gdyby, nie byłabym w stanie się zorientować.

Nagle konsjerżka wyciąga do mnie rękę. Ruch jest tak gwałtowny, tak szybki, że przez chwilę mam wrażenie, że chce mnie uderzyć. Nie mam czasu, żeby się odsunąć. Ona jednak chwyta mnie za nadgarstek rozczapierzoną jak pazury dłonią. Jej uścisk jest zaskakująco silny. Piecze mnie skóra.

– Co pani robi? – pytam.

– Chodź – mówi to z takim autorytetem, że nie śmiem się jej sprzeciwić.

– Chodź ze mną. Natychmiast.

Spóźnię się na spotkanie z Theo, ale to może zaczekać. Jej sprawa wydaje się ważna. Podążam za nią przez dziedziniec do jej małej chatki. Kobieta porusza się szybko, lekko zgarbiona, jak ktoś, kto próbuje uchronić się przed burzą. Czuję się jak dziecko w bajce, prowadzone przez las do domku Baby-Jagi. Konsjerżka spogląda na apartamentowiec jeszcze kilkakrotnie, jakby sprawdzała, czy nikt nas nie obserwuje. Najwyraźniej jednak uznała, że sprawa jest warta ryzyka.

Otwiera drzwi do swojego domku i ponagla mnie, żebym weszła do środka. Wewnątrz jest jeszcze ciasniej, niż mogłoby się wydawać od zewnątrz. Nie sądziłam, że to możliwe. Wszystko jest wciśnięte w niewielką przestrzeń: łóżko przymocowane do ściany za pomocą systemu dźwigni, w tej chwili złożone, dzięki czemu możemy stać na podłodze; umywalka; miniaturowa starodawna kuchenka. Po mojej prawej stronie widzę zasłonę, za którą najprawdopodobniej znajduje się łazienka lub coś w tym stylu. Domyślam się tego, bo nigdzie indziej nie ma na nią miejsca.

Panuje tu niemal przerażający porządek; wszystkie powierzchnie są wyszorowane na wysoki połysk. Pachnie tutaj wybielaczem i detergentami,

co wcale nie wydaje się nie na miejscu. Chyba nie spodziewałam się mniej po tej kobiecie. Mimo to cała ta czystość, porządek, mały wazonik z kwiatami w jakiś sposób sprawiają, że to miejsce wydaje się jeszcze bardziej ponure. Może lekki bałagan w jakiś sposób zatuszowałby ciasnotę tego domu, odwracając uwagę od wilgotnych plam na suficie, których nie usunie żadne sprzątanie. Swego czasu mieszkałam w naprawdę koszmarnej dziurze, ale to miejsce jest pod tym względem wyjątkowe. Ciekawe, jak to jest mieszkać w takiej ciasnej budzie, otoczonej luksusem i przestrzenią tego budynku mieszkalnego? Jak to jest, na każdym kroku, każdego dnia żyć z przypomnieniem, jak niewiele się posiada?

Nie dziwota, że mnie nie cierpi. Pojawiłam się tutaj, wlałam do środka i zajęłam apartament na trzecim piętrze. Gdyby tylko ta kobieta wiedziała, jak bardzo nie na miejscu się tam czuję i o ile bardziej identyfikuję się z nią niż z nimi. Wiem, że nie mogę pokazać jej mojego współczucia – to byłby najgorszy afront. Odnoszę wrażenie, że konsjerżka jest bardzo dumną osobą.

Za jej głową, nad małym stolikiem i krzesłem widzę kilka wyblakłych fotografii przytwierdzonych do ściany. Mała dziewczynka siedzi na kolanach kobiety; niebo za nimi jest jasnoniebieskie, w tle widać drzewa oliwne. Przed kobietą stoi szklanka z posrebrzonym uszkiem, wypełniona czymś, co wygląda jak herbata. Na kolejnym zdjęciu widać młodą kobietę, szczupłą, ciemnowłosą i ciemnooką. Ma tutaj nie więcej niż osiemnaście czy dziewiętnaście lat. To dość stara fotografia, widać to po nasyceniu kolorów i nieostrości. Zarazem jest zbyt nowa, aby przedstawiać konsjerżkę. To pewnie ktoś bliski, ukochany. Z jakiegoś powodu nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ta starsza kobieta miała rodzinę albo jakąś przeszłość poza tym miejscem. W ogóle trudno mi sobie wyobrazić ją w młodości, niezwiązanej z tą przestrzenią – zupełnie jakby była tu od zawsze; nieodłączna część tego budynku.

– Jest piękna – mówię. – Dziewczyna na fotografii. Kim ona jest?

Zapada cisza tak długa, że zaczynam myśleć, że mnie nie zrozumiała. Wreszcie odpowiada tym swoim schrypniętym głosem:

– Moja córka.

– Rany. – Przyglądam się jej pod kątem właśnie zdobytej informacji, szukając w niej piękna jej córki. Trudno jest dostrzec cokolwiek pod zmarszczkami, spuchniętymi kostkami i zakrzywionymi od artretyzmu palcami. Chyba dostrzegam jednak delikatny cień jej urody.

Chrząka.

– Vous devez arrêter – rozkazuje nagle, wyrywając mnie z zamyślenia.

Musisz przestać.

– O co dokładnie pani chodzi? – pytam. – Przestać co? – Nachylam się do przodu. Może będzie w stanie coś mi powiedzieć.

– Zadawać te wszystkie pytania – odpowiada. – To swoje... szukanie. Narobisz sobie tylko kłopotów. Nie możesz teraz pomóc swojemu bratu. Musisz zrozumieć, że...

– Co pani ma na myśli? – pytam, czując, jak przeszywa mnie nagły chłód. – Co to znaczy, że nie mogę teraz pomóc swojemu bratu?

Kobieta tylko potrząsa głową.

– Dzieją się tutaj rzeczy, których nie rozumiesz. Ale ja je widziałam na własne oczy. Widzę wszystko.

– Co? – pytam. – Co pani widziała?

Nie odpowiada, potrząsa tylko głową.

– Próbuję ci tylko pomóc, dziecko. Od samego początku. Nie rozumiesz tego? Jeżeli wiesz, co dla ciebie dobre, przestań. Opuść to miejsce i nigdy tu nie wracaj.

Sophie

Penthouse

Słyszę pukanie do drzwi. Otwieram je i widzę Mimi stojącą za progiem.

– Maman – wypowiada to słowo jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

– Co się dzieje, ma petite? – pytam łagodnie. Być może dla innych może się to wydać chłodne, ale miłość, którą czuję do mojej córki, trudno jest porównać do czegokolwiek innego.

– Maman, boję się.

– Ciiii. – Podchodzę i obejmuję ją, przyciągam bliżej, czując delikatne łopatki pod palcami. Nie przytulałam jej w ten sposób od wieków, od kiedy jeszcze mi na to pozwalała, jak w dzieciństwie. I ten wyraz maman nadal jest dla mnie małym cudem, jak wówczas, gdy wypowiedziała swoje pierwsze słowo.

Zawsze czułam, że jest bardziej moja niż Jacques'a. Pewnie ma to sens: w pewnym sensie była jego najwspanialszym prezentem dla mnie, dużo cenniejszym niż jakakolwiek diamentowa brosza czy szmaragdowa bransoleta. Potrafiłam kochać coś – kogoś – bezwarunkowo.

Pewnego wieczoru, mniej więcej tydzień po tamtej nocy, której zapukałam do drzwi Benjamina Danielsa, Jacques pojawił się na krótko w domu, na kolację. Podałam mu quiche Lorraine, który kupiłam w piekarni, podgrzany w piecu.

Wszystko było tak, jak powinno być, zgodnie ze zwyczajowym wzorcem – poza tym jednym faktem, że kilka nocy wcześniej przespałam się z mężczyzną mieszkającym na trzecim piętrze. Nadal to przeżywałam. Nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam. To była chwila, a raczej wieczór, szaleństwa.

Położyłam porcję quiche na talerzu Jacques'a i nalałam mu kieliszek wina.

– Dziś wieczorem na schodach spotkałem naszego nowego sąsiada – powiedział, jedząc, podczas gdy ja dłużyłam w swojej sałatce. – Podziękował nam za kolację. Bardzo uprzejmy. Na tyle, żeby nie wspominać o problemach z pogodą. Prosił o przekazanie pozdrowień.

Przed odpowiedzią upiłam nieco wina.

– Doprawdy?

Roześmiał się i potrząsnął głową rozbawiony.

– Twoja mina... zupełnie jakby to wino było skwaśniałe. Naprawdę go nie lubisz, co?

Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Ocalił mnie dźwięk dzwonka telefonu Jacques'a. Poszedł do gabinetu, żeby odebrać. Po powrocie jego twarz pociemniała z gniewu.

– Muszę iść. Antoine popełnił głupią pomyłkę. Jeden z naszych klientów nie jest zadowolony.

Wskazałam na quiche.

– Włożę go do piecyka, będzie ciepły po twoim powrocie.

– Nie. Zjem na mieście. – Zarzucił kurtkę. Och, zapomniałem ci powiedzieć. Widziałem twoją córkę na ulicy, poprzedniej nocy. Ubrała się jak dziwka.

– Moją córkę? – spytałam. Oczywiście teraz, kiedy zrobiła coś, co go rozgniewało, była „moją” córką.

– Na co się zdały te wszystkie pieniądze, wysłanie jej do tej katolickiej szkoły, żeby wyrosła na dobrze wychowaną młodą damę? Zhańbiła się, a teraz chodzi po ulicach ubrana jak mała dziwka. Cóż, to pewnie nic dziwnego.

– Co masz na myśli?

Ale nie musiałam pytać. Wiedziała doskonale, co chciał przez to powiedzieć.

Potem wyszedł, a ja zostałam sama w mieszkaniu, jak zwykle.

Po raz kolejny w ciągu tygodnia wypełniała mnie wściekłość; rozgrzana do białości, potężna. Opróżniłam do końca butelkę wina, a potem wstałam i zesłam w dół, dwa piętra niżej.

Zapukałam do jego drzwi.

Otworzył i wciągnął mnie do środka.

Tym razem nie było gry wstępnej, zabawy w uprzejmą konwersację. Żadne z nas nie powiedziało chyba ani słowa. Nie byliśmy pełni szacunku, delikatni ani ostrożni z tą drugą osobą. Zerwał ze mnie jedwabną koszulę.

Całując się z nim, chwyciłam łapczywie powietrze, jakbym tonęła. Ugryzłam go, podrapałam mu plecy paznokciami. Porzuciłam wszelką kontrolę. Zachowywałam się jak opętana.

Po wszystkim, kiedy leżeliśmy w skotłowanej pościeli na jego łóżku, wreszcie odzyskałam mowę.

– To się nie może już więcej zdarzyć. Rozumiesz to, prawda?

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

Przez kilka kolejnych tygodni staliśmy się nieuważni. Testowaliśmy granice, żywiliśmy się lekkim strachem: uderzenie adrenaliny i strachu jest bardzo podobne do podniecenia.

Jedno zdawało się wpływać na to drugie jak narkotyk. Tak długo zachowywałam się bardzo poprawnie.

Tajemne przestrzenie w naszym budynku stały się naszym miejscem schadzek. Brałam go do ust na schodach prowadzących do dawnych kwater służących, wsuwając ręce pod jego spodnie, chciwie i umiejętnie. On brał mnie w małej pralni w cave, opartą o pracującą pralkę.

Za każdym razem próbowałam to zakończyć. I za każdym razem wiedziałam, że oboje słyszeliśmy kłamstwo kryjące się za moimi słowami.

– Maman – powtarza Mimi, wyrywając mnie gwałtownie z zamyślenia. Czuję ogarniające mnie poczucie winy. – Maman, nie wiem, co zrobić.

Mój niezwykły cud. Moja Merveille. Moja Mimi. Przyszła do mnie, kiedy już porzuciłam wszelką nadzieję spłodzenia dziecka. Bo widzicie, nie zawsze należała do mnie.

Była po prostu idealna. Kilkutygodniowe dziecko. Nie wiedziałam, skąd dokładnie się wzięło. Miałam swoje podejrzenia, ale zachowałam je dla siebie. Nauczyłam się już, że czasem trzeba spojrzeć w inną stronę. Jeśli wiesz, że nie spodoba ci się odpowiedź, nie zadawaj pytań. Była tylko jedna rzecz, której musiałam się dowiedzieć. Uzyskałam swoją odpowiedź: matka nie żyła.

– Nielegalna imigrantka, więc nie ma żadnych papierów. Nie musisz się o nic martwić. Znam kogoś w mairie, kto załatwi nam akt urodzenia. – Dla potężnego, wpływowego domu Meunier to zwykła formalność. – Przydaje się mieć przyjaciół na wysokich stanowiskach.

A potem wreszcie należała do mnie – i to było najważniejsze. Mogłam jej zapewnić lepsze życie.

– Ciiii – mówię. – Jestem tutaj. Wszystko będzie dobrze. Przepraszam, że wczoraj wieczorem byłam taka surowa, z tym winem. Rozumiesz jednak, prawda? Nie chciałam sceny. Zostaw to wszystko mnie, ma chérie.

To uczucie we mnie było tak mocne, gwałtowne. Mimo że nie urodziłam jej, gdy tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że zrobię wszystko, żeby ją chronić, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Inne matki być może mówią takie rzeczy od niechcienia. Ja jednak nigdy nie mówię ani nie robię rzeczy mimochodem. Kiedy mówię coś takiego, mówię poważnie.

Jess

Wysiadam na stacji metra Palais Royale. Prawie nie rozpoznaję wysokiego, elegancko odzianego mężczyzny, czekającego na szczycie schodów, dopóki nie rusza w moim kierunku.

– Spóźniłeś się piętnaście minut – mówi.

– Nie dałeś mi czasu – odpowiadam. – Poza tym musiałam...

– Chodź, jeżeli się pospieszymy, zdążymy na czas.

Przyglądam mu się, usiłując zrozumieć, dlaczego wygląda zupełnie inaczej niż przy naszym poprzednim spotkaniu. Lekki popołudniowy zarost odsłania ostro zarysowaną szczękę. Ciemne włosy nadal potrzebują przycięcia, ale przynajmniej zaczesał je do tyłu. Na pewno też porządnie się umył. Na białą koszulę włożoną w dzinsy założył ciemną marynarkę. Czuję nawet lekki zapach wody kolońskiej. Dalej wygląda jak pirat – ale pirat po kąpieli, goleniu i w pożyczonych cywilnych ciuchach.

– To nie przejdzie. – Kiwa na mnie głową. Najwyraźniej on nie ma równie miłych myśli co do mojego ubioru.

– To wszystko, co miałam. Próbowałam ci powiedzieć...

– Nic nie szkodzi. Domyślałem się, że tak może być. Przyniosłem ci coś. – Wręcza mi torbę z Monoprix. Zaglądam do niej i widzę czarną sukienkę i szpilki.

– Kupiłeś to?

– To rzeczy mojej byłej. Nosicie ten sam rozmiar, jak zgaduję.

– Fuj... OK. – Przypominam sobie, że wszystko to może mi w jakiś sposób pomóc dowiedzieć się, co stało się z Benem. Z braku laku dobre i przekłete ciuchy byłyich sympatii. – Dlaczego muszę założyć coś takiego?

Wzrusza ramionami.

– Takie są zasady. Nie ściemniam – dodaje, widząc moją minę. – W tym miejscu obowiązuje odpowiedni strój. Kobietom nie wolno nosić spodni, a buty na obcasach są konieczne.

– To bardzo miłe. I seksistowskie. – Przypominam sobie, jak Zboczeniec nalegał, żebym rozpięła górne cztery guziki koszuli „dla klientów”: Chcesz

wyglądać jak przedszkolanka, słońce? Albo pracownica pieprzonego McDonalda?

Theo wzrusza ramionami.

– No cóż, zgadzam się z tobą, ale takie niestety są pewne części Paryża. Superkonserwatywne, pełne hipokryzji i seksistowskie. W każdym razie mnie za to nie wiń. W końcu nie zabieram cię tam na randkę. – Kaszle. – Chodź, nie mamy całego wieczora. I tak już jesteśmy spóźnieni.

– Na co?

– Zobaczysz, kiedy dotrzemy na miejsce. Powiedzmy tylko, że tego miejsca nie znajdziesz w przewodniku Lonely Planet.

– W jaki sposób ma to pomóc w odnalezieniu Bena?

– Wyjaśnię ci to, kiedy już tam dojdziemy. Wtedy będzie to miało większy sens.

Boże, naprawdę jest wkurzający. Nie jestem do końca przekonana, czy mogę mu zaufać, chociaż nie potrafię sprecyzować dlaczego. Może po prostu nie rozumiem, jaki on ma w tym interes i dlaczego jest tak skory do pomocy.

Ruszamy szybko, tak że czasem muszę podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku. Podczas tamtego spotkania w kawiarni nie widziałam go wstającego od stołu. Domyśliłam się, że jest wysoki, ale teraz widzę, że przewyższa mnie o głowę. Na każdy jego krok ja muszę stawiać dwa. Po kilku minutach tej pieszej wędrówki tracę dech.

Po lewej widzę dużą szklaną podświetloną piramidę. Wygląda, jakby właśnie wylądowała tutaj prosto z kosmosu.

– Co to takiego?

Spogląda na mnie kąśliwie, jakbym powiedziała coś głupiego.

– To piramida. Przed Luvrem. No wiesz... tym słynnym muzeum?

Nie lubię, kiedy ktoś robi ze mnie idiotkę.

– Och, tam, gdzie jest Mona Lisa, tak? Cóż, byłam jakby zbyt zajęta szukaniem mojego zaginionego brata, żeby wybrać się na zwiedzanie.

Przepychamy się przez tłumy turystów, rozmawiających w każdym możliwym języku pod słońcem. Idąc, opowiadam mu o tym, co odkryłam: że wszyscy w moim budynku mieszkalnym są rodziną. Jeden zjednoczony front, działają razem, w dodatku przeciwko mnie. Wracałam myślą do chwili, kiedy weszłam do penthouse'u Sophie Meunier i natknęłam się na nich, siedzących razem jak na dziwacznym portrecie rodzinnym. Opowiedziałam Theo o tym, co usłyszałam, podsłuchując pod drzwiami:

Elle est dangereuse. I o Nicku, o tym, że nie okazał się sprzymierzeńcem, za którego go uważałam. To akurat wciąż mnie boli.

– Tuż przed moim wyjściem na spotkanie z tobą dostałam ostrzeżenie od konsjerżki. Powiedziała mi, żebym „przestała szukać”.

– Czy mogę powiedzieć ci coś, czego nauczyłem się w czasie mojej długiej i niespecjalnie wybitnej kariery? – pyta Theo.

– Co mianowicie?

– Kiedy ktoś mówi ci, żebyś przestała się czymś interesować, zazwyczaj oznacza to, że jesteś na właściwym tropie.

Przebieram się szybko w łazience baru z meksykańskim jedzeniem w podziemiach metra, podczas gdy Theo zamawia małe piwo, żeby obsługa nas nie wyrzuciła. Rozpuszczam włosy i przyglądam się swojemu odbiciu w pokrytym rudymi plamkami lustrze. Nie wyglądam jak ja, tylko jak ktoś udający mnie. Sukienka opina mi ciało, ale jest dużo bardziej elegancka, niż przypuszczałam. Na metce napisane jest Isabel Marant, co zapewne jest dużo lepsze od mojego zwyczajowego Primarku. Buty – Michel Viven – są wyższe niż cokolwiek, co do tej pory miałam na nogach, ale zaskakująco wygodne. Może nawet będę w stanie normalnie się w nich poruszać. Zgaduję, że mam odgrywać rolę byłej dziewczyny Theo, ale nie wiem, co sobie o tym myśleć.

Z kabiny obok wynurza się dziewczyna z długimi lśniąco-ciemnymi włosami. Jedwabna sukienka pod obszernym swetrem zsuwa się jej z jednego ramienia. Oczy ma mocno podkreślone czarną kredką. Zaczyna malować usta szminką. Właśnie tego potrzebuję: ostatniego szlif.

– Hej. – Nachyliłam się do dziewczyny z najbardziej przymilnym uśmiechem, na jaki mnie stać. – Czy mogę pożyczyć twoją szminkę?

Nieznajoma ściąga brwi, lekko zde gustowana, ale wręcza mi ją.

– Si tu veux.

Nakładam trochę na palec i rozsmarowuję na ustach – jest w kolorze ciemnej wampirycznej czerwieni. Oddaję szminkę dziewczynie, ale ta unosi rękę.

– Non, merci. Zatrzymaj ją sobie. Ja mam drugą. – Odrzuca lśniąco-ciemne włosy na plecy.

– Och, dzięki. – Nakładam na szminkę wieczko, które zamyka się z satysfakcjonującym magnetycznym kliknięciem. Dostrzegam dwie

zazębiające się litery C wytłoczone na samym wierzchu.

Mama też miała taką, chociaż zdecydowanie nie stać jej było na kupowanie kosztownych zastawów do makijażu. Ale to była cała mama: wydawała wszystko na szminkę i zostawała bez obiadu. Pamiętam, jak siedziałam na krześle, machając nogami, które nie sięgały jeszcze podłogi, a mama przyciskała tłustawy sztyft do moich warg. Odwróciła moją twarz do lustra. Zobacz, kochanie. Wyglądasz prześlicznie.

Spoglądam na swoje odbicie i wydymam usta, tak jak kazała mi mama wiele lat – milion, całe życie – temu. Zrobione. Kostium zapięty na ostatni guzik.

Wchodzę na górę.

– Jestem gotowa – mówię Theo, który pochłania resztki piwa z idiotycznie małej szklaneczki. Czuję jego uważny wzrok. Otwiera usta i przez chwilę mam wrażenie, że może powie mi coś miłego. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak się w tej chwili zachować wobec komplementu, tym niemniej miło by było go usłyszeć. A potem Theo pokazuje palcem na moje usta.

– Rozmazałaś szminkę – mówi. – Ale poza tym ujdzie w tłoku.

Och, pierdol się. Ocieram brzeg ust. Nienawidzę siebie za to, że w ogóle obchodzi mnie jego zdanie.

Wychodzimy z baru, skręcamy w ulicę pełną elegancko ubranych klientów. Mogłabym przysiąc, że powietrze tutaj pachnie drogimi skórzanymi wyrobami. Mijamy skrzące się okna wystawowe sklepów dla bogaczy: Chanel, Céline i (ha!) Isabel Marant. Theo prowadzi mnie w boczną uliczkę, z dala od tłumów. Przy krawężnikach stoją zaparkowane imponujące samochody. W przeciwieństwie do alei pełnej sklepów nie ma tu nikogo w zasięgu wzroku. Jest również dużo ciemniej, w świetle nielicznych lamp. Panuje tutaj cisza.

Theo zatrzymuje się przed jakimiś drzwiami.

– Jesteśmy na miejscu. – Spogląda na zegarek. – Zdecydowanie trochę się spóźniliśmy. Mam nadzieję, że nas wpuszczą.

Spoglądam na drzwi. Nie ma na nich numeru, ale za to jest plakietka z symbolem, który rozpoznaję: eksplodujący fajerwerk. Gdzie my jesteśmy?

Theo sięga nade mną – znów czuję delikatny zapach cytrusowej wody kolońskiej – i naciska dzwonek, którego nie zauważyłam. Drzwi otwierają się z kliknięciem i staje w nich mężczyzna w czarnym garniturze i pod

muszką. Przyglądam się, jak Theo wyciąga kartę z kieszeni – tę samą, którą znalazłam w portfelu Bena.

Odźwierny zerka na nią i kiwa głową.

– Entrez, s'il vous plaît. Wieczór właśnie się zaczyna.

Próbuję zajrzeć do środka nad jego ramieniem, ciekawa, co nas czeka. Na końcu korytarza widzę schody prowadzące w dół, słabo oświetlone prawdziwymi świeczkami.

Theo kładzie dłoń na dolnej części moich pleców i lekko popychając, steruje mną do przodu.

– Chodź, nie mamy całej nocy – mówi.

– Arrêtez. – Odźwierny blokuje nam przejście ręką. Przygląda mi się od stóp do głów. – Votre mobile, s'il vous plaît. Żadnych telefonów... ani aparatów fotograficznych.

– Ale dlaczego? – Oglądam się na Theo. Znów przychodzi mi do głowy, że nie wiem o tym człowieku absolutnie nic, poza tym, co jest napisane na jego wizytówce. Może być kimkolwiek. Mógł przyprowadzić mnie gdziekolwiek.

Theo kiwa niedostrzegalnie głową i macha ręką. Nie twórz problemów. Rób, co ci powiedział.

– OK. – Niechętnie wręczam odźwiernemu moją komórkę.

– Vos masques. – Mężczyzna wyciąga w naszym kierunku dwa kawałki materiału. Biorę jeden z nich; to czarna maska z jedwabiu.

– Co...

– Po prostu ją załóż – mruczy mi Theo do ucha. – Pomogę ci, kochanie – dodaje głośniej. Usiłuję zachowywać się naturalnie, kiedy wygładza mi włosy i zawiązuje mi maskę z tyłu głowy.

Odźwierny zaprasza nas do środka.

Zaczynam schodzić w dół, Theo tuż za mną.

Jess

Znajdujemy się w podziemnym pokoju. Widzę ciemnoczerwone ściany, nastrojowe światło i małą, skąpaną w półmroku grupkę ludzi siedzących przed sceną zasłoniętą aksamitnymi zasłonami koloru czerwonego wina. Zasłonięte maskami twarze odwracają się w naszą stronę, kiedy pokonujemy ostatnie kilka schodków. Zdecydowanie jesteśmy ostatnimi przybyłymi na przyjęcie.

– Co to za miejsce? – szepczę do Theo.

– Ciiiiii.

Mężczyzna w czarnym garniturze podchodzi do nas stojących przy schodach i zaprasza nas do wejścia głębiej. Mijamy ściany udekorowane stylizowanymi złotymi tańczącymi figurami, przechodzimy między małymi kabinkami, w których przy stołach siedzą zamaskowane figury. Kolejne twarze zwracają się w naszym kierunku. Czuję się nieprzyjemnie obnażona. Na szczęście stolik, który przypadł nam w udziale, znajduje się w samym kącie – zdecydowanie mamy stamtąd najgorszy widok sceny.

Wślizgujemy się na siedzenia. Nie ma tu zbyt dużo miejsca, zwłaszcza z długimi nogami Theo. Musi je podciągnąć do góry. Jego kolana opierają się o twarde drewno stołu. Wyraźnie jest mu bardzo niewygodnie i w innych okolicznościach pewnie bym się z niego zaśmiała. Niewielka wolna przestrzeń na siedzeniu sprawia, że muszę usiąść przy nim, dotykając go jednym udem.

Rozglądam się. Trudno powiedzieć, czy to miejsce jest rzeczywiście stare, czy też to jedynie dobra imitacja. Ludzie nas otaczający są wszyscy nadziani. Sądząc po ich ubraniach, jesteśmy w teatrze – tylko atmosfera jest zupełnie nieodpowiednia. Odchylam się na siedzeniu, próbując zrobić to mimochodem, jakbym doskonale pasowała do wszystkich tych ręcznie szytych garniturów, uszu i szyj ozdobionych klejnotami, fryzur ułożonych przez najlepszych fryzjerów. Bije od nich dziwna, głodna energia, unosząc się w pokoju – intensywna nuta podekscytowania i oczekiwania.

Kelner podchodzi, aby odebrać nasze zamówienie drinków. Otwieram oprawne w skórę menu. Żadnych cen. Zerkam na Theo.

– Kieliszek szampana dla mojej żony – mówi szybko i spogląda na mnie z uśmiechem fałszywej adoracji. Jest tak przekonujący, że aż przechodzi mnie dreszcz. – W końcu świętujemy, kochanie. – Naprawdę mam nadzieję, że to on będzie płacił. Spogląda na menu. – I kieliszek tego czerwonego dla mnie.

Kelner wraca po minucie, niosąc dwie butelki owinięte w białe serwetki. Nalewa szampana do kieliszka i mi podaje. Upijam mały łyk. Trunek jest bardzo zimny, drobniutkie bąbelki szczypią mnie w język. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek piłam prawdziwego szampana. Mama zwykła mówić, że go uwielbia, ale nie jestem pewna, czy też kiedykolwiek go próbowała. Znałyśmy tylko słodkie tanie podróbki.

Kiedy kelner nalewa wino dla Theo, serwetka ześlizguje się lekko i odsłania etykietę.

– To jest to samo wino, które Meunierowie mają w swojej piwnicy – szepczę do Theo po odejściu kelnera.

Spogląda na mnie.

– Powtórz to nazwisko? – Nagle wydaje się podekscytowany.

– Meunierowie. Rodzina, o której ci opowiadałam.

– Wczoraj złożyłem prośbę o przejrzenie matryce cadastrale tego miejsca – mówi cicho Theo. – To odpowiednik księgi wieczystej. Właścicielem jest firma Meunier Wines SARL.

Prostuję się na siedzeniu, nagle rozbudzona. Mam wrażenie, jakby moja skórę bombardowały miliony szpilek.

– To oni. To rodzina, w której domu mieszkał Ben. – Próbuję myśleć. – Ale dlaczego był zainteresowany tym miejscem? Czyżby pisał o nim recenzję albo coś w tym stylu?

– Na pewno nie pisał recenzji dla mnie. Poza tym nie sądzę, aby tak ekskluzywne miejsce ubiegało się o opinie w prasie.

Światła przygasają, ale przed ich kompletnym zgaśnięciem dostrzegam w tłumie figurę, która wydaje mi się dziwnie znajoma, mimo maski. Próbuję powrócić wzrokiem w to samo miejsce, ale światła już gasną, rozmowy ucichają i pomieszczenie pogrąża się w ciemności.

Słyszę ciche szelesty ubrań, od czasu do czasu pociągnięcie nosem lub głośniejszy oddech. Ktoś kaszle i brzmi to ogłuszająco.

Nagle zasłony zaczynają się rozchyłać.

Na scenie, na tle czarnego tła stoi postać, z twarzą skrytą w cieniu i podświetloną bladoniebieską skórą. Całkowicie naga. Nie, to tylko gra

światła. Ma dwa kawałki materiału skrywające jej intymne części ciała. Zaczyna tańczyć. Muzyka jest głęboka, pulsująca, jakaś odmiana jazzu... nie ma w tym melodii, ale dziwny rytm. Kobieta jest z nim tak doskonale zsynchronizowana, jakby muzyka wydobywała się z niej – jakby tworzyła ją swoimi ruchami, a nie za nią podążała. Taniec jest dziwny, intensywny, niemal złowieszczy. Mam ochotę odwrócić wzrok, ale jednocześnie nie mogę oderwać od niej oczu. Bardzo mnie to wybija z równowagi.

Pojawiają się kolejne dziewczęta, ubrane (albo raczej rozebrane) w podobny sposób. Muzyka staje się coraz głośniejsza, wibruje, aż robi się tak wszechobecna, że czuję jej pulsowanie w uszach, jak bicie własnego serca. Mam wrażenie, że jestem pod wodą razem z błękitnym roztańczonym światłem i wijącymi się na scenie ciałami – jakby granice i zarysy wszystkiego dookoła zaczęły falować i zlewać się ze sobą. Wracam myślą do ostatniej nocy. Może dodali coś do szampana? Albo to po prostu efekt oświetlenia w połączeniu z muzyką i mrokiem? Spoglądam na Theo, który porusza się lekko i upija łyk wina, nie spuszczać wzroku ze sceny. Czy jest podniecony tym, co się tam dzieje? I czy ja jestem? Nagle zdaję sobie sprawę, jak blisko siebie siedzimy i jak mocno moje udo przywiera do jego nogi.

Kolejny akt to duet kobiety: jedna jest ubrana w obcisły czarny kombinezon z muszką, druga w skąpą sukienkę na ramiączkach. Stopniowo zdejmują z siebie nawzajem ubrania, aż wreszcie widać, że ich ciała są niemal identyczne. Czuję wzmożoną uwagę publiczności. Wszyscy nachylają się do przodu, spijają ten obraz.

Odwracam się do Theo.

– Co to za miejsce? – szepczę.

– Dość ekskluzywny klub – odpowiada półgłosem. – Podobno działa pod nazwą La Petite Mort. Nie wejdiesz tutaj bez jednej z tych kart jak ta, którą znalazłaś w portfelu Bena.

Światła znów przygasają i widownia pogrąża się w ciszy. Kolejna niemal naga dziewczyna – tym razem nie w masce, lecz w pierzastym nakryciu głowy – spuszcza się z sufitu na zawieszonym na linie srebrnym kole. Jej akt cały jest z nim związany: fika koziołki, obraca się w powietrzu, robi przewroty w tył, udaje, że spada, a w ostatniej chwili „ratuje się” dzięki szybkiemu ruchowi stopy. Goście wzdychają zaskoczeni.

Theo nachyla się bliżej.

– Spójrz za siebie, ale dyskretnie – szepcze. Jego oddech łaskocze mnie w ucho. Zaczynam się obracać. – Nie! Chryste, bądź bardziej subtelna.

Boże, co za protekcyjny dupek. Robię jednak to, co mówi. Rzucam za siebie kilka dyskretnych spojrzeń. Zauważam szereg kabinek ukrytych w ciemnościach, na samym końcu sali. Ludzie w nich siedzący są ukryci przed wzrokiem zwykłych klientów dzięki aksamitnym zasłonom. Bez przerwy obsługują ich kelnerzy, niosący butelki wina i półmiski z kanapeczkami. Co jakiś czas ktoś wychodzi i wraca. Dostrzegam, że zawsze jest to mężczyzna. Wszyscy są w podobnym wieku, eleganccy, pod muchą, zamaskowani i rozsiewają wokół siebie aurę bogactwa i doniosłości.

Theo nachyla się, jakby znów zamierzał mi wyszeptać do ucha kolejny słodki komplement.

– Widziałaś?

– To, że wszyscy są mężczyznami?

– Tak. Również to, że od czasu do czasu jeden z nich przechodzi przez tamte drzwi.

Podążam za jego wzrokiem.

– Lepiej już nie patrzmy – mruczy. – Zanim zaczniemy zwracać na siebie uwagę.

Spoglądam znów na scenę. Dziewczyna właśnie zeszła z koła. Uśmiecha się, spoglądając na widzów. Kiedy jej wzrok pada na mnie, zatrzymuje się. Nie wyobraziłam sobie tego: zastyga. Wpatruje się we mnie z przerażeniem. Czuję dziwny dreszczyk emocji. Ma ostro przyciętą brązową grzywkę, jest wysoka. Widzę nawet pieprzyk pod jej lewym okiem, wyraźny w strumieniu światła reflektorów. Znam ją.

Sophie

Penthouse

Wchodzą do mieszkania: Nicolas, Antoine, Mimi. Siadają dokładnie na tych samych miejscach, co zeszłej nocy, kiedy przerwała nam ta dziewczyna. Nick wystukuje stopą nerwowy rytm na dywaniku Ghom. Przyglądam się uważniej i jestem pewna, że widzę malutki przypalony punkcik na dywanie tuż pod jego dużym palcem. Jeden z kilku wypalonych w bezcennym jedwabiu, chociaż można je dostrzec, tylko kiedy człowiek wie, czego szuka.

Nagle nawiedzają mnie wspomnienia. Zaproszenie go tutaj był moim największym wykroczeniem. Skradliśmy butelkę najlepszego wina z kolekcji w piwniczce Jacques'a. Kochaliśmy się tu, na dywanie, z Paryżem mieniącym się za wielkimi oknami. Po wszystkim leżeliśmy wtuleni w siebie, rozgrzani kaszmirową narzutą, którą naciągnęłam na nasze nagie ciała. Gdyby Jacques wrócił wtedy niespodziewanie do domu... Ale czy w głębi duszy nie chciałam, żeby tak się stało? Spójrz na mnie. Zobacz, jaką kobietę zostawiłeś tutaj samą przez wszystkie te lata. Pożądaną. Chcianą.

Leżeliśmy tak, a ja gładziłam jego włosy, rozsmakowując się w dotyku gęstej aksamitnej miękkości pod palcami. Ben zapalił papierosa i dzieliliśmy się nim jak nastoletni kochankowie. Gorący żar spadał na jedwabny dywanik. Nie obchodziło mnie to. Liczyło się tylko to, że z Benem mieszkanie wydało się nagle ciepłe, pełne życia, dźwięków i pasji.

– Moja mama często głaskała mnie po włosach.

Szybko zabrałam rękę.

– Nie o to mi chodziło – powiedział szybko. – Chciałem tylko powiedzieć, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo za tym tęskniłem. – Kiedy odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, zobaczyłam w nim coś kruchego, bezbronno, coś, co ukrywało się pod jego urokiem osobistym. Wydało mi się, że widzę w jego oczach odbicie mojej własnej samotności, ale chwilę potem Ben uśmiechnął się i wszystkie inne emocje zniknęły.

Minutę później usiadł, rozglądając się po pustym mieszkaniu.

– Jacques przebywa poza domem przez wiele wieczorów, prawda?
Skinęłam głową. Czyżby planował kolejną schadzkę?

– Jest bardzo zajęty.

Jego wzrok prześlizgnął się po obrazach, wyposażeniu, bogactwie wewnątrz.

– Pewnie oznacza to, że biznes kwitnie?

Zastygłam. Powiedział to bardzo lekko. Zbyt lekko? Ocknęłam się z rozmarzenia, przypominałam sobie, jak wielkim szaleństwem jest to, co robimy i jak wiele mam do stracenia.

– Powinieneś już iść – powiedziałam, nagle rozgniewana na niego... na siebie. – Nie mogę tego więcej robić. – Tym razem naprawdę w to wierzyłam. – Mam zbyt wiele do stracenia.

Zamykam oczy, otwieram je ponownie i koncentruję się na twarzy mojej córki. Nie patrzy mi w oczy. Mimo to dzięki niej wróciłam do rzeczywistości. Do tego, co jest ważne. Upijam trochę wina, spycham wspomnienia w kąt.

– A zatem zaczynajmy – mówię.

Nick

Drugie piętro

Moja macocha przywołała nas do siebie. Siedzimy w jej apartamencie na samej górze. Mała dysfunkcyjna rodzinna konferencja – tak jak ta, którą odbywaliśmy zeszłej nocy, zanim nie pojawiła się niespodziewanie Jess, wsadzając kij w mrowisko. Zawsze uważnie studiowałem idiomy – w języku francuskim też mamy podobne: jeter un pavé dans la mare – wrzucić kamień do sadzawki. Może to trochę lepsze porównanie do tego, co zdarzyło się po jej pojawieniu. Sprawiała, że wszystko się rozprysło.

Spoglądam na pozostałych. Antoine wlewa w siebie wino – równie dobrze mógł po prostu wziąć całą butelkę. Mimi siedzi poblądła, wyglądając, jakby była gotowa do ucieczki z tego pokoju. Sophie jest sztywna, a na jej twarzy nie malują się żadne emocje. Wygląda trochę nieswojo. Na początku nie rozumiem, co się w niej zmieniło. Jej lśniący czarny bob jest jak zwykle nienagannie przyczesany, jedwabna apaszka zawiązana fachowo na szyi, ale coś jest nie tak. A potem nagle mnie oświeca: nie pomalowała ust szminką. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział ją bez makijażu. Wygląda dziwnie słaba – starsza, bardziej krucha, jakby było w niej więcej człowieka.

Pierwszy odzywa się Antoine:

– Ta mała głupia cipa jest w klubie. – Spogląda na mnie. – Nadal uważasz, że nie powinniśmy niczego z nią zrobić, braciszku?

– Ja... uważam, że przede wszystkim musimy stworzyć zjednoczony front. Jako rodzina. To jest najważniejsze. Nie możemy się teraz załamać.

Spoglądając na ich miny, zdaję sobie jednak sprawę, że w ogóle nie znam tych ludzi. Tak naprawdę nic o nich nie wiem. Nie było mnie tu zbyt długo. Poza tym jesteśmy ze sobą tak poważni, że ta rodzina nie sprawia wrażenia prawdziwej – nawet dla nas.

– Jasne. Ty zawsze byłeś kluczowy dla tej rodziny, aż do tej pory – mówi Antoine, powodując, że czuję się jeszcze bardziej jak oszust, hochsztapler. – A ona... – Wskazuje na Sophie. – Nie będę odgrywał kochającego pasierba tej salope.

– Hej – oponuję. – Może powinniśmy...

– Licz się ze słowami – mówi Sophie uszczypliwie. – Siedzisz w moim mieszkaniu.

– Och, to teraz jest twoje mieszkanie, tak? – Kłania się jej ironicznie. – Wybacz, nie zdawałem sobie sprawy. Myślałem, że jesteś tylko pasożytem wysysającym pieniądze z papy. Nie miałem pojęcia, że zarobiłaś na to wszystko.

Miałem zaledwie osiem lub dziewięć lat, kiedy papa ożenił się z tajemniczą nową kobietą, która nagle zmaterializowała się w naszym życiu. Antoine jednak był już wtedy nastolatkiem. Maman cierpiała od długiego czasu, usychając w swoich pokojach na trzecim piętrze. Nowo przybyła wydawała się bardzo młoda i czarowna. Byłem trochę nią urzeczony. Antoine z kolei zareagował zupełnie inaczej. Nigdy jej nie polubił.

– Przestańcie już – mówi nagle Mimi, przykładając dłonie do uszu. – Wszyscy. Nie mogę już tego znieść...

Antoine spogląda na siostrę z okropnym uśmiechem na twarzy.

– Ach – bełkocze. – Jeśli chodzi o ciebie, to nie jesteś w ogóle częścią tej rodziny, prawda, ma petite soeur...

– Przestań – rozkazuje zimno Sophie. Lwica broniąca swoich małych.

Chart leżący u jej stóp zrywa się i wydaje ostre szczeknięcie.

– Och, myślę, że nasza droga Mimi potrafi się sama wykaraskać z tej sytuacji – mówi Antoine. – Co z tamtą sprawą w jej szkole? Tą z nauczycielem? Papa musiał ofiarować im sporą darowiznę i zgodzić się na usunięcie jej ze szkoły, żeby sprawa się nie rozeszła. Może to wcale nie takie zaskakujące, co? – Spogląda z powrotem na Mimi. – Zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, skąd się wzięła.

– Nie waż się mówić do niej w ten sposób – rzuca Sophie niebezpiecznym tonem.

Zerkam na Mimi, która siedzi bez ruchu, wpatrując się w Antoine'a, bledsza niż zwykle.

– OK – zaczynam. – Dajcie spokój. Powinniśmy...

– Chciałbym tylko powiedzieć, że to takie typowe dla naszego ukochanego père – przerywa mi Antoine. – Wyjechać sobie akurat teraz. Nie sądzicie?

Wszyscy zerkają instynktownie na portret ojca wiszący na ścianie. Wiem, że to tylko moja wyobraźnia, ale wygląda, jakby jego surowe oblicze

nabrało zawziętości. Przeszywa mnie dreszcz. Nawet gdy papa jest daleko stąd, nadal czuć jego obecność w tym mieszkaniu; jego autorytet. Wszystkowidzący, potężny Jacques Meunier.

– Twój ojciec musi się zajmować interesami – mówi ostro Sophie. – Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Jeśli wróci, sprawy tylko się skomplikują. Musimy trzymać wspólny front podczas jego nieobecności.

– Oczywiście nie ma go tutaj, kiedy wszystko zaczyna się pieprzyć. Typowe. – Antoine śmieje się bez humoru.

– Ojciec ufa ci, że będziesz w stanie poradzić sobie z tą sytuacją sam – ciągnie Sophie. – Masz czterdzieści lat i nadal mieszkasz pod jego dachem i ciągniesz z niego pieniądze. Twój ojciec dał ci wszystko. Nigdy nie musiałeś dorosnąć. Wszystko wręczał ci papa na tacy. Obaj jesteście bezużytecznymi kwiatkami doniczkowymi, zbyt słabi, żeby zmierzyć się z brutalną rzeczywistością. Niezdolni do wyfrunięcia z gniazda. – Jej słowa ranią. – Na litość boską – dodaje. – Okażcie ojcu trochę szacunku.

– Och, doprawdy? – Antoine uśmiecha się wrednie. – Naprawdę chcesz mi robić wykład o szacunku, putain? – Ostatnie słowo wysyczał pod nosem.

– Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób – krzyczy na niego z prawdziwym gniewem, który sforsował jej lodowatą fasadę.

– Jak śmiem? – Antoine obdarza ją ironicznym uśmiechem. – Vraiment? Naprawdę? – Spogląda na mnie. – Wiesz, kim ona jest? Wiesz, kim jest nasza niezwykle elegancka macocha? Wiesz, skąd pochodzi?

Miałem swoje podejrzenia i w miarę jak dorastałem, one również rosły. Nie pozwalałem sobie jednak o nich myśleć, nie mówiąc o wypowiedzeniu ich na głos, głównie ze strachu przed ojcem.

Antoine wstaje i wychodzi z pokoju. Za chwilę wraca, niosąc coś w dużej ramie. Odwraca to, żebyśmy wszyscy zobaczyli: to czarno-biała fotografia kobiecego aktu – tego z gabinetu mojego ojca.

– Odnieś to na miejsce. – W głosie Sophie czai się groźba. Dłonie ma zaciśnięte w pięści. Spogląda na Mimi, która siedzi zastygła, spoglądając na nią wielkimi, przerażonymi oczami.

Antoine opada z powrotem na fotel, wyraźnie zadowolony z siebie. Fotografie stawia z boku, niczym makietę projektu szkolnego.

– Spójrzcie na nią. – Wskazuje na Sophie. – Świetnie sobie poradziła, nieprawdaż? Apaszki od Hermès, trencze. Une vraie bourgeoisie. Nikt by się nie domyślił, prawda? Nikt nigdy nie podejrzewałby, że tak naprawdę była...

Przerywa mu głośny trzask, jak strzał z pistoletu. Dzieje się to zbyt szybko, aby od razu zrozumieć, co się stało: Sophie porusza się jak błyskawica. Po chwili Antoine trzyma się już za twarz, a ona stoi nad nim.

– Uderzyła mnie – mówi Antoine cicho i żałośnie, jak mały chłopiec. Nie pierwszy raz oberwało mu się w ten sposób. Papa zawsze był szybki z pięściami, a jego najstarszy syn był jego wybranym chłopcem do bicia. – Kurwa, ona mnie uderzyła. – Odsuwa rękę od twarzy i na policzku dostrzegamy zaogniony, różowy ślad po jej dłoni.

Sophie nie rusza się z miejsca.

– Pomyśl, co powiedziała by twój ojciec, gdyby usłyszał, jak się do mnie odnosisz.

Antoine spogląda znów na portret papy. Odrywa od niego wzrok z wysiłkiem. Jest potężnym mężczyzną, ale teraz wygląda, jakby skurczył się w sobie. Wszyscy wiemy, że w obecności papy nigdy nie odważyłby się odezwać do Sophie w taki sposób. Wiemy również, że po powrocie papy Antoine słono za to zapłaci, jeśli ten się dowie.

– Czy możemy się skoncentrować na tym, co jest najważniejsze? – Próbuję przywrócić nieco spokoju, odzyskać kontrolę. – Mamy dużo poważniejszy problem do rozwiązania.

Sophie obdarza Antoine'a kolejnym jadowitym spojrzeniem, a potem odwraca się do mnie i kiwa oszczędnie głową.

– Masz rację. – Siada na swoim miejscu, a na jej twarz powraca zwyczajowa maska Królowej Zimy. – Myślę, że przede wszystkim nie możemy pozwolić, żeby dowiedziała się czegoś więcej. Musimy być gotowi na jej powrót. A jeśli posunie się za daleko? Nicolas?

Kiwam głową i przetykam głośno.

– Tak, wiem, co robić. Jeżeli w ogóle do tego dojdzie.

– Konsjerżka – mówi nagle Mimi cichym, chrapliwym głosem.

Wszyscy na nią spoglądają.

– Widziałam tę kobietę, Jess, wchodzącą do domku konsjerżki. Była w drodze do wyjścia, ale staruszka wybiegła i zatrzymała ją. Siedziały tam przynajmniej dziesięć minut. – Spogląda na nas wszystkich. – Co... o czym mogły rozmawiać przez cały ten czas?

Jess

Wpatruję się w dziewczynę na scenie. To ona śledziła mnie dwa dni temu i to ją próbowałam dogonić, zanim uciekła mi kolejką metra. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Chwila zdaje się rozciągać w nieskończoność. Wygląda na równie przerażoną co wtedy, gdy pociąg odjeżdżał z peronu. A potem nagle, jakby ocknęła się z transu, przesuwa wzrokiem po publiczności, uśmiecha się, wdrapuje z powrotem na koło i zaczyna podjeżdżać do góry. Wkrótce znika.

Theo spogląda na mnie.

– Co to było?

– Ty też to widziałeś?

– Owszem. Gapiła się na ciebie.

– Spotkałam ją już – wyjaśniam. – Wkrótce po naszej pierwszej rozmowie w kawiarni. – Opowiadam mu wszystko: to, jak mnie śledziła i jak goniłam ją aż do metra. Serce bije mi szybciej. Myślę o Benie. O rodzinie Meunierów. O tajemniczej tancerce. Wszyscy wydają się elementami tej samej układanki... wiem, że tak jest, tylko jak do siebie pasują?

Po zakończeniu spektaklu widzowie dopijają swoje drinki i ruszają na górę, w ciemności nocy.

Theo trąca mnie łokciem.

– Chodź, idziemy. Trzymaj się mnie.

Chcę zaprotestować: chyba nie zamierza tak po prostu wyjść? Powstrzymuję się jednak, widząc, że zamiast wspiąć się po schodach z resztą klientów, Theo otwiera drzwi po naszej lewej stronie. To te same, które zauważyliśmy wcześniej, podczas przedstawienia – te, za którymi znikali dobrze ubrani młodzi mężczyźni.

– Spróbujmy porozmawiać z twoją znajomą – mruczy.

Wślizguje się za drzwi, a ja tuż za nim. Wchodzimy na ciemną, wyłożoną atłasem klatkę schodową. Zaczynamy schodzić w dół. Słyszę dobiegające stamtąd odgłosy, stłumione, jakby przedostawały się przez warstwę wody. Słyszę muzykę i szum głosów, a potem nagle piskliwy okrzyk, który mógł

wydać każdy; kobieta lub mężczyzna. Jesteśmy już niemal na samym dole. Waham się. Wydawało mi się, że coś usłyszałam; kroki za nami.

– Zatrzymaj się – mówię. – Słyszałeś to?

Theo spogląda na mnie pytająco.

– Jestem pewna, że słyszałam czyjeś kroki.

Nasłuchujemy przez kilka chwil w milczeniu. Nic. A potem u stóp schodów pojawia się dziewczyna – jedna z tancerek. Z bliska widać, że jest mocno umalowana, tak jakby miała na twarzy maskę. Wpatruje się w nas. Przez chwilę mam wrażenie, że pod grubą warstwą makijażu, sztucznymi rzęsami i lśniącymi czerwonymi ustami ukrywa się przestraszona mała dziewczynka.

– Szukamy znajomej – mówię szybko. – Dziewczyny, która tańczyła na kole. Chodzi o mojego brata, Bena. Czy możesz jej powiedzieć, że jej szukamy?

– Nie wolno wam tutaj być – szepcze. Wygląda na przerażoną.

– Wszystko jest w porządku – próbuję ją zapewnić. – Nie zamierzamy tu zostać zbyt długo.

Przeciska się obok nas i wbiega pospiesznie po schodach, nie oglądając się za siebie. Ruszamy dalej. Na końcu korytarza znajdują się drzwi. Popycham je, ale nie chcą się otworzyć. Nagle zdaję sobie sprawę, jak głęboko pod ziemię zeszliśmy: przynajmniej dwa piętra. Myśl o tym sprawia, że nagle trudniej mi oddychać. Próbuję przełknąć swój strach.

– Chyba są zamknięte na klucz – mówię.

Głosy są teraz wyraźniejsze. Słyszę jęknięcie, niemal zwierzęce. Ponownie próbuję nacisnąć klamkę.

– Zdecydowanie są zamknięte. Sam spróbuj...

Ale Theo nie odpowiada.

A ja wiem, jeszcze zanim się odwrócę, że jest tutaj ktoś jeszcze, za nami. Widzę go. To odźwierny, który przywitał nas przy wejściu. Jego potężna sylwetka wypełnia korytarz. Twarz mężczyzny skryta jest w mroku.

Cholera.

– Qu'est-ce qui se passe? – pyta niebezpiecznie cichym głosem, ruszając w naszym kierunku. – Co wy tutaj robicie?

– Zgubiliśmy się. – Głos mi się łamie. – Ja... chciałam skorzystać z toalety.

– Vous devez partir – mówi. – Musicie stąd wyjść – powtarza po angielsku. – Oboje. Natychmiast. – Jego głos nadal jest cichy, przez co

wydaje się groźniejszy, niż gdyby krzyczał. Nie ważcie się sobie ze mną pogrywać.

Bierze mnie za ramię swoją wielką ręką. Skóra piecze mnie pod naciskiem jego palców. Próbuję się uwolnić, ale on tylko mocniej zaciska chwyt, chociaż odnoszę wrażenie, że nadal nie wkłada w to zbyt wiele wysiłku.

– Hej, hej! To nie jest konieczne – mówi Theo, ale odźwierny nie reaguje ani mnie nie puszcza. Zamiast tego chwytą również ramię Theo, który, chociaż do tej pory wydawał mi się sporym facetem, nagle wygląda jak dziecko, jak kukielka.

Przez chwilę odźwierny stoi nieruchomo, z głową przechyloną na bok. Spoglądam na Theo, który marszczy czoło, wyraźnie skonfundowany, podobnie jak ja. Potem słyszę cichutkie mruczenie i zdaję sobie sprawę, że odźwierny wsłuchuje się w rozkazy od kogoś, kto przemawia do słuchawki w jego uchu.

W końcu prostuje się.

– Proszę, madame, monsieur. – Nadal używa tego samego przerażająco uprzejmego tonu, chociaż jego palce zaciskają się mocniej na moim bicepsie, paląc skórę. – Proszę nie urządzać sceny. Musicie państwo pójść teraz ze mną. – Zaczyna nas kierować z zauważalną siłą w kierunku klatki schodowej i w górę, do pomieszczenia ze stołami i sceną. Większość światel został już wyłączona. Sala jest całkowicie pusta. Nie. Nie całkowicie. Kątem oka dostrzegam wysoką sylwetkę stojącą nieruchomo i obserwującą nas z cienia spowijającego jeden z narożników pomieszczenia. Nie udaje mi się jednak dostrzec, kto to taki, bo odźwierny prowadzi nas na parter.

Potem otwierają się drzwi wejściowe i zostajemy wyrzuceni na ulicę. Odźwierny popycha mnie tak mocno, że potykam się i upadam na kolana.

Drzwi zatrząskują się za nami.

Theo, który zdołał zachować równowagę, wyciąga rękę i pomaga mi wstać. Dopiero po dłuższej chwili moje serce w końcu się uspokaja. Kiedy jednak usiłuję odzyskać dech, zdaję sobie sprawę, że bołą mnie kolana, a ramię jest posiniaczone. Mogło jednak być dużo gorzej. Doceniam możliwość oddychania zimnym powietrzem. Co się teraz z nami stanie?

Drzę, chociaż nie z chłodu, lecz z powodu tej myśli. Otulam się szczelniej kurtką.

– Spływajmy stąd – mówi Theo. Zastanawiam się, czy myśli to samo co ja: nie dajmy im czasu na zmianę zdania.

Ulica jest cicha, zupełnie opuszczona. Widać jedynie mruganie światełek bezpieczeństwa w oknach wystawowych i echo naszych kroków na bruku.

A potem słyszę coś jeszcze: czyjeś szybkie kroki za nami, coraz głośniejsze. Serca zaczyna mi bić szybciej. Odwracam się. Wysoka postać w kapturze nasuniętym na głowę. W pewnym momencie światło pada na nią wystarczająco, żebym ją poznała. To ta dziewczyna, która śledziła minie kilka dni temu. Dziewczyna tańcząca na kole, ta sama, która wpatrzyła się we mnie po występie, jakby stanęła twarzą w twarz z koszmarem.

Konsjerżka

Stróżówka

Wycieram kurze na najwyższym piętrze. Normalnie o tej porze sprzątam na klatce schodowej i korytarzach. Madame Meunier bardzo tego pilnuje. Dzisiaj wieczorem jednak wkroczyłam w strefę przy drzwiach. To drugie ryzyko, które podjęłam (pierwszym była rozmowa z tamtą dziewczyną). Być może ktoś nas widział, ale byłam zdesperowana. Zeszłej nocy próbowałam wsunąć pod jej drzwi liścik, ale przyłapała mnie i groziła mi nożem. Musiałam znaleźć inny sposób. Już pierwszej nocy, kiedy się tu pojawiła, zrozumiałam, kim jest, kiedy pomogła tamtej kobiecie pozbiierać jej rzeczy z powrotem do walizki. Nie mogłam stać bezczynnie i pozwolić, aby kolejne życie zostało zniszczone.

Wszyscy siedzą teraz w penthousie: wszyscy poza nim i głową rodziny. Mogłam skorzystać z drugiej klatki schodowej (czasem korzystam z niej, żeby obserwować ludzi), ale akustyka jest lepsza tutaj. Nie słyszę wszystkiego, co mówią, ale od czasu do czasu rozumiem jakieś słowo lub wyrażenie.

Jedno z nich wypowiada jego imię: Benjamin Daniels. Przyciskam ucho mocniej do drzwi. Rozmawiają również o tej dziewczynie. Myślę o jej głodzie informacji, o jej inteligencji. W jej zachowaniu jest coś znajomego. Owszem, przypomina swojego brata, ale także moją córkę. Nie z wyglądu oczywiście: nikt nie dorównuje jej urodą.

Pewnego dnia, kiedy zaczęło się już ochładzać, zaprosiłam Benjamina Danielsa do swojego domku na herbatę. Tłumaczyłam sobie, że muszę okazać mu wdzięczność za wiatrak, ale tak naprawdę pragnęłam towarzystwa. Nie zdawałam sobie sprawy ze swojej samotności, dopóki Benjamin nie okazał mi zainteresowania. Pozbyłam się wstydu z powodu mojego skromnego stylu życia. Zaczęło mnie cieszyć jego towarzystwo.

Znów przyjrzał się fotografiom na ścianie, siadając ze szklanką herbaty w rękę.

– Elira. Dobrze zapamiętałem? Tak ma na imię twoja córka?

Wpatrzyłam się w niego. Nie mogłam uwierzyć, że to zapamiętał. Wzruszyłam się.

– Tak jest, monsieur.

– To piękne imię.

– Oznacza „wolna”.

– Och, a w jakim języku?

Przerwałam na chwilę.

– Po albańsku. – To pierwsza informacja, którą mu powierzyłam w zaufaniu. Dzięki niej mógł domyślić się mojego statusu tutaj, we Francji. Obserwowałam go uważnie.

Pokiwał głową z uśmiechem.

– Byłem w Tiranie. To fantastyczne miasto.

– Słyszałam o tym, ale nie znam zbyt dobrze tego miasta. Pochodzę z małej wioski na wybrzeżu Adriatyku.

– Masz jakieś zdjęcia?

Wahanie. Chyba nic się nie stanie? Podeszłam do mojego malutkiego biurka i wyciągnęłam album. Ben siadł na krześle naprzeciwko. Zauważyłam, że przerzucając strony, stara się nie dotykać fotografii, jakby miał w dłoniach coś niezwykle cennego.

– Żałuję, że ja nie mam czegoś takiego – powiedział nagle. – Nie wiem, co się stało ze zdjęciami z mojego dzieciństwa. Nie sądzę jednak, żebym wyglądał...

Przerwał. Wyczułam w nim ukryte morze bólu. A potem nagle, jakby zapomniał albo chciał zapomnieć, wskazał na jedną z fotografii.

– Spójrz na to! Ten kolor morza!

Podążyłam za jego wzrokiem. Widząc utrwaloną na kliszy scenkę, niemal czułam zapach dzikiego tymianku i soli w powietrzu.

Spojrzał na mnie.

– Pamiętam, że powiedziałaś, iż przyjechałaś do Paryża za córką, ale nie ma jej już tutaj?

Widziałam, jak rozgląda się dyskretnie po pokoju, słyszałam niewypowiedziane pytanie. W końcu nie było tak, że porzuciłam życie w całkowitym ubóstwie dla życia pełnego bogactwa. Dlaczego ktoś zostawiłby wszystko dla czegoś takiego?

– Nie planowałam tu zostawać – odparłam. – Przynajmniej na początku.

Podniosłam wzrok na ścianę przykrytą fotografiami. Spoglądała z nich na mnie Elira w wieku pięciu, dwunastu, siedemnastu lat – jej uroda zmieniająca się, dojrzewająca, ale uśmiech pozostawał zawsze ten sam. Uśmiech i oczy. Pamiętałam jej spojrzenie, kiedy jako noworodka karmiłam ją piersią. Patrzyła na mnie z taką inteligencją, bystrością, ponad jej wiek. Przemówiłam wreszcie, ale nie do Benjamin, lecz do niej.

– Przyjechałam tutaj, bo się o nią martwiłam.

Nachylił się do przodu.

– Dlaczego?

Spojrzałam na niego. Przez moment zapomniałam, że tu jest. Zawahałam się. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam, ale on wydawał się autentycznie zainteresowany i zaniepokojony. Poza tym wyczuwałam w nim głęboki ból. Przedtem postrzegałam go jako jednego z nich, nawet kiedy okazywał mi zainteresowanie i czynił drobne uprzejmości. Był innym gatunkiem niż ja – bogatym, uprzywilejowanym. Jego ból uczynił go istotą ludzką.

– Zapomniała zadzwonić, chociaż byłyśmy umówione. A kiedy w końcu się do mnie odezwała, brzmiała jakoś inaczej. – Spoglądałam na zdjęcia. – Ja... – Usiłowałam znaleźć słowa, żeby to opisać. – Powiedziała mi, że jest zajęta i ciężko pracuje. Próbowałam się nie przejmować, cieszyć się jej sukcesem.

Ale wiedziałam. Matczyny instynkt podpowiadał mi, że coś jest nie tak. Elira brzmiała niedobrze, była schrypnięta, jakby zachorowała. Gorzej; mówiła ogólnikami, zupełnie jak nie ona. Przedtem podczas naszych rozmów czułam ją blisko mnie, mimo rozdzielających nas setki kilometrów. Teraz miałam wrażenie, że mi się wyślizguje. Przerazało mnie to.

Odetchnęłam głęboko.

– Następny telefon dostałam kilka tygodni później.

Na początku słyszałam tylko głośny oddech. W końcu była w stanie wykrztusić z siebie słowa:

– Tak mi wstyd, mam, tak bardzo mi wstyd. To miejsce... to złe miejsce. Dzieją się tam potworne rzeczy. To nie są dobrzy ludzie. I... – Dalsza wypowiedź była tak stłumiona, że nie mogłam nic zrozumieć. Nagle zrozumiałam, że moja córka płacze, tak bardzo, że prawie nie może mówić. Zacisnęłam palce kurczowo na słuchawce, aż zabolęło.

– Nie słyszę cię, kochanie.

– Powiedziałam... powiedziałam, że ja też nie jestem dobrą osobą.

– Jesteś dobrą osobą – odparłam z mocą. – Znam cię. Jesteś moją córką i jesteś dobra.

– Nie jestem, mamó. Robiłam okropne rzeczy. Nie mogę już tam dłużej pracować.

– Dlaczego nie?

Zamilkła na tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy nas nie rozłączyło.

– Jestem w ciąży, mamó.

Na początku sądziłam, że się przesłyszałam.

– Jesteś... w ciąży? – Elira nie dosyć, że nie była zameźna, to nie wspomniała ani razu o żadnym partnerze, jakiejś szczególnie bliskiej osobie. Byłam tak zszokowana, że na chwilę odebrało mi mowę. – W którym miesiącu?

– W piątym, mamó. Nie mogę już tego ukrywać. Nie dam rady tam dłużej pracować.

Potem słyszałam już tylko jej płacz i wiedziałam, że muszę powiedzieć coś pozytywnego.

– Ale ja... ja tak się cieszę, kochanie – powiedziałam jej. – Będę babcią. To cudowna rzecz. Zacznę odkładać pieniądze. – Staralam się, żeby nie usłyszała w moim głosie paniki. Martwiłam się, że nie zdołam uzbierać wystarczającej sumy w tak krótkim czasie. Będę musiała podjąć dodatkową pracę, prosić o przysługi, pożyczać. Zabierze mi to trochę czasu, ale znajdę sposób. – Przyjadę do ciebie do Paryża – powiedziałam jej. – Pomogę ci się opiekować dzieckiem.

Spojrzałam na Benjamina Danielsa.

– Rzeczywiście, zajęło mi to trochę czasu, monsieur. Nie było tanie. Zbierałam pieniądze przez sześć miesięcy, ale w końcu udało mi się tu przyjechać. – Zdobyłam również wizę, dzięki której mogłam zostać w Paryżu przez kilka tygodni. – Wiedziałam, że dziecko się już urodziło, chociaż nie odzywała się do mnie od dłuższego czasu. – Próbowałam nie wpadać z tego powodu w panikę. Zamiast tego wyobrażałam sobie, jak to będzie, trzymać mojego wnuka lub wnuczkę w ramionach po raz pierwszy. – Chciałam jednak być z nią i pomóc jej w opiece nad niemowlakiem. Zając się również nią. To było ważne.

– Oczywiście. – Kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Nie podała mi swojego adresu domowego, dlatego po przyjeździe udałam się do miejsca jej pracy. Znałam jego nazwę, bo powiedziała mi przynajmniej tyle. Miejsce wydawało mi się niezwykle eleganckie, wyrafinowane. Było w bogatej dzielnicy miasta. Odźwierny spojrzął na moje ubranie. „Wejście dla sprzątaczek jest od tyłu”, powiedział. Nie poczułam się obrażona. Mogłam się tego spodziewać. Znalazłam tylne wejście i wślizgnęłam się do wewnątrz. Ponieważ zaś wyglądałam tak, jak wyglądałam, byłam niewidzialna. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, nikt nie mówił mi, że nie powinno mnie tutaj być. Znalazłam kobiety, a raczej dziewczyny, które pracowały z moją córką i ją znały. Właśnie wtedy... – Przez chwilę nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Wtedy co? – ponaglił mnie.

– Moja córka umarła, monsieur. Umarła w czasie porodu dziewiętnaście lat temu. Zaczęłam tutaj pracować i już tak zostałam.

– A co z dzieckiem? Z dzieckiem pani córki?

– Ach, monsieur, najwyraźniej pan nie zrozumiał. – Odebrałam mu album ze zdjęciami i włożyłam go z powrotem do biurka, gdzie trzymałam wszystkie moje relikwie, moje skarby; rzeczy, które kolekcjonowałam przez wiele lat. Pierwszy ząbek, bucik dziecka, świadectwo szkolne. – Moja wnuczka jest tutaj. Dlatego właśnie pracuję tu przez wszystkie te lata, w tym budynku. Chciałam być bliżej niej, patrzeć, jak dorasta.

Zza drzwi penthouse’u dobiega mnie słowo i nagle powracam do teraźniejszości. Słyszałam, jak jedno z nich powiedziało:

– Konsjerżka.

Wycofuję się w półmrok, stąpając ostrożnie, żeby uniknąć skrzypiących klepek. To instynkt – nie powinno mnie tutaj być. Muszę wrócić do mojej stróżówki. Natychmiast.

Mimi

Czwarte piętro

Wpadam do mieszkania i ruszam prosto do mojego pokoju, do okna i wyglądam przez nie. Przebywanie z nimi wszystkimi było piekłem. Tokowali, krzyczeli na siebie. Ja chciałam tylko, żeby to się skończyło. Pragnęłam najbardziej na świecie zostać sama.

Mimi. Mimi. Mimi.

Dopiero po dłuższej chwili orientuję się, skąd dociera do mnie ten dźwięk. Odwracam się i widzę Camille stojącą w progu, z rękami na biodrach.

– Mimi? – Podchodzi do mnie i pstryka palcami tuż przed moją twarzą. – Halo? Co ty robisz?

– Quoi? Co? – Gapię się na nią.

– Stałaś tutaj, wpatrując się w okno jak jakiś zombie. – Wytrzeszcza oczy i rozwiera usta, naśladując mnie. – Na co tak patrzyłaś?

Wzruszam ramionami. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robiłam, ale musiałam obserwować jego mieszkanie. Stare nawyki trudno wykorzenić.

– Putain, przerażasz mnie, Mimi. Od jakiegoś czasu zachowujesz się... bardzo dziwnie. – Przerywa. – Dziwniej niż zwykle. – Nagle marszczy czoło, jakby coś sobie przypominała. – Dokładnie od tamtej nocy, kiedy wróciłam późno, a ty nadal nie spałaś. O co chodzi?

– Rien – odpowiadam. To nic takiego. Dlaczego nie chce mnie zostawić w spokoju?

– Nie wierzę ci – mówi. – Co się tu stało przed moim powrotem tamtej nocy? Co się z tobą dzieje?

Zamykam oczy i zaciskam pięści. Nie mogę znieść tych wszystkich pytań, tego ciągłego przesłuchiwania. Czuję, że za chwilę wybuchnę.

– Ja po prostu... muszę zostać teraz sama, Camille – odpowiadam z całym spokojem, na jaki mnie w tej chwili stać. – Potrzebuję przestrzeni.

Camille nie rozumie aluzji.

– Hej, czy to miało coś wspólnego z tym twoim tajemniczym facetem? Nie wyszło wam? Jeżeli mi wszystko opowiesz, może będę mogła pomóc...

Nie mogę tego dłużej znieść. Biały szum wypełnia mi głowę. Wstaję. Nienawidzę sposobu, w jaki Camille na mnie patrzy, z niepokojem, zmartwiona. Dlaczego nie umie tego zrozumieć? Nagle czuję, że nie chcę jej więcej widzieć i że lepiej by było, gdyby stąd zniknęła.

– Zamknij się! Fous le camp! Spierdalaj. Zostaw mnie w spokoju.

Camille cofa się o krok.

– Mam już dosyć tego twojego nagabywania mnie – ciągnę. – Mam dość bałaganu, który zostawiasz w całym mieszkaniu, gdziekolwiek się obejrzę. Mam dosyć tego, że sprowadzasz sobie tutaj tych swoich... swoich... kolegów od bzykania. Może i jestem dziwaczką, wiem, że wszyscy twoi znajomkowie tak sobie o mnie myślą, ale ty... ty jesteś obrzydliwą małą kurewką.

Chyba przegięłam. Wycofuje się z pokoju, wpatrując się we mnie oczami wielkimi jak spodki. Potem znika za drzwiami. Nie czuję się zbyt dobrze, ale przynajmniej mogę znów oddychać.

Słyszę odgłosy dochodzące z jej pokoju za ścianą: otwieranie szuflad, trzaskanie drzwiami do szafy. Kilka chwil później Camille pojawia się z kilkoma przewieszonymi przez ramię płóciennymi torbami, z których wysypują się różne części garderoby.

– Wiesz co? – mówi. – Może i jestem obrzydliwą małą kurewką, ale ty jesteś pierdolniętą suką. Nie mam już siły się z tobą użerać, Mimi. Nie potrzebuję tego. Dominique ma teraz swoje własne mieszkanie. Koniec przemykania się ukradkiem. Wynoszę się stąd.

Znam tylko jedną osobę o tym imieniu. To nie ma żadnego sensu.

– Dominique...

– Tak. Była twojego brata. Pomyśleć, że przez cały ten czas myślał, że flirtuje z Benem. – Uśmiecha się ironicznie. – Niezła ściema, prawda? W każdym razie dla mnie to coś innego. Prawdziwego. Kocham ją. Teraz istnieje już dla mnie tylko jedna kobieta. Nie ma już Camille, jak to mnie nazwałaś? Obrzydliwej małej kurewki. – Poprawia torbę na ramieniu. – Bof. Rób, co chcesz. Do zobaczenia, Mimi. I powodzenia z czymkolwiek, co cię zżera od środka.

Chwilę później już jej nie ma. Odwracam się do okna i obserwuję, jak przemierza dziedziniec z torbami na ramieniu.

Przez chwilę czuję się lepiej – spokojniejsza, wolna. Zupełnie jakby jej nieobecność miała sprawić, że zacznę myśleć bardziej logicznie. Ale nagle robi się zbyt cicho. Bo sztorm w mojej głowie nadal szaleje, a ja nie wiem, czy bardziej boję się jego, czy tego, co próbuje zagłuszyć.

Odwracam wzrok od dziedzińca i spoglądam na jego mieszkanie. Kilka dni temu weszłam tam za pomocą klucza, który ukradłam ze stróżówki. Chodziłam do tego domku od dziecka, zakradałam się do środka, kiedy byłam pewna, że staruszka sprząta akurat na najwyższych piętrach. To miejsce mnie fascynowało: było niczym chatka Baby-Jagi. Konsjerżka miała u siebie mnóstwo fotografii na ścianach – dowód na to, że zanim tutaj przybyła, miała jakieś inne życie, chociaż może trudno w to uwierzyć. Na wielu zdjęciach widnieje piękna młoda kobieta; wygląda jak księżniczka z bajki.

Teraz oczywiście jestem starsza i wiem, że w stróżówce nie ma niczego magicznego. To zwykły ciasny samotny dom ubogiej starszej kobiety. Przygnębiające. Nie zapomniałam jednak, gdzie konsjerżka trzyma klucze do wszystkich mieszkań. Oczywiście nie wolno jej ich używać. Są tam tylko na wyjątkowe sytuacje, na przykład gdyby jedno z mieszkań zostało zalane, podczas gdy my akurat będziemy na wakacjach. Oczywiście nie ma klucza do apartamentu moich rodziców – to jest absolutnie poza zasięgiem.

Był wczesny wieczór, panował półmrok. Czekałam i obserwowałam, jak Ben przemierza dziedziniec – dokładnie tak, jak teraz Camille. Miał na sobie tylko koszulę, chociaż było chłodno. Pewnie nie wybierał się nigdzie daleko. Może wyskoczył tylko po to, żeby kupić papierosy w tabac. Tak czy owak, miałam wystarczająco dużo czasu, żeby zrobić to, co planowałam.

Zbiegłam piętro niżej i weszłam do jego mieszkania.

Pod ubraniem miałam nowy zestaw bielizny, który kupiłam razem z Camille. Czułam tajemną szeleszczącą gładkość materiału na skórze. Miałam wrażenie, że jestem dzięki temu odważniejsza, ośmielona.

Zamierzałam zaczekać na jego powrót. Chciałam go zaskoczyć. Wtedy to ja miałabym pod kontrolą sytuację.

Obserwowałam go wiele razy z okien mojej sypialni, jednak znalezienie się w jego mieszkaniu to zupełnie co innego. Czułam jego obecność tutaj, jego zapach przenikający przez zatęchły, trącający myszką odór tego miejsca. Przez chwilę spacerowałam po pokojach, wdychając jego obecność. Przez cały czas kot chodził za mną, obserwując mnie, zupełnie jakby wiedział, że planuję coś niecnego.

Otworzyłam lodówkę i poszperałam w jego szufladach. Przejrzałam kolekcję płyt i książek. Weszłam do sypialni, położyłam się na jego łóżku, nadal z odciśniętym kształtem jego ciała. Zaciągnęłam się zapachem jego skóry na poduszkach. Przejrzałam jego kosmetyki w łazience, otwierając wieczka. Popsikałam sukienkę i włosy jego cytrynową wodą kolońską. Otworzyłam szafę i schowałam twarz w jego koszulach – lepsze były te noszone, w koszu na brudną bieliznę. Pachniały jego skórą i potem. Jeszcze lepsze okazały się krótkie włosy, które znalazłam wokół umywalki – zarost, który zgolił i niedokładnie spłukał. Zebrałam kilka na palec i połknęłam je.

Gdybym przyglądała się sobie z boku, mogłabym powiedzieć, że wyglądam jak ktoś ogarnięty amour fou: obsesyjną szaloną miłością. Ale amour fou zazwyczaj jest nieszczęśliwa, nieodwzajemniona, a ja wiedziałam, że Ben czuje do mnie to samo. To była najważniejsza rzecz. Chciałam po prostu stać się częścią tego świata – jego świata. W głowie przeprowadziłam z nim tysiące konwersacji. Opowiedziałam mu o moich braciach: o tym, jak Antoine zawsze był dla mnie okropny; o tym, jak Nick jest totalnym nieudacznikiem, który żyje z pieniędzy papy i naprawdę nie rozumiem, dlaczego Ben się z nim przyjaźni. O tym, że gdy tylko skończę studia, zamierzam się stąd wynieść, podróżować po świecie. Moglibyśmy pojechać razem.

W kuchni znalazłam kieliszek i poczęstowałam się winem Bena. Wychyliłam je do dna, jakby była to porcja grenadyny. Musiałam się upić, żeby zrealizować mój plan. Potem zdjęłam ubranie i położyłam się na jego łóżku, czekając niczym prezent pozostawiony na poduszce. Po chwili jednak poczułam się głupio. Może wino zaczęło powoli parować mi z głowy. Było mi też trochę zimno. Nic nie układało się tak, jak to sobie zaplanowałam w głowie.

Minęło pół godziny. Ile jeszcze czasu, zanim wróci?

Podeszłam do jego biurka. Chciałam przeczytać to, nad czym pracował wczoraj w nocy do bardzo późna, robiąc notatki i wystukując coś na laptopie.

Znalazłam notes, w skórzanej oprawie, taki sam, jakich używam do moich szkiców. Kolejny znak, że jesteśmy dla siebie stworzeni: bliźniacze dusze, dwie pasujące do siebie połówki. Muzyka, pisanie. Byliśmy tacy do siebie podobni. Właśnie to chciał mi powiedzieć tamtej nocy, kiedy siedzieliśmy razem na pogrążonym w mroku parkingu – zanim jeszcze

podarował mi tamtą płytę. Byliśmy outsiderami, ale mieliśmy w tym siebie nawzajem.

Zeszyt był pełen notatek dotyczących recenzji restauracji, i małych rysunekczków. Między kartkami wetknięte były wizytówki restauracji. Poczułam się tak blisko niego. Jego pismo było piękne, inteligentne, litery nieco zaostrzone. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam; eleganckie, jak palce, które dotknęły mojego ramienia tamtej nocy w parku. Na widok tego pisma poczułam się jeszcze bardziej zakochana.

A potem na ostatniej stronie znalazłam notatkę, w której wymienił moje imię, ze znakiem zapytania na końcu:

Mimi?

O mój Boże, pisał o mnie.

Musiałam dowiedzieć się więcej, zrozumieć, czego dotyczyły zapiski. Otworzyłam jego laptop, ale był zablokowany hasłem. Merde. Nie miałam szans zalogowania się. To mogło być dosłownie wszystko. Spróbowałam kilka rzeczy; jego nazwisko, ulubioną drużynę futbolową (w szafie znalazłam koszulkę z logo Manchester United). Bezskutecznie. A potem przyszedł mi do głowy pomysł: pomyślałam o medaliku, który Ben zawsze nosił na szyi. Powiedział, że dostał go od mamy. Wpisałam w okienko hasła „SwKrzysztof”.

Nie. Była to próba na ślepo. A ponieważ mogłam, spróbowałam jeszcze raz, tym razem podstawiając cyfry za niektóre z liter. Mocniejsze hasło: 5wKr2y52t0f. Kiedy wcisnęłam „enter”, okienko hasła zamknęło się i załadował się pulpit.

Wpatrywałam się w ekran. Nie mogłam uwierzyć, że zgadłam hasło dostępu. To też musiało coś oznaczać, czyż nie? Miałam wrażenie, że to potwierdzenie tego, jak dobrze go znam. Wiem, że pisarze są skryci, jeśli chodzi o ich pracę, tak samo jak ja jestem skryta, jeśli chodzi o moją sztukę, ale teraz czułam, jakby Ben chciał, żebym znalazła i przeczytała, cokolwiek zostawił na dysku.

Otworzyłam folder z ostatnio uruchamianymi plikami i znalazłam ten właściwy na samej górze listy. Wszystkie inne miały nazwy restauracji, a więc najwyraźniej były recenzjami, jednak ten został zatytułowany „Meunier Wines SARL”. Pracował nad nim godzinę temu. Otworzyłam go.

Merde. Serce waliło mi jak młotem.

Podkscytowana i przerażona zaczęłam czytać.

I bardzo szybko tego pożłowałam.

Nie wiedziałam, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego.
Poczułam się, jakby cały świat zapadał się wokół mnie.
Zrobiło mi się niedobrze.
Ale nie mogłam przestać.

Jess

Dziewczyna staje w okręgu światła latarni. Wygląda zupełnie inaczej niż podczas występu. Ma na sobie tanią kurtkę ze sztucznej skóry, pod spodem bluzę z kapturem, do tego dzinsy. Zmyła z twarzy gruby makijaż i prezentuje się mniej sztywnie, ale jednocześnie dużo ładniej i młodziej. O wiele młodziej. Tamtej nocy, podczas naszego krótkiego spotkania w pobliżu cementarza, nie przyjrzałam się jej dokładnie. W tamtej chwili dawałam jej nie więcej niż trzydzieści lat. Teraz jednak widzę, że ma osiemnaście lub dziewiętnaście lat, czyli tyle samo, ile Mimi Meunier.

– Dlaczego przysłaś? – szepcze z wyraźnym akcentem. – Do klubu?

Przypominam sobie, jak szybko odwróciła się i uciekła podczas naszego pierwszego spotkania. Wiem, że muszę postępować bardzo ostrożnie, żeby jej nie przestraszyć.

– Nadal szukamy Bena – zaczynam spokojnie. – Mam wrażenie, że wiesz coś, co by nam pomogło. Mam rację?

Mamrocze coś pod nosem. Słowo brzmi trochę jak „kurwa”. Przez chwilę mam wrażenie, że za chwilę ucieknie. Ona jednak zostaje, a nawet podchodzi bliżej.

– Nie tutaj – szepcze. Ogląda się za siebie, czujna niczym kocica. – Musimy pójść gdzie indziej. Z dala od tego miejsca.

Prowadzeni przez nią, oddaliśmy się od sieci ekskluzywnych sklepów, modnych samochodów oraz lśniących okien wystawowych. Mijamy aleje pełne kawiarni z frontonami w złocie i czerwieni, z wiklinowymi krzeselkami wystawionymi na ulicę. Wyglądają jak ta, w której spotkałam się z Theo. Tablice na ulicy reklamują prix fixe menu. Grupki turystów nadal włączają się bez celu po okolicach. Zostawiamy to wszystko za sobą. Idziemy ulicami pełnymi barów i głośnej muzyki techno, mijamy jakiś klub, do którego ludzie czekają w długiej, skręcającej za róg kolejce. Znajdujemy się w nowej okolicy, gdzie restauracje mają nazwy napisane po arabsku, chińsku i w innych językach, których nie rozpoznaję. Przechodzimy obok sklepów sprzedających papierosy elektroniczne i telefony – wszystkie wyglądają dokładnie tak samo – wystawy, na których

manekiny noszą różne peruki, sklepy z tanimi meblami. To nie jest turystyczna część Paryża. Przechodzimy przez skrzyżowanie, obok którego na małych skwerkach porośniętych trawą stoją niezgrabnie rozłożone namioty i grupka facetów gotuje coś na prowizorycznej kuchence. Stoją blisko, z rękami w kieszeni, żeby ogrzać się przy ogniu.

Dziewczyna prowadzi nas do całonocnej restauracji z kebabami. Nad drzwiami wisi migający neonowy znak, a w środku stoi kilka małych metalowych stolików oświetlonych jarzeniówkami. Siadamy przy jednym z plastikowych, zatłuszczonych stołów w rogu. Trudno sobie wyobrazić miejsce bardziej różniące się od nastrojowego klubu, który niedawno opuściliśmy. Może właśnie dlatego dziewczyna wybrała tę restaurację. Theo zamawia dla każdego z nas porcję frytek. Dziewczyna bierze w palce kilka naraz i zanurza je w miseczce z sosem czosnkowym, a potem jakimś cudem pakuje całość na raz do buzi.

– Kim on jest? – mamrocze z pełnymi ustami, kiwając w stronę Theo.

– To Theo – odpowiadam. – Pracuje z Benem. Pomaga mi. Ja jestem Jess. Jak masz na imię?

Krótkie milczenie.

– Irina.

Irina. Znam je. Przypominam sobie to, co napisał Ben na kartce z listą rachunków za wina, którą znalazłam w jego słowniku. Zapytać Irinę.

– Ben powiedział, że wróci – mówi nagle nerwowo dziewczyna. – Powiedział, że wróci po mnie. – W wyrazie jej twarzy jest coś bardzo znajomego. Aha, ktoś jeszcze zakochał się w moim bracie. – Powiedział, że zabierze mnie z tego miejsca. Pomoże mi znaleźć nową pracę.

– Jestem pewna, że nad tym pracował – odpowiadam ostrożnie. To brzmi jak Ben; obiecywanie rzeczy, które niekoniecznie może spełnić. – Problem w tym, że, jak już mówiłam, zniknął.

– Co się stało? Jak sądzisz, co się z nim stało?

– Nie wiemy. Ale znalazłam w jego rzeczach kartę wstępu do twojego klubu. Irina, jeżeli możesz nam coś powiedzieć, cokolwiek, być może ułatwi nam to znalezienie Bena.

Przygląda się uważnie nam obojgu. Wydaje się zdezorientowana faktem, iż została postawiona w tej nowej sytuacji, nieznajomej pozycji władzy. Jest również przestraszona. Co kilka sekund zerka za siebie przez ramię.

– Możemy ci zapłacić – mówię, spoglądając na Theo, który wywraca oczami i wyjmuje portfel.

Po ustaleniu sumy odpowiadającej Irinie (tak naprawdę jest przygnębiająco mała) i po tym, jak zjada frytki, zużywając wszystkie nasze porcje sosu czosnkowego, podciąga jedną nogę i opiera ją o brzeg blatu. Skóra na jej kolanie jest blada, a w jednym miejscu przez rozdarcie w dżinsach widzę siniak. Z jakiegoś powodu kojarzy mi się to z zadrapaniami przynoszonymi z placu zabaw przez dzieci – takie, jakim sama pewnie niedawno była.

– Masz papierosa? – pyta Theo, który częstuje ją jednym. Zapala go. Jej noga oparta o kant stołu drga tak mocno, że ustawiona na nim solniczka i pieprzniczka podskakują.

– Tak w ogóle, byłaś naprawdę świetna. – Chcę zacząć rozmowę od jakiegoś w miarę bezpiecznego tematu. – Twój taniec.

– Wiem. – Kiwa poważnie głową. – Jestem bardzo dobra. Najlepsza w La Petite Mort. Trenowałam, żeby być tancerką, zanim tutaj przybyłam. Przyjechałam, bo powiedzieli, że będę tańczyła.

– Wyglądało na to, że publiczności naprawdę bardzo się spodobało – mówię. – Przedstawienie. Moim zdaniem twój występ był bardzo... – Usiłuję znaleźć właściwe słowo. – Wyrafinowany.

– Przedstawienie – mamrocze. – O tym właśnie chciał się dowiedzieć Ben. Wyglądało, jakby niektóre rzeczy już wiedział. Myślę, że ktoś mógł mu co nieco powiedzieć.

– Powiedzieć co dokładnie?

Zaciąga się głęboko papierosem. Zauważam, że trzęsie się jej ręka.

– To, że przedstawienie, wszystko to jest tylko... oglądaniem okien... nie. Oglądaniem wystaw sklepowych. Nie o to chodzi w tym miejscu. Po wszystkim przychodzą na dół. Specjalni goście.

– To znaczy? – Theo nachyla się do niej. – Jacy goście specjalni?

Irina zerka nerwowo za okno wychodzące na ulicę. Nagle wyciąga z kieszeni zwitek banknotów, które dał jej Theo, i rzuca go na stół.

– Nie mogę tego zrobić...

– Irina – mówię szybko, wyważonym tonem. – Nie chcemy narobić ci kłopotów, uwierz mi. Nikomu nic nie powiemy. Po prostu usiłujemy dowiedzieć się, co usłyszał Ben, bo myślę, że pomoże to nam go znaleźć. Ja... naprawdę się o niego boję. – Głos mi się załamuje i nie jest to gra. Nachylam się. – Proszę – mówię błagalnie. – Proszę, pomóż nam.

Dziewczyna chłonie to wszystko, zastanawiając się. Oddycha głęboko, a potem zaczyna mówić cichym głosem:

– Goście specjalni płacą za innego rodzaju bilety. Bogaci mężczyźni. Ważni mężczyźni. Żonaci mężczyźni. – Dla podkreślenia unosi dłoń i stuka się po palcu serdecznym. – My nie znamy nazwisk, ale wiemy, że są ważni. Z pieniędzmi. – Pociera palec wskazujący i kciuk. – Przychodzą na dół. Do innych pokojów. Pod ziemią. Robimy im dobrze. Mówimy, jacy są przystojni, jacy seksowni.

– A czy ci ludzie... kupują cokolwiek? – Theo chrząka z zakłopotaniem.

Irina wpatruje się w niego bez zrozumienia.

Myślę, że jego aluzja została utracona w tłumaczeniu.

– Ci ludzie płacą wam za seks? – pytam bardzo cicho, próbując zapewnić, że trzymamy jej stronę. – O to właśnie pytał.

Znów zerka w stronę okien, na ciemną ulicę. Siedzi na krześle jak na szpilkach, gotowa w każdej chwili dać stąd nogę.

– Chcesz więcej pieniędzy? – pytam. W sumie to chcę, żeby poprosiła o więcej. Jestem pewna, że Theo będzie na to stać.

Kiwa szybko głową.

Szturcham Theo.

– Zapłać jej.

Z lekkim oporem wyciąga z kieszeni kolejne kilka banknotów i przesuwa je po stole w jej stronę.

– Nie. W tym kraju to nielegalne. Płacić za seks – odpowiada dziewczyna, zupełnie jakby czytała oficjalne oświadczenie.

– Och – spoglądamy z Theo po sobie. Pewnie myślimy to samo. W takim razie co...?

Ale Irina jeszcze nie skończyła.

– Nie kupują tego. Wszystko jest sprytnie wymyślone. Kupują wino. Wydają duże pieniądze na wino. – Rozkłada ręce. – Jest kod. Jeżeli proszą o „młodszy” rocznik, chodzi o dziewczynę, której chcą. Jeśli proszą o „specjalne” roczniki, wtedy chcą... coś ekstra. A my robimy wszystko, czego oni chcą. Cokolwiek nam każą. Należymy do nich przez noc. Wybierają dziewczynę lub kilka i idą do specjalnego pokoju z zamkiem w drzwiach. Albo wychodzimy gdzieś z nimi. Do hotelu, mieszkania...

– Ach – krzywi się Theo.

– Dziewczyny w klubie... nie mamy rodzin. Nie mamy pieniędzy. Niektóre uciekły z domu. Niektóre, wiele z nich, są tu nielegalnie. – Nachyla się. – Oni mają nasze paszporty.

– Czyli nie możecie wyjechać z tego kraju – mówię, spoglądając na Theo.
– To naprawdę przesrane.

– I tak nie mogę tam wrócić – mówi nagle z mocą. – Do Serbii. W domu... nie miałam dobrej sytuacji. Ale nigdy nie sądziłam... – dodaje, jakby chciała się usprawiedliwić. – Nie myślałam, że skończę w takim miejscu jak to. Oni wiedzą, że nie pójdziemy na policję. Dziewczyny mówią, że jeden z naszych klientów, on jest policjantem. Kimś ważnym. Inne miejsca są zamykane, cały czas. Ale nie nasze miejsce.

– Możesz tego jakoś dowieść? – pyta Theo, poprawiając się na krześle.

Irina ogląda się przez ramię i jeszcze bardziej ścisza głos.

– Zrobiłam zdjęcia – mówi, kiwając głową. – Tego człowieka, który podobno jest policjantem.

– Masz je przy sobie? – pyta Theo z ożywieniem.

– Zabierają nam telefony. Ale kiedy zaczęłam rozmawiać z Benem, dał mi aparat fotograficzny. Miałam go dać twojemu bratu. – Wahanie. Spogląda to na nas, to na okna. – Chcę więcej pieniędzy – mówi.

Obie spoglądamy na Theo, czekamy, aż wygrzebie kolejne banknoty z kieszeni i położy je na stole.

Dziewczyna grzebie w kieszeni kurtki i wyciąga coś, w zaciśniętej mocno pięści, z pobielałymi knykциями. Bardzo ostrożnie, jakby obchodziła się z materiałem wybuchowym, kładzie na stole kartę pamięci i przesuwają ją w moim kierunku.

– To nie są dobre zdjęcia. Musiałam bardzo uważać. Ale myślę, że wystarczy.

– Dobrze. – Theo wyciąga rękę po kartę.

– Nie. – Irina spogląda na mnie. – Nie on. Ty.

– Dziękuję. – Wkładam kartę do kieszeni kurtki. – Przykro mi. – Nagle wydaje mi się ważne, żeby to powiedzieć. – Przykro mi, że coś takiego ci się przytrafiło.

Irina wzrusza ramionami i się kuli.

– Może jest lepiej niż przy innych rzeczach. Rozumiesz? Przynajmniej nie zabiją człowieka na końcu alejki albo w Bois de Boulogne, albo nie zgwałcą w jakimś samochodzie. Mamy więcej kontroli. Czasami oni kupują nam prezenty, żebyśmy czuły się dobrze. Niektóre dziewczyny dostają ładne ubrania, biżuterię. Niektóre chodzą na randki, zostają ich kobietami. Wszyscy są zadowoleni.

Tylko że ona nie wygląda na szczęśliwą.

– Jest nawet jedna historia... – Nachyliła się bliżej, ścisza głos.

– Jaka? – pyta Theo.

– Że żona właściciela jest stamtąd.

Wpatruję się w nią.

– Co? Znaczy z klubu?

– Tak. Podobno była jedną z dziewczyn. Czyli dla niektórych wyszło dobrze.

Próbuję to jakoś ogarnąć. Sophie Meunier? Diamentowe kolczyki, jedwabne koszule, zimny wzrok, mieszkanie w penthousie i poczucie, że jest lepsza od wszystkich innych... była jedną z tych panienek? prostytutką?

– Ale nie wszystkie mają bogatych mężów. Niektórzy nie chcą nic zakładać. Albo zdejmują to, kiedy się nie patrzy. Niektóre dziewczyny chorują, no wiecie.

– Masz na myśli choroby weneryczne? – pytam.

– Tak. Ja też coś złapałam – dodaje cichutko i krzywi się z odrazy i zażenowania. – Od tego czasu wiedziałam, że muszę uciec. A niektóre dziewczyny zachodzą w ciążę, tak też się zdarza. O tym też krąży historia, o dziewczynie, dawno, dawno temu... może to tylko plotka. Podobno zaszła w ciążę i chciała zatrzymać dziecko albo może było za późno czy jak... W każdym razie, kiedy zaczęła... – Udaje, że składa się z bólu.

– Rodzić?

– Tak. Wtedy przyszła do klubu, bo nie miała gdzie iść. Kiedy się jest tu nielegalnie, człowiek boi się iść do szpitala. Miała dziecko w klubie, ale podobno to był zły poród. Za dużo krwi. Zabrali jej ciało... nikt nie wie, że istniała. Nie ma problemu. Bo nie była tu oficjalnie.

Jezusie Chrystusie.

– Powiedziałaś to wszystko Benowi? – pytam.

– Tak. Obiecał, że zapewni mi bezpieczeństwo. Pomoże mi. Da nowy start. Mówię po angielsku. Jestem sprytna. Chcę normalną pracę. Kelnerowanie czy coś takiego. Bo ja... – Głos nagle jej drży. Przykłada dłoń do oczu, w których widzę łzy. Ociera je nasadą dłoni, niemal gniewnie, jakby nie miała czasu na płkanie. – Nie po to przyjechałam do tego kraju. Chciałam mieć nowe życie.

I mimo że ja sama nigdy nie płaczę, czuję, że oczy zaczynają mnie dziwnie piec. Rozumiem ją. Każda kobieta zasługuje na szansę nowego życia.

Mimi

Czwarte piętro

Siedzę na łóżku, wpatrując się w ciemne mieszkanie i wspominając. Trzy dni temu przeczytałam na jego laptopie o miejscu z zamkniętym pokojem. O tym, co zdarzyło się w tym pokoju. O kobietach. O mężczyznach.

O tym, w jaki sposób było – jest – związane z tym miejscem. Z tą rodziną.

Poczułam, że zbiera mi się na wymioty. To nie może być prawda – to, co napisał. Ale wymienił nazwiska. Szczegóły. Tak wiele okropnych szczegółów. I papa...

Nie. To nieprawda. Nie chcę w to wierzyć. To wszystko jakieś kłamstwa...

A potem zobaczyłam moje własne imię, tak jak w notesie. Tylko wtedy czułam podniecenie, a teraz na jego widok wypełnił mnie strach. W jakiś sposób ja również byłam związana z tamtym miejscem. Mój starszy brat przyrodni powiedział wiele okropnych rzeczy. Zawsze sądziłam, że to stek przypadkowych zniewag. Teraz nie byłam już pewna. Nie sądziłam, że zdołam to przeczytać, ale wiedziałam, że muszę.

To, co zobaczyłam potem... Poczułam, że całe moje życie rozpada się na kawałki. Jeżeli to była prawda, wyjaśniało, dlaczego zawsze czułam się outsiderką; dlaczego papa traktował mnie w taki, a nie inny sposób – tak naprawdę nie byłam ich córką. Więcej: znalazłam coś o mojej prawdziwej matce, ale nie mogłam tego przeczytać, bo oczy zamgłyły mi się od łez.

Zastygłam. Potem usłyszałam kroki na zewnątrz, zbliżające się do drzwi. Merde. Zamknęłam szybko laptop. Ktoś przekręcał klucz w zamku. Ben wrócił.

O Boże, nie mogłam mu w tej chwili spojrzeć w oczy. Nie teraz. Nie w ten sposób. Wszystko między nami się zmieniło, pogorszyło. Wszystko, w co wierzyłam, rozpadło się na kawałeczki. Wszystko, co do tej pory wiedziałam, było kłamstwem. Nie wiedziałam już nawet, kim tak naprawdę jestem.

Pobiegłam do sypialni. Nie miałam czasu... szafa. Otworzyłam drzwi, wślizgnęłam się do środka i przycupnęłam w ciemności.

Słyszałam, jak nastawia gramofon w sąsiednim pokoju. Z głośników popłynęła muzyka, dokładnie taka, jaką słyszałam każdej gorącej letniej nocy, płynącą przez dziedziniec. Zupełnie jakby grał tę melodię dla mnie.

Czułam, że serce mi pęka.

To nie mogła być prawda. To nie mogła być prawda.

Poprzez świszczący dźwięk mojego oddechu słyszałam, jak Ben wchodzi do środka. Widziałam go przez dziurkę od klucza, poruszającego się po dużym pokoju. Ściągnął sweter, odsłaniając brzuch i linię włosów, którą dostrzegłam już pierwszego dnia. Pomyślałam o tej dziewczynie, którą wtedy byłam, obserwującej go z balkonu. Nienawidziłam jej za to, że była taką tępą małą idiotką. Rozpieszczoną gówniarą. Myślała, że ma problemy. Nie miała pojęcia. Jednocześnie opłakiwałam jej odejście, wiedząc, że nigdy nie będę mogła do niej wrócić.

Ben podszedł do szafy (skrzywiłam się z przerażenia w ciemnościach), ale potem oddalił się w stronę łazienki. Teraz jedyne, czego chciałam, to wydostać się stąd. To był mój moment. Otworzyłam drzwi do szafy. Słyszałam Bena chodzącego po łazience, otwierającego drzwi do kabiny prysznicowej. Na paluszkach zaczęłam skradać się w kierunku wyjścia, tak cicho, jak tylko potrafiłam. Nagle rozległo się pukanie do drzwi mieszkania. Putain.

Uciekłam z powrotem do szafy, kucając w ciemności.

Usłyszałam wyłączany prysznic, Bena podchodzącego do drzwi i witającego osobę, która czekała przy drzwiach.

A potem usłyszałam głos tej osoby. Poznałam go od razu – oczywiście, że tak. Rozmawiali przez chwilę, ale nie słyszałam o czym. Uchyliłam nieco drzwi do szafy, nasłuchując.

Zbliżali się do sypialni. Dlaczego? Co zamierzali tu robić? Dlaczego tych dwoje tutaj przyszło? Widziałam ich przez dziurkę od klucza. Nawet mimo ograniczonego pola widzenia było oczywiste, że w ich mowie ciała jest coś dziwnego – coś, czego nie rozumiałam.

A potem stało się. Widziałam, jak poruszają się razem, jak ich usta się spotykają. Wszystko działo się jakby na zwolnionym filmie. Wbiłam paznokcie w dłonie mocno, prawie do krwi. To nie mogło się dziać. To nie mogło być prawdziwe. Opadłam na dno ciemności, wpychając pięść do ust, wbijając zęby w knykcie, żeby powstrzymać się od krzyku.

Kilka chwil później usłyszałam ponownie uruchamiany prysznic. Poszli do łazienki, zamykając za sobą drzwi. To moja kolejna szansa. Nie obchodziło mnie ryzyko, że mogli mnie przyłapać. Teraz nic nie liczyło się bardziej jak ucieczka stąd. Uciekałam, jakby zależało od tego moje życie.

Po powrocie do mojego pokoju, w moim mieszkaniu, rozpadłam się całkowicie. Szlochałam tak rozpaczliwie, że nie mogłam oddychać. Ból był nie do zniesienia, zbyt wielki. Pomyślałam o wszystkich planach, które miałam dla nas dwojga. Wiedziałam, że on również poczuł tę bliskość, wtedy, tamtej nocy w parku. A teraz wszystko zniszczył, zaprzepaścił.

Wyciągnęłam namalowane przeze mnie jego portrety i zmusiłam się do spojrzenia na nie. Żalność zmieniła się we wściekłość. Pieprzony skurwieli. Pieprzony zakłamany fils de pute. Wszystkie te okropne, wynaturzone, kłamliwe słowa na jego komputerze. A potem on i maman, razem, w taki sposób...

Opanowałam się, przypomniałam sobie, co przeczytałam na komputerze. Nazywałam ją maman, ale po wszystkim, co dziś zobaczyłam, nie byłam pewna, kim tak naprawdę dla mnie jest...

Nie, nie byłam w stanie o tym myśleć. Nie chciałam, nie potrafiłam w to uwierzyć. To było zbyt bolesne. Mogłam skoncentrować się wyłącznie na gniewie – on był czysty, nieskomplikowany. Wyciągnęłam nóż do cięcia płótna, tak ostry, że można się nim było skaleczyć, dotykając skóry na kciuku. Przyłożyłam go do pierwszego obrazu i rozciąłam płótno. Przez cały czas miałam wrażenie, że Ben spogląda na mnie tymi swoimi pięknymi oczami, pytając, co robię. Dlatego wycięłam w nich dziury, żeby ich nie widzieć. A potem zaczęłam niszczyć kolejne obrazy. Odgłosy rozdieranego płótna sprawiały mi niebywałą przyjemność. Szarpałam obrazy palcami, rozdierałam na strzępy tkaninę, na której utrwaliałam jego twarz i ciało.

Po wszystkim stanęłam, dygocząc.

Spojrzałam na pobożowisko, którego autorką się stałam – na jego brutalność. Wiedziałam, że spowodowała je gwałtowność, która tkwiła we mnie. Miałam wrażenie, że przeszył mnie prąd. Był to trochę strach, a trochę podniecenie. Jednak wszystko to nie wystarczyło.

Wiedziałam, co muszę zrobić.

Jess

– Muszę już iść – mówi Irina, zerkając nerwowo na ciemną, pustą ulicę za oknami. – Rozmawiamy już za długo.

Czuję się nieswojo na myśl o wypuszczeniu jej samotnie do miasta. Jest taka młoda i bezbronna.

– Poradzisz sobie? – pytam. Spogląda na mnie wymownie: Dawałam sobie radę przez długi czas, kochaniutka. Ufam, że potrafię robić to lepiej niż ktokolwiek inny. Kiedy wychodzi, widzę w jej postawie dumę, godność. Trzyma się wyprostowana – cóż, jest w końcu tancerką.

Myślę o tym, że Ben obiecał się nią zająć. Ja również mogłabym złożyć dużo obietnic, ale nie wiem, czy będę je w stanie spełnić. Nie chcę jej kłamać. Składałam jednak przyrzeczenie przed samą sobą, że jeśli znajdę sposób, dotrzymam słowa w imieniu mojego brata.

Kierujemy się z Theo na stację metra. W drodze przypominam sobie wszystko, co powiedziała nam Irina. Czy wszyscy o tym wiedzą? Członkowie rodziny? Nawet „miły facet” Nick? Na samą myśl czuję mdłości. Myślę o tym, jak powiedział mi, że aktualnie szuka pracy, i o tym, że nie wyglądał, jakby było to dla niego ważne. Przypuszczam, że to normalne, jeśli ktoś nie potrzebuje zarabiać, bo jego styl życia jest opłacany dzięki grupie dziewcząt sprzedających się bogatym klientom.

A jeśli rodzina Meunierów dowiedziała się, że Ben poznał prawdę o La Petite Mort, co mogli zrobić, żeby zapobiec wydostaniu się takiego sekretu na światło dzienne?

Spoglądam na Theo.

– Jeżeli historia Bena została opublikowana, policja musiałaby zareagować, prawda? Niezależnie od tego, jak wysoko Meunierowie mają kontakty. Z pewnością pojawiłby się nacisk ze strony opinii publicznej.

Theo kiwa głową, ale wydaje się nie słuchać.

– A więc rzeczywiście na coś wpadł – mruczy szybko, niemal do siebie. Nie przypomina zwyczajowego sardonicznego, powściągliwego siebie.

Wydaje się... nie umiem dokładnie tego określić. Podekscytowany? Zerkam na niego.

– To będzie sensacyjny materiał – ciągnie. – Poważna sprawa. Naprawdę duża. Zwłaszcza jeśli są w to zamieszani oficjale z rządu. To taki klub prezydentów, tylko dużo bardziej złowrogi. Tego typu reportaże zdobywają nagrody...

Zatrzymuję się jak wryta.

– Czy ty sobie żartujesz? – Czuję pulsujący we mnie gniew. – Czy w ogóle obchodzi cię Ben? – Wpatruję się w niego. – Nie obchodzi cię, prawda?

Theo otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ja nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej.

– Ech, wiesz co? Pieprz się.

Oddalam się od niego tak szybko, jak jestem w stanie w tych idiotycznych butach na obcasach. Nie jestem do końca pewna, dokąd zmierzam, a mój głupi telefon wykorzystał już cały dostęp do internetu. Nie szkodzi. Jakoś sobie poradzę. Lepsze to niż przebywanie choćby o sekundę dłużej w jego towarzystwie.

– Jess! – woła za mną Theo.

Zaczynam truchtać. Skręcam w lewo, w kolejną ulicę. Przestaję go słyszeć, dzięki Bogu. Myślę, że powinnam iść tędy. Problem w tym, że wszystkie te główniane sklepy z telefonią wyglądają dokładnie tak samo. Skądś, nie wiem skąd, dochodzi mnie dziwny gryzący zapach, jak płonącego plastiku.

Co za skurwiel. Chyba płaczę. Do cholery, dlaczego płaczę? Od początku wiedziałam, że nie mogę ufać Theo; podejrzewałam od pierwszego spotkania, że miał w tym wszystkim ukryty interes, dlatego jego dzisiejsze oświadczenie nie było tak naprawdę zaskoczeniem. Pewnie to nie przez niego, ale generalnie przez stres kilku ostatnich dni. Albo może to z powodu Iriny, horroru wszystkiego, czego się dowiedziałam, chociaż w pewnym sensie spodziewałam się tego. Miałam po prostu nadzieję, że się mylę, ten jeden raz.

A teraz znów jestem sama. Jak zwykle.

Skręcam w nową ulicę. Waham się. Chyba nie rozpoznaję tego miejsca, ale w tym mieście wszędzie są stacje metra. Jeśli pójde dalej, jestem pewna, że jakąś znajdę. Głowę mam pełną gniewnych myśli, ale słyszę jakieś hałasy w pobliżu. Ktoś krzyczy, pohukuje... może to jakaś zabawa

uliczna? Może powinnam ruszyć w tamtą stronę, zwłaszcza że właśnie dostrzegłam samotnego mężczyznę zmierzającego w moim kierunku z drugiego końca ulicy. Dłonie ma schowane w kieszeniach i jestem pewna, że jest w porządku, ale nie chcę się o tym przekonywać.

Odwracam się i ruszam w kierunku hałasu. Zdecydowanie zbyt późno orientuję się, że nie jest to żadna zabawa uliczna. Widzę zbliżającą się w moim kierunku masę ludzką – niektórzy mają kominiarki i okulary do pływania albo gogle narciarskie. W powietrzu unoszą się ogromne kłęby czarnego dymu. Słyszę wrzaski, paniczne krzyki, odgłos uderzania czegoś o metal.

Uderza we mnie fala gorąca i na samym środku ulicy widzę pożar: płomienie są tak wysokie, że sięgają drugiego piętra pobliskich budynków. W epicentrum dostrzegam poczerniały szkielet policyjnej budy, która została przewrócona na bok i podpalona.

Policja zbliża się do protestantów, wyposażona w kamizelki kuloodporne, kaski, plastikowe wizjery. Wymachują pałkami, które wydają dziwny trzask, uderzając w przeszkodę. Z czarnym dymem miesza się również inny – szarawy, rozchodzący się w różnych kierunkach, w tym również w moim. Przez chwilę stoję jak wryta, gapiąc się na całą tę scenkę. Ludzie biegną w moim kierunku, omijają mnie. Przepychają się, krzyczą zdesperowani, zasłaniając twarz chustkami i koszulkami. Jeden z mężczyzn przebiegając obok, odwraca się i rzuca coś – butelkę? – w kierunku nadchodzącej policji.

Odwracam się i podążam za tłumem, próbuję biec, ale wokół mnie jest zbyt dużo ludzi. Szary dym dociera do mnie, wiruje w powietrzu wszędzie dookoła. Zaczynam kaszleć i nie mogę przestać. Mam wrażenie, że się dławię. Oczy mnie pieką i łzawią tak bardzo, że mało co widzę. Nagle z impetem zderzam się z kimś, kto z jakiegoś powodu stał nieruchomo w samym środku spanikowanego biegnącego tłumu. Odbijam się od tej osoby i zataczam do tyłu. Spoglądam na nią, mrużąc załzawione oczy.

– Theo!

Chwyta mnie za rękaw kurtki i przyciąga do siebie. Zaciskam dłoń na jego ramieniu i razem odwracamy się i zaczynamy uciekać, na poły biegnąc, na poły zataczając się, kaszląc i dysząc ciężko. Jakimś cudem znajdujemy boczną uliczkę i udaje się nam odłączyć od rozpędzonego strumienia ludzi.

Kilka minut później wpadamy do jakiegoś baru. Oczy nadal mnie pieką. Spoglądam na Theo – jego również są zaczerwienione.

– Gaz łzawiący – mówi, ocierając je przedramieniem. – Cholera.

Ludzie siedzący na stołkach barowych odwracają się i gapią na nas.

– Musimy wypłukać to z oczu – mówi Theo. – Jak najszybciej.

Barman bez słowa wskazuje właściwe pomieszczenie, dość sporą łazienkę. Odkręcamy kurek i opryskujemy twarz, nachylając się razem nad małą umywalką. Słyszę chrapliwy oddech, ale nie wiem, czy to mój, czy jego.

Mrugam. Woda trochę pomogła i oczy przestają mnie aż tak szczypać. Mój puls powoli wraca do normalności i nagle przypominam sobie, że przecież nie życzę sobie towarzystwa tego człowieka. Wyciągam rękę i zaczynam szukać drzwi.

– Jess – zaczyna mówić Theo. – O tym wcześniej...

– Nie. Nie chcę. Odpieprz się.

– Proszę, wysłuchaj mnie. – Przynajmniej wygląda na trochę zawstydzonego. Unosi rękę i ociera oczy. To, że gaz łzawiący sprawił, iż wygląda jak zapłakany, sprawia dziwne wrażenie. Zaczyna mówić, szybko, jakby chciał wyrzucić wszystko z siebie, zanim mu przerwę:

– Proszę, pozwól mi wyjaśnić. Posłuchaj, nasza praca jest naprawdę koszmarna, zarabia się grosze, doprowadziła do rozpadu mojego ostatniego związku, ale od czasu do czasu trafia się coś takiego, jak ta historia, człowiek może ujawnić działania złych ludzi i nagle wszystko wydaje się warte poświęceń. Tak, zdaję sobie sprawę, że to nie jest wytłumaczenie. Poniosło mnie i przepraszam cię za to.

Wbijam wzrok w podłogę i krzyżuję ręce na piersiach.

– Prawdę mówiąc, to nie, nigdy nie obchodził mnie specjalnie twój brat. Jedną z kluczowych umiejętności dziennikarza jest zdolność czytania ludzi. Jeśli mogę być teraz naprawdę brutalnie szczery, Ben zawsze wydawał się zainteresowany wyłącznie sobą samym. Zawsze dbał o numero uno.

– Jak śmiesz... – Nienawidzę go za to, co powiedział, częściowo dlatego, że w głębi duszy podejrzewam, że ma rację.

– Nie, nie, pozwól mi mówić. Kiedy po raz pierwszy opowiedział mi o swoim sensacyjnym odkryciu, byłem sceptyczny. Ben często próbuje sprzedać jakieś gówniane historyjki, nie? Ale kiedy odsłuchałem tę wiadomość, którą ci zostawił, pomyślałem: hmm, rzeczywiście coś może być w tej historii. Może Ben wplątał się w jakąś paskudną sytuację. Warto

byłoby zobaczyć, dokąd wiodą te wszystkie tropy. I faktycznie, nie obchodził mnie twój brat, ale wiesz co, Jess? Chcę ci pomóc.

– Och pie...

– Nie, posłuchaj. Chcę pomóc tobie, bo uważam, że zasłużyłaś na jakąś zmianę. Poza tym myślę, że jesteś cholernie odważna i że jesteś autentycznie dobrą osobą.

– Ha! W takim razie w ogóle mnie nie znasz.

– Chryste, a czy ktokolwiek w ogóle kogokolwiek zna? Ale ja też nie jestem złym człowiekiem, Jess. Szczerze mówiąc, nie jestem również dobry, ale... – Kaszle i spuszcza wzrok.

Zerkam na niego. Próbuje coś kręcić? Oczy znów zaczęły mi łzawić, a bardzo nie chcę, żeby pomyślał, że płaczę.

– O matko. – Krzywię się, pocierając oczy.

Podchodzi do mnie.

– Hej, mogę spojrzeć?

Wzruszam ramionami.

Wyciąga rękę i unosi lekko moją twarz.

– Tak, nadal są bardzo czerwone, ale myślę, że nie nawdychaliśmy się dużych ilości, dzięki Bogu. Wkrótce powinno przestać boleć.

Jego twarz jest blisko mojej. Nie wiem, w jaki sposób się to dzieje, ale w jednej chwili ujmuje dłońmi moją twarz, zaskakująco delikatnie, i wpatruje się we mnie, a w drugiej ja zaczynam go całować. Smakuje papierosami i winem z klubu. I nagle wydaje mi się, że to jeden z najlepszych smaków, jaki jestem sobie w stanie wyobrazić. Theo jest dużo wyższy ode mnie, więc muszę porządnie odgiąć szyję, ale nic mnie to nie obchodzi. W zasadzie to nawet podoba mi się to, bo cała sytuacja jest seksowna, cholernie podniecająca, a jednocześnie niewłaściwa z mnóstwa powodów, z których najmniej ważnym jest ten, że mam na sobie sukienkę jego byłej dziewczyny.

I chociaż jest dużo większy ode mnie, to ja popycham go na umywalkę, a on na to pozwala. Jedną z jego dużych dłoni wsuwa się w moje włosy. Biorę go za drugą i wsuwam ją pod tę idiotyczną krótką sukienkę. Dopiero w tej chwili przypominamy sobie, że w zasadzie chyba powinniśmy zamknąć drzwi.

Sophie

Penthouse

Wszyscy już wyszli. Wysłałam Mimi do jej mieszkania, żeby zaczekała. Nie chcę, żeby była świadkiem tego, co się wydarzy. Moja córka jest bardzo krucha, podobnie jak nasza relacja. Musimy znaleźć nowy sposób na bycie razem.

Wchodzę do łazienki i spoglądam na swoje odbicie, chwytając brzegi umywalki. Wyglądam blado, mizernie, zdecydowanie wychodzi ze mnie moje pięćdziesiąt lat życia. Gdyby Jacques to widział, byłby zbulwersowany. Przyglądam włosy, spryskuję się perfumami za uszami i na nadgarstkach. Pudrem matuję lśniąca czoło, a potem nakładam na usta szminkę. Ręka drży mi tylko raz, poza tym jestem tak precyzyjna jak zawsze.

Wracam do dużego pokoju. Butelka wina nadal stoi na stole. Wypiję jeszcze jeden kieliszek, żeby łatwiej mi było myśleć...

Drgam, nagle zdając sobie sprawę, że nie jestem sama. Antoine stoi przy wielkich oknach, obserwując mnie, groźny, nienawistny. Musiał zostać, kiedy pozostała dwójka wyszła.

– Co ty tu robisz? – Próbuję panować nad moim głosem, chociaż mój puls szaleje, a serce podchodzi mi do gardła.

Robi krok w przód, stając w świetle lamp. Ślad na policzku po uderzeniu nadal jest ciemnoróżowy. Nie jestem dumna z tego, że straciłam opanowanie. Nie zdarza się to często; stałam się mistrzynią w utrzymywaniu emocji na wodzy. Jednak od czasu do czasu, kiedy prowokacja jest zbyt trudna do zniesienia, tracę wszelkie wyczucie proporcji. Wściekłość przejmuje nade mną władanie.

– Świetnie się bawiłem – mówi, podchodząc jeszcze bliżej.

– Czym się bawiłeś?

– Och. – Uśmiecha się jak szaleniec. – Chyba musiałaś się już domyślić? Po całej tej sprawie z fotografią w gabinecie papy? Na pewno wiesz. Zostawianie wszystkich tych liścików dla ciebie w skrzynce pocztowej, pod drzwiami. Czekać na gotówkę. Naprawdę bardzo mi się podobało, jak

elegancko pakowałaś pieniądze. Te śliczne kremowe koperty. Bardzo dyskretne.

Wpatruję się w niego i mam wrażenie, że cały świat nagle stanął na głowie.

– Ty? To od początku byłeś ty?

Udaje, że się kłania.

– Dziwisz się, że wszystkiego się domyśliłem? Taki „bezużyteczny kwiatek doniczkowy” jak ja? Nawet udało mi się zachować to wszystko w tajemnicy... aż do tej pory. Nie chciałem, żeby mój kochany braciszek zapragnął również się na tym wzbogacić. Bo jak doskonale wiesz, jest dokładnie taką samą, jak to się wyraziłaś?, pijawką jak ja. Tyle że jest również większym hipokrytą, jeśli chodzi o te sprawy. Lepiej się ukrywa.

– Nie potrzebujesz pieniędzy – mówię. – Twój ojciec...

– Tak tylko myślisz. Tylko że widzisz, już kilka tygodni temu miałem podejrzenia, że Dominique będzie chciała mnie zostawić. Tak jak podejrzewałem, próbuje mnie obedrzeć ze wszystkiego, co mam. Zawsze była chciwą małą suką. A nasz kochany papa jest wkurwiająco skąpy. Dlatego chciałem zdobyć trochę dodatkowej gotówki, rozumiesz? Żeby sobie odłożyć na później.

– Czy Jacques ci powiedział?

– Nie, nie. Sam wszystkiego się domyśliłem. Znalazłem dokumenty. Papa zawsze wszystko skrzętnie zapisuje, wiedziałaś o tym? Informacje dotyczące nie tylko klientów, ale i dziewcząt. Zawsze miałem co do ciebie podejrzenia, ale potrzebowałem dowodu. Zacząłem więc grzebać w archiwach i znalazłem dokumentację dotyczącą niejakiej Sofii Wołkowej, która „pracowała” – zakreśla w powietrzu cudzysłów – w klubie niemal trzydzieści lat temu.

To nazwisko. Ale Sofia Wołkowa już nie istnieje. Zostawiłam ją tam, zamknęłam w tamtym miejscu, ze schodami prowadzącymi głęboko pod ziemię, z aksamitnymi ścianami i zamykanym na klucz pokojem.

– W każdym razie – ciągnie Antoine. – Jestem bardziej kumaty, niż o mnie myślą. – Znów prezentuje uśmiech szaleńca. – Ale ty doskonale o tym wiesz, prawda?

Jess

Idziemy razem z Theo na stację metra. Zabawne, jak po przespaniu się z kimś (choć to, co przed chwilą zrobiliśmy, oparci o umywalkę, nie kwalifikuje się jako „spanie”) człowiek nagle robi się tak onieśmielony i niepewny, co powiedzieć tej drugiej osobie. Czuję się jak idiotka, myślę o czasie, który właśnie zmarnowaliśmy (nawet jeśli obojgu nam poszło dość szybko). Jednocześnie mam wrażenie, jakby przydarzyło się to komuś innemu – zwłaszcza teraz, kiedy przebrałam się z powrotem w swoje zwykłe ciuchy.

Theo spogląda na mnie poważnie.

– Jess. Nie możesz tam wrócić, wiesz o tym, prawda? Ładowanie się prosto w paszczę lwa? Musiałabyś być szalona. – Z jego głosu zniknęła już zwykła leniwa ironia, a pojawiła się dziwna miękkość. – Nie odbieraj tego w zły sposób, ale wydajesz mi się osobą, która potrafi być trochę... nierozważna. Wiem, że najprawdopodobniej uważasz, iż to jedyny sposób, w jaki możesz pomóc Benowi, i naprawdę, to godne podziwu...

– Godne podziwu? – Wpatruję się w niego. – Nie próbuję tutaj wygrać jakiejś pieprzonej nagrody szkolnej. Ben jest moim bratem, dosłownie jedyną rodziną, jaką mam na całym świecie.

– OK. – Theo unosi dłonie w geście poddania. – To nie było odpowiednie słowo. Tak czy owak, to naprawdę zbyt niebezpieczne. Może pojedziemy do mnie? Mam kanapę. Nadal zostaniesz w Paryżu, będziesz mogła szukać Bena. Możesz porozmawiać z policją.

– Co, z tą samą policją, która podobno wie o istnieniu tego miejsca i nigdy nic z tym nie zrobiła? Tą samą policją, która może brać udział w całym procederze? Jasne, to dopiero by mi pomogło!

Schodzimy w dół na peron metra. Jest niemal całkowicie pusty – widać tylko jakiegoś pijaka po drugiej stronie torów, śpiewającego coś do siebie. Słyszę głuchy stukot zbliżającego się pociągu, czuję drgania pod obojczykiem.

Nagle mam wrażenie, że coś jest bardzo nie w porządku, chociaż nie mam pojęcia co. To przeczucie, szósty zmysł. Potem słyszę coś jeszcze;

stukot biegnących stóp. Kilku par biegnących stóp.

– Theo – zaczynam. – Posłuchaj, myślę...

Zanim jednak jestem w stanie dokończyć, zaczyna się rozróżba. Czterech masywnych facetów przewraca i przydusza Theo do ziemi. Orientuję się, że wszyscy są w mundurach – policyjnych mundurach. Jeden z nich triumfalnie unosi w górę torebkę pełną białego proszku.

– To nie moje! – krzyczy Theo. – Podłożyliście mi to, wy skurwy...

Reszta słów jest stłumiona i zastąpiona jękiem bólu, kiedy jeden z policjantów uderza jego twarzą o ścianę, a drugi zakłada mu kajdanki z tyłu. Pociąg wjeżdża na peron. Ludzie z najbliższego nas wagonu gapią się na wszystko zza okien.

Potem widzę, jak na schodach pojawia się kolejny mężczyzna. Podchodzi do nas – jest starszy i ma na sobie elegancki garnitur oraz równie eleganckie szare palto. Krótko przycięte stalowoszare włosy, twarz pitbulla – znam go. To gość, z którym Nick rozmawiał na posterunku policji. Komisarz Blanchot.

Myślę intensywnie i kojarzę jeszcze coś: osoba, którą, jak mi się wydawało, rozpoznałam wśród publiczności klubu, tuż przed zgaśnięciem świateł – to był on. Musiał nas śledzić przez całą noc.

Dwóch policjantów, którzy nie są zajęci trzymaniem Theo, rusza w moim kierunku. Przyszła kolej na mnie. Wiem, że mam tylko kilka sekund. Drzwi pociągu otwierają się i nagle z wnętrza wylewa się tłum manifestantów, z transparentami i prowizoryczną bronią.

Theo odwraca głowę w moim kierunku.

– Jess – woła. Rozcięta warga sprawia, że bełkocze. – Wskakuj do pociągu.

Policjant stojący za nim wbija kolano w jego plecy. Theo opada z bólu na podłogę peronu.

Waham się. Nie mogę go tutaj tak po prostu zostawić...

– Wsiadaj do pieprzonego pociągu, Jess. Poradzę sobie. I nie waz się tam wracać.

Stojący najbliżej policjant rzuca się w moim kierunku. Odsuwam się mu szybko z drogi, a potem odwracam się i zaczynam się przepychać przez tłum wypływający z pociągu. Wskakuję do wagonu na chwilę przed zamknięciem drzwi.

Sophie

Penthouse

– Cóż, bardzo mi było miło pogawędzić, ale teraz poproszę moją kasę. – Antoine wyciąga rękę. – Pomyślałem, że zgłoszę się po nią osobiście, zwłaszcza że czekam od trzech dni. W przeszłości zawsze byłaś punktualna, taka skrupulatna. Dałem ci dodatkowy dzień ze względu na nadzwyczajne okoliczności, sama rozumiesz... ale nie mogę czekać w nieskończoność. Moja cierpliwość ma swoje granice.

– Nie mam pieniędzy – odpowiadam. – Zdobycie ich wcale nie jest takie łatwe, jak myślisz...

– A ja uważam, że jest cholernie łatwe. – Antoine wskazuje na mieszkanie. – Popatrz tylko na to miejsce.

Zdejmuję zegarek i wręczam go mu.

– W porządku. Weź to. Cartier Panthère. Powiem... powiem twojemu ojcu, że wysłałam go do naprawy.

– Och, mais non. – Unosi dłoń, udając, że się wzbrania. – Nie zamierzam sobie brudzić rąk. Jestem w końcu synem swojego ojca, przecież wiesz, prawda? Poproszę kolejną kremową kopertę z gotówką. To takie typowe dla ciebie, nie sądzisz? Elegancka fasada, a w środku tania, brudna rzeczywistość.

– Co ja takiego zrobiłam, że aż tak mnie nienawidzisz? – pytam. – Nie wyrzuciłam ci żadnej krzywdy.

Antoine wybucha śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę tego nie wiesz? – Nachyla się nieco bliżej i czuję smród alkoholu w jego oddechu. – Jesteś niczym, niczym w porównaniu z mamą. Ona pochodziła z jednej z najlepszych rodzin we Francji. Prawdziwa rodowodowa Francuzka, dumna, szlachetna. Wiesz, że rodzina sądzi, iż ojciec ją zabił? Najlepsi lekarze Paryża nie potrafili zdiagnozować, dlaczego tak bardzo choruje. A kiedy umarła, zastąpił ją tym – tobą? Szczerze mówiąc, nie potrzebowałem żadnych dokumentów. Od pierwszego spotkania wiedziałem, czym jesteś. Czuję ten zapach na tobie.

Mam ochotę znów wymierzyć mu policzek, ale nie pozwolę sobie na kolejną utratę opanowania.

– Twój ojciec będzie tobą ogromnie rozczarowany.

– Och, nie wyjeżdżaj mi tutaj z „rozczarowaniem”, dobra? Ojciec był mną rozczarowany od chwili, gdy wyłoniłem się z chatte mojej nieszczęsnej matki. Nie dał mi absolutnie nic, a przynajmniej nic, co nie byłoby związane z poczuciem winy i wzajemnym oskarżaniem się. Wszystko, co od niego otrzymałem, to miłość do pieniędzy i kompleks Edypa.

– Jeżeli dowie się o tym, że mi groziłeś... wydziedziczy cię.

– Tylko że wcale się o tym nie dowie, prawda? Nie możesz mu powiedzieć, bo właśnie w tym cały sęk. Nie może się zorientować, bo ja mam tak wiele do powiedzenia o innych rzeczach, które miały miejsce w tym mieszkaniu. – Udaje, że się zamyśla. – Jak idzie to powiedzenie? Quand le chat n'est pas là, les souris dansent... – Kota nie ma, myszy harczą. Wyciąga komórkę i macha nią przed moją twarzą. Na ekranie widzę numer telefonu do Jacques'a.

– Nie zrobiłbyś tego – mówię. – Wtedy nie dostałbyś swoich pieniędzy.

– No i właśnie w tym cały sęk. Jajko i kura, ma chère belle-mère. Zapłacisz, a ja będę milczał. A przecież nie chcesz tak naprawdę, żebym opowiedział to papie, prawda? O wszystkim, co jeszcze wiem?

Spogląda na mnie lubieżnie, tak jak wtedy, kiedy pewnego wieczoru wyszłam z mieszkania na trzecim piętrze, a on wychylił się z cienia spowijającego klatkę schodową. Zlustrował mnie wtedy od stóp do głów, jak żaden pasierb nie powinien patrzeć na swoją macochę.

– Twoja szminka, ma chère belle-mère – powiedział z nieprzyjemnym uśmiechem. – Jest rozmazana, o tutaj.

– Nie – mówię teraz do Antoine'a. – Nie zamierzam dawać ci więcej pieniędzy.

– Słucham? – Przykłada dłoń do ucha. – Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem.

– Nie, nie dostaniesz swoich pieniędzy. Nie zamierzam ci ich dać.

Marszczy czoło.

– Ale wtedy powiem wszystko ojcu. O tamtej sprawie też.

– Nie, nie powiesz. – Wiem, że poruszam się na niebezpiecznym terenie, ale nie mogę się powstrzymać. Muszę sprawdzić jego blef.

Kiwa głową powoli, jakbym była zbyt głupia, żeby go zrozumieć.

- Zapewniam cię, że absolutnie powiem.
 - Dobrze. W takim razie napisz do niego teraz.
- Niezrozumienie ściąga na chwilę jego twarz.
- Ty głupia cipo – wypluwa z siebie. – Co jest z tobą nie tak? – Ale nagle wydaje się niepewny, może nawet wystraszony.

Powiedziałam Benjaminowi Danielsowi o Sofii Wołkowej. To był mój najbardziej nierozważny akt – bardziej niż wszystko inne, co z nim robiłam. Tego popołudnia wzięliśmy razem prysznic. Ben umył mi włosy i być może ten prosty gest, w pewnym sensie dużo bardziej intymny niż seks, obudził coś we mnie. Ośmieliłam się opowiedzieć mu o kobiecie, którą, jak sądziłam, pozostawiłam za sobą w zamkniętym pokoju pod jedną z najlepszych ulic tego miasta. Nagle poczułam, że w jakiś sposób mam teraz większą kontrolę nad sytuacją. Kimkolwiek był mój szantażysta, nie będzie już miał wszystkich atutów. To ja teraz opowiadałam historię.

– Jacques wybrał mnie – powiedziałam. – Z całej grupy dziewcząt wybrał mnie.

– Oczywiście, że cię wybrał – odparł Ben, przesuwając palcem po moim nagim ramieniu.

Być może chciał mnie skomplementować, ale po tych wszystkich latach ja również rozumiałam, w czym tkwiła główna atrakcja dla mojego męża. Wolał mieć drugą żonę, przy której nigdy nie będzie się czuł gorszy, która pochodziła z tak niskiej warstwy społecznej, że zawsze miała być mu wdzięczna. Żona, którą mógł ukształtować tak, jak sobie zaplanował. A ja byłam przeszczęśliwa i z radością poddałam się obróbce. Chciałam zostać madame Sophie Meunier z jedwabnymi apaszkami i diamentowymi kolczykami. Mogłam wreszcie zostawić tamto miejsce za sobą, nie skończyć jak reszta – jak ta biedaczka, która urodziła moją córkę.

Tak przynajmniej myślałam, aż do chwili, gdy pierwszy list pokazał mi, że moja przeszłość wisi nade mną niczym miecz Damoklesa, gotowy w każdej chwili rozciąć iluzję, którą stworzyłam.

– Opowiedz mi o Mimi – mruknął Ben, z ustami na moim karku. – Nie jest twoją córką, prawda? Jak ona do tego wszystkiego pasuje?

Zastygłam. To był jego wielki błąd – słowa, które wreszcie wybiły mnie z transu. Teraz wiedziałam, że rozmawiał nie tylko ze mną. Zdałam sobie sprawę z mojej własnej głupoty. Byłam idiotką, samotną i słabą.

Odsłoniłam się przed tym mężczyzną, tym obcym człowiekiem; kimś, kogo nadal nie znałam, mimo chwil spędzonych razem. Z perspektywy czasu, być może nawet kiedy opowiadał mi o swoim dzieciństwie, wybierał je ostrożnie, modyfikował, nadal pozostając nieuchwytny, nieznany. Oferował mi skrawki informacji, wystarczające, żebym w podzięcie mu się zwierzyła. Był przecież dziennikarzem, na Boga. Jak mogłam być taka głupia. Opowiadając mu o wszystkim, przekazałam władzę w jego ręce. Nie tylko zaryzykowałam wszystko, co zbudowałam dla siebie, mój styl życia. Zaryzykowałam również przyszłość, jakiej chciałam dla mojej córki.

Wiedziałam, co muszę zrobić.

Dokładnie tak, jak wiem, co muszę zrobić w tej chwili.

Zbieram się w sobie i obdarzam Antoine'a moim najbardziej miażdżącym spojrzeniem. Może i jest ode mnie wyższy, ale czuję, że kurczy się w sobie. Myślę, że właśnie zrozumiał, że nie dam się dłużej wykorzystywać.

– Napisz do ojca albo nie – mówię. – Nie obchodzi mnie to. Tak czy owak, nie dostaniesz już ode mnie złamanego euro. Poza tym w tej chwili myślę, że mamy ważniejsze sprawy na głowie, nie sądzisz? Znasz zdanie Jacques'a na ten temat. Rodzina jest na pierwszym miejscu.

Jess

Wróciłam. Wróciłam na tę cichą ulicę pełną przepięknych budynków. Spływa na mnie znajome uczucie: reszta miasta, całego świata wydaje się być gdzieś daleko.

Wspominam słowa Theo: „Wydajesz mi się osobą, która potrafi być trochę... nierozważna”. Kiedy to powiedział, zezłościłam się, ale miał rację. Wiem, że jakąś część mnie ciągnie do niebezpieczeństwa, czasem nawet aktywnie go szukam.

Może to szaleństwo. Może gdyby Theo nie został przed chwilą aresztowany, pojechałabym z nim do jego mieszkania, zgodnie z sugestią, i przespała się na jego sofie. A może nie. W tej chwili jednak nie mam gdzie się podziać. Wiem, że nie mogę zgłosić się na policję. Wiem również, że jeśli chcę się dowiedzieć, co stało się z Benem, to miejsce jest moją jedyną opcją. Ten budynek kryje w sobie klucz do zagadki, jestem tego pewna. Nie znajdę żadnych odpowiedzi, uciekając.

Tamtego dnia, z mamą, też miałam przecucie. Przez cały poranek zachowywała się dziwnie. Była smętna, nieswoja. Miała rozmarzony uśmiech, jakby myślami była gdzieś indziej. Coś mi mówiło, że nie powinnam iść do szkoły, sfalszować zwolnienie, jak to robiłam nie raz. Ale mama nie była smutna ani przestraszona, tylko trochę wyłączona. Poza tym w szkole mieliśmy dzień sportu, a dawno temu byłam w tym dobra. Do tego było lato, a ja nie chciałam siedzieć z mamą, kiedy była w takim nastroju. Dlatego poszłam do szkoły i na kilka godzin zapomniałam o istnieniu mamy – o istnieniu wszystkiego, poza moimi przyjaciółmi, wyścigiem na trzech nogach, wyścigiem w workach i tego typu głupotami.

Kiedy wróciłam do domu za dziesięć szesnasta, wiedziałam, nawet jeszcze zanim weszłam do sypialni. Zanim sforsowałam zamek w drzwiach i wparowałam do środka. Myślę, że może zmieniła zdanie, przypomniała sobie, że ma dzieci, które potrzebują jej bardziej, niż ona potrzebuje odejść. Nie leżała bowiem spokojnie na łóżku, lecz na podłodze, jak ktoś, kto próbował czołgać się w kierunku drzwi.

Nigdy więcej nie zignoruję moich przecuć.

Jeżeli zrobili coś Benowi, najlepszą szansę na dowiedzenie się mam tutaj. Opłacana przez nich policja nie pomoże. Nikt poza mną się tym nie zajmie. Nie miałam tak naprawdę nic do stracenia. Jeśli już, odczuwałam dziwne przyciąganie z tego miejsca. Chciałam, jak to ujął Theo, wpakować się prosto w paszczę lwa. Kiedy to powiedział, uznałam, że był niezwykle melodramatyczny, ale teraz, kiedy stoję przed bramą i spoglądam na kryjący się za nią dom, czuję, że to prawda. To miejsce, ten budynek jest niczym jakaś ogromna istota, gotowa połknąć mnie w całości.

Kiedy wchodzę do apartamentowca, nie widzę nikogo, nawet konsjerżki. Wszystkie światła są zgaszone. Budynek wydaje się przerażająco cichy, tak jak tamtej nocy, kiedy się tu zjawiłam. Cóż, w końcu jest już późno. Tłumaczę sobie, że to tylko moja wyobraźnia nadaje tej ciszy złowróżbnej atmosfery, jakby dom czekał na mój powrót.

Ruszam w kierunku klatki schodowej. Dziwne. Coś przyciąga mój wzrok w półmroku. U stóp schodów leży sterta ubrań, rozrzucona na dywanie. Co one tu, do diabła, robią?

Sięgam do włącznika światła. Żarówki ozywają.

Spoglądam na kupkę starych ubrań i czuję ściskanie w dołku. Nadal nie widzę dokładnie, co to jest, ale wiem. W jakiś sposób wiem. Cokolwiek leży przy schodach, to coś bardzo złego. Coś, czego nie chcę zobaczyć. Podchodzę powoli, jakbym przedzierała się przez wodę. Opieram się, ale jednocześnie wiem, że muszę podejść, zobaczyć. Podchodząc bliżej, widzę wyraźniej solidny kształt zarysowany pod miękkim materiałem.

O mój Boże. Nie jestem pewna, czy wyszeptałam to, czy tylko pomyślałam. Widzę teraz z przerażającą jasnością, że to człowiek, leżący twarzą w dół, z rękami i nogami rozrzuconymi na kamiennej posadzce. Nie rusza się. Zdecydowanie się nie rusza.

Tylko nie to. Znowu to samo. Już przez to przechodziłam. Ciało przede mną, przerażająco nieruchome. O mój Boże, o mój Boże. Przed oczami zaczynają mi tańczyć ciemne punkciki. Oddychaj, Jess. Oddychaj. Wszystko we mnie chce krzyknąć, rzucić się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Zmuszam się do przykucnięcia. Istnieje szansa, że nadal żyje... Pochyliłam się, wyciągam rękę, dotykam jej ramienia.

Czuję, jak w gardle wzbierają mi wymioty, dławią mnie. Przełykam głośno. Odwracam konsjerżkę na plecy. Jej ciało porusza się, jakby było kupką ubrań. Jest zbyt podatne, bez czucia. Kilka godzin temu ostrzegła mnie, żebym zachowała ostrożność. Była przestraszona. A teraz...

Przykładam dwa palce do jej szyi, przekonana, że niczego nie poczuję.

A jednak – wydaje mi się, że coś wyczuwam. Czy to...? Tak, pulsowanie pod opuszkami moich palców – słabe, ale jednostajne. Nadal żyje, ale ledwie, ledwie.

Spoglądam w górę na schody i mieszkania. Wiem, że to nie był wypadek. Jedno z nich to zrobiło.

Jess

– Słyszysz mnie? – Chryste, nagle zdaję sobie sprawę, że nie znam nawet imienia tej kobiety. – Zadzwonię po karetkę.

To wszystko bez sensu. Jestem pewna, że mnie nie słyszy. Jednak widzę nagle, że jej usta zaczynają się rozchyłać, jakby chciała coś powiedzieć.

Sięgam do kieszeni po telefon.

I nie znajduję niczego. Kieszeń kurtki jest pusta. Co, do diabła...

Przeszukuję kieszenie dzinsów. Tam też nie ma telefonu. Wracam do kurtki – nadal go nie ma.

A potem przypominam sobie, że oddałam go odźwiernemu w klubie, ponieważ inaczej by nas nie wpuścił. Zostaliśmy wyrzuceni, zanim miałam szansę odzyskać telefon – nie wspominając o tym, że z całą pewnością by mi go nie oddał.

Zamykam oczy i oddycham głęboko. OK, Jess, myśl. Myśl. Wszystko jest w porządku. Wszystko w porządku. Nie potrzebujesz telefonu. Możesz wyjść na ulicę i poprosić kogoś, żeby zadzwonił po karetkę.

Otwieram drzwi, przebiegam przez dziedziniec do bramy, pociągam za klamkę... i nic. Pociągam mocniej, ale brama nie rusza się nawet na milimetr. Brama jest zablokowana, to jedyne wytłumaczenie. Zapewne ten sam mechanizm, który pozwala na otworzenie jej za pomocą kodu numerycznego, może również ją zamknąć na stałe. Próbuję myśleć racjonalnie, co jest dość trudne, ponieważ ogarnia mnie coraz większa panika. Brama jest jedyną drogą ucieczki z tego miejsca. Jeżeli ją zablokowano, oznacza to, że zostałam uwięziona w tym miejscu. Nie mam się jak wydostać.

Może będę w stanie wspiąć się na płot? Ale nie ma się tam czego chwycić ani na czym oprzeć nogi. Na szczycie zaś znajdują się kolce i fragmenty potłuczonego szkła, które pocięłyby mnie na strzępy, gdybym próbowała przedostać się na zewnątrz w ten sposób.

Wracam biegiem do budynku, na klatkę schodową.

Widzę, że konsjerżka zdołała usiąść, oparta plecami o ścianę w pobliżu schodów. Nawet w półmroku widzę duże rozcięcie na granicy włosów.

Pewnie uderzyła się w głowę, upadając na kamienną podłogę.

– Żadnej karetki – szepcze, potrząsając głową. – Żadnego pogotowia. Żadnej policji.

– Oszalałaś? Muszę zadzwonić... – Przerywam, bo kobieta spogląda nagle na klatkę schodową za moimi plecami. Odwracam się i widzę Nicka stojącego na pierwszym piętrze.

– Hej, Jess – mówi. – Musimy porozmawiać.

Nick

Drugie piętro

– Ty potworze – mówi. – To ty to zrobiłeś? Kim ty, do cholery, jesteś? Unoszę rękę do góry.

– To... to nie ja. Właśnie ją znalazłem.

Oczywiście, to musiał być Antoine. Posunął się za daleko, jak zwykle. To starsza kobieta, na litość boską. Żeby tak ją popchnąć...

– To musiał być... nieszczęśliwy wypadek. Posłuchaj, muszę ci wyjaśnić pewne rzeczy. Czy możemy porozmawiać?

– Nie – odpowiada. – Nie, nie chcę tego robić, Nick.

– Proszę, Jess. Błagam. Musisz mi zaufać. – Nie mogę jej zdenerwować, nie mogę się spieszyć. Nie chcę zrobić czegoś, czego będę potem żałował. Nadal nie jestem pewien, czy rzeczywiście nie ma przy sobie telefonu.

– Zaufać ci? Tak jak zaufałam ci wcześniej? Kiedy zabrałeś mnie do tego szemranego gliny? Kiedy ukryłeś przede mną fakt, że należysz do tej rodziny?

– Posłuchaj, wszystko ci mogę wytłumaczyć, tylko... Chodź ze mną. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Naprawdę nie chcę, żeby komukolwiek jeszcze stała się krzywda.

– Co? – Wskazuje na konsjerżkę. – Tak jak jej? I Benowi? Co zrobiłeś z Benem? On jest twoim przyjacielem, Nick.

– Nie! – krzyczę. Próbowałem zachować spokój, kontrolę. – Nie był moim przyjacielem. Nigdy nie był moim przyjacielem. – Nie próbuję nawet ukryć goryczy w moim głosie.

Trzy dni temu, wieczorem, moja młodsza siostra Mimi przyszła do mnie i opowiedziała mi, co znalazła w komputerze Bena.

– Napisał... że nasze pieniądze nie pochodzą ze sprzedaży win, tylko... z kobiet. Mężczyźni kupują kobiety, nie wino... to okropne miejsce, ten klub... ce n'est pas vrai... to nie może być prawda, Nick... powiedz mi, że

to nieprawda – mówiła, szlochając. – I jeszcze... napisał.... – Walczyła o oddech. – Napisał, że nie jestem ich rodzoną córką...

Cóż, chyba zawsze to wiedzieliśmy o Mimi – Antoine i ja. Zapewne wszystkie rodziny mają tego rodzaju sekrety, owe wspólnie ustalone kłamstwa, o których nigdy się nie wspomina. Szczerze mówiąc, za bardzo się baliśmy. Pamiętam, jak kiedy byliśmy jeszcze mali, Antoine poczynił jakiś komentarz w obecności papy, coś zainsynuował. Papa uderzył go na odlew wierzchem dłoni. Antoine wylądował na przeciwległej ścianie. Nigdy więcej nikt nie wspominał o tej sprawie. Stała się kolejnym wstydlwym sekretem.

Ben najwyraźniej ciężko pracował. Wyglądało na to, że odkrył więcej o papie i jego biznesach, niż ja sam wiedziałem. Swoją drogą, niekoniecznie pragnąłem znać wszystkie obrzydliwe szczegóły. Utrzymywałem największy dystans i ignorancję, na jaką było mnie stać w ciągu wszystkich tych lat. Mimo to cała sprawa związana była z tym, co powiedziałem Benowi w największej tajemnicy w tamtej kafejce z marihuaną, w Amsterdamie. Było to wyznanie, którym, jak obiecał mi z ręką na sercu, nigdy nie miał się podzielić z innym człowiekiem – sekret leżący w samym sercu mojej rodziny. Moje główne, potworne źródło wstydu.

Nadal pamiętam słowa mojego ojca, kiedy skończyłem szesnaście lat i stałem przed zamkniętymi drzwiami u stóp aksamitnej klatki schodowej:

– Och, a więc uważasz, że możesz kręcić nosem na tę sprawę, co? – urągał. – Czujesz się lepszy? Ponad to? A jak sądzisz, skąd wzięłem pieniądze na opłacenie tej twojej kosztownej szkoły? Skąd bierzemy pieniądze na dom, w którym mieszkasz, ubrania, które nosisz? Jakies stare zakurzone butelki? Spadek twojej świętej matki? Nie, mój chłopcze. To jest źródłem pieniędzy. Uważasz, że ciebie to nie dotyczy? Że jesteś za dobry na coś takiego?

Wiedziałem doskonale, jak czuła się Mimi, czytając o wszystkim w komputerze Bena, dowiadując się o źródle naszego bogactwa, o naszej tożsamości; odkrywając, że za wszystko płacimy splamionymi pieniędzmi. To jak choroba, nowotwór rozprzestrzeniający się od środka i sprawiający, że wszyscy jesteśmy chorzy.

Jednak człowiek nie wybiera rodziny. A oni nadal są jedyną rodziną, którą mam.

Kiedy Mimi opowiedziała mi o tym, co przeczytała, nagle wszystko – przypadkowy esemes od Bena, nasze spotkanie w barze, jego przeprowadzka do naszego domu – okazało się nie szczęśliwym zbiegiem okoliczności, lecz czymś dużo bardziej wykalkulowanym. Zaplanowanym. Ben użył mnie w celu spełnienia swoich własnych ambicji. A teraz doprowadzi do zniszczenia mojej rodziny. Najwyraźniej nie obchodziło go to, że przy okazji zniszczy również mnie.

Pomyślałem znowu o starym francuskim przysłowiu: *La voix du sang est la plus forte*. Głos krwi jest najsilniejszy. Nie miałem wyboru.

Wiedziałem, co muszę zrobić.

Tak samo, jak wiem, co muszę zrobić w tej chwili.

Jess

– Proszę, Jess – mówi Nick rozsądnym głosem. – Wysłuchaj mnie. Zejdę do ciebie i porozmawiamy.

Zastanawiam się przez chwilę. To, że są rodziną, nie oznacza jeszcze, że wszyscy są odpowiedzialni za to, co się tu wydarzyło. Pamiętam, jak Nick kiedyś powiedział o ojcu, że „trochę z niego kutas”. Najwyraźniej nie wszyscy w tej rodzinie się lubią. Może wyciągnęłam pochopne wnioski – może konsjerżka rzeczywiście sama spadła ze schodów. W końcu jest kruchą starszą panią, mogła poślizgnąć się na schodach w tym mroku... nikt jej nie usłyszał, bo jest późno. Może brama jest zamknięta również dlatego, że jest środek nocy...

Nie, nie będę ryzykować. Odwracam się i spoglądam na konsjerżkę, skuloną na podłodze, skrzywioną z bólu. Jednocześnie dostrzegam otwierające się drzwi na pierwszym piętrze. Antoine wychodzi na podest schodów i staje obok brata. Są do siebie bardziej podobni, niż zdawałam sobie sprawę. Obdarza mnie przerażającym uśmiechem.

– Hej, mała – mówi.

Dokąd mam uciec? Brama jest zamknięta. Nie zamierzam być dziewczyną z horrorów, która ucieka do piwnicy. Obaj bracia schodzą do nas. Są coraz bliżej. Nie mam czasu na zastanowienie. Instynktownie wchodzę do windy i naciskam guzik z trójką.

Winda rusza do góry z klekotem. Słyszę, jak Nick wbiega na górę po schodach. Przez metalową kratkę widzę czubek jego głowy. Goni mnie. Zaczęła się prawdziwa walka.

Wreszcie docieram na trzecie piętro. Winda zatrzymuje się z chrobotem, przeraźliwie powoli. Otwieram metalowe drzwi i przemierzam podest biegiem. Wpycham klucz do zamka, otwieram drzwi i zamykam je natychmiast za sobą. Przekręcam klucz od środka, dysząc ciężko.

Próbuję się zastanowić na spokojnie, ale panika ogłupia mnie właśnie wtedy, kiedy potrzebuję przejrzystości myśli. Ukryta klatka schodowa: mogę spróbować jej użyć, ale blokuje ją sofa. Podbiegam do niej i zaczynam odsuwać ją od ukrytych drzwi.

A potem słyszę niedający się z niczym pomylić dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Odsuwam się. Oczywiście, Nick ma klucz. Jakżeby inaczej? Może zablokuje czymś drzwi? Nie, nie ma na to czasu.

Nick rusza w moim kierunku. Na jego widok kot przebiega przez pokój, wskakuje na blat kuchenny po jego prawej stronie i miauczy głośno – być może ma nadzieję na kolację. Zdrajca.

– Daj spokój, Jess – mówi Nick przekonująco, nadal tym spokojnym, rozsądnym tonem. – Zostań tam, gdzie jesteś...

To nowe zagrożenie ze strony Nicka przeraża mnie bardziej, niż gdyby nie zachowywał się wcześniej jak miły gość. U jego brata wyraźnie było widać, że gwałtowność i gniew gotują się tuż pod powierzchnią, ale Nick? Ten nowy Nick jest całkowicie niezrozumiały.

– I co? – pytam. – Zrobisz to samo, co zrobiłeś Benowi?

– Ja niczego nie zrobiłem. – W jego słowach jest dziwny nacisk na słowo „ja”.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś inny to zrobił? Ktoś z rodziny?

Nie odpowiada. Podtrzymuj rozmowę, mówię sobie. Graj na zwłokę.

– Myślałam, że chcesz mi pomóc, Nick.

Wygląda na zranionego.

– Bo chciałem, Jess. I to wszystko moja wina. Ja zapoczątkowałem całą sprawę. Zaprosiłem Bena tutaj... powinienem wiedzieć lepiej. Zaczął grzebać w sprawach, w których nie powinien... cholera. – Pociera twarz dłońmi, a kiedy je odsuwa, widzę, że jego oczy są zaczerwienione. – To moja wina... i naprawdę mi przykro...

Czuję ogarniający mnie chłód.

– Co zrobiłeś Benowi, Nick? – Chciałam, żeby zabrzmiało to twardo, autorytarnie, ale głos mi drży.

– Ja nic... nic... ja nic nie zrobiłem. – I znów ten nacisk na „ja”.

Jedyna droga ucieczki prowadzi obok Nicka i przez drzwi wejściowe. Tuż przy nich jest kuchnia. Widzę stojący na blacie kubek z narzędziami, w tym z potwornie ostrym japońskim nożem. Jeśli go zagadam i zdołam jakoś chwycić ten nóż...

– Daj spokój, Jess. – Robi kolejny krok w moim kierunku.

Nagle widzę gwałtowny ruch, błysk bieli i czerni. Kot skacze z blatu na ramiona Nicka, dokładnie tak samo, jak przywitał mnie pierwszej nocy, zaraz po wejściu do tego mieszkania. Nick przeklina i unosi ręce, żeby

ściągnąć z siebie zwierzaka. Wyciągam nóż ze stojaka, a potem rzucam się do drzwi, otwieram je i szybko zamykam za sobą.

– Hej, mała.

Odwracam się. Cholera, Antoine. Stoi na podeście. Musiał tam czekać, przyczajony w cieniu. Dźgam nożem w jego kierunku, tak gwałtownie, że Antoine zatacza się do tyłu i spada ze schodów, opadając jak szmaciana kukła na niższym podeście. Spoglądam na niego w mroku. W piersi mnie pali. Wydaje mi się, że słyszę jęk, ale Antoine się nie rusza.

Nick zaraz wyjdzie. Mam tylko jedną możliwość – muszę wspiąć się na górę.

Oczywiście mają nade mną przewagę: jest ich czworo, przeciwko mnie jednej. Może jednak znajdę jakąś kryjówkę i zyskam dzięki temu trochę czasu.

Dalej, Jess. Myśl. Zawsze byłeś dobra w znajdowaniu wyjścia z niebezpiecznych sytuacji.

Mimi

Czwarte piętro

– Co się tam dzieje, maman? – Po wszystkim, czego się dowiedziałam, to słowo nadal wzbudza we mnie dziwne, bolesne uczucia.

– Ciii. – Gładzi moje włosy. – Ciii, ma petite.

Siedzę przycupnięta na łóżku, dygocząc. Mama przyszła, żeby sprawdzić, jak się czuję. Pozwoliłam jej usiąść przy sobie i objąć moje ramiona.

– Posłuchaj – mówi. – Zostań tutaj, dobrze? Pójdę sprawdzić, co się dzieje.

Chwytam ją za nadgarstek.

– Nie... proszę, nie zostawiaj mnie. – Nienawidzę tej potrzeby oczywistej w moim głosie. Nienawidzę tego, że jej potrzebuję, ale nie mogę nic na to poradzić. – Proszę, maman.

– Tylko na kilka minut – odpowiada. – Muszę się upewnić...

– Nie. Proszę, nie zostawiaj mnie tutaj samej.

– Mimi – mówi ostro. – Puść mnie, proszę.

Ale ja nadal ją trzymam. Mimo wszystko nie chcę, żeby mnie zostawiła, bo wtedy zostanę sam na sam z moimi myślami, jak mała dziewczynka bojąca się potwora ukrytego pod łóżkiem.

Jess

Wbiegam na górę, przeskakując dwa stopnie naraz. Strach sprawia, że poruszam się szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Wreszcie docieram do ostatniego piętra, na podest naprzeciwko drzwi do penthouse'u. Widzę drewniane schodki prowadzące do dawnych kwater służących. Zaczynam się wspinać w ciemność. Może uda mi się tutaj ukryć wystarczająco długo, żeby pomyśleć, co, do diabła, mam dalej robić. Wyciągam koła z uszu, wyginając je w odpowiedni kształt, szykując wytrych. Chwytam za kłódkę i zabieram się do roboty. Normalnie jestem bardzo szybka, ale teraz drżą mi ręce. Czuję, że jeden z bolców w zamku kłódky jest zablokowany, a ja nie mogę uzyskać odpowiedniego nacisku, żeby go uwolnić.

Wreszcie, po zdałoby się nieskończonym czasie, kłódka się otwiera. Zrywam ją i otwieram drzwi, zamykając je szybko za sobą. Niezamknięta kłódka jest jedyną wskazówką, że mogę tu być. Muszę się modlić, żeby nie od razu się domyślili, dokąd poszłam.

Oczy zaczynają mi się przyzwyczajać do mroku. Stoję na poddaszu, ciasnym, długim i wąskim. Sufit opuszcza się pod ostrym skosem nade mną. Muszę przykucnąć, żeby nie uderzyć się głową o jeden z dużych drewnianych bali.

Jest ciemno, ale dociera tu nikły blask – to księżyc w pełni, którego światło przenika przez zabrudzone szyby okien. Pachnie tu starym drewnem i zatechłym powietrzem oraz czymś zwierzęcym: potem lub czymś gorszym – rozkładem. Odór powstrzymuje mnie od głębszego oddychania. Powietrze wydaje się gęste, pełne drobin kurzu, unoszących się przede mną w skąpych promieniach księżycowego światła. Mam wrażenie, że otworzyłam drzwi do innego świata, w którym czas zatrzymał się na setki lat.

Ruszam przed siebie, szukając miejsca, w którym mogłabym się ukryć. W ciemnym odległym kącie widzę coś, co wygląda jak stary materac. Na nim zaś coś leży.

I znów ogarnia mnie przeczucie, tak jak wtedy, na dole, kiedy znalazłam konsjerżkę. Nie chcę podchodzić bliżej, nie chcę patrzeć.

Ale robię to, bo muszę wiedzieć. Teraz widzę, co to jest. Kto to jest. Widzę krew. I nagle rozumiem.

Był tutaj przez cały czas. Zapominam, że miałam się ukryć przed nimi. Zapominam o wszystkim, z wyjątkiem horroru, który mam przed oczami. Krzyczę, krzyczę, krzyczę.

Mimi

Czwarte piętro

Wrzask rozdziera ciszę panującą w mieszkaniu.

– On nie żyje. On nie żyje. Kurwa, zabiliście go.

Puszczam ramię mamy.

Sztorm w mojej głowie jest coraz głośniejszy, ogłuszający, jakbym miała pod czaszką rój pszczół... jak zalewające mnie ogromne fale, stanie w środku huraganu. Nadal jednak nie jest wystarczająco głośny, aby zagłuszyć myśli, które zaczynają się przesączać do świadomości. Wspomnienia.

Pamiętam krew. Tak wiele krwi.

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek jako dziecko boi się zasnąć, bo boi się potworów spod łóżka? A co, jeśli zaczynasz podejrzewać, że ten potwór to być może ty? Gdzie wtedy można się schować?

Te wszystkie wspomnienia, które trzymałam za zamkniętymi drzwiami umysłu. Widziałam te drzwi, wiedziałam, że tam są, i zdawałam sobie sprawę, że za nimi ukrywa się coś strasznego – coś, czego nigdy nie chcę zobaczyć. Ale teraz te drzwi się otwierają i stłoczone za nimi wspomnienia wypływają gwałtowną falą.

Żelazisty odór krwi, śliska od niej drewniana podłoga, a w mojej dłoni – nóż do wycinania płótna.

Pamiętam, jak wpychali mnie pod prysznic. Mama... może ktoś jeszcze. Myli mnie. Krew spływała do odpływu, rozcieńczona, różowa, wirując u moich stóp. Dygotałam cała, nie mogłam przestać, ale nie dlatego, że woda była zimna. Wręcz przeciwnie, była gorąca, parzyła mnie. Drżałam ogarnięta głębokim chłodem od wewnątrz.

Pamiętam, że maman trzymała mnie jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. I chociaż byłam na nią tak wściekła, mimo że byłam zdezorientowana, nagle chciałam już tylko wtulić się w nią i znów stać się małą dziewczynką.

– Maman – powiedziałam. – Boję się. Co się stało?

– Ciiii. – Pogłaskała mnie po głowie. – Wszystko jest dobrze. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Ochronię cię. Pozwól mi się wszystkim zająć. Nie będziesz miała żadnych kłopotów. To była jego wina. Zrobiłaś to, co trzeba było zrobić. Coś, na co ja nie miałam wystarczającej odwagi. Musieliśmy się go pozbyć.

– O czym mówisz? – Spojrzałam jej w oczy, próbując zrozumieć. – Maman, o czym ty mówisz?

Przyjrzała mi się wtedy uważnie, zajrzała głęboko w oczy, a potem pokiwała lekko głową.

– Nie pamiętasz. Tak, tak, tak jest najlepiej.

Później widziałam pod paznokciami coś zaskorupiałego, koloru rdzy. Wyczyściłam wszystko szczoteczką do zębów w łazience. Szorowałam, aż palce zaczęły mi krwawić. Nie obchodził mnie ból, chciałam tylko pozbyć się tego, czymkolwiek to było. Ten rdzawy brud był jedyną realną rzeczą. Reszta wydawała mi się snem.

A potem pojawiła się tu ona. I następnego poranka zapukała do moich drzwi. Nie przestawała, dopóki nie otworzyłam. A potem wypowiedziała te okropne słowa.

– Mój brat, Ben... gdzieś zniknął.

Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że to wszystko mogło zdarzyć się naprawdę.

Myślę, że to byłam ja. Myślę, że mogłam go zabić.

Sophie

Penthouse

- On nie żyje. On nie żyje. Kurwa, zabiliście go – dobiega z oddali.
 - Muszę iść, chérie – mówię do Mimi. – Muszę iść i załatwić tę sprawę.
- Wychodzę na podest, zostawiając ją w mieszkaniu.

Spoglądam w górę. Stało się. Dziewczyna dotarła do chambres de bonne. Znalazła go.

Pamiętam, jak otworzyłam drzwi do jego mieszkania tamtej potwornej nocy. Pamiętam moją córkę, umazaną krwią. Otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć albo coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Konsjerżka też tam była, z jakiegoś powodu. Oczywiście, że była. Widzi, wie wszystko – porusza się po tym budynku niczym zjawą. Stałam, chłonąc scenę przed moimi oczami, całkowicie zszokowana. A potem włączył się mój racjonalizm.

- Musimy ją umyć – powiedziałam. – Pozbyć się tej krwi.

Konsjerżka pokiwała głową. Chwyciła Mimi za ramiona i poprowadziła ją pod prysznic. Mimi mamrotała coś pod nosem: o Benie, o zdradzie, o klubie. Wiedziała. I z jakiegoś powodu nie przyszła z tym do mnie.

Kiedy już została umyta, konsjerżka zabrała ją do jej mieszkania. Widziałam, że moja córka jest w szoku. Chciałam z nią pójść, pocieszyć ją, ale najpierw musiałam rozprawić się z konsekwencjami jej czynu – tego, co szczerze mówiąc, sama rozważałam.

Zebrałam wszystkie znalezione w mieszkaniu ręczniki i ścierki kuchenne. Natychmiast nasiąkły szkarłatną ciecżą. Zerwałam zasłony z okien, owinęłam nimi ciało i związałam ostrożnie sznurami do zasłon. Narzędzie zbrodni ukryłam w windzie kuchennej, ukrytej w sekretnym szybie w jednej ze ścian, a potem za pomocą korbki przesunęłam ją między dwa piętra.

Konsjerżka przyniosła wybielacz. Użyłam go do sprzątnięcia miejsca, z którego najpierw starłam krew. Oddychałam przez usta, żeby nie czuć tego zapachu. Przycisnęłam wierzch dłoni do ust. Nie mogłam wymiotować. Musiałam zachować spokój.

Wybielacz odbarwił podłogę, wyciągając lakier z klepek. Zostawił ogromną plamę – większą od plamy krwi. Nie miałam jednak innego wyjścia.

A potem, nie wiem dokładnie o ile później, drzwi się otworzyły. Nie były zamknięte na klucz – zupełnie o tym zapomniałam w obliczu stojącego przede mną zadania.

Stali tam, dwaj młodzi Meunierowie. Moi pasierbi. Nicolas i Antoine. Wpatrywali się we mnie z przerażeniem; w plamę po wybielaczu przede mną, w moje ramiona po łokcie umazane we krwi. Krew odpłynęła całkowicie z twarzy Nicka.

– Wydarzył się potworny wypadek – powiedziałam.

– Jezu Chryste. – Nicolas przełknął głośno. – Czy to dlatego...

Zapadło długie milczenie, kiedy zastanawiałam się, co powiedzieć. Nie chciałam wymieniać imienia Mimi. Uznałam, że Jacques weźmie winę na siebie, tak jak powinien każdy ojciec. W końcu to jego bałagan.

– Wasz ojciec dowiedział się, nad czym pracował Ben – powiedziałam w ramach wyjaśnień.

– O Chryste. – Nick ukrył twarz w dłoniach, a potem zawył jak małe dziecko. Był to okrzyk przeraźliwego bólu. Jego oczy były wilgotne, usta otwarte. – To wszystko moja wina. Powiedziałem papie. Powiedziałem mu, co znalazła Mimi, o czym pisał Ben. Nie miałem pojęcia. Gdybym wiedział, o Boże...

Przez chwilę wydawało mi się, że za chwilę upadnie tam, gdzie stał. A potem wybiegł z pokoju. Usłyszałam, jak wymiotuje w łazience.

Antoine stał z rękami założonymi na piersi. Wyglądał na równie wzburzonego, ale jednocześnie zdeterminowanego, żeby wykazać się zimną krwią.

– Dobrze mu tak, putain de bâtard – powiedział wreszcie. – Sam bym to zrobił. – Ale w jego głosie nie było wielkiego przekonania.

Kilka minut później do pokoju wrócił Nick, blady, lecz najwyraźniej zdeterminowany.

Staliśmy tak we trójkę, wpatrując się w siebie. Nigdy przedtem nie czuliśmy się bardziej rodziną. To wydarzenie w dziwny sposób nas zjednoczyło. Nie wymieniliśmy między sobą żadnych słów, tylko ciche skiniecie głową, w ramach solidarności. A potem zabraliśmy się do pracy.

Jess

Nawet w najgorszych chwilach w ciągu ostatnich kilku dni, nawet po zrozumieniu, w co wplątał się Ben, nie pozwalałam sobie na wyobrażenie czegoś takiego: znalezienia mojego brata w takim stanie, tak jak znalazłam mamę.

Opadam na kolana.

Ciało na materacu nie wygląda jak Ben. Nie chodzi nawet o blady, woskowy odcień skóry i zapadnięte oczy. Po prostu nigdy nie widziałam go w takim bezruchu. Nie potrafię myśleć o moim bracie bez jego uśmiechu, energii.

Spoglądam na ciemną, zaskorupiałą rdzawą plamę na jego jasnym podkoszulku. Pokrywa cały przód jego tułowia.

Musiał tu być przez cały ten czas, kiedy ja krążyłam w poszukiwaniu tropów, doprowadzając się do ostateczności, myśląc, że w jakiś sposób mu pomagam. A przecież już pierwszego poranka widziałam te zamknięte drzwi prowadzące na strych.

Siadam na piętach, skulona, obok niego i bujam się w przód i w tył. Łzy zaczynają spływać mi po twarzy.

– Przepraszam – mówię. – Tak bardzo, cholernie mi przykro.

Sięgam po jego dłoń. Kiedy ostatnim razem trzymaliśmy się za ręce? Może tamtego dnia na posterunku policji, po mamie? Zanim każde z nas poszło swoją drogą. Ściskam jego palce.

I niemal natychmiast puszczam jego dłoń, zaszokowana.

Mogłabym przysiąc, że poczułam ruch jego palców. Wiem, że to tylko moja wyobraźnia, ale przez chwilę naprawdę sądziłam...

Spoglądam na niego. Ma otwarte oczy. Przed chwilą jeszcze były zamknięte... prawda?

Wstaję i nachylam się nad nim. Serce wali mi niczym młotem.

– Ben?

Jestem pewna, że mrugnął.

– Ben?

Kolejne mrugnięcie. Nie wyobraziłam sobie tego. Widzę, jak usiłuje spojrzeć mi w oczy. Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. A potem:

– Jess. – Nie więcej niż ciche westchnięcie, ale na pewno wypowiedział moje imię. Znów zamyka oczy, jakby wyczerpał go ten wysiłek.

– Ben! – mówię. – Hej, Ben, usiądź, OK? – Nagle posadzenie go wydaje mi się niezwykle istotne. Wkładam ręce pod jego pachy. Jest strasznie ciężki, bezwładny, ale jakimś sposobem udaje mi się go wreszcie podciągnąć do pozycji siedzącej. Nachyla się bezwładnie do przodu. Jego oczy są zamglone, zdezorientowane, ale trzyma je otwarte.

– Och, Ben. – Chwytam go za ramiona. Nie śmiem go przytulić, na wypadek gdyby był poważnie ranny. Łzy płyną mi po policzkach równym strumieniem. Nie ocieram ich. – O mój Boże, Ben, ty żyjesz... ty żyjesz.

Słyszę za plecami trzaśnięcie drzwi prowadzących na strych. Przez chwilę autentycznie zapomniałam o wszystkim i wszystkich innych.

Odwraca się powoli.

Widzę Sophie Meunier, a za nią Nicka. I chociaż od wszystkiego, co się właśnie wydarzyło, kręci mi się w głowie, widzę wielką różnicę w wyrazie ich twarzy. Oblicze Sophie jest intensywną, przerażającą maską. Nick z kolei, spoglądając na Bena, jest wyraźnie zaskoczony, przerażony i skonfundowany. Właściwie to wygląda – i jest to jedyny sposób, w jaki mogę to opisać – jak ktoś, kto zobaczył ducha.

Nick

Drugie piętro

Czuję, że ogarnia mnie przerażenie na widok sceny rozgrywającej się na strychu. Wbiegłem tutaj, kiedy usłyszałem krzyk, ale najpierw zaciągnąłem półprzytomnego Antoine'a na sofę w moim mieszkaniu.

Jest tutaj. Ben jest tutaj. Nie wygląda dobrze, ale siedzi. Żyje.

To nie może być prawda. To nie ma sensu. To nie jest możliwe.

Ben nie żyje. Nie żyje już od piątkowej nocy. Mój niegdyś bliski przyjaciel, mój dawny kolega z uniwersytetu, mężczyzna, w którym zakochałem się w tę ciepłą letnią noc w Amsterdamie, ponad dziesięć lat temu i o którym nie przestawałem myśleć od tamtej chwili.

Umarł i była to moja wina. Od tej pory próbowałem żyć z poczuciem winy i poradzić sobie z żalobą, chociaż sam czułem się ledwie żywy.

Spoglądam na moją macochę, spodziewając się, że ujrzę odbicie własnego szoku w jej twarzy. Spotyka mnie rozczarowanie. Wygląda na to, że obecna sytuacja nie jest dla niej zaskoczeniem. Wiedziała. To jedyne wytłumaczenie. Jak inaczej mogłaby być taka spokojna?

Wreszcie odzyskuję głos.

– Co to znaczy? – pytam chrapliwie. – Co to jest? Do cholery, co się dzieje? – Wskazuję na Bena. – To niemożliwe. On nie żyje.

Widzicie, wiem to na pewno. Miałem mnóstwo czasu, żeby przyjąć to do wiadomości – niewypowiedziany horror jego martwego ciała spoczywającego w prowizorycznym całunie; niezaprzeczalną rzeczywistość tego, co się stało. I krew, rozlaną na parkiecie, wsiąkniętą w ręczniki – dużo więcej krwi, niż ktokolwiek mógłby sobie pozwolić stracić. Ale jest coś jeszcze. Trzy noce temu Antoine i ja znieśliśmy jego ciało na dziedziniec i pochowaliśmy go w płytkim grobie w ogrodzie.

Mimi

Czwarte piętro

Oto co pamiętam. Potem nie ma nic, aż do widoku krwi.

Było późno i czułam się zmęczona od natłoku myśli gotujących się w mojej głowie, ale nie mogłam zasnąć. Nie potrafiłam przestać rozmyślać o tym, co przeczytałam, co zobaczyłam. Ben i moja matka. Zniszczyłam wszystkie jego portrety, ale czułam, że to nie wystarczy. Widziałam go, w jego mieszkaniu, pracującego przy komputerze. Teraz jednak postrzegałam wszystko inaczej. Wiedziałam, o czym pisze, i sama myśl o tym wywołała u mnie mdłości. Nie mogłam wymazać tego ze świadomości, sprawić, że ta wiedza przestanie istnieć, nawet jeśli próbowałam w to nie wierzyć. Myślę jednak, że mimo wszystko wierzę. Tak, wierzę. Te przyciszone głosy, kiedy ktoś rozmawia o biznesie papy, rzeczy, które mówił Antoine. Nagle wszystko to zaczyna mieć przerażający sens.

Ben podszedł do okna i wyjrzał. Uciekłam w głąb mieszkania, żeby mnie nie dostrzegł. Potem wróciłam do obserwacji.

Wrócił do biurka, spojrział na telefon, a potem przyłożył go do ucha. Nagle spojrział w górę, odwrócił głowę, zaczął wstawać. Drzwi zaczęły się otwierać. Ktoś wchodził do jego pokoju.

Oh merde.

Putain de merde.

Co on tam robił?

To był papa.

Miało go nie być w domu.

Kiedy wrócił? I co robił w mieszkaniu Bena?

Papa miał coś w ręku. Rozpoznałam to: dużą butelkę wina, którą podarował Benowi zaledwie kilka tygodni wcześniej.

Zamierzał...

Nie mogłam dłużej patrzeć, ale jednocześnie nie potrafiłam odwrócić wzroku. Patrzyłam, jak Ben osuwa się na kolana, jak papa unosi butelkę raz po raz, jak Ben odchyła się do tyłu, upada na podłogę, jak krew

zaczyna przesiąkać przez jego jasną koszulkę. Wiedziałam, że to wszystko moja wina.

Ben zaczął czołgać się w kierunku okna. Obserwowałam, jak uniósł rękę i uderzył dłonią w szybę, a potem wypowiedział słowo: Pomocy.

Widziałam, jak mój ojciec unosi butelkę po raz kolejny, i wiedziałam, co się stanie. Zabije go.

Musiałam coś zrobić. Kochałam go. Ben mnie zdradził, zniszczył cały mój świat, ale kochałam go.

Sięgnęłam po najbliższą rzecz, jaką miałam pod ręką, i ruszyłam po schodach w dół tak szybko, że miałam wrażenie, iż moje stopy nie dotykają podłogi. Drzwi do mieszkania Bena były otwarte. Papa stał nad nim, a ja musiałam go powstrzymać. Musiałam go powstrzymać, a jednocześnie jakiś cichy głosik w mojej głowie tłumaczył mi: ten mężczyzna nie jest twoim prawdziwym ojcem. I nie jest dobrym człowiekiem. Zrobił wiele potwornych rzeczy, a za chwilę będzie miał na sumieniu również morderstwo.

Ben leżał na podłodze za zamkniętymi drzwiami. Nagle znalazłam się za papą – nie widział mnie i nie słyszał, jak zakradłam się do pokoju – z nożem do wycinania płótna w rękę. Jest mały, ale bardzo ostry, tak bardzo ostry. Uniosłam go nad głowę...

A potem nicość.

A potem krew.

Później wydawało mi się, że słyszałam głosy na dziedzińcu. Szuranie łopat. To nie miało sensu. Mama lubi pracować w ogrodzie, ale było ciemno, środek nocy. Dlaczego przekopywała ziemię właśnie teraz? Nie, to nie mogło być rzeczywiste, musiało mi się przyśnić. Dziwny koszmar.

Nick

Drugie piętro

Pamiętam, że po przekazaniu papie, co planował Ben, o czym pisał, wyszedłem z jego gabinetu. Sprowadziłem go do domu, powiedziałem, że jest coś, co powinien usłyszeć. Idąc w dół po schodach, rozmyślałem o jego minie – ledwie kontrolowanej wściekłości – i o fali strachu, który sprowadził mnie z powrotem do dzieciństwa. Kiedy ojciec miał taką minę, najlepiej było się gdzieś schować. Jednocześnie odczuwałem swego rodzaju perwersyjną przyjemność. Sprawilem, że wspaniały Benjamin Daniels okazał się wielkim rozczarowaniem. Pokazałem papie, że jego sławetne wycucie nie zawsze jest tak świetne, jak sądzi – złoty chłopak, którego papa przez chwilę wydawał się cenić bardziej niż swoich własnych synów, sprawił mu zawód. Zdradziłem Bena, to prawda, ale nie aż tak głęboko, jak on wykorzystał mnie i gościnność mojej rodziny. Należało mu się.

Poczucie triumfu szybko nabrało gorzkiego smaku. Nagle zapragnąłem nie czuć nic. Poszedłem do łazienki, połknąłem cztery małe niebieskie tabletki, a potem położyłem się, zagubiony w oksykodonowej mgle.

Może i byłem świadomy jakiegoś zamieszania na górze – nie wiem, miałem wrażenie, że dzieje się to w jakimś innym wszechświecie. Jednak po jakimś czasie, kiedy lek powoli przestawał działać, pomyślałem, że może powinienem sprawdzić, co się dzieje.

Na schodach natknąłem się na Antoine'a. Czułem od niego alkohol. Musiał pewnie zasnąć w kolejnym pijackim stuporze.

– Do cholery, co się dzieje? – spytał z nieprzyjemną nutą, ale widziałem cień strachu na jego twarzy.

– Nie mam pojęcia – odparłem, chociaż nie była to do końca prawda. W mojej głowie zaczęło kiełkować nieokreślone podejrzenie. Wspięliśmy się razem na trzecie piętro. Krew – to pierwsze, co zobaczyłem. Tak dużo krwi. I Sophie w samym środku.

– Wydarzył się potworny wypadek. – To wszystko, co powiedziała.

Wiedziałem od razu, że to moja wina. To ja zapoczątkowałem ten łańcuch wydarzeń. Wiedziałem, jakiego rodzaju człowiekiem jest mój

ojciec. Powiniennem zdawać sobie sprawę, co może zrobić. Byłem jednak zbyt oślepiiony własnym gniewem i poczuciem zdrady. Wytłumaczyłem sobie, że chronię moją rodzinę. Sam chciałem jakoś rozładować swój gniew, w jakiś sposób skrzywdzić Bena, ale to... Krew i ten okropny, nieruchomy kształt zawinięty w całun z zasłon. Nie mogłem na to patrzeć.

Pobiegłem do łazienki i zacząłem wymiotować, jakbym mógł w ten sposób pozbyć się całego tego horroru – jak nieświeżego jedzenia. Oczywiście nic to nie dało. Horror stał się teraz częścią mnie.

Jakimś cudem zdołałem się opanować. Benowi nikt już nie mógł pomóc. Wiedziałem, że muszę to zrobić, dla przetrwania naszej rodziny.

Czułem potworny ciężar ciała, które dźwignęliśmy, ale jednocześnie miałem wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. W głębi duszy byłem przekonany, że jeśli spojrzę Benowi w twarz, w jakiś sposób urealnię to wszystko. Być może było to ważne, jak coś w rodzaju ostatecznego zamknięcia sprawy, ale ostatecznie nie byłem w stanie zmusić się do rozwiązania sznura i spojrzenia na to, co ukrywało się pod materiałem.

Sami więc widzicie, że trzy noce temu Ben zginął, a my go pogrzebaliśmy.

Prawda?

Sophie

Penthouse

Od chwili, gdy ją zobaczyłam, całą we krwi – krwi mojego męża – zaczęłam działać szybko, niemal bez namysłu. Wszystko, co zrobiłam, miało na celu ochronę mojej córki. Możliwe, że doszedł do tego jeszcze szok, ale moje myśli były wyjątkowo klarowne. Zawsze byłam zdeterminowana i skoncentrowana, potrafiłam odwrócić najgorszą sytuację na swoją korzyść. W końcu dzięki temu wylądowałam z takim, a nie innym życiem.

Wiedziałam, że jeśli mam zyskać współpracę jego synów, ich pomoc w tej sprawie, Jacques musi pozostać żywy. To Benjamin musiał umrzeć. Zanim zawinęłam ciało mojego męża w zasłony, przysunęłam jego telefon do jego twarzy, odblokowałam go i zmieniłam hasło dostępu. Od tamtej pory trzymałam go zawsze przy sobie, pisząc do Antoine'a i Nicolasa jako ich papa. Im dłużej zdołałabym utrzymać Jacques'a „przy życiu”, tym więcej mogłabym pozyskać od jego synów.

Zrobiłam dla Benjamin, co mogłam – zatamowałam krew ręcznikiem, oczyściłam jego rany. Potem wraz z konsjerżką zaprowadziłyśmy go na górę, do chambres de bonne. Ben miał wstrząs mózgu, więc nie miał siły się wyrwać; był zbyt poważnie ranny, aby próbować się uwolnić. Od tamtej chwili utrzymywałyśmy go tutaj przy życiu – na granicy. Poiłam go wodą, dawałam resztki jedzenia, na przykład quiche, który kupiłam w boulangerie. Miał zostać na górze, dopóki nie postanowię, co z nim dalej zrobić. Był tak poważnie ranny, że być może pozwolenie naturze się tym zająć byłoby najłatwiejszym wyjściem, ale byliśmy kochankami i nadal pamiętałam, co dzieliliśmy, nawet jeśli przez krótką chwilę. Jestem wieloma rzeczami: dziwką, matką, kłamczuchą, ale nie mordercą, w przeciwieństwie do mojej ukochanej córki.

– Jacques musiał wyjechać na jakiś czas – powiedziałam moim pasierbom, kiedy się pojawili. – Najlepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie, że był tutaj dzisiejszej nocy. O ile wiecie, jeżeli ktokolwiek będzie was pytał,

ojciec przez cały czas przebywał poza Paryżem, na jednej ze swoich delegacji. Zrozumiano?

Pokiwali głowami. Nigdy mnie nie lubili i nie zaakceptowali mnie, ale podczas nieobecności ojca słuchali każdego mojego słowa. Chcieli, żeby ktoś powiedział im, co robić, jak się zachować. Nigdy tak naprawdę nie dorośli, żaden z nich. Jacques zwyczajnie im na to nie pozwolił.

Myślę o wdzięczności, jaką do niego czułam na samym początku, za „uratowanie mnie” – wyrwanie z mojego poprzedniego życia. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jak tanio mnie kupił. Wychodząc za mąż za Jacques’a, nie zyskałam wolności, chociaż tak sądziłam. Nie zdobyłam wyższej pozycji społecznej. Stało się dokładnie na odwrót: wyszłam za mąż za mojego stręczyciela i uwiązałam się do niego łańcuchem na całe życie.

Być może moja córka zrobiła dokładnie to, na co ja nie miałam wystarczającej odwagi.

Jess

Chwytam nóż, gotowa bronić Bena (i siebie), gdyby którekolwiek z nich podeszło bliżej. O dziwo, nie wydają mi się już tacy groźni. Napięcie w powietrzu zelżało. Nick spogląda to na Sophie, to na Bena rozszalałym spojrzeniem. Musiało się stać coś jeszcze – coś, czego nie rozumiem. Mimo wszystko nie wypuszczam noża z dłoni. Nie mogę sobie pozwolić na nieuwagę.

– Mój mąż nie żyje – mówi Sophie Meunier. – To właśnie się stało. – Na te słowa Nick zatacza się do tyłu. Nie wiedział?

– Qui? – mówi chrapliwie. – Qui? – Chyba pyta, kto to zrobił.

– Moja córka – odpowiada Sophie. – Próbowwała ochronić Bena. Trzymałam tutaj twojego brata – zwraca się do mnie. – Utrzymywałam go przy życiu – mówi to, jakby uważała, że zasługuje na nagrodę. Nie mam słów, żeby jej odpowiedzieć.

Spoglądam po wszystkich, zastanawiając się, jak to wszystko rozegrać. Nick przykucnął, zgarbił się, ukrył twarz w dłoniach. Sophie Meunier jest tutaj prawdziwym zagrożeniem – tego jestem pewna. Wprawdzie to ja trzymam w dłoni nóż, ale ta kobieta jest zdolna do wszystkiego. Podchodzi do mnie. Unoszę dłoń w jej kierunku, ale ona wcale się tym nie przejmuje.

– Wypuścisz nas teraz – próbuję zawrzeć w moim głosie więcej asertywności, niż w sobie znajduję. Może i trzymam nóż, ale ona nas tutaj uwięziła. Brama prowadząca do budynku jest zamknięta na klucz. Zdaję sobie sprawę, że nie wydostaniemy się z tego miejsca, jeśli ona na to nie przystanie. Wątpię, żeby Ben zdołał wstać samodzielnie, a musielibyśmy przejść przez cały budynek, zanim wydostaniemy się na zewnątrz. Sophie najprawdopodobniej myśli to samo.

Potrząsa głową.

– Nie mogę tego zrobić.

– Właśnie, że tak. Musisz. Trzeba go zabrać do szpitala.

– Nie...

– Nic im nie powiem – dodaję szybko. – Posłuchaj... nie powiem, w jaki sposób nabawił się tych ran. Wymyślę coś... że spadł ze skutera albo coś

w tym stylu. Że musiał potem wrócić do swojego mieszkania i tak go znalazłam.

– Nie uwierzą ci – mówi.

– Znajdę sposób, żeby ich przekonać. Przysięgam, nic nie powiem. – Słyszę desperację w moim głosie. – Proszę – błagam ją. – Daję ci na to słowo.

– A skąd mam być pewna, że go dotrzymasz?

– A jakie niby inne masz wyjście? – pytam. – Co jeszcze możesz zrobić? – ryzykuję. – Przecież nie możesz nas tutaj trzymać do końca życia. Ludzie wiedzą, że tutaj jestem. Przyjdą mnie szukać – nie jest to do końca prawda. Fakt, jest Theo, ale prawdopodobnie siedzi teraz w jakiejś celi, a ja nigdy nie podałam mu mojego adresu. Odnalezienie mnie tutaj zajęłoby mu sporo czasu. Jednak Sophie Meunier nie musi tego wiedzieć. Moim zadaniem jest ją do tego przekonać. – Wiem też, że nie jesteś morderczynią, Sophie. Jak sama wspomniałaś, utrzymywałaś go przy życiu. Nie zrobiłabyś tego, gdybyś miała mordercze zapędy.

Przygląda mi się uważnie, nie zdradzając emocji. Nie mam pojęcia, czy moje argumenty działają. Wyczuwam, że potrzebuję czegoś więcej.

Przypominam sobie intensywność uczuć skrytą w słowach „moja córka”. Tak, muszę zaapelować do tej części jej osobowości.

– Mimi jest bezpieczna, tyle mogę ci obiecać – mówię. – Jeżeli twoja historia jest prawdą, twoja córka ocaliła życie Benowi. A to znaczy bardzo dużo – wszystko. Nigdy w życiu nie wydam jej nikomu. Przysięgam na wszystkie świętości. Zabiorę tę tajemnicę do grobu.

Sophie

Penthouse

Czy mogę jej zaufać? I czy mam inne wyjście?

Nigdy w życiu nie wydam jej nikomu. W jakiś sposób udało się jej odgadnąć moją największą obawę.

Dziewczyna ma rację: gdybym chciała zabić ich oboje, zrobiłabym to już dawno. Wiem, że nie mogę więzić ich tutaj bez końca. Nie chcę tego. Poza tym nie sądzę, aby moi pasierbowie zechcieli dalej ze mną współpracować. Nicolas najwyraźniej przechodzi załamanie na wieść o śmierci ojca. Antoine pomagał do tej pory tylko dlatego, że sądził, iż wypełnia polecenia ojca. Boję się pomyśleć, jaka będzie jego reakcja, kiedy dowie się prawdy. Będę musiała się zastanowić, co z nim zrobić, ale w tej chwili nie jest moim głównym problemem.

– Nie powiesz nic policji – mówię. Nie jest to pytanie.

Dziewczyna potrząsa głową.

– Policja i ja niezbyt się lubimy. – Wskazuje palcem na Nicolasa. – On może to potwierdzić.

Ale Nicolas zdaje się jej nie słyszeć, więc dziewczyna ciągnie dalej, cichym, natarczywym głosem.

– Posłuchaj. Powiem ci coś, jeśli to pomoże. Mój ojciec był gliną. Wszyscy uważali go za pieprzonego bohatera. Problem w tym, że zmienił życie mojej mamy w piekło. Oczywiście nikt nie chciał mi uwierzyć, kiedy im opowiadałam o tym, jak ją traktował, że ją bił. Bo przecież był „tym dobrym”, wsadzał złych ludzi do więzienia. A potem... – chrząka. – Pewnego dnia mama miała już dosyć. Uznała, że łatwiej będzie, jeśli przestanie się starać. Więc... nie, nie ufam policji. Ani tutaj, ani nigdzie. Nawet przed spotkaniem z tym waszym gościem, Blanchotem. Masz moje słowo, że nie pójdę na policję i nie opowiem im o niczym.

A zatem wie o Blanchocie. Zastanawiałam się nad zadzwonieniem do niego i poproszeniem o pomoc. Zawsze jednak był człowiekiem Jacques'a i nie wiem, czy jego lojalność obejmowała również mnie. Nie mogłam ryzykować, że dowie się prawdy.

Przyglądam się dziewczynie bardzo uważnie i niemal wbrew sobie orientuję się, że jej wierzę: częściowo ze względu na to, co przed chwilą powiedziała mi o swoim ojcu, a częściowo dlatego, że widzę to w jej twarzy – prawdę. Poza tym bądźmy szczerzy, nie jestem pewna, czy mam jakieś inne wyjście poza zaufaniem jej. Muszę chronić moją córkę za wszelką cenę. To wszystko, co się teraz dla mnie liczy.

Nick

Drugie piętro

Jestem otępiały. Wiem, uczucie w końcu powróci i wtedy ból stanie się niemal nie do zniesienia. Teraz jednak istnieje tylko dziwny paraliż. Przynosi mi dziwną ulgę. Może nie wiem jeszcze dokładnie, co powinienem czuć. Mój ojciec nie żyje. Terroryzował mnie przez całe dzieciństwo, a jako dorosły człowiek próbowałem za wszelką cenę od niego uciec. A mimo to, mimo wszystko, kochałem go.

Działam powodowany instynktem, jak automat, pomagając znieść Bena na dół po schodach. I chociaż nadal jestem odrętwiały, dociera do mnie dziwne, przerażające echo sprzed trzech dni, kiedy wynosiłem inne ciało, sztywne i nieruchome, do ogrodu na dziedzińcu.

Przez chwilę spotykamy się wzrokiem. Ben wydaje się ledwie przytomny, więc może coś sobie wyobrażam... Wydaje mi się jednak, że widzę coś w jego oczach. Przeprosiny? Pożegnanie? Zaraz jednak znika i Ben zamyka oczy. A ja wiem, że i tak nie zaufałbym niczemu. Ponieważ okazuje się, że nigdy tak naprawdę nie znałem Benjamin Daniela.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Jess

Siedzimy w milczeniu przy plastikowym stole – mój brat i ja. Ben wychyla jednym łykiem espresso z małego papierowego kubka. Odrywam kawałek croissanta i zaczynam go żuć. Co prawda siedzimy w szpitalnej kafejce, ale w końcu to Francja, więc wypieki nadal są bardzo dobre.

Wreszcie Ben się odzywa:

– Nie mogłem się powstrzymać, wiesz? Ta rodzina. Wszystko, czego my nigdy nie mieliśmy. Chciałem być jej częścią, chciałem, żeby mnie kochali. Ale jednocześnie pragnąłem ich zniszczyć, częściowo dlatego, że bogacili się na kobietach, z których jedną mogłaby równie dobrze być mama, w którymś momencie życia, ale częściowo dlatego, że zwyczajnie byłbym w stanie ich zniszczyć.

Wygląda fatalnie: połowę twarzy pokrywają mu ciemnozielone sińce, skórę nad brwią znaczy pełno szwów, a ramię ma włożone w gips. Kiedy usiedliśmy, kobieta z sąsiedniego stolika spojrzała na nas przerażona i szybko odwróciła wzrok. Znając Bena, skończy z atrakcyjną blizną, którą będzie wykorzystywał w ramach narzędzia do uwodzenia.

Przywiozłam go do szpitala taksówką, oczywiście płacąc gotówką z jego portfela. Wyjaśniłam lekarzowi, że mój brat spadł ze skutera w pobliżu swojego mieszkania i nabawił się poważnego urazu głowy. Powiedziałam, że wrócił do mieszkania i tam zemdlął. Leżał tak, nieprzytomny, dopóki ja nie przyjechałam i nie zabrałam go na pogotowie. Oczywiście widzieliśmy

zdziwienie u lekarzy (ci szaleni angielscy turyści!), ale rzecz jasna zajęli się nim.

– Dzięki – mówi nagle. – Nie mogę uwierzyć, przez co przeszłaś. Wiem, że powinienem poprosić cię, żebyś tu nie przyjeżdżała...

– Cóż, dzięki Bogu, że tego nie zrobiłeś, prawda? Bo wtedy nie mogłabym uratować ci życia.

Przełyka głośno. Wiem, że nie chce tego słyszeć. Przyznanie, że czasem człowiek potrzebuje innych ludzi, jest niewygodne. Wiem o tym najlepiej.

– Przepraszam, Jess.

– Tylko nie spodziewaj się, że następnym razem też cię uratuję.

– Nie, nie tylko za to. Przepraszam, że nie było mnie przy tobie, kiedy mnie potrzebowałaś. Że nie było mnie właśnie wtedy, kiedy naprawdę było to ważne. Nie powinnaś znaleźć jej wtedy sama.

Długie milczenie.

– Wiesz, w pewien sposób zawsze ci zazdrościłem – ciągnie.

– Dlaczego?

– Że mogłaś ją zobaczyć ten ostatni raz. Ja nigdy nie zdołałem się z nią pożegnać.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Nie wyobrażam sobie niczego gorszego od tamtej chwili, ale gdzieś w głębi duszy rozumiem go.

Ben podnosi wzrok.

Odwracam się i widzę Theo, w ciemnym płaszczu i szaliku, machającego ręką zza okna. Mimo że straciłam telefon, na szczęście miałam jego wizytówkę. Z rozciętą wargą wygląda jak pirat po jakimś pojedynku. Prezentuje się naprawdę dobrze.

Przenoszę wzrok na Bena.

– Hej, twój artykuł. Nadal go masz, prawda?

Unosi brwi.

– Jasne. Bóg jeden wie, co zrobili z moim laptopem, ale zdążyłem zachować plik w chmurze. Każdy rozsądny pisarz tak robi.

– Musisz go opublikować – mówię.

– Wiem, myślałem o tym samym...

– Ale – unoszę palec – musimy to zrobić w odpowiedni sposób. Jeżeli się ukaże, policja będzie musiała zająć się tym klubem. Te wszystkie kobiety, które tam pracują... większość z nich zostanie deportowana, prawda?

Ben kiwa głową.

– Czyli znajdą się w jeszcze gorszej sytuacji niż teraz. – Myślę o Irinie. Nie mogę tam wrócić... W domu... nie miałam dobrej sytuacji. Przypominam sobie, jak mówiła o tym, że chce zacząć nowe życie. Obiecałam, że jeśli znajdę Bena, postaram się jej pomóc. Zdecydowanie nie zamierzam być odpowiedzialna za jej odesłanie do Serbii. Jeżeli nie podejmiemy do sprawy właściwie, oberwie się tylko tym w już i tak najgorszej sytuacji. Jestem tego pewna.

Spoglądam na Bena, a potem na Theo, który podchodzi, żeby się do nas przyłączyć.

– Mam pomysł.

Sophie

Penthouse

Kremowa koperta drży w mojej dłoni. Została doręczona dziś rano do skrzynki pocztowej naszego budynku.

Otwieram ją i wyciągam złożony list. Nigdy przedtem nie widziałam tego charakteru pisma – to dość niezgrabne bazgroły.

Madame Meunier,

jest coś, o czym nie miałyśmy okazji porozmawiać. Myślę, że obie miałyśmy inne sprawy na głowie. W każdym razie złożyłam Pani obietnicę: nie rozmawiałam z policją i nie zrobię tego. Tym niemniej artykuł Bena dotyczący La Petite Mort ukaze się za dwa tygodnie, bez względu na to, czy zdecyduje się Pani coś zrobić, czy nie.

Wstrzymuję oddech.

Jeżeli jednak zdecyduje się Pani nam pomóc, będzie miał inny wydźwięk. Może Pani stać się częścią historii, główną bohaterką, albo Ben dopilnuje, żeby Pani nazwisko nie zostało powiązane z tą sprawą i w żaden sposób nie będzie Pani w to wmieszana. W żadnym wypadku nie wspomnimy o Pani córce.

Zaciskam palce na liście. Mimi. Odesłałam ją na południe Francji, żeby malowała i wracała do sił. Zrobiłam to wbrew wszystkim matczynym instynktom; nie chciałam się z nią rozstawać, zwłaszcza wiedząc, jak wzburzona i niestabilna jest w tej chwili. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie może zostać w tym miejscu, nad którym wisiał cień śmierci. Zanim wyjechała, wyjaśniłam jej wszystko moimi własnymi słowami: jak bardzo była wyczekiwana, kiedy przyszła na świat; jak bardzo jest kochana; jak nigdy nie myślałam o niej w żaden inny sposób niż jak o mojej własnej rodzonej córce – moim cudzie, mojej wymarzonej dziewczynce.

Próbowałam również uświadomić jej, że w okolicznościach tamtej nocy zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła, że ocaliła życie, a nie tylko je komuś odebrała. Wy tłumaczyłam jej, że ona również działała powodowana miłością. Nie powiedziałam, że ja sama mogłam poważnie się na to samo i że przez krótki czas Ben był również dla mnie niemal całym światem.

Podejrzewam jednak, że Mimi w jakiś sposób dowiedziała się o naszym romansie, jeśli można w ten sposób nazwać kilka tygodni samolubnego, nierozważnego cudownego szaleństwa.

Wiem, że stosunki między mną i moją córką najprawdopodobniej nigdy nie wrócą do normalności, ale muszę mieć nadzieję. Poza tym kocham ją. To wszystko, co mogę zrobić.

Gdybym mogła, ja również opuściłabym to miejsce i pojechała z nią, ale mój mąż leży pogrzebany w ogrodzie. Muszę tu zostać. Pogodziłam się z tą myślą. Być może jest to pozłacana klatka, ale takie życie dla siebie wybrałam.

Czytam dalej:

Nick również będzie wyłączony z artykułu. W głębi duszy może nie jest takim złym człowiekiem. Myślę, że po prostu dokonał kilku wątpliwych wyborów. (verte)

Nicolas również wyjechał, zabierając kilka rzeczy, które tutaj trzymał. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek wrócił. Myślę, że dobrze mu zrobi opuszczenie tego miejsca. Powinien stanąć na własnych nogach.

Mój drugi pasierb pozostał tutaj i chociaż nie jest najbardziej sympatycznym sąsiadem, lepiej mieć go na oku. Poza tym zrobił się teraz dużo mniej groźny. Nie sędzę, żeby zdecydował się na wysyłanie kolejnych liścików do mnie. Wydaje się osłabiony wszystkim, co się stało, żalostíą i tęsknotą za ojcem, który przez całe życie okazywał mu głównie okrucieństwo. Wbrew sobie samej współczuję mu.

Odwracam list i czytam dalej:

Oto co chcemy, żeby Pani zrobiła. Te dziewczyny z klubu... Te, które są w wieku Pani własnej córki i które są wykorzystywane seksualnie przez bogatych ważnych gości po to, żebyście Wy wszyscy mogli żyć w swoim domu... Potraktuje je Pani odpowiednio. Każda z nich ma dostać solidny datek pieniężny.

Potrząsam głową.

– Nie ma sposobu...

Przypuszczam, że Pani argumentem będzie to, że cały budynek, wszystkie dobra są zapisane na Pani męża. Ale co z tymi obrazami na ścianach Pani apartamentu? Co z diamentami w Pani uszach i z tą piwnicą pełną świetnych win? Nie znam się na tym, ale z moich skromnych

szacunków wynika, że siedzi Pani na fortunie. Radzę sprzedać to wszystko komuś, kogo nie interesuje pozostawianie po sobie śladów w postaci dokumentów – komuś, kto zapłaci za wszystko gotówką.

Daję Pani na to wszystko dwa tygodnie. Dzięki temu tamte dziewczyny będą mogły również zorganizować sobie jakoś życie. Potem jednak artykuł Bena się ukaze. W końcu ma wydawcę, który oczekuje wyników, a tamto miejsce musi zniknąć z powierzchni ziemi. La Petite Mort musi umrzeć swoją własną małą śmiercią. Policja będzie musiała przeprowadzić śledztwo. Może nie przyłożą się do tego tak bardzo, jak powinni, zważywszy na to, że najprawdopodobniej sami są w to wszystko zaplątani.

Proszę Panią o zrobienie tego wszystkiego jako matkę, jako kobietę. Poza tym coś mi mówi, że nie przeszkadzałoby Pani uwolnienie się od tego miejsca, prawda?

Składam list i wsuwam go do koperty.

A potem kiwam głową.

Podnoszę oczy, czując, że jestem obserwowana. Mój wzrok wędruje od razu w stronę małego domku stojącego w rogu dziedzińca. Nikogo w nim nie ma. Szukałam jej tamtej nocy. Przemierzyłam cały budynek, od góry do dołu, zakładając, że nie mogła odejść zbyt daleko ze swoimi obrażeniami. Zajrzałam nawet do stróżówki, ale nigdzie nie było po niej śladu. Wraz z nią zniknęły również fotografie ze ściany, kilka drobnych, lecz najcenniejszych rzeczy z apartamentu (jak na przykład mały Matisse) oraz mój srebrny chart, Benoit.

Artykuł w „Paris Gazette”

Okazuje się, że właściciel La Petite Mort, Jacques Meunier, zapadł się pod ziemię w obliczu sensacyjnych oskarżeń dotyczących jego ekskluzywnego klubu. Policja prowadzi w tej chwili dochodzenie na szeroką skalę, utrudnione jednak faktem, że nie istnieją żadni świadkowie, którzy mogliby pomóc w śledztwie. Wszystkie tancerki uprzednio zatrudnione w klubie podobno zniknęły.

Być może wiadomość ta przyniosłaby ulgę byłym mecenasom nielegalnej działalności La Petite Mort, jednak ostatnio na anonimowej stronie internetowej pojawiła się lista numerów rachunków, rzekomo pochodzących z akt klubu. Na liście zostali wymienieni liczni „dobroczyńcy” francuskiego establishmentu.

Wiemy również, że wysoki urzędnik policji, komisarz Blanchot, złożył rezygnację w następstwie ukazania się niedwuznacznych zdjęć ukazujących

go in flagranti z kilkoma kobietami w jednym z podziemnych pokoiów w klubie.

Zgodnie z wcześniejszymi doniesieniami syn Meuniera, Antoine Meunier (jakoby prawa ręką ojca w interesach), zastrzelił się z antycznej strzelby w rodzinnej rezydencji, aby uniknąć aresztowania.

EPILOG

Jess

Ciągnę walizkę przez hol dworcowy Gare de l'Est. Zepsute kółko blokuje się co kilka kroków. Naprawdę muszę je naprawić. Spoglądam na tablicę i znajduję mój pociąg.

Nocny kurs do Mediolanu, gdzie czeka mnie przesiadka przed podróżą do Rzymu. Nad ranem będziemy przejeżdżać wzdłuż brzegu Jeziora Genewskiego. Podobno przy dobrej pogodzie widać całe Alpy. Brzmi nieźle. Pomyślałam, że przyszedł czas na odbycie mojej własnej europejskiej podróży. Ben został w Paryżu, gdzie ma szansę zasłynąć jako dziennikarz śledczy. Być może po raz pierwszy w życiu to ja zostawiam jego. Nie uciekam od nikogo ani niczego. Po prostu wyruszam w podróż, w poszukiwaniu kolejnej przygody.

Mam nawet swoje własne miejsce, które na mnie czeka. Studio, czyli wyszukane określenie dla małego pokoju, w którym wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Zabawne, bo zostało przerobione z dawnych kwater służących, na szczyt apartamentowca. Podobno, jeśli dobrze się wpatrzeć, można stamtąd dostrzec plac Świętego Piotra. Pewnie nie będzie większe niż pewna znana mi stróżówka, ale też nie mam ze sobą zbyt wielu rzeczy. Wszystkie mieszczą się w zepsutej walizce.

Tak czy owak, wszystko to należy do mnie. To znaczy nie do mnie, do mnie... nie kupiłam tego, oszaleliście? Nawet gdybym miała jakimś cudem pieniądze, nie chciałabym, żeby moje nazwisko znalazło się na jakichś dokumentach własności czy czymś w tym stylu. Nie chcę zostać do niczego

uwiązana. Wpłaciłam jednak depozyt i czynsz za pierwszy miesiąc. Dostała mi się część pieniędzy, które otrzymały dziewczyny z klubu. Coś w rodzaju znaleźnego. W końcu nie jestem świętą.

Co do dziewczyn, a raczej kobiet, oczywiście nie byłam w stanie dotrzeć do wszystkich i upewnić się, że wszystko skończy się dla nich dobrze. Cieszę się jednak, że dostały to samo co ja: czas, trochę swobody, może nawet sposobność do zajęcia się czymś innym.

Dwadzieścia minut przed odjazdem pociągu rozglądałam się za czymś do jedzenia. Dostrzegam nagle znajomą postać przedzierającą się przez tłum: niską, przykurczoną, szurającą nogami. Na głowie ma jedwabną apaszkę, a na smyczy prowadzi srebrnego charcika. Ustawia się w kolejce pasażerów oczekujących na wejście do pociągu. Spoglądam na tablicę nad peronem – to kurs do Nicei, na południu Francji. Odwracam wzrok i nie patrzę w tamtą stronę, dopóki pociąg nie zaczyna się toczyć, wyjeżdżając z peronu. W końcu wszyscy mamy do tego prawo, czyż nie?

Do szansy na nowe życie.

Podziękowania

Pisanie tej książki sprawiło mi niewymowną radość. Jednocześnie była to jedna z najtrudniejszych powieści w moim życiu, częściowo ze względu na skomplikowaną strukturę i tematykę... a częściowo dlatego, że pisałam ją w zaawansowanej ciąży i później z niemowlęciem przy piersi. Do tego wszystko to działo się w czasie pandemii, chociaż muszę przyznać, że mam szczęście, ponieważ mój zawód pozwala mi z łatwością pracować z domu, w przeciwieństwie do tak wielu innych ludzi, zwłaszcza wszystkich tych niezwykle dzielnych pracowników sektora publicznego.

Choć to niezbyt w brytyjskim stylu, jestem niezwykle dumna z tej książki i z tego, że może ukazać się na całym świecie! Jednocześnie to dla mnie ogromnie ważne, aby powiedzieć, że nic z tego nie zostałoby zrealizowane bez ciężkiej pracy niezwykle miłych, ofiarnych i utalentowanych osób. Tak naprawdę na pierwszej stronie powinna znaleźć się długa lista nazwisk, ponieważ ta powieść powstała dzięki ogromnemu wysiłkowi zespołowemu!

Dziękuję fenomenalnej Cath Summerhayes za niewyczerpane poczucie humoru, wiedzę, dobre rady oraz za świetną atmosferę współpracy, za towarzystwo podczas lunchów, wieczorów z koktajlami... Za to, że zawsze była gotowa porozmawiać ze mną przez telefon. To ogromne szczęście, że Cię znam, i jestem wdzięczna za wszystko, co robisz.

Dziękuję niezwyklej Alexandrze Machinist za niezawodnie doskonałe rady i niesłychane zdolności negocjacyjne. I chociaż nasze zaplanowane przygody w Paryżu nie doszły do skutku z powodu paskudnego zimowego wirusa grypy żołądkowej, wiem, że wkrótce będziemy raczyły się szampanem na terrasses. Nie mogę się doczekać wzniesienia toastu za twój geniusz!

Dziękuję Kim Young za niezwykłą cierpliwość i wsparcie redakcyjne, za wspieranie tej książki od pierwszego pomysłu i (szczerze mówiąc, dość marnej) pierwszej wersji roboczej. Zawsze wiesz, jak zmusić mnie do najwydajniejszej pracy, inspirujesz mnie swoją wiarą we mnie i moją twórczość! Dziękuję za to, że trzymałaś mnie za rękę przez cały ten czas i zawsze byłaś gotowa na długie rozmowy o nowych szalonych intrygach!

Dziękuję Kate Nintzel za doskonałe porady redakcyjne, za sokole oko i całą magiczną wiedzę wydawniczą. Nadal nie mogę uwierzyć, co udało ci się osiągnąć z Idealnym ślubem w USA, oferując moją mroczną małą brytyjską opowiastkę ponad milionowi czytelników! Jestem wdzięczna za twoją pomoc.

Dziękuję absolutnie genialnej Charlotte Brabbin. Jesteś niezwykle utalentowaną i oddaną pracy redaktorką. Jestem wdzięczna za całą Twoją ciężką pracę, porady, takt i kreatywność – za to, że zawsze byłaś chętna do narad twórczych, niezależnie jak mało ważne i śmieszne było moje pytanie i bez względu na to, o jakiej porze dnia (lub nocy) się pojawiało!

Dziękuję Luke'owi Speedowi za życzliwość i mądrość oraz za nieskończoną cierpliwość podczas objaśniania mi magicznego, tajemnego świata filmu! Dziękuję również za to, że praca z tobą była świetną zabawą. Ty i Cath jesteście zespołem marzeń! Oby czekało nas jeszcze wiele wspólnych lunchów i spotkań w kinie!

Dziękuję Katie McGowan, Callumowi Mollisonowi i Grace Robinson za wysiłek włożony w znalezienie dla mojej książki wydawców na całym świecie. To niezwykle, podniecające uczucie, wiedzieć, że moje powieści są tłumaczone na inne języki i że odnajdą czytelników na całym świecie. Jestem pod wrażeniem tego, co robicie.

Dziękuję wspaniałej rodzinie Harper Fiction: Kate Elton, Charliemu Redmayne'owi, Isabel Coburn, Abbie Salter, Hannah O'Brien, Sarah Shea, Jeanelle Brew, Amy Winchester, Claire Ward, Rogerowi Cazaletowi, Izzy Coburn, Alice Gomer, Sarah Munro, Charlotte Brown, Grace Dent i Benowi Hurdowi. Mam szczęście, że zechcieliście opublikować moją książkę! Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli razem wznieść toast.

Dziękuję wspaniałemu zespołowi w William Morrow: Brianowi Murrayowi, Liate Stehlik, Molly Gendell, Brittani Hilles, Kaitlin Harri, Samowi Glattowi, Jennifer Hart, Stephanie Vallejo, Pam Barricklow, Grace Han i Jeanne Reina. Dziękuję za nieprzerwaną pracę i poświęcenie oraz za promowanie mojej książki w Stanach. Nie mogę się doczekać wizyty w Nowym Jorku i wspólnego świętowania!

Dziękuję wspaniałemu zespołowi Curtis Brown: Johnny'emu Gellerowi, Jess Molloy i Annie Weguelin.

Dziękuję mojej drogiej przyjaciółce Annie Barrett za przeczytanie wczesnej wersji tej książki i jej redakcję, kiedy byłam zbyt przerażona, żeby pokazać ją komukolwiek innemu. Twoja zachęta i sugestie zrobiły

cuda dla mojej pewności siebie. Ze szczerego serca polecam Annę, jeżeli szukacie niezależnej redakcji dla swojej powieści. Można się z nią skontaktować pod tym linkiem: www.the-writers-space.com.

I wreszcie kieruję podziękowania do mojej rodziny: klanów Foleyów, Colleyów i Allenów, za wsparcie.

Dziękuję mojemu cudownemu rodzeństwu Kate i Robbiemu (dzięki Bogu w niczym nie przypominają rodzeństwa z tej książki). Jestem dumna z Was obojga i cieszę się, że Was mam.

Dziękuję moim rodzicom za dumę ze mnie oraz za niezmożone, niezachwiane wsparcie. Za to, że wybaczyliście mi szybkie odwiedziny tylko po to, żeby podrzucić wam Małego Człowieczka i zniknąć za ekranem laptopa. Za to, że jesteście takimi dobrymi, kochającymi dziadkami, że dokarmialiście, bawiliście się i zajmowaliście się moim synkiem z taką miłością i bez narzekania, podczas gdy ja grzęzłam w poprawkach korektorskich i szczytywaniu. Dziękuję za zachęcanie mnie do kultywowania mojej wyobraźni, od kiedy byłam małą dziewczynką, opowiadającą bajki o Farmerze Groszku z tylnego siedzenia samochodu!

Dziękuję Ałowi za to, że uczynił wszystko to możliwym. Za to, że nosił nasze dziecko, odkładał swoje sprawy po to, żeby mi pomóc, za rozmowy podczas kryzysów z wątkami o trzeciej nad ranem, podczas spacerów, podróży samochodem oraz podczas obiadów w czasie wakacji, na których mieliśmy nie myśleć o książce... za Twoją mądrość, wsparcie, wiarę i zachętę. Za czytanie większości szkiców tej książki – niemal tylu, ile sama przejrzałam – z długopisem w dłoni, nawet kiedy byłeś zmęczony po całodziennym pracy albo zajmowaniu się dzieckiem – lub jednym i drugim. Mówisz, że to dwadzieścia procent – ja uważam, że zawdzięczam ci wszystko.

Tytuł oryginału: The Paris Apartment

Copyright © Lost and Found Books Ltd 2022

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Grace Han

Zdjęcie na okładce: © Elisabeth Ansley / Trevillion Images

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Lidia Kozłowska

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-096-8

image001.jpg

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Spis treści

PROLOG

Piątek. Ben

TRZY GODZINY PÓŹNIEJ

Jess

Sophie

Jess

Konsjerżka

Jess

Mimi

Jess

Konsjerżka

Jess

Jess

Jess

SOBOTA

Nick

Jess

Jess

Mimi

Sophie

Jess

Sophie

Jess

Konsjerżka

Jess

Nick

Jess
Konsjerzka
Jess
Mimi
Jess
Jess

TRZYDZIEŚCI GODZIN WCZEŚNIEJ

Ben

NIEDZIELA

Nick
Jess
Sophie
Jess
Mimi
Jess
Konsjerzka
Nick
Jess
Sophie
Jess
Mimi
Konsjerzka
Jess
Nick
Jess
Mimi
Jess

PONIEDZIAŁEK

Mimi
Sophie
Nick

Jess

Mimi

Nick

CZTERDZIEŚCI OSIEM GODZIN WCZEŚNIEJ

Jess

Sophie

Jess

Jess

Sophie

Nick

Jess

Konsjerzka

Mimi

Jess

Mimi

Jess

Sophie

Jess

Sophie

Jess

Jess

Nick

Jess

Mimi

Jess

Mimi

Sophie

Jess

Nick

Mimi

Nick

Sophie

Jess
Sophie
Nick

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Jess
Sophie

EPILOG

Jess

Podziękowania